



# POLNE KWIAATY

**JULIA HEABERLIN**

MROCZNA PODRÓŻ DO NAJCIEMNIEJSZYCH  
ZAKĄTKÓW DUSZY

Julia Heaberlin

POLNE KWIATY

przełożył Jacek Żuławnik



Tytuł oryginału: *Black-Eyed Susans*

Copyright © 2015 by Julia Heaberlin

All rights reserved

This translation is published by arrangement with Ballantine Books, an imprint of Random House, a division of Penguin Random House LLC

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI

Copyright © for the Polish translation by Jacek Żuławnik, MMXVI

Wydanie I

Warszawa, MMXVI

# Spis treści

[Dedykacja](#)

[Prolog](#)

[Część I. Tessa i Tessie](#)

[Tessa obecnie](#)

[Tessie w 1995 roku](#)

[Tessa obecnie](#)

[Tessie w 1995 roku](#)

[Tessa obecnie](#)

[Tessie w 1995 roku](#)

[Tessa obecnie](#)

[Tessie w 1995 roku](#)

[Tessa obecnie](#)

[Tessie w 1995 roku](#)

[Tessa obecnie](#)

[Tessie w 1995 roku](#)

[Tessa obecnie](#)

[Tessie w 1995 roku](#)

[Tessa obecnie](#)

[Tessie w 1995 roku](#)

[Tessa obecnie](#)

[Tessie w 1995 roku](#)

[Tessa obecnie](#)

[Tessie w 1995 roku](#)

[Tessa obecnie](#)

[Tessie w 1995 roku](#)

[Tessa obecnie](#)

[Tessie w 1995 roku](#)

[Tessa obecnie](#)

[Tessie w 1995 roku](#)

[Tessa obecnie](#)

[Tessie w 1995 roku](#)

[Tessa obecnie](#)

[Tessie w 1995 roku](#)

[Tessa obecnie](#)

[Tessie w 1995 roku](#)

[Tessa obecnie](#)

[Tessie w 1995 roku](#)

[Tessa obecnie](#)

[Tessie w 1995 roku](#)

[Tessa obecnie](#)

[Tessie w 1995 roku](#)

[Tessa obecnie](#)

[Tessie w 1995 roku](#)

[Tessa obecnie](#)

[Tessie w 1995 roku](#)

[Tessa obecnie](#)

[Tessie w 1995 roku](#)

[Tessa obecnie](#)

[Tessie w 1995 roku](#)

## [Część II. Odliczanie](#)

[Wrzesień 1995 roku](#)

[Dwadzieścia dziewięć dni do egzekucji](#)

[Wrzesień 1995 roku](#)

[Dwadzieścia sześć dni do egzekucji](#)

[Wrzesień 1995 roku](#)

[Dziewiętnaście dni do egzekucji](#)

[Wrzesień 1995 roku](#)

[Osiemnaście dni do egzekucji](#)

[Wrzesień 1995 roku](#)

[Siedemnaście dni do egzekucji](#)

[Wrzesień 1995 roku](#)

[Szesnaście dni do egzekucji](#)

[Wrzesień 1995 roku](#)

[Dwanaście dni do egzekucji](#)

[Wrzesień 1995 roku](#)

[Dziewięć dni do egzekucji](#)

[Wrzesień 1995 roku](#)

### [Część III. Tessa i Lydia](#)

[Tessa obecnie. Pierwsza czterdzieści sześć w nocy](#)

[Lydia w wieku szesnastu lat. Czterdzieści trzy godziny po napaści](#)

[Tessa obecnie. Pierwsza pięćdziesiąt jeden w nocy](#)

[Lydia w wieku szesnastu lat. Pół roku przed rozpoczęciem procesu](#)

[Tessa obecnie. Pierwsza pięćdziesiąt cztery w nocy](#)

[Lydia w wieku siedemnastu lat. Dwa i pół miesiąca przed rozpoczęciem procesu](#)

[Tessa obecnie. Druga zero trzy w nocy](#)

[Lydia w wieku siedemnastu lat. Trzy tygodnie przed rozpoczęciem procesu](#)

[Tessa obecnie. Druga dwadzieścia cztery w nocy](#)

[Lydia w wieku siedemnastu lat. Dwa dni po zakończeniu procesu](#)

[Tessa obecnie. Druga dwadzieścia dziewięć w nocy](#)

[Lydia w wieku siedemnastu lat. Trzy dni po zakończeniu procesu](#)

[Tessa obecnie. Druga trzydzieści cztery w nocy](#)

[Lydia w wieku siedemnastu lat. Dziesięć dni po zakończeniu procesu](#)

[Tessa obecnie. Druga czterdzieści cztery w nocy](#)

[Lydia w wieku siedemnastu lat](#)

[Tessa obecnie. Druga pięćdziesiąt dwie w nocy](#)

[Lydia w wieku siedemnastu lat](#)

[Tessa obecnie. Druga pięćdziesiąt trzy w nocy](#)

[Potwór w 1995 roku](#)

## [Epilog](#)

[Tessa](#)

## [Zakończenie](#)

## [Podziękowania](#)

## [Przypisy](#)

*Dla Sama, który zmienił wszystko*



# Prolog

Brakuje trzydziestu dwóch godzin mojego życia.

Lydia mówi, że bym wyobraziła sobie te godziny jako stare ciuchy ukryte głęboko w ciemnej szafie. Mam zamknąć oczy. Otworzyć drzwi. Pogrzebać na półkach. Poszukać.

Wolałabym nie pamiętać tego, co pamiętam. Cztery piegi. Szeroko otwarte niebieskie oczy pięć centymetrów od mojej twarzy. Robaki wżerające się w gładki, miękki policzek. Smak ziemi w ustach. Pamiętam takie rzeczy.

Są moje siedemnaste urodziny, na torcie palą się świece.

Ogniki poganiają mnie, chcą, bym się pospieszyła. Myślę o Polnych Kwiatkach, złożonych w zimnych metalowych szufladach. O tym, że szoruję się i szoruję, ale choćbym nie wiem ile pryszniców wzięła, nie jestem w stanie zmyć z siebie ich zapachu.

„Bądź szczęśliwa”.

„Pomyśl życzenie”.

Przyklejam uśmiech do twarzy i staram się skoncentrować. Wszyscy, którzy tu są, kochają mnie i chcą, żebym wróciła do domu.

Mają nadzieję, że będę dawną Tessie.

Nie pozwólcie mi sobie przypomnieć.

Zamykam oczy i dmucham.

# Część I

## Tessa i Tessie

*Moja matka ucięła mi głowę,  
A mój ojciec mnie zjadł!  
Moja siostra pochowała me kości  
Pod jałowcem, zielonym jałowcem!  
Ćwir! Ćwir! Nie ma na świecie  
Piękniejszej ptaszyny ode mnie!<sup>1</sup>*

Dziesięcioletnia Tessie czyta na głos dziadkowi *Jałowiec* braci Grimm, rok 1988

## Tessa obecnie

Niech się dzieje, co chce, idę krętą ścieżką prowadzącą do mojego dzieciństwa.

Dom na szczycie pagórka wygląda tak, jakby jakieś dziecko wzniosło go z klocków i rolek papieru toaletowego, a następnie przewróciło do góry nogami. Po prawej i po lewej sterczą wieżyczki, niczym pociski czekające na wystrzelenie, a komin jest zabawnie przekrzywiony. Latem mieszkałam w tych basztach i udawałam, że lecę rakieta kosmiczną.

Na przekór młodszemu bratu wyłaziłam przez okno na pokrytą dachówkami stromość i niezdarnie gramoliłam się na daszek okienka, dla zachowania równowagi łapiąc się parapetów i ostrych gargulcowych uszu. Znalazłszy się na samej górze, chwyciłam się poskręcanej poręczy, podziwiałam płaski, nieskończony krajobraz Teksasu i przyglądałam się gwiazdom mojego królestwa. Grałam nocnym ptaszkom na pikolu. Wiatr szeleścił moją cienką, białą bawełnianą koszulą nocną, jakbym była dziwną gołębicą, co przysiadła na czubku zamku. Brzmi jak bajka, ale naprawdę tak było.

W tym zwariowanym wiejskim domu, który wyglądał jak żywcem wyjęty z historyjek dla dzieci, mieszkał mój dziadek. Zbudował go z myślą o mnie i moim bracie Bobbym. Budynek nie był wprawdzie zbyt okazały, ale do dziś nie wiem, skąd dziadek wziął na niego pieniądze. Obojgu nam przeznaczył po wieżyczce, abyśmy mogli ukryć się przed światem, ilekroć zapagniemy samotności. To był z jego strony wielki gest, nasz prywatny Disney World, rekompensata za śmierć naszej matki.

Kiedy zmarł dziadek, babcia próbowała pozbyć się domu, ale udało się go sprzedać dopiero wiele lat później, kiedy sama spoczęła w ziemi pomiędzy mężem a córką. Nikt nie chciał kupić tego domu. Ludzie mówili, że jest dziwny. Przeklęty. Rzeczywiście, przeklęły go ich podłe słowa.

Gdy mnie odnaleziono, zdjęcia domu pojawiały się we wszystkich gazetach i stacjach telewizyjnych. Miejskowa prasa ochrzciła go „Zamkiem Grimów”. Do tej pory nie wiem, czy to był błąd w druku i autorowi tak naprawdę chodziło o braci Grimm, czy też komuś zależało na podkreśleniu ponurości domu dziadka<sup>2</sup>. Cóż, my, Teksańczycy, mamy własną ortografię.

Krążyła plotka, że dziadek miał coś wspólnego z moim zniknięciem,

z zamordowaniem wszystkich Polnych Kwiatów – z powodu tej dziwacznej budowli. „Cię Michaela Jacksona i jego Neverland Ranch” – powtarzali, nawet kiedy nieco ponad rok później sąd skazał na karę śmierci mężczyznę oskarżonego o popełnienie tej zbrodni. Wcześniej ci sami ludzie co roku na Boże Narodzenie przywozili swoje dzieci przed dom mojego dziadka, żeby mogły pogapić się na rozświetloną lampkami chatkę z piernika i poczęstować się cukierkiem z koszyka stojącego na ganku.

Naciskam dzwonek. Nie gra już *Cwału walkirii*. Nie wiem, czego się spodziewać, dlatego czuję się lekko zaskoczona, kiedy dwoje starszych ludzi, którzy otwierają mi drzwi, zdaje się doskonale pasować do tego miejsca. Pulchna, zmęczona *Hausfrau* ze spiczastym nosem, w chustce na głowie i ze ścierką do kurzu w ręku kojarzy mi się z mieszkającą w bucie staruszką ze znanej rymowanki.

Jąkając się, mówię, o co chodzi. W oczach kobiety natychmiast pojawia się błysk – rozpoznała mnie, jej rysy nieco łagodnieją. Wzrokiem znajduje niewielką, półkolistą bliznę pod moim okiem. Jej spojrzenie mówi: „biedna dziewczynka”, choć przecież minęło już osiemnaście lat, dziewczynka dorosła i dziś sama ma córkę.

– Nazywam się Bessie Wermuth – mówi. – A to mój mąż Herb. Proszę wejść, moja droga.

Herb patrzy spode łba i opiera się na lasce. Widać, że jest podejrzliwy. Trudno mu się dziwić. Jestem dla niego obcą osobą, choć przecież zna mnie doskonale, tak jak wszyscy w promieniu kilkuset kilometrów od tego miejsca. To ja, Cartwrightówna dawno temu znaleziona obok uduszonej studentki na stosie ludzkich szczątków, niedaleko autostrady numer dziesięć, na zapomnianej łące nieopodal farmy Jenkinsa.

Jestem bohaterką krzykliwych nagłówków i opowiadanych przy ognisku historii o duchach.

Jestem jednym z czterech Polnych Kwiatów. Tym, któremu się *poszczęściło*.

– To zajmie tylko kilka chwil – mówię.

Pan Wermuth marszczy czoło, ale pani Wermuth odpowiada:

– Ależ oczywiście.

To jasne, że w tym domu to ona jest odpowiedzialna za podejmowanie ważnych decyzji, takich jak wysokość trawy na podjeździe albo co zrobić z rudowłosą, naznaczoną przez złego dziewczyną, która puka do drzwi i prosi, żeby ją wpuścić.

– Nie zejdziemy tam z panią – uprzedza gderliwym tonem mężczyzna, otwierając szerzej drzwi.

– Nie zaglądamy tam zbyt często, od kiedy się wprowadziliśmy – dodaje pospiesznie pani Wermuth. – Może raz w roku. Bo wilgoć. I zepsuty schodek. Nie chcielibyśmy, żeby któreś z nas załatwiło sobie staw biodrowy. W naszym wieku jednego dnia człowiek coś sobie złamie, a drugiego puka do bram nieba. Na starość unikaj szpitala jak ognia, jeśli chcesz jeszcze pożyć.

Pani Wermuth wieszczy ponuro, a ja zastygam po wejściu do wielkiego pomieszczenia. Zalewa mnie fala emocji, szukam przedmiotów, których już tu nie ma. Totemu, który pewnego lata bez wiedzy rodziców wyrzeźbiliśmy z Bobbym – i skończyło się tylko na jednej wizycie na pogotowiu. Dziadkowego obrazka przedstawiającego myszkę na żaglówce z chusteczki do nosa unoszącą się na spienionym oceanie. Teraz na jego miejscu wisi Thomas Kinkade.

W pokoju znajdują się dwie sofy w kwiaty i bogata wystawa bibelotów poustawianych gęsto na półkach i w gablotkach. Niemieckie kufle do piwa i lichtarze, lalki z serii Little Women, kryształowe motyle i żaby, co najmniej pięćdziesiąt misternie zdobionych angielskich filiżanek do herbaty, porcelanowy klaun, któremu po policzku płynie samotna czarna łza. Podejrzewam, że wszystkie te przedmioty zastanawiają się, jakim, u diabła, cudem trafiły do tej samej kolekcji.

Uspokaja mnie tykanie zegarów. Na jednej ścianie wisi dziesięć starych czasomierzy; dwóm zwisają wahadłowe kocie ogony; poruszają się w doskonałej harmonii.

Rozumiem, dlaczego pani Wermuth wybrała nasz dom. Na swój sposób jest jedną z nas.

– Bardzo proszę – mówi.

Ruszam za nią posłusznie. Idziemy krętym korytarzem odchodzącym od salonu. Kiedyś potrafiłam po ciemku wyrabiać się na tych zakrętach... jadąc na rolkach. Po drodze pani Wermuth pstryka włącznikami światła, a mnie nagle opada uczucie, jakbym zmierzała ku komorze mojej śmierci.

– W telewizji mówią, że egzekucja odbędzie się za dwa miesiące.

Aż podskakuję. Szorstki męski głos za moimi plecami należy do spowitego chmurą dymu papierosowego pana Wermutha. Jakby czytał mi w myślach.

Zatrzymuję się, przelękam gulę w gardle i czekam, aż pan Wermuth zapyta, czy zamierzam usiąść w pierwszym rzędzie i zobaczyć, jak mój prześladowca wydaje ostatnie tchnienie. Ale on tylko niezgrabnie klepie mnie po ramieniu.

– Ja bym nie poszedł. Proszę nie zawracać sobie nim głowy.

Myliłam się co do Herba. Nie pierwszy raz i nie ostatni pomyliłam się co

do człowieka.

Robię krok do przodu, a ponieważ wciąż jestem zwrócona w stronę Herba, uderzam twarzą o ścianę, która niespodziewanie wyrosła przede mną.

– Nic mi nie jest – prędko zapewniam panią Wermuth, która unosi dłoń, ale nie decyduje się dotknąć mojego piekącego policzka, ponieważ bolące miejsce znajduje się zbyt blisko blizny, nieusuwalnego śladu po wiszącym na palcu szkieletu pierścionku z granatem. Podarek od Polnego Kwiatu, który nie chciał, abym o nim zapomniała. Delikatnie odsuwam rękę pani Wermuth.  
– Zapomniałam, że tu jest zakręt.

– Cholerny dom – mruczy pod nosem Herb. – Źle nam było w Saint Petersburgu?

Chyba nie oczekuje odpowiedzi. Policzek zaczyna ćmić, blizna wtóruje mu cichym pulsowaniem.

Prosty odcinek korytarza, a na końcu zwykłe drzwi. Pani Wermuth wyjmuję z kieszeni fartucha klucz uniwersalny i z łatwością przekręca go w zamku. Kiedyś było dokładnie dwadzieścia pięć takich kluczy, wszystkie identyczne, można było otworzyć nimi dowolne drzwi w domu. Rzadki przykład praktyczności dziadka.

Omiata nas chłodny podmuch. Czuję woń rozkładu zmieszaną z zapachem nowego życia. Po raz pierwszy od chwili kiedy przed godziną wyszłam z domu, opadają mnie poważne wątpliwości. Pani Wermuth podnosi rękę i pociąga za sznurek wiszący nad jej głową. Zapala się zakurzona goła żarówka.

– Proszę. – Gospodyni podaje mi latareczkę, którą wyjęła z kieszeni. – Używam jej do czytania. Wie pani, gdzie się włącza światło?

– Tak – odpowiadam mechanicznie. – Na samym dole.

– Proszę uważać na szesnasty stopień – ostrzega pani Wermuth. – Coś wygryzło w nim dziurę. Ja zawsze liczę, kiedy schodzę. Proszę się nie spieszyć. Zrobię nam herbatę, a potem opowie pani co nieco o historii domu. Chętnie posłuchamy, prawda, Herb?

Herb coś odburkuje. Myślam jest w Saint Petersburgu na Florydzie: uderza małą, białą piłeczkę tak, że ta pokonuje dwieście metrów i wpada prosto do oblewającego półwysep błękitnego oceanu.

Na drugim stopniu waham się i niepewnie odwracam głowę. Jeśli ktoś zamknie za mną drzwi, spędzę w tej piwnicy sto lat, zanim zostanie odnaleziona. Zawsze wiedziałam, że śmierć nie spocznie, dopóki nie dopadnie pewnej szesnastolatki.

Pani Wermuth głupio macha dłonią.

– Mam nadzieję, że znajdzie pani to, czego szuka. To musi być ważne.  
Też mi zachęta.

Schodzę, robiąc przy tym dużo hałasu, jak dziecko. Przeskakuję szesnasty stopień. Na dole pociągam za kolejny sznurek i pomieszczenie wypełnia się jaskrawym światłem jarzeniówki.

Lampa oświetla pusty grobowiec. Dawniej w tym miejscu rodziła się sztuka. Stały tu sztalugi z niedokończonymi obrazami, na kołkach wisiały osobliwe i przerażające narzędzia, za zasłoną znajdowała się ciemnia, w której ożywały fotografie, a w kącie manekiny urządzały przyjęcia. Dalibyśmy sobie z Bobbym rękę uciąć, że nieraz widzieliśmy, jak się ruszają.

W starych kufrach mieszkały zawinięte w bibułę zabawnie zdobione przedpotopowe kapelusze, suknia ślubna babci, na którą naszyto dokładnie trzy tysiące dwie perełki, a także mundur dziadka z czasów drugiej wojny światowej, z brązową plamką na rękawie (byliśmy z Bobbym przekonani, że to krew). Dziadek był spawaczem, rolnikiem, historykiem, artystą, drużynowym skautów, fotografem w kostnicy, strzelcem, stolarzem, republikaninem, zatwardziałym zwolennikiem demokratów. Poetą. Nigdy nie potrafił się zdecydować – to samo mówią o mnie.

Zabronił nam schodzić do piwnicy bez opieki; nie wiedział, że robiliśmy to mimo wszystko. Pokusa była zbyt duża. Fascynował nas zwłaszcza zakazany, pokryty kurzem czarny album, zawierający zdjęcia z miejsc zbrodni z czasów, kiedy dziadek krótko pracował jako fotograf w kostnicy. Rozchlapany na linoleum w kuchni mózg wybałuszającej oczy gospodyni domowej. Goły sędzia topielec, którego ciało wyciągnął na brzeg jego pies.

Przyglądam się pleśni zachłannie wspinającej się po czterech ceglanych ścianach. Czarny porost wypełnia sporej wielkości zygzakowate pęknięcie w brudnej, betonowej podłodze.

Po śmierci dziadka nikt nie obdarzył tego miejsca miłością. Szybko podchodzę do przeciwległego kąta, przeciskając się między ścianą a zainstalowanym przed laty i porzuconym jako kiepski pomysł piecem węglowym. Coś przemyka mi po nodze. Skorpion, karaluch. Nawet się nie wzdrygam. Gorsze rzeczy chodziły mi po twarzy.

Za piecem trudniej cokolwiek zobaczyć. Omiatam ścianę światłem latarki, aż znajduję usmoloną cegłę z rysunkiem czerwonego serca, umieszczonym tam, by zwieść mojego brata, bo któregoś dnia widział, jak zaglądałam do skrytki. Trzy razy delikatnie przesuwam palcem po obrysie serca. Potem odliczam: dziesięć cegieł nad sercem – i jeszcze pięć. Dla małego Bobby'ego to było za wysoko. Wyjmuję z kieszeni śrubokręt, wbijam go w kruszącą się

zaprawę i zaczynam podwazyć. Pierwsza cegła wysuwa się z muru i głośno spada na podłogę. Zabieram się do trzech pozostałych. Wyjmuję jedną po drugiej.

Zaglądam do środka, świecąc sobie latarką.

Gruba pajęczyna jak koronkowa serwetka. W głębi szara kwadratowa bryła.

Przeleżała siedemnaście lat w krypcie, którą dla niej zrobiłam.



## Tessie w 1995 roku

– Tessie, słuchasz mnie?

Zadaje głupie pytania, tak jak inni.

Podnoszę głowę znad czasopisma, które trzymam rozłożone na kolanach i które niby przypadkiem znalazłam na kozetce.

– To nie ma sensu.

Przewracam stronę – po to tylko, żeby go rozdrażnić. Przecież wie, że tak naprawdę nie czytam.

– To co tu robisz?

Pozwalam gęstej ciszy zawisnąć w powietrzu. Podczas sesji terapeutycznych cisza jest moim jedynym środkiem kontroli. Potem mówię:

– Przecież pan wie. Przychodzę, bo tata mi każe.

Bo wszyscy inni byli beznadziejni. Bo tatuś jest strasznie smutny, a ja nie mogę tego znieść.

– Mój brat mówi, że się zmieniałam.

Za dużo gadam. Jeszcze się nie nauczyłam.

Kiedy zmienia pozycję, nogi jego krzesła szorują po podłodze z twardego drewna. Gotów by się na mnie rzucić.

– A czy ty uważasz, że się zmieniłaś?

Co za *banal!* Zniesmaczona przerzucam kartki magazynu. Są zimne, śliskie i sztywne. Wydzielają woń przesłodzonych perfum. Pisemko, jak sądzę, z gatunku tych, co to pełne kościstych gniewnych panienek. Ciekawe, czy to samo widzi we mnie ten mężczyzna, kiedy na mnie patrzy. W zeszłym roku schudłam dziewięć kilo. Z moich mięśni lekkoatletki niewiele zostało. Niedawno przeszłam trzecią operację prawej stopy; tkwi unieruchomiona w ciężkim gipsie. W moich płucach wzbiera gorycz niczym gorąca para. Biorę głęboki wdech. Cel: nic nie czuć.

– Okej – mówi. – To było głupie pytanie.

Wiem, że bacznie mi się przygląda.

– To może tak: z jakiego powodu tym razem wybrałaś akurat mnie?

Gwałtownym ruchem opuszczam czasopismo na kolana. Przypominam sobie, że on robi dla mnie wyjątek, być może wyświadcza przysługę prokuratorowi okręgowemu. Rzadko leczy nastoletnie dziewczyny.

– Podpisał pan papierek, że nie przepisze mi żadnych leków, nie opublikuje informacji związanych z naszymi sesjami, nie podda mnie żadnym badaniom

bez mojej zgody i nie powie absolutnie nikomu, że leczy jedyny ocalały Polny Kwiat. Powiedział pan, że nie zastosuje hipnozy.

– Jesteś przekonana, że nie zrobię żadnej z tych rzeczy, które wymieniłaś?

– Nie – odpowiadam zdecydowanie. – Ale przynajmniej wiem, że jeśli pan to zrobi, zostanę milionerką.

– Mamy jeszcze kwadrans – stwierdza. – Możemy wykorzystać ten czas tak, jak sobie życzysz.

– Super. – Sięgam po magazyn pełen kościstych gniewnych dziewczyn.

## Tessa obecnie

Dwie godziny po tym, jak wyszłam z zamku dziadka, William James Hastings III zjawia się w moim domu w Fort Worth – bungalowie z lat dwudziestych wyposażonym w ponure czarne okiennice i pozbawionym wszelkich łuków i ozdóbek. W środku nie stronię od kolorów, na zewnątrz wolę jednak neutralność.

Jeszcze nigdy żadna osoba o tak... baronowskim nazwisku nie mościła się na mojej kanapie. Mężczyzna wygląda na nie więcej niż dwadzieścia osiem lat, ma co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, długie, chude ręce i wielkie dłonie. Kiedy siedzi, zaczyna kolanami o ławę. William James Hastings III kojarzy mi się raczej z miotaczem u szczytu kariery niż z prawnikiem; sprawia wrażenie, jakby niezgrabność jego sylwetki miała zniknąć w chwili, gdy William James Hastings III sięgnie po piłkę. Chłopięca uroda. Nawet niebrzydki. Gdyby nie nochal, byłby wręcz przystojny. Przeprowadził ze sobą kobietę ubraną w dopasowany biały żakiet, koszulę z białym kołnierzykiem i czarne spodnie. Typ, który nieszczególnie przejmuje się modą, a strój traktuje czysto użytkowo. Krótkie włosy, naturalny blond. Na palcach brak obrączki i pierścionków. Krótko obcięte, niepomalowane paznokcie. Jedyna ozdoba to lśniący złoty łańcuszek z wisiorkiem. Wygląda na drogi; to jakiś napis, znajome esy-floresy, ale nie mam czasu rozszyfrowywać, co znaczą. Może jest policjantką, ale to chyba nie ma sensu.

Szara bryła, wciąż pokryta kurzem i przedwieczną pajęczyną, leży na ławie między nami.

– Mówmy sobie po imieniu – proponuje William James Hastings III. – Jestem Bill. Nie William. I zdecydowanie nie Willie. – Uśmiecha się.

Ciekawe, czy używa tego tekstu, kiedy zwraca się do ławy przysięgłych. Chyba powinien zmienić płytę.

– Zatem Tesso, jak już mówiłem przez telefon, bardzo się cieszymy, że do nas zadzwoniłaś. Zaskoczyłaś nas, ale też zaciekawiłaś. Liczę, że nie masz nic przeciwko temu, że poprosiłem doktor Joannę Seger, Jo, o przyjazd. Nie mamy czasu do stracenia. Jo jest specjalistką w dziedzinie medycyny sądowej, jutro przystąpi do ekshumacji szczątków... Polnych Kwiatów. Chciałaby pobrać od ciebie próbkę śliny, do zbadania DNA. Ponieważ wciąż borykamy się z problemem zagubionych dowodów i wyników pseudonaukowych badań, które przeprowadzono na potrzeby pierwszego

procesu, Jo chciałyby osobiście pobrać wymaz. To znaczy, jeśli naprawdę mówiłaś poważnie. Angie nie przypuszczała, że...

Odchrząkuję.

– Mówiłam poważnie.

Czuję ukłucie żalu na myśl o Angeli Rothschild. Ta schludna siwowłosa kobieta nachodziła mnie przez sześć lat, uparcie powtarzając, że Terrell Darcy Goodwin jest niewinny. Rozdmuchiwała każdą moją wątpliwość, aż w końcu przestałam być czegokolwiek pewna.

Angie była święta i zawzięta; była też trochę męczennicą. Poświęciła połowę życia i większą część spadku po rodzicach na zabieganie o wolność dla więźniów, których teksańskie sądy niesłusznie posłały za kratki. Co roku o jej wstawiennictwo błagało półtora tysiąca osadzonych gwałcicieli i morderców, toteż Angie musiała dokonywać starannego wyboru. Mówiła, że świadomość zabawy w Boga z dzwoniącymi i piszącymi do niej ludźmi była jedynym powodem, dla którego rozważała porzucenie swojej misji. Tylko raz byłam w jej biurze – kiedy po raz pierwszy się ze mną skontaktowała. Mieściło się w piwnicy starego kościoła, w nieciekawej dzielnicy Dallas znanej z wysokiej śmiertelności wśród stróżów porządku. Skoro jej klienci nie oglądają słońca ani nie mogą wpaść na kawę do Starbucksa, mawiała, to i ona może się bez tego obejść. Za całe towarzystwo w tej piwnicy miała dzbanek do kawy, troje prawników, którzy poza tym, że jej asystowali, musieli jeszcze pracować zarobkowo, i tylu studentów prawa, ilu zechciało się zgłosić do pomocy.

Dziewięć miesięcy temu w tym samym miejscu co teraz Bill siedziała ubrana w dżinsy i zdarte kowbojki Angie i trzymała w dłoni jeden z listów Terrella. Pytała, czy zechcę go przeczytać. Wcześniej prosiła mnie, wręcz błagała, o wiele innych rzeczy, na przykład o to, żebym pozwoliła, aby jeden z jej specjalistów, dla niej prawdziwy guru, spróbował mi pomóc w odzyskaniu pamięci.

Angie zmarła na atak serca. Znaleziono ją leżącą twarzą na stosie dokumentów dotyczących sprawy Goodwina. Dziennikarz przygotowujący jej nekrolog uznał, że to niezwykle poetyckie. Kiedy umarła, opanowało mnie nieznośne poczucie winy. Angie, z czego zdałam sobie sprawę poniewczasie, była bowiem jedną z osób, które dodawały mi siłę, jedną z nielicznych, które się ode mnie nie odwróciły.

– Czy to... dla nas? – Bill wpatruje się w brudną reklamówkę z piwnicy dziadka, jakby była pełna złota.

Paczka zostawia na szkle pylisty ślad starej zaprawy, leży tuż obok różowej

opaski z kilkoma kasztanowymi włosami mojej córki Charlie.

– Mówiłaś przez telefon, że musisz coś... znaleźć – dodaje Bill. – Że opowiadałaś Angie o... projekcie, ale nie byłaś pewna, gdzie szukać materiałów.

To właściwie nie jest pytanie, więc nie odpowiadam.

Jego spojrzenie błądzi po salonie zagraconym rzeczami artystki i jej nastoletniej córki.

– Chciałbym, żebyśmy umówili się w biurze za kilka dni. Kiedy już to... zbadamy. Przed apelacją będziemy musieli raz jeszcze wszystko sobie powtórzyć.

Jest w nim dużo łagodności, jak na takiego wielkoluda. Ciekawe, w jakim stylu walczy na sali rozpraw i czy ta łagodność jest jego bronią.

– Gotowa na wymaz? – przerywa nagle doktor Seger.

Przechodzi do rzeczy, zakłada lateksowe rękawiczki. Może się boi, że zmienię zdanie.

– Tak.

Obie wstajemy. Jo łaskocze mnie po wewnętrznej stronie policzka i zamyka w probówce mikroskopijną część mnie. Wiem, że chce dodać moje DNA do materiałów pobranych od trzech pozostałych Polnych Kwiatów, z których dwa figurują w dokumentacji jako NN. Czuję bijące od niej gorąco. Niecierpliwe wyczekiwanie.

Przenoszę uwagę z powrotem na paczkę leżącą na stole. I na Billa.

– Pomysł tego eksperymentu wyszedł od jednego z moich psychiatrów. Cenniejsze od tego, co tam jest, może się okazać to, czego nie ma.

Innymi słowy: nie narysowałam czarnoskórego mężczyzny, który wyglądał jak Terrell Darcy Goodwin.

Mówię spokojnym głosem, ale czuję, jak serce tłucze mi w piersi. Daję temu człowiekowi Tessie. Mam nadzieję, że nie popełniam błędu.

– Angie... byłaby bardzo wdzięczna. *Jest wdzięczna.* – Bill, gestem jak z obrazu Michała Anioła, pokazuje palcem w górę.

To pocieszające: oto człowiek, którego codziennie zatrzymuje i zasypuje pytaniami mnóstwo nie do końca przyzwoitych ludzi uparcie trzymających się swoich kłamstw i śmiertelnych pomyłek, wciąż wierzy w Boga. Albo przynajmniej wierzy w cokolwiek.

W kieszeni doktor Seger brzęczy telefon. Jo wyjmuje go i zerka na wyświetlacz.

– Muszę odebrać. To jeden z moich doktorantów. Bill, spotkamy się przy samochodzie. Dobra decyzja, Tesso. Postępujesz słusznie.

*Postempujesz.* Nosowe brzmienie. Może z Oklahomy. Uśmiecham się odruchowo.

– Zaraz przyjdę. – Bill powoli zamyka teczkę i ostrożnie podnosi reklamówkę. Kiedy za Jo zamykają się drzwi, jego dłonie naraz wydają mi się jeszcze większe. – Doktor Seger, którą właśnie poznałaś, to geniusz, jeśli chodzi o badanie mitochondrialnego DNA. Ze szczątków potrafi wyczytać niemal wszystko. Po jedenastym września wyjechała do Nowego Jorku pomagać i przez cztery lata tworzyła historię. Przyczyniła się do zidentyfikowania tysięcy ofiar na podstawie zwęglonych szczątków. Początkowo mieszkała w oddziale YMCA. Korzystała z publicznych pryszniców razem z bezdomnymi. Pracowała po czternaście godzin dziennie. Nie musiała tego robić, bo nie należało to do jej obowiązków, ale kiedy mogła, spotykała się z pogrążonymi w smutku rodzinami ofiar i wyjaśniała, na jakiej podstawie dokonała identyfikacji – robiła to, aby rodziny miały taką samą pewność, jak ona. Nauczyła się podstaw hiszpańskiego, żeby móc rozmawiać z rodzinami meksykańskich pomywaczy i kelnerów, którzy pracowali w restauracjach w północnej wieży. Jest jedną z najlepszych na świecie specjalistek w dziedzinie medycyny sądowej i zarazem jedną z najzyczliwszych istot, jakie znam. I chce dać Terrellowi szansę. Zależy mi, abyś zrozumiała, jakich ludzi mamy po swojej stronie. Chcę też wiedzieć dlaczego. Dlaczego, Tesso, nagle ty stanęłaś po naszej stronie?

W jego głosie zabrzmiał ostrzegawczy ton. Bill uprzedza mnie łagodnie, żebym z nimi nie pogrywała.

– Jest kilka powodów – odpowiadam niepewnie. – Jeden z nich mogę pokazać.

– Tesso, ja chcę wiedzieć wszystko.

– To chodź, sam zobacz.

Bez słowa prowadzę go wąskim korytarzem, mijam niechlujny fioletowy azyl Charlie, przeważnie dudniący muzyką, i otwieram drzwi na końcu holu. Początkowo nie zamierzałam tego robić, przynajmniej jeszcze nie dzisiaj.

Bill wygląda w mojej sypialni jak olbrzym. Uderza głową w stary żyrandol z wisiorami z morskiego szkła, które zeszłego lata wygrzebałyśmy razem z Charlie na szarych plażach Galveston. Pochyla się, żeby nie zawadzić o niego drugi raz, i przypadkiem ociera się o moją pierś. Przeprasza. Jest speszony. Przez chwilę oczami wyobraźni widzę nogi tego obcego człowieka wystające spod mojej kołdry. Nie pamiętam, kiedy ostatnio wpuściłam tu mężczyznę.

Z bólem obserwuję, jak Bill chłonie intymne szczegóły mojego życia: szkic

przedstawiający dom dziadka, rozrzuconą na toalecie złotą i srebrną biżuterię, zbliżenie lawendowych oczu Charlie, starannie ułożony na krześle stosik świeżo wypranych białych koronkowych majtek (żałuję, że nie schowałam ich do szuflady).

Zaczyna się wycofywać w stronę drzwi, wyraźnie zastanawiając się, w co, do cholery, wdepnął. I czy przypadkiem nie związał nadziei na uwolnienie biednego Terrella Darcy'ego Goodwina z wariatką, która zaprowadziła go prosto do swojej sypialni. Patrząc na jego minę i mam ochotę się roześmiać, chociaż nie odmówiłabym sobie fantazji o zabawie z rasowym Amerykaninem z dwoma tytułami naukowymi, nawet jeśli preferuję zgoła inny typ mężczyzny.

To, co chcę mu pokazać, nie pozwala mi zasnąć w nocy, każe czytać wciąż ten sam akapit z *Anny Kareniny* i wsłuchiwać się w skrzypienie domu i wycie wiatru, w każdy krok bosych stóp mojej córki, każdy słodki dźwięk snu, który uchodzi z jej ust i ulatuje na korytarz.

– Spokojnie – mówię z wymuszoną lekkością. – Wolę mężczyzn bogatszych i mniej altruistycznych. I starszych... wiesz, takich, którym już rosną wąsy. Podejź tu.

– Miło.

Słyszę, że mu ulżyło. Podchodzi w dwóch krokach. Jego wzrok wędruje za moim palcem. Za okno.

Nie pokazuję w niebo, tylko na ziemię, gdzie tuż pod parapetem rośnie kępka rudbekii i świdruje mnie czarnymi spojrzeniami.

– Jest luty – mówię cicho. – Rudbekie kwitną dopiero latem. – Milknę na chwilę, żeby to do niego dotarło. – Pojawiły się w tym miejscu trzy dni temu, w moje urodziny. Ktoś wyhodował je specjalnie dla mnie i posadził pod oknem pokoju, w którym śpię.

Mniej więcej dwa lata przed znalezieniem tam Polnych Kwiatów zaniedbane pole na ranczu Jenkinsa strawił ogień. Zapałka rzucona bez troski przez zabłąkanego na gruntowej drodze kierowcę kosztowała ubogiego farmera roczny plon pszenicy i oczyściła teren pod tysiące, dziesiątki tysięcy złotych rudbekii, które przykryły pole niczym ogromna zmięta kapa.

Ogień strawił również nasz grób, ten nierówny, poszarpany rów. Na długo zanim w nim ległyśmy, wyrosły tam rudbekie, obficie go przystroiły. To zachłanne rośliny, często jako pierwsze rozwijają się na spalonej, zniszczonej ziemi. Piękne i zarazem ambitne. Rosną po to, by usuwać inne kwiaty w cień.

Jedna zapalona zapałka, jeden nieostrożny kierowca. I oto nasze

przydomki trwale zapisały się na kartach historii seryjnych zabójstw.

Bill napisał z mojej sypialni długi esemes do Jo. Mógł zadzwonić, ale może wolał nie odpowiadać przy mnie na jej pytania. Wychodzimy na zewnątrz i spotykamy się z nią pod oknem sypialni. Właśnie pobiera próbkę czarnej ziemi spod rudbekii. Kiedy się pochyla, w jej wisiorzku odbija się słońce i esy-floresy ocierają się o żółty płatek. Wciąż nie potrafię sobie przypomnieć, co znaczy ten symbol. Może to coś związanego z religią. Coś starego.

– Oprócz zwykłej ziemi użyto czegoś jeszcze – mówi Jo. – Być może podłoża do kwiatów. No i nasion, które można kupić w każdym markecie budowlanym. Ale nigdy nie wiadomo. Powinnaś wezwać policję.

– I powiedzieć, że ktoś mi posadził kwiatki pod oknem? – Nie chciałam, żeby to zabrzmiało sarkastycznie, ale tak brzmi.

– To podpada pod wtargnięcie na teren prywatny – mówi Bill. – I nękanie. Wiesz, że to nie musi być robota zabójcy, prawda? Jakiś wariat mógł przeczytać w gazecie...

Nie powie tego głośno, ale ja wiem, co sobie myśli: podejrzewa, że mogę mieć coś nie tak z głową. Ma też nadzieję, że dysponuję czymś więcej, bo kępką rudbekii pod oknem z pewnością nie wzmocnię ewentualnej wiary sędziego w niewinność Terrella. Na pewno Billowi przeszło przez myśl też to, że sama posadziłam te kwiaty.

Jak dużo mogę mu powiedzieć?

Nabieram powietrza.

– Ilekroć dzwonię na policję, informacja o tym trafia do internetu. Potem ludzie wydzwanają, przysyłają listy, uaktywniają się psychole na Facebooku. Prezenty pod drzwiami. Ciasteczka. Torebki z psią kupą. Ciasteczka *zrobione* z psiej kupy. Oby tylko z psiej. Jakiegokolwiek zainteresowanie nami sprawia, że życie mojej córki w szkole zamienia się w piekło. Po kilku latach świętego spokoju znowu zaczyna być głośno o sprawie, bo egzekucja budzi poruszenie.

Właśnie dlatego przez wiele lat konsekwentnie odmawiałam Angie. Nie, nie i jeszcze raz *nie*. Odsuwałam od siebie wszelkie wątpliwości. W końcu zrozumiałam Angie, a ona zrozumiała mnie. „Znajdę inny sposób” – zapewniała.

Teraz wszystko się zmieniło. Angie umarła.

A *on* stał pod moim oknem.

Coś chodzi mi po głowie. Dosłownie. Strzepuję to i odruchowo zastanawiam się, czy nie przyniosłam jakichś stworzonek z dziadkowej piwnicy. Przypominam sobie, jak przed kilkoma godzinami na ślepo wkładałam dłoń do zatechłej dziury, i czuję narastającą złość.



– Gdybyście mogli zobaczyć swoje miny. Litość, niepokój i nieuzasadnione przekonanie, że nadal należy mnie traktować jak szesnastolatkę z urazem psychicznym. Dobrze znam to spojrzenie, bo spotykam je, odkąd pamiętam. Równie długo jakoś się bronię i póki co idzie nieźle. Jestem *szczęśliwa*. Nie jestem już tamtą dziewczyną. – Mocniej opatulam się długim brązowym swetrem, mimo że późnozimowe słońce przyjemnie ogrzewa twarz. – Niedługo wraca moja córka. Wolałabym, żeby was tu nie spotkała, dopóki nie wyjaśnię jej pewnych rzeczy. Jeszcze nie wie, że do was zadzwoniłam. Ma normalne życie i nie chcę, żeby to się zmieniło.

– Tesso. – Joanna robi krok w moim kierunku i zatrzymuje się. – Rozumiem.

Wyraźnie czuć ciężar w jej głosie. *Rozumiem*. Bomby, jedna druga trzecia, spadają na dno oceanu.

Wpatruję się w jej twarz. Drobne zmarszczki, które wyłobił smutek innych ludzi. Niebieskozielone oczy, które widziały więcej okropności, niż jestem w stanie objąć rozumem. Wąchała je. Dotykała ich, oddychała nimi, gdy te spadały z nieba jako śnieg z popiołu.

– Tak? – Mówię cicho. – Oby. Bo chcę być przy tym, kiedy będziesz rozkopywała te dwa groby.

„Mój tata zapłacił za ich trumny” – myślę.

Jo pociera wisiołek, tak jakby to był krzyżyk z Chrystusem.

Dociera do mnie, że właśnie tym jest – w jej świecie.

Joanna nosi na szyi złotą podwójną helisę.

Poskręcaną drabinę życia.

Łańcuch DNA.

## Tessie w 1995 roku

Tydzień później. Wtorek, punktualnie dziesiąta rano. Znow siedzę na miękkiej kanapie pana doktora, ale tym razem nie jestem sama. Oscar krzepiąco muska mi dłoń mokrym nosem, po czym układa się na podłodze obok moich stóp i leży czujny. Mam go od zeszłego tygodnia i nigdzie się bez niego nie ruszam. Nikt się temu nie sprzeciwia. Czuły i opiekuńczy Oscar napędza wszystkich nadzieją.

– Do rozprawy zostały trzy miesiące. Dziewięćdziesiąt dni. W tej chwili moim najważniejszym zadaniem jest przygotowanie cię do niej pod względem emocjonalnym. Znam obrońcę, świetny fachowiec, zwłaszcza jeśli jest przekonany, że trzyma w rękach los niewinnego człowieka, a tak właśnie jest. Czy rozumiesz, co to oznacza? Że nie będzie cię oszczędzał.

Tym razem szybko przechodzi do sedna.

Trzymam dłonie skromnie złożone na podołku. Mam na sobie krótką, plisowaną spódniczkę w niebieską szkocką kratę, białe koronkowe skarpetki i czarne buty z lakierowanej skóry. Nigdy nie byłam wymuskana, pomimo rudawozłotych włosów i piegów, o których mój cudownie ckliwy dziadek mówił, że przypominają magiczny pył. Ani wtedy, ani teraz. Dziś ubrała mnie moja najlepsza przyjaciółka Lydia. Przekopała się przez bajzel w mojej szafie i komodzie, twierdząc, że ma już dość tego, że nawet nie próbuję dobrać ciuchów tak, by do siebie pasowały. Lydia należy do tych nielicznych przyjaciółek, które się ode mnie nie odwróciły. Aktualnym źródłem inspiracji, jeśli chodzi o modę, jest dla niej film *Słodkie zmartwienia*, ale ja go nie widziałam.

– Okej – mówię.

To przecież jeden z dwóch powodów, dla których tu przychodzę. Boję się. Od jedenastu miesięcy – od kiedy policja wpadła do baru śniadaniowego Denny's Grand Slam w Ohio i wyciągnęła stamtąd Terrella Darcy'ego Goodwina, po czym dowiedziałam się, że będę musiała zeznawać – odliczam dni jak koszarne pigułki. Pozostało osiemdziesiąt siedem dni, a nie dziewięćdziesiąt, ale nie chce mi się go poprawiać.

– Nic nie pamiętam.

Tego się trzymam.

– Oskarżyciel na pewno poinformował cię, że to nie ma znaczenia. Jesteś żywym dowodem. Niewinna dziewczyna kontra nieopisany potwór.

Zacznijmy więc od tego, co jednak zapamiętałaś, dobrze, Tessie? *Tessie*? O czym teraz myślisz? O czym myślisz w tej chwili? Powiedz... nie odwracaj wzroku, dobrze?

Powoli wyciągam szyję, posyłam mu spojrzenie z głębi dwóch szarych, omszałych jam nicości.

– Pamiętam, że wrona próbowała wydziobać mi oczy – mówię beznamiętnie. – Niby po co mam na pana patrzeć, skoro pan wie, że go nie widzę?

## Tessa obecnie

Formalnie rzecz biorąc, to ich trzeci grób. Dwa Polne Kwiaty, które dziś ekshumują na cmentarzu St. Mary's w Fort Worth, zabił wcześniej. Wykopał je z pierwszej, dobrze ukrytej mogiły i wyrzucił do rowu na łące niczym kurze kości, po czym złożył tam mnie. Pozbył się więc nas czterech za jednym zamachem. Leżałam na wierzchu, obok Merry Sullivan, która, jak stwierdził koroner, nie żyła od ponad dwudziestu czterech godzin, kiedy mnie znaleziono. Usłyszałam, jak dziadek mruknął do mojego ojca:

– Drań pozbył się trupów z szafy.

Jest północ. Stoję pod drzewem, jakieś sto metrów od miejsca, w którym pracuje ekipa. Przeszłam pod taśmą policyjną odgradzającą miejsce ekshumacji – nie wiem, po co ją rozwinęli, skoro o tej porze po cmentarzu kręcą się wyłącznie duchy. No i ja.

Postawili biały namiot nad dwoma grobami, które rozkopują; bije od niego blady blask, jak od lampionu. Jest o wiele więcej ludzi, niż się spodziewałam. Jest Bill, ale to oczywiste. Przypominam sobie zdjęcie w gazecie i rozpoznaję prokuratora okręgowego. Obok niego stoi łysiejący facet w źle dopasowanym garniturze. Co najmniej pięciu policjantów i jeszcze piątka ludzi ubranych jak kosmici w kombinezony ochronne z tyveku. Wchodzą do namiotu i wychodzą z niego. Wiem, że wśród nich jest lekarz sądowy. Na takich sprawach buduje się kariery.

Czy dziennikarz, który napisał nekrolog Angie, wiedział, że jego słowa poruszą zardzewiałą dźwignię sprawiedliwości? Że wywołają oburzenie opinii publicznej w stanie, w którym regularnie wykonuje się egzekucje? Że sędzia zmieni zdanie co do ekshumacji i rozważy ponowne rozpatrzenie sprawy? Że wreszcie postanowię chwycić za telefon?

Mężczyzna w garniturze nagle się odwraca. Chowam się za drzewem. Zdążyłam zobaczyć błysk koloratki. Przez chwilę szczypią mnie oczy. Uderza mnie ukradkowość, z jaką przeprowadza się całą tę operację – chociaż w zasięgu wzroku nie ma ani jednego dziennikarza – i zdumiewa wysiłek, jaki ekipa wkłada w traktowanie tych dziewcząt z szacunkiem i godnością, mimo że nikt nie wie, kim są.

Dziewczęta, które dziś wstają z grobu, kiedy trafiły na dawne pole pszenicy przed osiemnastoma laty, już były szkieletami. Ja ledwo żyłam. Mówią, że Merry była martwa od co najmniej dwudziestu czterech godzin. Zanim

dotarła do nas policja, zwierzęta zdążyły dobrać się do ciała Merry. Próbowałam ją chronić, ale w pewnym momencie chyba zemdlałam. Wciąż się zdarza, że słyszę ożywione nawoływania szczurów. Nie mogę o tym opowiedzieć bliskim. Niech już lepiej myślą, że nic nie pamiętam.

Lekarze mówią, że ocaliło mnie serce. Urodziłam się z wadą genetyczną polegającą na zwolnionym rytmie pracy serca. Poza tym jako jedna z najlepszych w kraju nastoletnich płotkarek byłam w szczytowej formie. W normalny dzień – kiedy odrabiałam lekcje, jadłam hamburgera albo malowałam paznokcie – moje tętno biło w równym rytmie trzydziestu siedmiu uderzeń na minutę, a w nocy, podczas snu, zwalniało nawet do dwudziestu dziewięciu. Tymczasem tętno przeciętnego nastolatka to około siedemdziesięciu uderzeń na minutę. Kiedy byłam mała, tata codziennie budził się o drugiej w nocy i sprawdzał, czy oddycham, mimo że słynny kardiolog z Houston uspokajał go i przekonywał, żeby się nie martwił, bo nic złego się nie dzieje. Miałam niezwykle tętno i świetnie radziłam sobie na bieżni. Mówiło się nawet o moim awansie do kadry olimpijskiej. Ze względu na kolor włosów i porywczosć – zwłaszcza kiedy słabiej pobiegłam albo jakaś dziewczynka zepchnęła mnie z płotka – nazywano mnie Ognistym Podmuchaem.

Zdaniem lekarzy, kiedy walczyłam o życie, leżąc w grobie, moje serce zwolniło do mniej więcej osiemnastu uderzeń na minutę. Sanitariusz błędnie uznał mnie za martwą.

Prokurator okręgowy powiedział ławie przysięgłych, że to ja zaskoczyłam mordercę Polnych Kwiatów, a nie odwrotnie. Przeze mnie agresor spanikował i postanowił pozbyć się dowodów. Widoczny na stanowiącej materiał dowodowy powiększonej fotografii wielki niebiesko-zielono-żółty siniak na brzuchu Terrella Darcy'ego Goodwina był ponoć moim dziełem. Ludzie wierzą w bajki z zadziornymi bohaterami w roli głównej, nawet jeśli fakty wskazują na coś innego, niż wszyscy chcą myśleć.

Ciemna furgonetka powoli podjeżdża tyłem do namiotu.

W tym samym roku, kiedy zeznawałam, sąd uniewinnił O.J. Simpsona, który zamordował swoją żonę i zostawił ślady krwi na furtce za domem. W sprawie Terrella Darcy'ego Goodwina brakowało mocnych dowodów z DNA. Znaleziono jedynie, półtora kilometra dalej, porwaną i umazaną błotem kurtkę. Na prawym rękawie był ślad krwi tej samej grupy co grupa Goodwina. Ten ślad, ledwo widoczna plamka, był tak mały i tak zatarty, że nie zdołano pobrać z niego próbki DNA; zresztą sama ta procedura wciąż była nowością w sądownictwie karnym. Wtedy wystarczyło mi to, by uwierzyć

w winę Terrella; dziś już nie wystarcza. Modlę się, żeby Jo odprawiła swoje czary nad szczątkami dziewcząt i żebyśmy wreszcie dowiedzieli się, kim były. Liczę, że dzięki nim w końcu zaznamy spokoju.

Odwracam się, chcę odejść, ale zawadzam o coś stopą. Powietrze ucieka mi z piersi, wyciągam ręce do przodu i lecę prosto na stary potrzaskany kamień nagrobny. Korzenie drzewa podważyły go tak, że przewrócił się i przełamał.

Czy ktoś to usłyszał? Szybko zerkam przez ramię. Namiot jest już częściowo złożony. Ktoś się śmieje. Przesuwają się cienie, ale żaden nie zmierza w moim kierunku. Podnoszę się, szczypią mnie dłonie. Strzepuję śmierć i brud z dzinsów. Z tylnej kieszeni wydaję telefon. Naciskam guzik i wyświetlacz rozjaśnia się przyjazną poświatą. Świecę na nagrobek. Czerwona plama z moich dłoni zdobi strzegącego Christiny Driskill śpiącego baranka.

Christina przysłała na świat i odeszła z niego w tym samym dniu. Trzeciego marca 1872 roku.

W myślach zagłębiam się w kamienistej glebie, przekopuję aż do drewnianej trumienki pod moimi stopami, przekrzywionej, rozwartej, oplecionej korzeniami.

Myślę o Lydii.

## Tessie w 1995 roku

– Często płaczesz? – Pierwsze pytanie. Delikatne.

– Nie – odpowiadam.

Zabieg upiększający Lydii, polegający na przyłożeniu zmrożonych łyżek do cieni pod moimi oczami, na niewiele się zdał.

– Tessie, chcę, żebyś mi powiedziała, co widziałaś tuż przed tym, zanim oślepaś.

Ani słowa o mojej opuchniętej twarzy. Zaczynamy tam, gdzie skończyliśmy poprzednim razem. Sprytna metoda, przyznaję niechętnie. Użył słowa „oślepaś”, którego nikt poza Lydią nie ma śmiałości przy mnie wypowiadać. Lydia w ogóle jest bezpośrednia; na przykład trzy dni temu kazała mi wstać i umyć włosy, bo wyglądają jak zaschnięta wata cukrowa.

Ten lekarz zdążył się już zorientować, że w moim przypadku rozmowa o drobnostkach przed przejściem do sedna jest zwykłą stratą czasu.

Widziałam twarz mojej matki. Piękną, pełną miłości i czułości. To ostatni wyraźny obraz, który ujrzałam. Tyle że mama umarła, kiedy miałam osiem lat. Poza tym miałam otwarte oczy. Twarz matki, a potem już tylko połyskujący ocean szarości. Miło ze strony Boga, myślę często, że zesłał mi ślepotę w tak łagodny sposób.

Odchrząkuję, bo chcę coś powiedzieć podczas dzisiejszej sesji, chcę sprawić wrażenie bardziej skorej do pomocy, żeby pan doktor mógł powiedzieć tacie, że robię postępy. Tacie, który w każdy wtorek spóźnia się do pracy, żeby mnie tu przywieźć. Z jakiegoś powodu wydaje mi się, że w przeciwieństwie do większości specjalistów, ten lekarz nie będzie kłamał mojemu ojcu. Ten lekarz zadaje pytania inaczej niż jego koledzy. A ja inaczej odpowiadam, sama nie wiem dlaczego.

– W szpitalu, na parapecie w sali, w której leżałam, znalazłam kilka kartek z życzeniami – rzuciłam od niechcienia. – Na jednej z nich był rysunek świnki w muszce i cylindrze i podpis: „Zdrowiej *kwiknąco*”. Ta świnka to była ostatnia rzecz, jaką widziałam.

– Nieszczerólny tekst.

– Tak pan myśli?

– Czy coś jeszcze cię zafrapowało w tej kartce?

– Nie dało się rozszyfrować podpisu.

Nieczytelny zawijas, jak sprężynka.

– Czyli nie wiesz, od kogo była.

– Mnóstwo ludzi przysyłało kartki. I kwiaty, i pluszaki. Było tego tyle, że tata poprosił, by zanoesiono wszystko na dziecięcy oddział onkologiczny.

Dopóki FBI się nie zorientowało i nie zabrało tego do analizy. Później zadreęczałam się, że wyrwali jakiemuś umierającemu maluchowi przytulankę z rąk po to tylko, by w końcu nie znaleźć na niej żadnego śladu.

Świnka trzymała stokrotkę w różowej raciczce. Nie wspomniałam o tym. Miałam szesnaście lat, leżałam w szpitalu, byłam otumaniona lekami i śmiertelnie przerażona, nie potrafiłam odróżnić stokrotki od rudbekii.

Noga swędzi mnie jak diabli, wsuwam dwa palce w szczelinę pomiędzy łydką a gipsem. Nie sięgam do kostki – a tam właśnie mnie świerzbi. Oscar próbuje pomóc, liżąc moją nogę językiem przypominającym papier ścierny.

– W porządku. Być może kartka wywołała reakcję – mówi pan doktor. – A może nie. Zawsze to jakiś początek. Proponuję, żebyśmy porozmawiali o twoim zaburzeniu dysocjacyjnym, zanim przejdziemy do przygotowania do rozprawy. Ponieważ nie mamy zbyt dużo czasu, pewne... osoby... liczyły, że uda nam się pominąć ten temat. Ale przecież nie sposób go obejść.

Myślisz?

– W tym pokoju czas nie gra roli.

Mówi, że *nie ma ciśnienia*. Że płyniemy razem po moim szarym oceanie, a ja kontroluję kierunek i siłę wiatru. To chyba pierwsze kłamstwo, które od niego słyszę.

Zaburzenie dysocjacyjne. Zgrabna, wyszukana nazwa. Freud nazywał to ślepotą histeryczną.

„Mnóstwo drogich badań, a rezultat? Fizycznie wszystko w porządku”.

„Przyczyna tkwi w jej głowie”.

„Biedactwo nie chce patrzeć na świat”.

„Już nigdy nie będzie taka jak dawniej”.

Czemu wydaje im się, że ich nie słyszę?

Ponownie dostrajam się do jego głosu. Dochodzę do wniosku, że brzmi jak Tommy Lee Jones w *Ściganym*. Silny teksański akcent. Cwaniak, który wie, że jest cwaniakiem.

– ...to częste zjawisko u młodych kobiet po traumatycznych przejściach. Nieczęsto jednak utrzymuje się aż tak długo. Jedenaście miesięcy.

Trzysta dwadzieścia sześć dni, *panie doktorze*. Nie poprawiam go jednak.

Ciche skrzypnięcie. Rozsiada się w fotelu. Oscar podnosi głowę i nastawia uszu.

– Bywają wyjątki – mówi pan doktor. – Leczyłem kiedyś chłopca, pianistę



wirtuoza, który od piątego roku życia przeznaczał osiem godzin dziennie na grę. Pewnego ranka obudził się ze sztywnymi dłońmi. Paraliż. Nie był w stanie utrzymać nawet szklanki mleka. Lekarze nie potrafili znaleźć przyczyny. Dwa lata później, co do dnia, zaczął znów poruszać palcami.

Jego głos dobiega z bliższej odległości. Jest obok mnie. Oscar daje mi znać, uderzając nosem w łokieć. Lekarz podaje mi coś smukłego, chłodnego i gładkiego.

– Spróbuj tym – mówi.

Ołówek. Biorę go do ręki i wsuwam głęboko pod gips. Nieopisana ulga. Pan doktor odsuwa się, czuję lekki powiew, być może wywołany ruchem poły jego marynarki. Jestem przekonana, że z wyglądu ani trochę nie przypomina Tommy’ego Lee Jonesa. Za to potrafię sobie wyobrazić Oscara: sierść biała jak świeży śnieg, niebieskie, wszystkowiedzące oczy, czerwona obroża i zęby, o których ostrości przekona się ten, kto będzie chciał mnie zaczepić.

– Czy ten pianista wie, że opowiada pan o nim innym pacjentom? – pytam.

Nie mogę się powstrzymać. Sarkazm to broń, której nie potrafię schować do kabury. Muszę jednak przyznać, że po dwóch – trzech z dzisiejszym – wspólnych wtorkowych porankach pan doktor zaczyna do mnie docierać. Odbieram pierwsze oznaki poczucia winy. Tak jakbym przyznawała w duchu, że powinnam się bardziej postarać.

– Tak się składa, że owszem. Organizatorzy konkursu pianistycznego imienia Van Cliburna kręcili o nim film dokumentalny i poprosili mnie o wywiad. Do rzeczy jednak: moim zdaniem odzyskasz wzrok.

– Jest mi to obojętne – wypalam.

– To jeden z częstych objawów zaburzenia dysocjacyjnego. Nie dbasz o to, czy powrócisz do normalności. Ja jednak sądzę, że w twoim przypadku chodzi o coś innego.

Pierwsza bezpośrednia konfrontacja. Czeka w milczeniu. A ja czuję, jak wzbiera we mnie złość.

– Znam prawdziwy powód, dla którego postanowił pan zrobić wyjątek i spotkać się ze mną. – Głos mi się trochę łamie, choć chciałabym, żeby brzmiał wyzywająco. – Wiem, co pana łączy z moim ojcem. Miał pan córkę, która zniknęła.

## Tessa obecnie

Praktyczne metalowe biurko Angie wygląda dokładnie tak, jak je zapamiętałam. Ugina się pod stosem dokumentów i tekturowych teczek. Stoi wciśnięte w kąt obszernego pomieszczenia w podziemiach kościoła Świętego Szczepana, zbudowanej z cegły i kamienia katolickiej świątyni wznoszącej się dumnie na rogu ulicy Hatcher i Drugiej Alei, w samym środku prawdziwego piekła, rejonu Dallas, który trafił na ułożoną przez FBI listę dwudziestu pięciu najniebezpieczniejszych dzielnic w Stanach Zjednoczonych.

Jest samo południe i na zewnątrz praży teksańskie słońce. Tu jednak czas stoi w miejscu, ponurą piwnicę urozmaicają jedynie wielobarwne ślady brutalnej przeszłości, kiedy przez osiem lat kościół stał opuszczony, a jego podziemia służyły gangom narkotykowym jako miejsce egzekucji.

Kiedy byłam tu pierwszy i ostatni raz, Angie powiedziała, że pełen optymizmu młody kleryk, który wynajął jej to pomieszczenie, osobiście czterokrotnie bielił ściany. Wgniecen i śladów po kulach, przyznał, nie da się usunąć. Pozostaną niczym gwoździe wbite w krzyż. Zawsze będą przypominały.

Jedynym źródłem światła jest lampa stojąca na biurku. Rzuca bladą poświatę na przymocowaną do ściany nieoprawioną kopię *Ukamienowania Szczepana*, jednego z najwcześniejszych dzieł Rembrandta – namalował je w wieku dziewiętnastu lat. W innej piwnicy, obserwując dziadka pochylonego nad sztalugą, poznałam efekt światłocienia. Silne światło i głęboki cień. Rembrandt był mistrzem tej techniki. Potrafił ukazać blask niebios otwierających się dla świętego Szczepana, pierwszego katolickiego męczennika, zamordowanego przez rozwścieczony tłum, ponieważ źli ludzie rozpowiedzieli o nim kłamstwa. W prawym górnym rogu stoją zbici w grupkę trzech kapłani. Patrzą, jak Szczepan umiera. Bierni.

Zastanawiam się, co było pierwsze w tych podziemiach: kopia Rembrandta czy biurko Angie, która uznała, że los świętego Szczepana najlepiej oddaje charakter jej pracy. Krawędź reprodukcji jest miękka i postrzępiona. Trzyma się dziobatej ściany na porysowanych pinezkach, trzech żółtych i jednej czerwonej. Niewielkie rozdarcie po lewej stronie zreperowano taśmą klejącą.

Pięć centymetrów dalej znajduje się inna wizja nieba. Rysunek na kartce wyrwanej z zeszytu w linie. Pięć ludzików z nierównymi motylimi skrzydłami, oświetlonymi jasnopomarańczowym rozblaskiem słońca. Na

niebie koślawy napis skreślony dziecięcą ręką: ANIOŁKI ANGIE.

W nekrologu Angie przeczytałam, że ten stary rysunek jest prezentem od sześciolatniej córki Dominicusa Steele'a, ucznia hydraulika, w latach osiemdziesiątych oskarżonego o zgwałcenie studentki Południowego Uniwersytetu Metodystów niedaleko baru w Fort Worth. Identyfikacji Dominicusa dokonała ofiara i jej dwie koleżanki z korporacji studenckiej.

Owego wieczoru Dominicus ostro flirtował z ofiarą. Był rosy, miał czarną skórę i nieźle tańczył. Białym dziewczynom z uczelni bardzo się podobał – przynajmniej dopóki nie uznały, że to właśnie on był mężczyzną w szarej bluzie z kapturem, który uciekł, porzuciwszy na ulicy ich pijaną koleżankę. Dominicusa zwolniono z więzienia po tym, jak zbadano DNA pobrane z próbki nasienia, przez dwanaście lat przechowywanej w magazynie dowodów rzeczowych. Matka Dominicusa jako pierwsza użyła w rozmowie z dziennikarzami określenia „Aniołki Angie” i przydomek się przyjął.

Nie nazwałabym Angie aniołem. Robiła to, co uznawała za konieczne. Kiedy musiała, kłamała jak z nut. Wiem, bo kłamała też w imieniu moim i Charlie.

Idę dalej, echo moich kroków odbija się od leżącego na podłodze i zakrywającego Bóg jeden wie co taniego żółtego linoleum. Cztery pozostałe biurka znajdujące się w pomieszczeniu, tak samo zawalone papierami jak miejsce pracy Angie, też są puste. Gdzie się wszyscy podziewają?

W drugim końcu piwnicy znajdują się niebieskie drzwi, których nie sposób nie zauważyć. Podchodzę do nich. Pukam delikatnie. Cisza. Może powinnam posiedzieć chwilę w fotelu Angie? Zakręcić się na rozklekotanych kółkach, na które Angie wiecznie się skarżyła, i popatrzeć na niebo według Rembrandta. Zastanowić się nad rolą męczennika.

Ale nie. Naciskam klamkę i delikatnie uchylam drzwi. Ponownie pukam. Słyszę ożywioną dyskusję. Otwieram drzwi do końca. Długi stół konferencyjny. Jaskrawe światło lamp wiszących u sufitu. Zaskoczona mina Billa. Jakaś kobieta aż podskakuje, przewracając przy tym kubek z kawą.

Moje spojrzenie wędruje po stole, w ślad za bursztynową strużką.

Słyszę dudnienie w głowie.

Na całym porysowanym blacie leżą kopie rysunków.

Rysunków Tessie.

Tych prawdziwych. I tych nieprawdziwych.

Patrzę na wynik: 12:28, nagryzmołony białą kredą na tablicy. Nierówny pojedynek zespołów Małej Ligi? A może wyjątkowo kiepski dzień Dallas

Cowboys? Z opisu tabeli wynika jednak, że chodzi o dwunastu mężczyzn, których przez lata udało się Angie i jej zmieniającemu się zespołowi prawników wyciągnąć z więzienia, i o dwudziestu ośmiu niewolnionych.

Kobieta, która przewróciła kubek z kawą – Sheila Dunning, studentka trzeciego roku prawa na Uniwersytecie Tekszańskim – wyszła z pomieszczenia. William pospiesznie zebrał kopie moich rysunków, usunął je z widoku i postawił przede mną kubek z gorącą kawą. Sto razy mnie przeprosił, a ja sto razy powtórzyłam: „Nic się nie stało, i tak musiałam kiedyś wrócić do tych rysunków”, i jeszcze: „Powinnam była głośniej zapukać”.

Czasem brakuje mi Tessie, która rzuciłaby z wściekłością, bez owijania w bawełnę, co o tym myśli: „Palant jesteś i tyle. Wiedziałaś, że przyjdę. I wiedziałaś, że nie oglądałam tych rysunków po tym, jak wyjęłam je ze skrytki w ścianie”.

– Dziękuję, że przyjechałaś. – Siada na krześle obok mnie i kładzie na stole niezapisany notatnik z żółtymi kartkami. William ma na sobie dżinsy, sportowe buty i lekko zmechacony zielony sweter, ciut na niego za krótki; ot, problem barczystych facetów. – Nadal jesteś w nastroju, żeby to zrobić?

– A czemu miałabym nie być? – ripostuje Tessie. Więc jednak nadal we mnie tkwi.

– Nie musimy rozmawiać tutaj. W tym pokoju. – Wpatruje się we mnie wyczekująco. – To nasze centrum decyzyjne. Zasadniczo niedostępne dla klientów.

Przesuwam wzrokiem po ścianach. Obok tablicy powiększone fotografie pięciu mężczyzn. Zakładam, że to aktualne sprawy. Z tych pięciu czterech jest czarnoskórych. Na środkowym zdjęciu twarz młodego Terrella Darcy’ego Goodwina. Terrell trzyma dłoń na ramieniu chłopaka w czerwono-szarym stroju licealnej drużyny baseballowej; może to jego młodszy brat? Równie przystojny, z szeroko rozstawionymi oczami, wyrazistymi rysami i skórą w kolorze kawy latte.

Na przeciwległej ścianie wiszą zdjęcia z miejsc zbrodni. Rozdziawione usta. Niewidzące oczy. Splątane kończyny. Nie zatrzymuję się na nich zbyt długo.

Pod trzecią ścianą stoi biała tablica – naszkicowano na niej oś czasu. Dostrzegam swoje nazwisko. I nazwisko Merry.

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, i zauważam spojrzenie Williama utkwione w moich skrzyżowanych nogach, w odsłoniętym białym udzie. Ciągle zapominam podłużyć tę spódnicę. Chowam nogi pod stołem. William ponownie nakłada maskę profesjonalisty.

– Nie jestem klientką. – Biorę łyk gorzkiego napoju i czytam, co jest

napisane na kubku: „Pokochaj praw(n)iczki”.

William podąża za moim wzrokiem. Przewraca oczami.

– Większość naszych kubków jest... brudna. Przydałoby się je umyć.

Żart. Ma zatuszować zachowanie sprzed chwili, zainteresowanie tym, co znajduje się pod moją spódnicą.

– Może być tutaj, Williamie.

– Billu – poprawia mnie. – Tylko ludzie po siedemdziesiątce zwracają się do mnie „Williamie”.

– Czy wtorkowa ekshumacja poszła zgodnie z planem? – pytam. – W gazetach nie znalazłam o niej nawet wzmianki.

– Przecież znasz odpowiedź.

– Widziałeś mnie.

– Trudno nie zauważyć twoich włosów, nawet w ciemnościach.

Ach, więc on *też* jest kłamcą. Dziś mam rozpuszczone włosy, długie loki sięgają poniżej ramion, i nadal mają ten sam ciemnopomarańczowy kolor co u szesnastoletniej Tessie. Ale dwa dni temu, wybierając się wieczorem na cmentarz, zebrałam je i starannie schowałam pod czarną baseballówką Charlie.

– Nabrałeś mnie – mówię. – Miło.

Poprawiam się na krześle, bo naraz robi mi się niewygodnie. Rozmawiam z prawnikiem, któremu nie zapłaciłam ani centa za ochronę moich sekretów. Niech mu będzie, że z tymi sarnimi brązowymi oczami, schludną fryzurą, uszami, które odrobinę odstają, i ogromnymi dłońmi, w których zmieściłby się grejpfrut, wygląda jak chłopak z sąsiedztwa. Jak zabawny kumpel faceta, który naprawdę ci się podoba, dopóki nie uświadomisz sobie, że... o, *cholera*.

Szczerzy zęby.

– Wyglądasz jak moja młodsza siostra, kiedy chce mnie czymś zdzielić. Pozwól jednak, że odpowiem na twoje pytanie. Otóż szczątki trafiają najpierw do pracowni antropologii zakładu medycyny sądowej, a dopiero potem pracują nad nimi Jo i jej zespół. Jo chciała, żebyśmy w przyszłym tygodniu oboje zobaczyli na własne oczy, jak technicy zajmują się Polnymi Kwiatami. Zwróciła się do mnie, żebym osobiście zaprosił cię do zakładu. To z jej strony swego rodzaju gest pojednawczy, po tym jak zakazała ci wstępu na ekshumację. Naprawdę źle się z tym czuła.

Przechodzi mnie lekki dreszcz. Nie ma tu wentylacji ani widocznego źródła ciepła. Mój ojciec mawiał, że w lutym teksańska zima zgrywa oziębłą, nieprzystępną pannę, która w marcu traci dziewictwo.

– Badanie szczątków odbywa się w poniedziałki – wyjaśnia Bill. – Jo

musiała pociągnąć za kilka sznurków, żeby przesunąć Kwiaty na początek kolejki. Jeśli chcesz, mogę po ciebie przyjechać. Od ciebie to jakieś dwadzieścia minut jazdy.

– Tym razem nie boicie się, że zanieczyszczę próbki? – To oficjalny powód, dla którego Jo nie chciała, żebym była obecna przy ekshumacji zwłok. Zależało jej na tym, aby nie dopuścić do najmniejszego naruszenia przepisów.

– Będziemy się przyglądali przez szybę. Nowe laboratorium spełnia również funkcje szkoleniowe. Jest naprawdę supernowoczesne. Przywożą tam szczątki z całego świata. Zresztą studenci i naukowcy, którzy chcą się na własne oczy przekonać o umiejętnościach Jo i jej ekipy, też pochodzą z różnych krajów. – Uśmiecha się sztywno i sięga po długopis. – Zaczniemy? Chciałbym, żebyśmy wyrobili się do drugiej. Muszę iść zarabiać. – Na stronie jego kancelarii jest napisane, że pracuje jako mediator biznesowy, cokolwiek to znaczy. Ciekawe, gdzie schował garnitur.

– No pewnie, śmiało. – Mówię to dużo bardziej beztrasko, niż naprawdę się czuję.

– Twoje zeznania z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego. Czy coś się zmieniło? Czy przez te siedemnaście lat przypominałaś sobie coś więcej na temat napaści albo napastnika?

– Nie – odpowiadam zdecydowanie.

„Chcę pomóc – powtarzam w myślach – ale tylko do pewnego stopnia”. Muszę chronić dwie nastolatki: tę, którą byłam, i tę, która śpi w fioletowym pokoju w moim domu.

– Mimo to dla pewności zadam ci kilka pytań o szczegóły, dobrze?

Kiwam głową.

– Czy potrafisz podać rysopis napastnika? – Nie.

– Czy pamiętasz, gdzie go spotkałaś?

– Nie.

– Czy pamiętasz, w jakich okolicznościach znalazłaś się na łące?

– Nie.

– Czy choć raz widziałaś naszego klienta, Terrella Goodwina, przed rozprawą, na której składałaś zeznania?

– Nie. Nie przypominam sobie.

– „Nie” to prosta i wygodna odpowiedź – mówi Bill. – Jeśli jest prawdziwa.

– Jest.

– Czy pamiętasz cokolwiek z tego, co działo się z tobą od chwili zaginięcia do momentu odnalezienia?

– Nie.

– Ostatnie, co pamiętasz, to że kupowałaś... tampony w Walgreens?  
– I snickersa. Zgadza się. W moim grobie znaleziono papierek.  
– Zadzwoiłaś pod numer alarmowy (puszczono ci nagranie), ale nie pamiętasz tego faktu, zgadza się?

– Tak.

– Tesso, muszę cię ponownie zapytać o to, czy istnieje szansa, że zmienisz zdanie i wyrazisz zgodę na poddanie się lekkiej hipnozie. W ten sposób być może udałoby ci się przypomnieć sobie coś z wydarzeń, które miały miejsce podczas tych brakujących godzin. Albo może zechciałabyś przeanalizować ze specjalistą rysunki, które mi dałaś? Jeśli odkryjemy coś nowego, pomoże nam to przekonać sędziego, że warto nas wysłuchać.

– Zdecydowanie odmawiam hipnozy – mówię cicho. – Przeczytałam na jej temat wystarczająco dużo, by wiedzieć, że mogę zostać naprowadzona na fałszywe wspomnienia. Co innego analiza rysunków z terapii. Na to mogę się zgodzić. Chociaż nie wiem, czy to coś pomoże.

– Świetnie. Super. Mam pewien pomysł. Znam kogoś, z kim już współpracowałem. Myślę, że ta osoba przypadnie ci do gustu.

Chce mi się śmiać. Gdyby wiedział, ile razy to słyszałam.

Starannie odkłada długopis. Obraca go. Zatrzymuje. Obraca. Zatrzymuje. William doskonale wie, jak wykorzystać długie milczenie. Zaczynam rozumieć, że w sądzie może być z niego niezwykle zręczny gracz.

– Nie bez przyczyny się do nas odezwałaś, Tesso. Ale czegoś mi nie mówisz. Chcę jednak wiedzieć, o co chodzi, bo jeśli miałbym się opierać wyłącznie na twoich odpowiedziach, to musiałbym uznać, że według ciebie Terrell Darcy Goodwin nadal jest winny. Winny jak cholera.

W nocy nie mogłam spać, bo zastanawiałam się, jak odpowiedzieć na coś takiego.

– Czuję, że skrzywdziłam... Terrella... swoimi zeznaniami. – „Powoli”, mówię do siebie. – Że wielu ludzi mną manipulowało. Przez lata. Dopiero Angie przekonała mnie, że nie ma żadnych przekonujących dowodów rzeczowych, które obarczałyby go winą. Pokazałam ci rudbekie. Te pod moim oknem.

Wciąż mają mnie na oku.

– To prawda. – Jego usta zaciskają się w prostą, wąską kreskę. – Ale sędzia potraktuje te kwiaty jak wytwór twojej wyobraźni albo robotę szaleńca. Może nawet wywnioskuje, że sama je posadziłaś. Czy jesteś na to gotowa?

– Ty też tak uważasz? Że zmyślam?

Patrzy mi prosto w oczy, nieporuszony. Cholernie irytujące. Może *William*

nie zasługuje na to, żeby wszystkiego się dowiedzieć? W każdym razie na pewno nie zadaje właściwych pytań.

Zaczynam myśleć, że od początku chciał, bym niby przypadkiem weszła do tego pokoju. Chciał mnie zamknąć w jednym pomieszczeniu z moją przeszłością. Podrażnić czymś ostrym mój niechętny do współpracy mózg.

– Te obrazki nie są żadnym cudownym lekiem – rzucam opryskliwie. – Nie pokładaj nadziei w rozgniewanej nastolatce z pędzlem.



## Tessie w 1995 roku

Czwartek. Zaledwie dwa dni po naszym ostatnim spotkaniu. Pan doktor skrócił wtorkową sesję o dwadzieścia minut, zakończył ją zaraz po moim wybuchu. Dzień później zadzwonił i umówił się na dodatkową wizytę. Nie wiem, czy zdenerwował się tym, że wspomniałam o jego córce, czy po prostu nie był na to przygotowany. Przez rok dowiedziałam się o psychiatrach przynajmniej tyle, że nie lubią być przez pacjentów zaskakiwani. Sami chcą znaczyć drogę okruchami czerstwego chleba, nawet jeśli ścieżka prowadzi w głąb gęstego lasu, w którym kompletnie nic nie widać.

– Dzień dobry, Tesso. – Oficjalny ton. – Ostatnio mnie zaskoczyłaś. Mówiąc szczerze, nie byłem pewien, jak zareagować. Jak odnieść to do siebie... i do ciebie.

– Nie chciałam dziś przychodzić. Ani w ogóle.

To nieprawda. Po raz pierwszy od wielu miesięcy czuję, że mam choć odrobinę władzy. Dmuchięciem wyganiem włosy pchające się do oczu. Wczoraj Lydia zabrała mnie do fryzjera. „Obetnijmy, no obetnijmy”, upierałam się i już słyszałam, jak moje włosy miękko i smętnie opadają na podłogę. Chciałam się zmienić. Wyglądać bardziej chłopięco. Po wszystkim moja najlepsza przyjaciółka przyjrzała mi się krytycznym okiem i stwierdziła, że udało się osiągnąć coś wprost przeciwnego. Powiedziała, że ładniej mi w krótkich włosach. Że podkreślają mój drobny, prosty nos, za który powinnam dziękować Bogu. Że na ich tle moje oczy wyglądają jak latające spodki na teksańskim niebie. Lydia ćwiczyła porównania do egzaminu SAT. Już w drugiej klasie, kiedy po raz pierwszy wzięłyśmy się pod rękę, mówiła, że pójdzie do Princeton. A mnie się wtedy wydawało, że Princeton to takie miasteczko zamieszkałe przez książąt<sup>3</sup>.

Pan doktor chyba chodzi po gabinecie. Oscar mnie nie ostrzega. Jest senny, może dlatego że przed godziną dostał zastrzyk. Zaczęłam się obawiać, czy tata nie uzna, że Oscar nie sprawdza się w roli przewodnika, a wtedy wierny niewykształcony psiak pójdzie w odstawkę.

– Nie dziwi mnie, że tak się czujesz. – Słyszę głos lekarza za plecami. – Powinienem być ci od razu powiedzieć. O mojej córce. Wprawdzie ona nie ma nic wspólnego z przyczyną, dla której postanowiłem zająć się twoją sprawą, ale jednak.

Oho, drugie kłamstwo.

– To było bardzo dawno temu – wyjaśnia.

Przeszkadza mi to, że jego głos dobiega co rusz z innej strony; to jak granie w zbijanego w ciemności.

Odliczam sekundy. Mijają dwie i jego fotel cicho skrzypi. Pan doktor nie jest ani zbyt ciężki, ani zbyt lekki.

– Czy ojciec opowiadał ci o mojej córce?

– Nie.

– W takim razie może... coś usłyszałaś?

Pytanie wydaje się wręcz nieśmiałe. Brzmi, jakby zadawała je zwyczajna, niepewna siebie osoba. Wydaje mi się, że dla niego to nieznany, niezbadany teren.

– Bez przerwy słyszę różne rzeczy – wykręcam się. – Chyba wyostrzyły mi się inne zmysły.

Nie ma w tym za grosz prawdy. Wszystkie zmysły wzięły w łeb. Babcina smażona fasola z boczkiem smakuje jak rozmiękłe papierosy; głos mojego młodszego brata brzmi, jakby ciocia Hilda przesuwiała swoimi czerwonymi tipsami po szkle. Nagle okazuje się, że nucę kawałki country, kiedy lecą w radiu, co zawsze w tajemnicy uważałam za zajęcie dla idiotów.

Nie zdradzam tego wszystkiego panu doktorowi. Jeszcze nie. Niech sobie myśli, że naraz stałam się nadwrażliwa. Nie wydam Lydii i tego, że przeczytała mi wszystkie artykuły na temat Terrella Darcy'ego Goodwina i śledztwa w sprawie Polnych Kwiatów, które udało jej się znaleźć. I prześwieciła wszystkich psychiatrów, którzy próbowali dostać się do mojej głowy.

Wiem tylko, że kiedy leżę na różowej kołdrze Lydii, słuchając zawodzącej Alanis Morissette, a moja najlepsza przyjaciółka z ożywieniem czyta mi kolejny artykuł ze sporej kolekcji tekstów, które wydrukowała w bibliotece... wtedy czuję się najbezpieczniej. Lydia jest jedyną osobą, która nadal odnosi się do mnie tak samo jak dawniej. Opiera się na wrodzonej pewności nastolatki, że jeśli zamknę się w kokonie milczenia, schowam się w nim, krucha i delikatna, wtedy umrę. I że obchodzenie się ze mną jak z jajkiem wcale nie poprawi mojego stanu.

Z jakiegoś powodu uważam, że pan doktor może być drugą osobą, która to rozumie. Stracił córkę. Na pewno doskonale wie, co to ból. Liczę, że naprawdę tak jest.

## Tessa obecnie

Robię jeszcze jedno zdjęcie iPhone'em. Razem to trzy. Powinnam była pomyśleć o tym pięć dni temu, zanim łodyżki rudbekii przygięły się, a ich czarne oczy wbiły zniechęcone spojrzenia w ziemię.

„Opowiedziałam Angie całą historię – myślę – a teraz Angie nie żyje”.

Nie dam się oszukać wędnącym rudbekiom pod oknem. Wiem, że wszystkie trzydzieści cztery zawierają wystarczającą ilość nasion, by z nadejściem wiosny zażółciło się całe podwórko. Wkładam rękawiczki i sięgam po puszkę ze środkiem chwastobójczym, którą znalazłam w garażu. Zastanawiam się, czy *on* lubi na to patrzeć. Przekonałam się, że najlepiej działa trucizna. Ostatni raz wyrywałam rudbekie z korzeniami, kiedy miałam siedemnaście lat.

Wiatr rozwiewa mgiełkę ze spreju. Trochę wpada mi do ust; smakuje gorzko i metalicznie.

Jeśli się nie pospieszę, nie zdążę odebrać Charlie. Rozpylam ostatnią zabójczą chmurę. Ściągam rękawiczki, zostawiam je obok kępki razem z puszką, biegnę do kuchni po klucze, które leżą na blacie, wskakuję do jeepa i jadę pod salę gimnastyczną dla pierwszoroczników, w której ćwiczą Fighting Colts. Zajmuje mi to dziesięć minut. Na chodnik wylewa się strumień paplających i esemesujących dziewczyn, wszystkie mają włosy związane w koński ogon i tyłki wciśnięte w obowiązkowe obcisłe czerwone szorty, na których ewidentną nieprzyzwoitość matki powinny złożyć oficjalną skargę – ale jakoś tego nie robią.

Aż podskakuję, kiedy otwierają się tylne drzwi; za każdym razem to samo.

– Cześć, mamó. – Charlie rzuca na siedzenie niebieską sportową torbę Nike, nieodmiennie pełną zapachowych niespodzianek, a obok plecak pełen książek, ciężki, jakby nosiła w nim cegły. Potem wskakuje do środka i zamyka za sobą drzwi.

Gładka, anielska buzia. Zgrabne nogi. Napięte mięśnie, jeszcze nie dość rozwinięte, by pomogły się obronić. Niby niewinna, ale... Nie chcę tego wiedzieć, zwracać uwagi na takie rzeczy, ale nauczyłam się patrzeć na moją córkę tak, jak *on* mógłby ją widzieć.

– Mój laptop daje ciała – mówi Charlie.

– Jak było w szkole i na treningu?

– Padam z głodu, mamó. Serio. Wczoraj wieczorem nie mogłam

wydrukować pracy domowej. Musiałam wziąć twój komputer.

Ta piękna dziewczynka, miłość mojego życia, do której tęskniłam przez cały dzień, już zaczyna działać mi na nerwy.

– To co, do McDonalda? – pytam.

– Nooo!

Przestałam mieć wyrzuty sumienia, że po treningach jeździmy na fast food. To, że teraz wrąbie hamburgera, nie przeszkodzi mojej córce dwie godziny później pochłonąć solidnej kolacji. Charlie jada co najmniej cztery razy dziennie, a mimo to jest szczupła. Po mnie odziedziczyła apetyt lekkoatletki i kolor włosów, zaś po ojcu oczy, których barwa zmienia się w zależności od nastroju. Kiedy jest wesoła, są fioletowe, kiedy robi się zmęczona – szarzeją, a gdy się naprawdę zdenerwuje, jej tęczówki zalewa czerń.

Po raz kolejny czuję, jak bardzo chciałabym, żeby jej ojciec był tu z nami, a nie tysiące kilometrów stąd, w bazie wojskowej w Afganistanie. I wolałabym, żeby nie był po prostu chwilową fascynacją sprzed piętnastu lat, która skończyła się miesiąc przed tym, jak zorientowałam się, że jestem w ciąży. Charlie niespecjalnie przeszkadza to, że nie wyszłam za jej ojca. Podpułkownik Lucas Cox przysyła pieniądze regularnie jak w zegarku i utrzymuje stały kontakt z córką. Wydaje mi się, że nawet dziś wieczorem mają zdzwonić się przez Skype'a.

– Później porozmawiamy o komputerze, okej?

Brak reakcji. Na pewno pisze esemes. Ruszam, dochodząc do wniosku, że dam jej odetchnąć po ośmiu godzinach w jarzeniowym świetle, spędzonych na kreśleniu graniastosłupów i analizowaniu twórczości Charlotte Brontë. Wczoraj wieczorem zostawiła na kanapie egzemplarz *Jane Eyre* i usiadła do Facebooka. Kiedy wzięłam książkę do ręki, zobaczyłam, że bohaterce na okładce wyrosły wąsy i diabelskie rogi. „Ale przynudza” – jęknęła Charlie dziś rano, opychając się bekonem.

Kilka minut później podjeżdżamy pod okienko.

– Co chcesz? – pytam.

– Eee...

– Charlie, odłóż telefon. Musimy zamówić.

– Okej. – Wesoły ton. – Poproszę Big MacBooka Pro.

– Bardzo śmieszne.

Mówiąc szczerze, uwielbiam ją za to: za pewność siebie i aroganckie poczucie humoru, za umiejętność rozbawienia mnie, nawet kiedy nie jestem w nastroju. Czekam, aż Charlie zje połowę Big Maca, i dopiero wtedy poruszam temat przez duże T. Siedzimy w samochodzie tylko we dwie, jest

więc duża szansa, że dotrze do niej to, co powiem.

– Zmieniłam zdanie i postanowiłam zaangażować się w sprawę egzekucji Terrella Goodwina – zaczynam. – Rozmawiałam z jego nowym adwokatem. Znana specjalistka w dziedzinie medycyny sądowej ponownie zbada dowody. Pobrała ode mnie próbkę DNA.

Chwila milczenia.

– To dobrze, mamó. Powinnaś być absolutnie pewna. Ostatnio dużo się tym martwisz. Wielu ludzi wyszło na wolność dzięki badaniom DNA. Nauczyciel od przyrody mówił, że w Dallas zwolniono z cel śmierci największą liczbę niesłusznie osadzonych. Ludziom się wydaje, że w Teksasie zabijamy wszystkich, jak leci.

Słyszę, jak zgniata papierek po hamburgerze.

– Tylko nie na podłogę – uprzedzam odruchowo.

„Czy to dlatego, że u nas w celach śmierci siedzi po prostu najwięcej niewinnych ludzi?” – dodaję w myślach.

– Angie była w porządku – ciągnie Charlie. – Przekonana na sto procent. I twierdziła, że niczemu nie jesteś winna.

– Znowu będą o mnie mówili w wiadomościach.

Charlie też to odczuje.

– Mamó, już przez to przechodziłam. Znajomi mi pomogą. Dam radę.

Chce mi się płakać przez tę jej naiwność. Z drugiej strony nie mogę uwierzyć, że Charlie jest o trzy lata młodsza ode mnie, kiedy zeznawałam. Wydaje się dużo lepiej przygotowana.

Skrećam na nasz podjazd, zatrzymuję auto i wyłączam silnik. Charlie zaczyna zbierać swoje rzeczy. Siedzę za kierownicą, nie odwracam się.

– Nigdy, przenigdy nie wsiadaj do samochodu z kimś, kogo nie znasz. Nie chodź sama. Nie rozmawiaj z dziennikarzami. – W niewielkiej, zamkniętej przestrzeni kabiny mój głos brzmi ostrzej, niżbym chciała. – Jeśli nie ma mnie w domu, natychmiast po zamknięciu drzwi włączaj system alarmowy.

Czuję się idiotycznie, po raz tysięczny powtarzając te same, dobrze znane instrukcje, ale dochodzę do wniosku, że stałam się zbyt pewna siebie. Na pogrzebie Angie obiecałam sobie, że zawsze, w każdej sekundzie, będę wiedziała, gdzie przebywa Charlie. Kilka dni temu odrzuciłam zlecenie zaprojektowania schodów zrobionych ze starych samochodów i szkła z odzysku – świetne zlecenie z Los Angeles, dzięki któremu przez dwa lata nie musiałabym się martwić o pieniądze.

– *Mamó*. – Wkłada w te dwie sylaby tyle nastoletniej protekcyjności, ile tylko zdoła w nich upchnąć. – Naprawdę dam sobie radę.

Zanim zdążę odpowiedzieć, ona już jest na zewnątrz, obładowana jak żołnierz przed bitwą, i z kluczem w ręku biegnie do drzwi. Już stoi na progu. Przygotowana, tak jak ją uczyłam.

Niby niewinna, ale...

Pytanie, którego żadna z nas nie wypowiada na głos, brzmi: skoro to nie *on*, to kto?

Powoli idę za nią, skupiona na telefonie. O mały włos przewróciłabym się o torbę rzuconą na podłogę w korytarzu. Mam ochotę zbesztać Charlie, ale odpuszczam. W salonie podchodzę do niewielkiego biurka, na którym stoi mój laptop. Otwieram wiadomość, którą właśnie przesłałam na własny adres, i drukuję załączniki. Słucham drukarki wypływającej kartki i dochodzę do wniosku, że Charlie ma rację: przydałoby się unowocześnić nasz dom.

Z podajnika wysuwają się trzy ziarniste zdjęcia wędnących kwiatów. Kiedy przechodzę obok pokoju Charlie, drzwi do niego są już zamknięte.

Kilka sekund później wspinam się na palce i z najwyższej półki szafy w sypialni zdejmuję pudełko po butach, wielkimi literami opisane jako „dokumenty podatkowe”.

Morderca sześć razy posadził dla mnie rudbekie. Nieważne, gdzie mieszkałam. Lubi mnie trzymać w niepewności. Teraz już wiem.

Pomiędzy jednym a drugim incydentem robił czasem tak długą przerwę, że udawało mi się wmawiać sobie (zanim pojawiła się Angie), że prawdziwy zabójca siedzi w więzieniu. I że pierwsza kępka rudbekii była dziełem jakiegoś przypadkowego prześladowcy, zaś wszystkie pozostałe... przywiął wiatr.

Pudełko po butach do biegania marki ASICS, rozmiar 7, zawiera zdjęcia, które zrobiłam wszystkim tym rudbekiom. Na wszelki wypadek.

Stawiam pudełko na łóżku i zdejmuję wieko. Na samym wierzchu leży fotografia zrobiona starym polaroidem dziadka.

Kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy, krótko po procesie, uznałam, że albo zwariowałam, albo te letnie polne kwiaty nieoczekiwanie zakwitły pod naszym dębem na mocy jakiegoś osobliwego kaprysu październikowej pogody. Tyle że ziemia wyglądała na wzruszoną. W panice wykopałam je starą łyżką.

Nie powiedziałam nikomu, bo wtedy życie w domu powoli zaczynało już wracać do normalności. Zakończyłam terapię. Terrell Darcy Goodwin siedział za kratkami. Mój tata zaczął chodzić na randki.

Oprócz kwiatów wykopałam jeszcze niespodziankę. Łyżka stuknęła o coś twardego. Pomarańczowy plastikowy przedmiot. Stara buteleczka po lekach.

Bez etykiety. Zakrętka uniemożliwiająca dzieciom dostanie się do zawartości.

Charlie rozkręca muzykę. Dźwięki przesączają się przez ścianę, ale nie są w stanie zagłuszyć słów zapisanych na skrawku papieru, zwiniętym i wsuniętym do pomarańczowej buteleczki.

*Och, kwiatku, kwiatuszku uroczy,  
przysięga ma zostaje w mocy.  
Scałuję z twych oczu łzy obie,  
krzywdy już ci więcej nie zrobię.  
Lecz jeśli piśniesz słówko,  
Lydia też Kwiatem się stanie.*

## Tessie w 1995 roku

Kiedy wychodzi z gabinetu, przesuвам palcami po trzech krótkich kawałkach węgla rysunkowego, po chłodnych metalowych kółkach notatnika, po papierowym kubku z wodą, po kilku pędzelkach i wąskim pudełku farb ze skrzypiącym zawiasem. Pan doktor cztery razy powtórzył, jak ułożone są kolory – od lewej do prawej: czarny, niebieski, czerwony, zielony, żółty, biały.

Jakby dobór barw był rzeczywiście istotny. Mam ochotę pomieszać farby tak, żeby uzyskać fiolet i szarość, pomarańcz i cyjan. Kolory siniaków... i zachodów słońca.

Nie po raz pierwszy maluję na ślepo. Po śmierci mamy dziadek na różne sposoby starał się mnie czymś zająć, odciągnąć moje myśli od smutku po jej stracie. Siadaliśmy przy jego starym cedrowym stole piknikowym. Dziadek brał ołówek nr 2 i przebijał nim środek papierowego talerzyka, robił coś w rodzaju parasola, po to żebym mogła rysować, nie widząc rysunku, który powstaje. „Tworzenie rysunków w głowie to wrodzona, pierwotna zdolność” – mawiał. „Oczy nie są ci do tego potrzebne. Zaczynij od konturów”.

Pamiętam niewyraźny niebieski kwiatowy wzorek wzdłuż krawędzi papierowego talerzyka i to, że palce lepiły mi się od potu i czekolady, ale nie wiem, co wtedy narysowałam.

– Wspomnienia to nie kompost – powiedział lekarz, prowadząc mnie do swojego biurka. – Nie rozkładają się.

Doskonale wiedziałam, co chciał przez to osiągnąć. Nie chodziło mu o wyleczenie mnie ze ślepoty, lecz o dowiedzenie się, dlaczego miałam zgruchotaną kostkę i jakie narzędzie odznaczyło różowy półksiężyc pod moim okiem. Chciał, żebym narysowała *twarz*. Nie powiedział tego głośno, ale ja wiedziałam.

– W tym magazynie – popukał mnie w głowę – znajduje się nieograniczona przestrzeń. Musisz po prostu zajrzeć do każdej skrytki.

Jeszcze jeden taki tekst jak z poradnika, a nie wytrzymam i zacznę wrzeszczeć. Wychodzi i zamyka za sobą drzwi.

Słyszę ojca za ścianą, cedzi słowa, mówi niewyraźnie, głos brzmi jak skrobanie tępym ołówkiem. Oscar wpasował się pod biurko i położył łeb na moim gipsie. Nacisk, ale ten z gatunku przyjemnych, jak dotyk maminej dłoni na plecach. Zza drzwi dolatuje głos lekarza. Rozmawiają o wynikach meczów



boksyerskich, tak jakby świat nadal toczył się zwykłym torem.

Zaczynam przesuwac węglem na papierze. Mam pustkę w głowie.

Nagle szcęknięcie zamka w drzwiach sprawia, że przestraszona podskakuję, a wraz ze mną zrywa się Oscar i wytrąca mi z ręki notatnik, który upada na podłogę. Nie mam pojęcia, ile czasu upłynęło; to coś nowego, bo od kiedy straciłam wzrok, potrafię wyczuć, która jest godzina, z dokładnością do pięciu minut. Lydia przypisuje tę zdolność wewnętrznemu pierwotnemu zegarowi, identycznemu z tym, który przypomina zwierzętom zapadającym w sen zimowy, że pora się zbudzić i wyjść z mroku jaskini na spotkanie ze światem.

Czuję jego zapach – to ta sama woda kolońska, którą obficie spryskuje się Bobby, kiedy wchodzimy do któregoś ze sklepów sieci Dillarda. Tommy Hilfiger. Mój lekarz pachnie Tommym Hilfigerem i brzmi jak Tommy Lee Jones. Wszystko Tommy.

– Sprawdzam, jak ci idzie – mówi.

Zatrzymuje się przy mnie, pochyla się, podnosi notatnik z podłogi i ostrożnie kładzie go przede mną na blacie. Wszystkie rysunki, z wyjątkiem jednego, wyrwałam i rozrzuciłam po biurku. Czuję pulsowanie, przykładam palce do prawej skroni, tak jakbym szukała tam wyłącznika.

– Mogę? – pyta.

Głupie pytanie; na pewno łakomie spogląda na rysunki. Podnosi kartkę, odkłada ją, sięga po następną.

Atmosfera staje się gęsta – gęsta od rozczarowania. Pan doktor okazuje się nauczycielem przeciętniaka, liczącym, że uczeń zdoła go czymś zaskoczyć.

– To dopiero początki – mówi. Krępująca cisza. – Nie wykorzystyłaś farb.

Czyżbym słyszała wyrzut w jego głosie?

Naraz sztywnieje. Pochyla się, muska moje ramię i odwraca notatnik, który chwilę wcześniej położył na biurku, najwidoczniej do góry nogami.

– Kto to jest?

– Jeszcze nie skończyłam.

– Tessie, *kto to jest?*

Węglem zamalowałam całą kartkę na czarno. Sięgnęłam do szuflady biurka i wyjęłam stamtąd gumkę do ścierania, którą wymazałam bezładne gniazdo włosów na głowie postaci z rysunku. Potem paznokciem starannie wyskrobałam wielkie oczy, delikatne kości policzkowe, nos i wydatne usta ułożone w pełne przerażenia O.

Myślałam o *zarysie*. Głowa dziewczyny była pozbawiona szyi, wyrastała

wprost z namazanej czerni, unosiła się w przestrzeni niczym bezgłośnie krzycząca konstelacja. Narysowałam twarz, ale nie tę, na której mu zależało.

– To pańska córka. – Nie wiem, czemu odczuwam potrzebę dręczenia go. Przecież mogłam powiedzieć, że to Lydia. Albo moja matka. Albo nawet ja sama. Nie zrobiłam tego jednak.

Słyszę nagły świst powietrza, pan doktor się odsuwa. Ciekawe, czy ma ochotę mnie uderzyć. Oscar zaczyna skomleć.

– Wcale jej nie przypomina. – Głos mu się lekko łamie.

Oczami wyobraźni widzę idealnie czarne jajko, na którego powierzchni pojawia się białe pęknięcie grubości włosa.

Wiem, że jego reakcja jest niewłaściwa, nawet głupia. Mam siedemnaście lat i całkiem sporo potrafię narysować, ale twarz, którą naszkicowałam, na pewno jest mocno zniekształcona i wygląda jak dzieło przedszkolaka. Oczywiście, że wcale jej nie przypomina. Nie znałam jego córki i nie wiem, jak wyglądała. *Jestem ślepa.*

On jest lekarzem. Nie powinien pozwalać mi wchodzić na swój prywatny teren.

Kiedy stałam się zdolna do takiego okrucieństwa?

## Tessa obecnie

Wbijając rydel w nieubita ziemię pod oknem, myślę o Lydii. Wyrrywam spryskane środkiem chwastobójczym rudbekie i układam je w zgrabną kupkę. Większą część łopatkę toczy krwawa rdza, ale tam, gdzie jeszcze nie dotarła, w lśniących elementach odbija się blask, który przesącza się przez zamontowaną na oknie w sypialni siatkę.

W świetle księżyca żółte zasłony wyglądają jak białe, wydymają się i opadają. Czekając, aż Charlie zaśnie, usiadłam na kanapie, włączyłam *Jimmy Kimmel Live* i na odwrocie paragonu ze sklepu zrobiłam listę, tak jakby dzięki papierowi, na jakim została spisana, jej zawartość mogła się stać mniej groźna.

Chciałam to zobaczyć czarno na białym. Wymieniłam wszystkie miejsca, w których po zakończonym procesie znajdowałam kępki rudbekii. I zadałam sobie zasadnicze pytania, na które już znałam odpowiedź: Czy powinnam wrócić do tych miejsc sama? Z Billem? Z Jo? Czy nie zmarnuję ich czasu? Czy nie pomyślą, że do reszty zwariowałam?

Bardzo wątpię, czy po latach zdołałabym odnaleźć coś, co *on* być może dla mnie zakopał, ani czy w ogóle wiedziałabym, gdzie szukać, nawet dysponując zdjęciami. Deszcz wymywa, ziemia się przesuwa.

Jest ciemna noc, a ja na czworakach przesiewam glebę i zastanawiam się, czy się nie pomyliłam. Znajduję śrubkę, którą musiał zgubić jeden z monterów, kiedy dwa lata temu wymieniałam okna. Jakiś świstek. Uparte korzenie winorośli wyglądające jak białe kości.

Lydia wiedziała, jak postępować w takich sytuacjach. Była obdarzona ścisłym, analitycznym umysłem, potrafiła odsunąć emocje na bok i spojrzeć obiektywnie – ja tego nie umiem. Kiedy miałyśmy osiem lat, ona posłusznie nie wychodziła poza linie w kolorowance, podczas gdy ja próbowałam wymyślić nowy kolor, stapiając wszystkie kredki w jedną w okrutnym teksańskim słońcu.

W podstawówce biegałam pod wiatr, bo po prostu lubiłam się z nim mierzyć. Lydia czekała na mnie, siedząc po turecku na kocu i czytając książki zbyt poważne jak na nasz wiek. *Wielkiego Gatsby'ego*. *Hamleta*. Rok 1984. Później, kiedy leżałam na trawie, z trudem łapiąc oddech, przykładła chłodne palce do mojego nadgarstka i mierzyła mi tętno.

Wiedziałam, że pod czujnym okiem Lydii nic mi nie grozi. To ona szeptała

mi do ucha, kiedy wpatrywałam się w leżącą w trumnie żółtą, woskową kukłę, która była moją matką. „Jej tam wcale nie ma”. Od samego początku niezwykle pociągała ją śmierć.

Kiedy pani Baker poprosiła o przygotowanie pracy na temat: „Ciekawe wydarzenie w historii Wielkiej Brytanii”, dwie trzecie naszej klasy pierwszoroczników napisało o Beatlesach. Ja stworzyłam staranną replikę średniowiecznego Mostu Londyńskiego i poddałam pod rozagę to, jakim cudem wszystkie poutykane na nim sklepy i domy nie zwały się z hukiem po Tamizy.

Lydia zaś weszła do rzeki zła tak mrocznej i skłębionej, że nie było widać dna. Pani Baker poprosiła ją o przeczytanie wypracowania na głos przed całą klasą – wiedziała, że przynajmniej nie zaśniemy w ławkach. Nigdy nie zapomnę mrozącego krew w żyłach głosu, jakim Lydia odczytała pierwsze, zaczerpnięte z raportu koronera, zdania swojego eseju.

„Ciało było nagie i leżało rozpostarte na łóżku. Ramiona spoczywały płasko, ale wedle osi pionowej ciało było przesunięte w lewo. Twarz leżała na lewym policzku”.

Podczas gdy większość klasy zastanawiała się, czy kawałek *I Am the Walrus* był zapisem odlotu Lennona na kwasie, Lydię pochłaniała historia ostatniej ofiary Kuby Rozpruwacza.

„Makabryczna śmierć spotkała Mary Kelly w pokoju numer trzynaście pensjonatu przy ulicy Dorset numer dwadzieścia sześć. Miała sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu i dwadzieścia pięć lat, była piersiastą prostytutką i zalegała dwadzieścia siedem szylingów za czynsz.

Słyszano, jak kilka godzin przed śmiercią śpiewa w swoim pokoju”.

Nie trzeba być specjalistą od spraw związanych z pamięcią, żeby się domyślić, dlaczego po latach potrafię przywołać tak wiele szczegółów z wypracowania Lydii, a mam pustkę w głowie, jeśli chodzi o średniowieczny Most Londyński. Swój odczyt Lydia wygłosiła z brytyjskim akcentem. W pewnym momencie trzy razy uderzyła się pięścią w pierś, chcąc udramatyzować fragment o ciosach nożem.

Głupie. Ale przyprawiło o gęsią skórę.

Zbierając materiały do wypracowania, Lydia przez dwa weekendy nie wychodziła z biblioteki Teksańskiego Uniwersytetu Chrześcijańskiego, czytała dysertacje, dziewiętnastowieczne raporty medyczne i eseje samozwańczych „ripperologów”, czyli badaczy zagadki Kuby Rozpruwacza. Materiały włożyła do segregatora i zanim oddała pracę, powiedziała, że bym zerknęła na koniec.

Przerzuciłam kartki w plastikowych koszulkach i zajrzałam na ostatnią

stronę. Ogarnęło mnie przerażenie na widok tego, co zobaczyłam – tego wręcz pornograficznego wizerunku śmierci. Była to czarno-biała fotografia Mary Kelly leżącej na łóżku w podłej norze, w której mieszkała. Miała usuniętą wewnętrżność. Nie wiem, skąd Lydia wygrzebała to zdjęcie w czasach przed Google'em. Wiem tylko, że moja przyjaciółka zawsze kopała dotąd, aż znalazła to, co chciała.

Czemu teraz o tym myślę? Przecieram dłonią czoło, usuwam kropelki potu, zostawiam w ich miejscu okruchy ziemi. Idę do kuchni, otwieram kosz na śmieci i wrzucam do niego wszystko, co wykopałam z ogródka. Wtedy to do mnie dociera.

Nie zwróciłam uwagi na świstek, bo nie zawierał sadystycznego wiersza. Wyjmuję go z kosza i oglądam raz jeszcze, dokładniej. Rzeczywiście wygląda jak papierek po batonie. Czy po takim samym, jaki kupiłam w Walgreens tego wieczoru, kiedy zniknęłam? Po takim, jaki w każdy wtorek kupowałam Rooseveltowi?

Roosevelt był stałym elementem trasy moich środowych przebieżek. Przeważałam go tak, bo codziennie dokładnie w południe stawał na odwróconym do góry dnem starym czerwonym wiadrze i wygłaszał całą, co do słowa, przemowę inauguracyjną Franklina Delano Roosevelta.

Kiedy w środy po szkole przebiegałam obok niego, było już dawno po wystąpieniu. Mieliśmy taki układ: rzucałam mu snickersa, jego ulubiony baton, nie zwalniając tempa, a on zawsze bezbłędnie łapał go w locie i odwdzięczał się, szczerząc zęby w uśmiechu. W sezonie był moim talizmanem szczęścia i także latem pilnowałam ustalonego porządku. Od kiedy go poznałam, nie przegrałam ani jednego wyścigu.

W każdy wtorek wieczorem kupowałam snickersa. Nie dwa, trzy albo cztery za jednym zamachem. Nie w poniedziałek ani w sobotę. Kupowałam dokładnie jeden baton w każdy wtorkowy wieczór, a w środowe popołudnie rzucałam go Rooseveltowi – i wygrywałam raz za razem.

Wiele wskazywało na to, że kiedy zaginęłam, zrobiłam coś, co w normalnych okolicznościach nie przysłoby mi do głowy: zjadłam snickersa przeznaczonego dla Roosevelta. W szpitalu znaleziono ślady batona w moich wymiocinach.

Byłam przywiązana do naszego rytuału. Zależało mi na wygranych. Czy zatem tamtej nocy zjadłam baton, bo uznałam, że już nigdy więcej nie wygram żadnego wyścigu?

Wyjmuję torebkę śniadaniową i chowam do niej papierek po snickersie. Czy *on* tego dotykał? Czy stał pod moim oknem, żując baton? Dzwoni mój

telefon pozostawiony na kanapie w salonie, przerywa ciszę panującą wszędzie poza moją klatką piersiową.

„Hastings. William”.

– Bill, już późno. – Odpuszczam sobie formułkę na powitanie.

– Nawet nie wiem, kiedy minął dzień – mówi. – Dzwonię, żeby się upewnić, czy pamiętasz, że jutro za kwadrans dziesiąta, czyli piętnaście minut przed rozpoczęciem badania, jesteśmy umówieni w pracowni Uniwersytetu Północnego Teksasu.

Jak mogłabym zapomnieć? Mam ochotę wykrzyknąć to do słuchawki, ale mówię tylko:

– Tak, sama trafię.

To musi być powód, dla którego dzwoni. Chyba bardzo mu zależy, żeby po mnie przyjechać. Bill milczy przez kilka sekund, po czym dodaje:

– Jo nie chciała rozmawiać o szczegółach przez telefon, ale powiedziała, że antropolog coś znalazł.

## Tessie w 1995 roku

– Jak ci idzie rysowanie w domu? – Jeszcze nie usiadłam, a on już zadaje pytanie.

– Zapomniałam zabrać.

Kłamstwo. Rysunki, dziewięć nowych, znajdują się dokładnie tam, gdzie chcę, czyli w czerwonym pudełku na koszule Macy's, na którym napisałam „Tampony” – żeby zniechęcić wścibskiego braciszka do myszkowania – i schowałam w szafie w swoim pokoju.

Nieoczekiwanie dzwoni telefon stojący na biurku pana doktora. Nagły przypadek, takie lubię najbardziej, bo szybciej mija czas.

– Przepraszam cię, Tessie – mówi lekarz – ale muszę odebrać. Dzwoni pielęgniarka z pytaniami odnośnie do pacjenta, którego właśnie skierowałam do szpitala.

Głos lekarza dobiega z drugiego końca pomieszczenia. Dociera do mnie kilka słów. Elavil. Klonopin. Czy na pewno powinien rozmawiać o takich rzeczach przy pacjentce? Staram się nie słuchać, bo nie chcę wyobrazić sobie kogoś takiego jak ja leżącego w szpitalu i nie chcę angażować się emocjonalnie. Skupiam się na innych rzeczach, na przykład na dopasowaniu leniwego teksańskiego akcentu lekarza do opisu jego powierzchowności, który stworzyła Lydia.

To był jej pomysł. Wczoraj, mając moje błogosławieństwo, wsiadła do autobusu jadącego w kierunku kampusu Teksańskiego Uniwersytetu Chrześcijańskiego i wślizgnęła się na jedne z wieczornych zajęć pana doktora. *Anastazja spotyka Agathę Christie: substancja szara a amnezja* – tak brzmiał tytuł wykładu.

Słyszając go, wzdrygnęłam się lekko. Za bardzo wymyślny. Albo może zbyt chciałam się do czegoś przyczepić.

Kiedy Lydia zakładała okulary w wielkich, okrągłych plastikowych oprawkach – robiła to, gdy uwierały ją szkła kontaktowe – mogła wmieszać się w tłum studentów i pozostać w nim nierozpoznana. Ojciec Lydii powiedział kiedyś, że urodziła się jako trzydziestolatka, i potem często to powtarzał, co Lydia traktowała jak śmiertelną zniewagę. Ja zaś... cóż, nie mogę jej tego powiedzieć, ale ostatnio czuję się nieco skrępowana w obecności jej ojca.

Kiedy byliśmy małe, pan Bell robił pierwszorzędne chili, zabierał nas na

strzelnicę i dwa razy w roku, w Święto Pracy i czwartego lipca, pływał z nami po jeziorze Texoma niezatapialną Molly. Ale bywał nieprzewidywalny i miewał ciężką rękę. Kiedy skończyłam czternaście lat, jego wzrok zaczął zatrzymywać się dłużej na pewnych miejscach. Może po prostu zachowywał się bardziej otwarcie niż większość mężczyzn w kontaktach z dorastającą dziewczyną. W każdym razie dobrze wiedzieć, myślałam, i na wszelki wypadek wkładałam dłuższe spodenki, kiedy szłam do Lydii.

Wczoraj wieczorem, po udanej misji szpiegowskiej – i dojeździeńiu końcówki upichconego przez mojego tatę *frito pie* – Lydia była w wyjątkowo dobrym nastroju.

– Wiesz, że w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym Agatha Christie zniknęła na jedenaście dni i nikt nie wiedział, co się z nią działo? – zapytała jednym tchem, siedząc na skraju mojego łóżka.

Wyobraziłam ją sobie w typowej dla niej pozycje: na podłodze zostawione byle jak martensy w różowe kwiatki, nogi zaplecione prawie w pozycji lotosu, czarne włosy związane jaskraworóżową gumką. Tak, Lydia lubiła róż.

W tle słyżałyśmy telewizor, a w nim podsumowanie dnia w procesie O.J. Simpsona. Nie sposób było od tego uciec. Tacie nie spodobał się pomysł wstawienia odbiornika do mojego pokoju, a już na pewno nie przypadła mu do gustu krwawa ścieżka dźwiękowa, którą sobie puszczałyśmy, ale szybko ustąpił, kiedy powiedziałam mu, że dzięki nieustannemu brzęczeniu telewizora czuję się mniej samotna. I że właściwie nie słucham tego, co mówią.

To była półprawda. Miarowe wywody Marcii Clark<sup>4</sup> rzeczywiście trochę mnie uspokajały. Jak można było jej nie uwierzyć?

– Agatha pocałowała swoją córkę na dobranoc i zniknęła – ciągnęła Lydia.  
– Wszyscy myśleli, że utopiła się w stawie Silent Pool, bo tam właśnie znaleziono jej rozbity samochód.

– Naprawdę? – Byłam sceptyczna. Z Lydią, jeśli człowiek miał trochę rozsądku, przeważnie nie dało się inaczej.

– Serio. Masz, sama przeczytaj. – Wetknęła mi kartkę do ręki.

Gdyby chodziło o kogoś innego, wyglądałoby to na okrutny żart. Ale to przecież Lydia. W jej obecności szarość przesłaniająca mi oczy stawała się bardziej przejrzysta. Czułam się, jakbym leżała na plecach na łaskoczącej trawie i wpatrywała się w późnoletni zmierzch. Palcami chwyciłam namacalny dowód Lydii na to, że Agatha Christie przeżyła przygodę jak z własnej powieści, tak jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie.

– W każdym razie tam znaleźli jej samochód – powtórzyła Lydia. – Inna



teoria głosiła, że mąż Christie, ten niewierny drań, zabił ją, zaś auto utopił w stawie. W całym tym zamieszaniu sir Arthur Conan Doyle wziął należącą do Christie rękawiczkę i zaniósł ją do jasnowidza, żeby ten powiedział, gdzie przebywa sławna pisarka. Pisali o tym na pierwszej stronie „New York Timesa”. – Szelest papierów. – W końcu się odnalazła. Okazało się, że miała atak amnezji. Straciła pamięć na *jedenaste dni*.

– O tym mówił przez całe zajęcia?

Zarazem pocieszające i przygnębiające.

– Mhm. Zaintrygował mnie tytuł wykładu, więc po drodze zajrzałam do biblioteki. Kiedy weszłam na zajęcia, ten twój doktor opowiadał o etiologii fugi dysocjacyjnej i jej związku z amnezją psychogenną.

Byłoby strasznie trudno zamieszkać w głowie Lydii. Wyobrażałam ją sobie jako oślepiąco jaskrawe i chaotyczne miejsce, jak wybuchająca gwiazda. Obie półkule mózgu prowadziły nieustające zmagania. A to dlatego, że błyskotliwa, opanowana Lydia była jednocześnie uzależniona zarówno od celebrytów, jak i tajemnic zbrodni. Proces O.J. Simpsona był jej LSD. Każdy, nawet najbardziej absurdalny szczegół, sprawiał, że była jak na haju. Na przykład któregoś wieczoru zaśmiewała się z tego, że po zakończonym aresztowaniu pościgu za jego fordem bronco Simpson poprosił policjantów o szklanekę *soku pomarańczowego*, a potem przez dziesięć minut pomstowała na ławę przysięgłych, która nie potrafiła zrozumieć, na czym polega analiza długości fragmentów restrykcyjnych.

– I co się z nią stało? – ucięłam wywód Lydii, bo ciekawiło mnie, co było dalej, ale też chciałam się przekonać, czy mój lekarz okazał się draniem i manipulatorem.

– Znalaziono ją w hotelu spa, zameldowaną pod przybranym nazwiskiem. Twierdziła, że nie rozpoznała samej siebie na zdjęciach w gazetach. Zdaniem niektórych lekarzy miała myśli samobójcze i znajdowała się w jakimś psychogenicznym transie. To coś jak fuga dysocjacyjna, stąd tytuł wykładu twojego lekarza.

– Dla mnie i tak zawsze będzie miłą starszą panią, która siedząc przy kominku, pisze zgrabne kryminały.

– No wiem. To tak, jakby odkryć, że Edna St. Vincent Millay<sup>5</sup> puszczała się i była uzależniona od morfiny. Edny i Agathy powinny pilnować swojej reputacji.

Roześmiałam się, prawie tak jak dawniej, i wyobraziłam sobie, jak mój śmiech prześlizguje się pod drzwiami, dociera do ojca i rozluźnia napięte mięśnie jego twarzy.

– Zniknięcie autorki kryminałów, żony niewiernego męża. Brzmi jak chwyt reklamowy.

– Niektórzy mogliby powiedzieć to samo o tobie – zaripostowała moja najlepsza przyjaciółka.

Nieczęsto jej się to zdarzało. Celny cios; poczułam przenikliwy ból z prawej strony brzucha.

– Przepraszam, Tessie, wyrwało mi się. Oczywiście to nieprawda, *jedno i drugie*. Twój pan doktor jest profesorem, w którym można się zadurzyć, wiesz, taki mózgowiec. Nie jest oszustem. – Zamilkła na chwilę. – Podoba mi się. Myślę, że możesz mu zaufać. A ty jak sądzisz?

Kolejny cios. Piętnaście godzin później siedzę na kanapie u pana doktora i rozmyślam nad skutkami tego, co się wydarzyło. Teraz moja obiektywna, lojalna przyjaciółka Lydia uwierzy mojemu lekarzowi na słowo. Ciekawe, czy była na tyle szalona, żeby podnieść rękę. Zadać pytanie. Dać się zauważyć. Powinnam była lepiej to przemyśleć.

Pan doktor przeprosił i wyszedł z gabinetu. Im dłużej go nie ma, tym ciemniej się robi. Wiem, że kiedy cierpi się na ślepotę, nie powinno to sprawiać różnicy, ale jednak. Powietrze tłoczone przez klimatyzację hałasuje w przewodach wentylacyjnych, a mimo to coraz trudniej mi oddychać. Podciągnęłam kolana pod brodę i objęłam je rękami. Na języku czuję posmak zdechłego pstrąga. Rośnie we mnie obawa, że nikt mnie nie znajdzie i nie uratuje. Że się tutaj uduszę.

Panie doktorze, czy to jeden z pańskich testów?

Kiedy wreszcie dochodzę do wniosku, że dłużej tego nie zniosę, on wraca do gabinetu. Siada na fotelu, którzy trzeszczy pod jego ciężarem. Próbuje stłumić wzbierającą we mnie wdzięczność. Wrócił pan.

– Zeszło mi dłużej, niż myślałam. Nadrobimy to na następnym spotkaniu. Zostało pół godziny. Chciałbym dziś, jeśli pozwolisz, porozmawiać o twojej matce.

– Nie po to do pana przychodzę – odpowiadam szybko. – Przerabiałam to już wieki temu. Nie jestem jedyną osobą, której zmarła matka.

Moje oczy zachodzą mgłą. Szalone ukłucia światła, jakby rój przerażonych świetlików. Nowi goście w mojej głowie. Czy to znaczy, że zaraz zemdleję? Po czym w ogóle poznam, że straciłam przytomność? Wykrzywiam usta, zaraz dostanę ataku śmiechu.

– Czyli nie powinnaś mieć nic przeciwko rozmowie o niej – zauważa nie bez racji. – Powiedz, gdzie byłaś tego dnia, w którym umarła.

„Tak jakby pan nie wiedział. Tak jakby na pańskim biurku nie leżała gruba

teczka, której nawet nie musi pan chować przed niewidomą dziewczyną” – myślę.

Czuję pulsowanie w kostce, ból przemieszcza się ku półksiężycowej bliźnie na twarzy i biegnie dalej, do ośmiocentymetrowej różowej kreski, starannie narysowanej pod moim lewym obojczykiem. Czy on nie widzi, jak bardzo jestem zdenerwowana? Nie wie, że powinien odpuścić?

Elementy jego twarzy wirują i uparcie odmawiają ułożenia się w spójny obraz. Szaroniebieskie oczy, brązowe włosy, okulary w metalowych oprawkach. W niczym nie przypomina Tommy’ego Lee Jonesa, powiedziała Lydia. Mimo to nie potrafię stworzyć sobie jego wizerunku. Nie umiem narysować go na ślepo.

To najgorsza sesja z dotychczasowych, w dodatku to dopiero początek.

– Bawiłam się w domku na drzewie – mówię. Świetliki odstawiają paniczny taniec.

## Tessa obecnie

Przywieziono pierwszy owinięty w białą tkaninę Polny Kwiat. Sprawia wrażenie, jakby był ubrany do chrztu. Trzymająca szczątki dziewczyny kobieta też jest od stóp do głów odziana na biało, a jej usta i nos zakrywa maska, tak że widać tylko brązowe oczy. Wyglądają na pełne życzliwości.

Odwija kokon białej tkaniny i ostrożnie podnosi Kwiat. Większa część nielicznej grupy zgromadzonej w korytarzu po drugiej stronie szyby skwapliwie wyjmują iPhone'y. Kwiat zostaje skąpany w błyskach fleszy, jest niczym gwiazda filmowa.

Czaszka wygląda fatalnie. Oczodoły to dziury sięgające dna oceanu. Po żuchwie praktycznie nie ma śladu. W pustej jamie sterczy kilka spróchniałych zębów, są jak stalaktyty w opuszczonej jaskini. Ta pustka, te dwie ziejące paskudne czeluście przypominają mi, że to, co widzę, kiedyś było człowiekiem. Że mogło na mnie spojrzeć.

„Pamiętasz?” Jej głuchy, bezzębny głos bulgocze mi w uchu. Granat niewybuch eksploduje w mojej piersi. To dla mnie szok, choć przecież nie powinno tak być. Tym razem Kwiaty milczały od ponad roku. Głupotą było myśleć, że odeszły.

Nie teraz! Wyobrażam sobie, że dłonią zasłaniam jej usta. W myślach śpiewam, wrzeszczę, amerykański hymn.

*Bombs bursting in air.* Jo ściska mnie za łokieć.

– Przepraszam za spóźnienie.

Wciągam w płuca jej osobliwą normalność. Biały fartuch, spodnie w kolorze khaki, fioletowe buty Nike, na szyi plastikowy identyfikator na taśmie zadrukowanej wzorem trupich czaszek i piszczeli. Woń chemikaliów, ale nie przykra.

Głęboki oddech. Jestem po tej stronie lustra. Po tej stronie piekła.

Reszcie grupy od niechcienia kiwa głową na powitanie. Oprócz mnie i Billa na badaniu obecne są jeszcze cztery osoby: troje doktorantów – jedna osoba z Oxfordu, dwie z Uniwersytetu Północnego Teksasu – i zniewalająca blond piękność ze Szwecji, Britta.

Ostatni kwadrans spędziliśmy razem, grupa obcych sobie ludzi, udających, że nie przyszli tu po to, aby zobaczyć śmierć w najbardziej sadystycznej postaci. Studenci spoglądali na mnie z zainteresowaniem, ale żaden nie zadawał pytań.

Przed przyjściem Jo rozmawialiśmy o tym, jakie trzy miejsca w Dallas i Fort Worth powinna odwiedzić Britta, zanim za dwa tygodnie wróci do swojego sztokholmskiego laboratorium. Wyszło nam, że muzeum Amona Cartera, ze względu na kolekcję imponujących brązów Russella i Remingtona i dla pięknego czarnoskórego chłopca w czapce z gazety; Muzeum Sztuki Kimbella, dla srebrnego światła spływającego kaskadami na okazałe dzieła sztuki i dla niefortunnego młodzieńca w towarzystwie podłych szesnastowiecznych szulerów; i jeszcze Muzeum Szóstego Piętra stojące w miejscu, z którego Oswald wymierzył do prezydenta i gdzie pewien zwolennik teorii spiskowych chodził z obłędem w oczach, powtarzając: „Nie, to nie tak”.

Sądząc jednak po tym, jak Britta taksuje Billa wzrokiem, przypuszczam, że zamiast do muzeum, trafi do jego łóżka. Dziś rano Bill przywitał mnie oschłym uśmiechem.

– W archiwach Muzeum Szóstego Piętra Stephen King zbierał materiały do książki o podróży w czasie i zamachu na Kennedy’ego – mówi teraz.

– Świetna rzecz – zauważa Jo. – King to geniusz. Ale nigdy nie udało mu się zrozumieć Teksasu. I mówię to jako rodowita Oklahomianka. Cześć, Bill. Tesso, Sarito, Johnie, Gretchen – witam wszystkich. Britto, cieszę się, że mogłaś przyjść. Wygląda na to, że dopiero zaczynają.

Czaszka leży zwrócona w naszą stronę, łypie na nas ze swojego miejsca na stole. Kobieta w bieli nadal rozpakowuje puzzle. Wyjmuje długą, perłową kość nogi, potem drugą, w dużo gorszym stanie – ta wygląda jak gałąź, która złamała się zimą.

– Dziś zespołem kieruje Tammy – mówi Jo.

Pozdrawiają się oszczędnym gestem. Cztery inne kobiety, również ubrane w sterylne stroje, zajmują swoje miejsca przy szklanych kloszach. Światłówki rzucają zimne i upiorne światło.

– Zaglądamy do lodówki seryjnego mordercy – mruczy mi do ucha Bill.

Jo zerka w naszą stronę, ale nie wiem, czy słyszała.

– Każda z tych osób – tłumaczy Jo – ma do wykonania określone zadanie. Margaret wytnie niewielki kawałek kości. Toneesha oczyści próbkę środkiem dezynfekującym, etanolem i wodą. Jen zetrze ją na drobny proch, z którego uzyskamy DNA. Rola Bessie polega na regularnym spryskiwaniu powierzchni roboczych dla zachowania maksymalnej sterylności. Tak to zawsze wygląda.

Spojrzenie skupiła na tym, co dzieje się za szybą. Jest w swoim żywiole. Utalentowana, nie próżna. Wrażliwa, nie cyniczna.

Myślę, że Jo pamięta z imienia i nazwiska wszystkie osoby z obu stron

szyby. I myślę, że równie dobrze mogłaby opowiadać o procesie rafinacji cukru.

– Nie wolno zapominać o zasadach. – Jej głos staje się poważny. – Nie wolno pozwolić sobie na niedbałość. Kiedyś zarzucono mi niestaranność. To był najgorszy okres w moim życiu.

Nie rozwija tematu. Jak dotąd ani słowa o bieżącej sprawie: do kogo należą kości, dlaczego są wyjątkowe.

– Wolimy czaszki i gęste kości, zwłaszcza udową – mówi dalej. – Z nich uzyskujemy najdłuższe łańcuchy mitochondrialnego DNA, co zwiększa szanse na odczytanie danych umożliwiających identyfikację. Mamy szczęście, że udało nam się zgromadzić te trzy okazy, ponieważ szczątki co najmniej raz wykopano i przeniesiono.

Czaszka wędruje pod jeden z kloszy. Wycie piły przenika przez szkło, tak jakby płynęło ulicą w leniwą sobotę.

Kiedy pierwszy Kwiat wraca na stół, na czubku jego głowy brakuje fragmentu o powierzchni sześciu centymetrów kwadratowych.

Kolejne z niekończącej się serii upokorzeń.

„Przepraszam” – mówię w myślach. Ale pusta, bezzębna czaszka nie odpowiada.

Piła Dremela tnie kość nogi, a na drugim stanowisku laborantka szoruje wycinek czaszki. Zapomniały o nas, wpadły w dobrze sobie znany rytm. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale raczej nie tej surrealistycznej, beznamietnej rutyny.

– Praca nad Polnymi Kwiatami musi być fascynująca – mówi radośnie Sarita. Studentka z Oxfordu. Brytyjski akcent, urywana melodia. Ma czarne buty na zbyt wysokim obcasie. – Laborantki z pewnością czują się wyróżnione. Przypuszczam, że to wasi najlepsi ludzie.

Ciało Jo się napina, czuję to, jakby należało do mnie.

– Dla nich – cedzi Jo – i dla mnie ta sprawa... te szczątki... nie różnią się od innych, które nam powierzono. W każdym przypadku mamy do czynienia z tym samym: z rodziną, z czekaniem.

Wszyscy czujemy się upomniani.

– Dlaczego są trzy kości? – Bill zmienia temat. – Mamy dwa niezidentyfikowane szkielety. Wydawało mi się, że bierze się jedną kość na jedną ofiarę.

– Czekałam na to pytanie. – W głosie Jo wciąż czuć rozdrażnienie. – Z czasem różne stworzenia dokonały spustoszeń w szkieletach dziewcząt. Morderca przeniósł je co najmniej raz. W starych dokumentach sprawy

znajdują się informacje o obecności obcej gleby w miejscu odnalezienia Polnych Kwiatów. Normalnie występuje tam tylko czerwona glina. Nic dziwnego, że szkielety okazały się niekompletne. Nasz antropolog obejrzał wszystko, co znalazł w dwóch trumnach, które ekshumowaliśmy, i doliczył się trzech prawych kości udowych.

Słyszę, jak ktoś gwałtownie nabiera powietrza. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że to ja.

– Trzy szkielety, nie dwa – szepcze Bill, jakbym nie potrafiła liczyć.

Pięć Polnych Kwiatów, nie cztery. Jedna martwa dziewczyna imieniem Merry, trzy anonimowe ofiary, których kości ogryzły zwierzęta, i ja. Kolejny członek mojego plemienia. Kolejna czekająca na informacje rodzina.

„To ja” – mówi Kwiat konspiracyjnym tonem. „To ja znam odpowiedzi”.

Jo posyła mi dziwne spojrzenie, choć przecież wiem, że tylko ja słyszę ten głos.

## Tessie w 1995 roku

Ciekawe, który z nich ogląda w pierwszej kolejności.

Dziewczynę bez ust. Dziewczynę w czerwonej przepasce na oczy. Pajęczą sieć z uwięzionym w niej pazim królowej. Pozbawionego ust biegacza na plaży. Ryczącego niedźwiedzia – to mój ulubiony; napracowałam się nad zębami.

– Pamiętałaś, żeby przynieść rysunki? – zapytał od razu, kiedy weszłam.

Wszystko, bylebyśmy nie rozmawiali o dniu śmierci mojej matki. Na ostatnim spotkaniu czułam się tak, jakby wziął rozgrzany pogrzebacz i wraził mi go w pępek.

I czego się dowiedział? Że nic nie słyszałam, nic nie widziałam. Że pamiętam jedynie – w dodatku jak przez mgłę – krew, ale to ślepy zaułek, bo policja twierdzi, że nie było krwi. Wszystko to wydaje mi się tak diabelnie odległe od tematu. Zaśmieca mi głowę.

No więc tak, przyniosłam rysunki. Wręczyłam mu kartonową tubę. Wcześniej trzymałam w niej plakat *Pulp Fiction*, który teraz wisi nad łóżkiem Lydii. Po trzy- albo czterogodzinnej sesji na pokrytej grubą beżową wykładziną podłodze w jej sypialni – pośród przedszkolnego papierowo-kredkowego rozgardiaszu – Lydia starannie zrolowała moje rysunki i umieściła w tubie.

Nie spodobał jej się pomysł, którym zaskoczyłam ją przed dwoma dniami, ale uległa moim prośbom. Lepiej niż ktokolwiek inny rozumiała obawy, że ktoś odkryje moje tajemnice, zanim sama to zrobię.

Pojechała autobusem do biblioteki Teksańskiego Uniwersytetu Chrześcijańskiego. Przejrzała *The Clinical Application of Projective Drawings: The Childhood Hand That Disturbs*. I jeszcze, bo inaczej nie byłaby sobą, *L'imagination dans la folie*, dzieło z 1846 roku, którego autor analizuje rysunki osób chorych umysłowo. Opowiedziała mi, na czym polega test „dom-drzewo-osoba”. Dom – tak postrzegam swoją rodzinę; drzewo – tak widzę świat; osoba – tak odbieram siebie.

Kiedy skończyłyśmy, z czarnej kredki został ledwie ogryzek. Uznałam, że całkiem nieźle nam wyszły te fałszywki. Lydia poczuła natchnienie i narysowała obrazek, który opisała jako armię ogromnych czarno-żółtych kwiatów z gniewnymi minami. Pan doktor siedzi po drugiej stronie biurka i nic nie mówi. Słyszę suchy szelest papieru, przekładanie kartek.



Milczenie jest chyba oddzielnym przedmiotem na studiach dla tych manipulantów.

Wreszcie odchrząkuje.

– Technicznie świetne, szczególnie że nie widzisz, co rysujesz. Ale banalne.  
– Zero emocji w głosie, jedynie stwierdzenie faktu.

Blizny zaczynają pulsować. Bogu dzięki, że nie pokazałam mu prawdziwych rysunków.

– Właśnie dlatego pana nie lubię – oznajmiam chłodno.

– Nie wiedziałem, że mnie nie lubisz.

– *Naprawdę?* Jest pan taki sam jak wszyscy inni. Ma pan to gdzieś.

– Mylisz się, Tessie. Obchodzi mnie, i to bardzo, co się z tobą dzieje. Tak bardzo, że będę z tobą szczery. Widać, że poświęciłaś rysunkom sporo czasu. Jesteś mądrą, utalentowaną dziewczyną. Sęk w tym, że nie wierzę tym pracom. Rozwścieczone zwierzę. Dziewczynka pozbawiona głosu. Bieganie nad krawędzią oceanu. Czarne i czerwone zawijasy jak u Jacksona Pollocka. Zbyt ładne to wszystko. Zbyt trafne. Brakuje emocji, które połączyłyby te rysunki. Każdy z nich jest jak gdyby osobny. Uraz psychiczny wygląda i działa inaczej. To, co teraz czujesz... jest łącznikiem, kluczem do wszystkiego.

Fotel skrzypi, lekarz pochyla się i kładzie przede mną kartkę.

– Z wyjątkiem tego jednego. Ten jest inny.

– Mam zgadywać który? – Chcę, żeby to zabrzmiało sarkastycznie. Próbuje wykombinować, jakim sposobem przejrzał mnie tak szybko. I który rysunek uznał za najbardziej wymowny.

– A potrafisz się domyślić? – pyta.

– *Naprawdę chce mnie pan wciągnąć w tę grę?* – Chwytam smycz Oscara, jakby była ostatnią deską ratunku. Wpija mi się w ciało. Oscar posłusznie wstaje. – Idę do domu.

– Proszę bardzo, możesz wyjść w dowolnej chwili. Ale myślę, że chciałabyś się dowiedzieć.

Brak ruchu z mojej strony jest odpowiedzią.

– Proszę powiedzieć. – Przepełniona gniewem z ledwością cedzę słowa.

– Łąka pełna zduszonych kwiatów o przeszywającym spojrzeniu. Dziewczynka kuląca się ze strachu. Przerażające. Surowe. *Prawdziwe.*

Rysunek Lydii. Pracowała nad nim dwie godziny, podśpiewując kawałki Alanis. *Got a plastic smile on a plastic face.*

Zawsze się śmiała, że nie potrafi narysować nawet Snoopy'ego.

Opowiadając mi o rysunku, pominęła tę dziewczynkę. Chcę ją zobaczyć.

Wypuszczam smycz z ręki i przesuwam się na skraj kanapy. Słowa płyną z moich ust, zanim zdołam je powstrzymać.

– A gdybym powiedziała, że najczęściej rysuję... – głęboki wdech – ... zasłone? Raz za razem, aż mam ochotę wyjść z siebie.

– Odparłbym, że to dobry początek.

Odrobinę wyższy ton głosu. Czyżby nadzieja?

## Tessa obecnie

Wkładam klucz do pierwszego z dwóch zamków w drzwiach wejściowych. Rozmyślam o nieskazitelnie białych pracownikach, o drzewach zrobionych z kruchych kości i o statystycznym ułamku nadziei, że któryś z trzech maleńkich kawałków martwej dziewczyny dokądś nas zaprowadzi. Przez całą drogę do domu Kwiaty na szczęście milczą. Zamek nie chce się otworzyć i kiedy z nim walczę, ktoś zachodzi mnie od tyłu. Gwałtownie łapię powietrze.

– Coś taka nerwowa, Kwiatuszku?

Euphemia Outler, sąsiadka, mieszka w domu po prawej. Mówię na nią Effie, Charlie nazywa ją Panną Effie (choć ta ma za sobą jedno albo dwa małżeństwa), a paru złośliwych chłopaków z okolicy nie certoli się i używa niewyszukanego przezwiska Pojeffka. Jest byłym naukowcem, panią profesor, a także samozwańczym szpiegiem przedmieścia i pacjentką we wczesnej fazie demencji. Uparcie nazywa mnie Kwiatuszkiem, nie ze względu na moją przeszłość, ale ponieważ tak pieszczotliwie określa swoją jedyną córkę, która mieszka w New Jersey i która (kiedy matka skończyła osiemdziesiąt lat) uznała, że do diabła z tym – co z oczu, to z serca.

– Bo się podkradasz! – odpowiadam. – Jak dziś samopoczucie?

W prawej dłoni Effie trzyma niewielki podłużny przedmiot owinięty w folię aluminiową, zmiętą tak bardzo, że pamięta chyba czasy wielkiego kryzysu. W lewej ręce – wazon z bukietem kwiatów ułożonych przez zawodową florystkę. Żaden z nich nie jest żółto-czarny. Na głowie ma kapelusz: niebieski, w kratę, z opadającym rondem, który przed czterema laty przywiozłyśmy jej z Charlie jako prezent z Galveston. Effie ma twarz zahartowaną przez słońce. I oczy, które wyglądają tak, jakby należały do lubiącej prowokować nastolatki.

– Upiekłam chlebek bananowy. Dodałam trochę bulguru. I zwracam ci kwiaty. Rano widziałam, jak jakiś facet rzucił je na werandę, więc zabrałam, bo pomyślałam, że może je porwać wiatr. I mam problem, o którym chciałabym z tobą porozmawiać.

– Miło z twojej strony. Dziękuję.

Otwieram drugi zamek. W tym też zasuwka chodzi, jakby chciała, a nie mogła. „Muszę to naprawić” – myślę. „Może założę trzeci zamek?” Otwieram drzwi. Effie nieproszona wchodzi za mną, człapiąc w swoich wysłużonych

zielonych crocsach.

– Odstawię zakupy. – Staram się nie patrzeć na zawartość wazonu. – Położ, proszę, chleb i kwiaty na blacie. Potem opowiesz mi o swoim... problemie. W lodówce mam mrożoną herbatę. Charlie zrobiła wczoraj wieczorem. Kofeina, cukier, mięta, cytryna: wszystko, co trzeba. Nawiasem mówiąc, Charlie zwędziła tę miętę z twojego ogródka.

– Dodałam bulguru do chleba, bo wiem, że Charlie lubi. Napiję się tej herbaty.

Jestem przekonana, że moja córka nie ma pojęcia, czym jest bulgur, ale to i tak postę, bo w zeszłym tygodniu Effie poczęstowała nas ciasteczkami z płatków owsianych i mączki z chleba świętojańskiego, które Charlie wdzięcznie porównała do krowiego łajna.

Effie uważa się za mistrzynię sztuki kulinarnej. Sęk w tym, że myśli jak naukowiec. Uważa na przykład, że do placka z dynią lepiej ugotować świeży miąższ, niż sięgnąć po sprawdzone purée z dyni w puszcze. Tym, co najlepiej zapamiętałam z zeszłorocznego obiadu na Święto Dziękczynienia, były grudki i włókna z dyni, a także *góra* bitej śmietany w sprayu. No i okej – większość świątecznych obiadków to nudy na pudry, a z tego będziemy się z Charlie śmiały do końca życia.

– „New York Times” napisał, że bulgur to „pszenica warta zapamiętania” – informuje mnie Effie. – Dla nich wszystko musi być takie och ach. Przestałabym czytać tę gazetę, gdyby nie dział naukowy i gdybym nie uważała, że ich krzyżówki pomagają przywrócić do życia moje martwe komórki mózgowie. Co oni tam wiedzą! Martwy nie zawsze znaczy martwy. Myślisz, że znają nazwę lewantyńskiego uchwytu na czarę do kawy? Na cztery litery.

„Oni” to przeważnie jej neurolog.

– *Zarf* – odpowiadam odruchowo.

– No, ty jesteś inna pod wieloma względami. – Odchodzi od czarnego, granitowego blatu, który oddziela niewielką kuchnię od salonu, i ogląda stojącą na stole w jadalni maszynę do szycia firmy Bernina, przykrytą białym tiulem niczym panna młoda. – Co robisz w tym tygodniu? Znowu coś dla tych przeklętych bogaczek?

Zamykam nogą drzwi lodówki.

– Dla córeczek tych przeklętych bogaczek. Tutu. Na konkurs. Tiulowa baza, lawendowe aplikacje i kryształ Swarovskiego.

– Wydziwianie. Na pewno płaci ci majątek.

Niestety nie. Większość „tych przeklętych bogaczek” przestała doceniać

solidną, staranną ręczną robotę, od kiedy jednym kliknięciem myszy może zamówić w Chinach wszystko, co sobie wymyśli.

– Ot, taka robótka na boku – mówię. – Projektantka kostiumów dla bostońskiego baletu zaproponowała mi uszycie strojów dla solistek na wiosenną premierę. Zanim się zgodzę, chcę sprawdzić, czy w ogóle będę miała pomysł, jak to zrobić.

– Będą mieli szczęście, jeśli przyjmiesz to zlecenie. Robisz się sławna. Wydawało mi się, że wyjeżdżasz w tym tygodniu projektować schody dla tego szajbniętego aktora z Kalifornii, tego co pierdzi w filmach. Z czego on chciał zrobić te schody? Ze starego chevroleta camaro albo innego dziadostwa? I czy przypadkiem tatuś wojak nie miał przylecieć i zaopiekować się Charlie podczas twojej nieobecności? Obiecał załatać mi dach. Jak mu na imię? Lucyfer?

– Lucas. Kalifornijskie zlecenie odłożyłam na później.

Żadnych dodatkowych wyjaśnień, bo o mojej przeszłości nie rozmawiamy. Effie ją zna... albo nie. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia i niech tak zostanie. W każdym razie dla niej to nieistotne.

Od razu to widać po tym, jak ktoś na mnie patrzy, kiedy się poznajemy: jak gdybym była niepokojącym dziełem sztuki współczesnej. Na szczęście dla mnie Effie omija większość gazet szerokim łukiem, ponieważ czytanie ich umacnia ją w przekonaniu, że świat „zmierza rakieta do piekła”.

Co nie znaczy, że zrezygnowała z prenumeraty. Od czterech lat – tyle czasu tutaj mieszkamy – Effie z przypadkową regularnością zostawia pod naszymi drzwiami nieczytanego „New York Timesa”, dla siebie zachowuje jedynie część z łamigłówkami. Na nic się zdały usilne próby Charlie, która chciała przekonać Effie do iPada; Effie była pewna, że to urządzenie ją kontroluje, a nie na odwrót.

Prowadzę ją do kanapy.

– Usiądź. Na czym polega problem?

– Nie otworzysz liściku? Tego dołączonego do kwiatów. Co to za okazja? Spóźnione urodziny? – Ciekawość rozpała jej spojrzenie.

– Nie ma żadnej okazji, przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Mówisz, że widziałaś tego, kto je przyniósł? – pytam niby od niechcienia.

Kwiaty zawsze wzbudzają we mnie czujność, ponieważ nikt, kto mnie znał i lubił na tyle, by chcieć mi je wysłać, nie zrobiłby tego.

– Przystojniak w stroju firmowym Lilybud’s Florist. Portki wisiały mu na tyłku. Się napatrzyłam.

Effie mogła pożerać ten tyłek wzrokiem dzisiaj. Albo wczoraj. Albo miesiąc

temu. Czas jest dla Panny Effie niczym przyjemny, monotony nurt rzeki.

Niedługo muszę odebrać Charlie z treningu siatkówki i na pewno będzie miała ochotę na coś więcej niż nafaszerowany bulgurem chlebek bananowy.

– O co chodzi? – powtarzam. – Mów śmiało.

– W okolicy grasuje złodziej łopatek. – Pokazuje niewielki rydel, którego wcześniej jakoś nie zauważyłam. – Zamierzam zmobilizować straż sąsiedzką.

– Złodziej łopatek?

– Właśnie wróciłam z Walmartu. Ta kosztowała dwa dziewięćdziesiąt dziewięć plus podatek. To trwa już od pół roku. Kupuję łopatkę, a ona znika. Nie stać mnie na to, żeby ciągle kupować nowe. Wiesz, gdzie jest twoja? Zastanawiam się, czy nie zorganizować jakiegoś przeszukania kwartału.

– Aha. – Muszę pomyśleć, czy chcę odpowiedzieć na jej pytanie. – Wiem, gdzie jest moja: za domem. Wydaje mi się, że zostawiłam ją tam, kiedy... pieliłam.

Wbitą w ziemię jak kamień nagrobny.

– Uprzedzam, że równie dobrze mogłaś zostawić nowiutki banknot studolarowy.

– Będę miała oczy otwarte. Czy masz jakieś szczególne... miejsce, w którym przechowujesz łopatkę? – Tylko ostrożnie; wiem przecież, że porządek to dla Effie drażliwy temat.

Rzeczy znajdujące się w jej domu lubią wędrować: numer „Scientific American” poświęcony inżynierii genetycznej może zamieszkać w zamrażarce; zapasowy klucz może się znaleźć w maselnicy; butelka wódki Stolichnaya może wylądować pod umywalką w łazience tuż obok środka czyszczącego Comet w zardzewiałej puszcze z 1972 roku.

– No, wracam do sortowania strąków – mówi Effie i wstaje. – W zeszłym roku larwy zniszczyły mi całą fasolę. W tym roku spróbuję wystawić miskę z piwem. Czytałam, że to działa. Pewno jakaś bzdura, ale co szkodzi spróbować? A i dla nich to lepsza śmierć niż pod moim butem. Sama bym chciała utopić się w piwie, kiedy przyjdzie na mnie pora.

Śmieję się. Wyciągam ręce i obejmuję Effie.

– Dziękuję za przywrócenie mojego życia do normalności – mówię.

– Kochanie, jestem spocona. – Potulnie odwzajemnia uścisk. – Większość ludzi uważa, że jestem dziwna.

„Większość ludzi” to jej córka.

– Dlatego się rozumiemy. Czy normalny człowiek budowałby schody dla pierdzących aktorów?

Czy normalny człowiek wpada w panikę, ilekroć słońce chowa się za

chmurami, bo się boi, że ślepie? Albo kiedy otwiera słoik z masłem orzechowym? I jeszcze kiedy ktoś wspomina o rudbekiach? W drodze do drzwi Effie nagle przystaje.

– Czy możesz przysłać do mnie Charlie, tak mniej więcej za pół godzinki? Pomogłaby mi i mojej przyjaciółce z towarzystwa historycznego przenieść kilka rzeczy. Chciałam powiedzieć historycznego. Aczkolwiek trochę też historycznego. Te damy, rozumiesz, czasem wyżej srają, niż turniurę mają.

– Jasne. – Uśmiecham się szeroko. – Przekażę Charlie.

Stoję na ganku i patrzę, jak Effie brnie przez gęstą złotobrazową trawę, po czym znika w swoim zarośniętym ogrodzie, i widać tylko jej podskakujący kapelusz, który wygląda jak drozd unoszący się nad kępami rozplenicy.

Od sześćdziesięciu jeden lat Effie mieszka w żółtym domu w stylu epoki królowej Anny, stojącym w samym środku słynnej dzielnicy historycznej Fairmount w Fort Worth; nasz dom, pochodzący z lat dwudziestych ubiegłego wieku, wybudowano w stylu Arts and Crafts. Effie wprawdzie nie pamięta, ile dokładnie warstw farby przyjęły przez lata ozdobne tralki i ułożone w łuskę gonty, ale datuje wydarzenia według kolorów elewacji. Mówi na przykład: „Kiedy dom był liliowy”, albo: „Kiedy dom był w tej paskudnej fazie brązowej”. Raz w miesiącu wyprowadza z garażu swój krążownik szos i jeździ nim na zebrania miejscowej rady ochrony zabytków. Uwielbia odciągać Charlie od iPhone’a i zasypywać ją faktami z historii dzielnicy. Dawniej po naszej ulicy z łoskotem jeździły tramwaje, dlatego jest szersza niż większość pozostałych. Na Hemphill stała kiedyś fantastyczna rezydencja z prawdziwym wiatrakiem, dopóki nie spłonęła w tajemniczych okolicznościach.

Kiedy telefon swym magnetycznym urokiem ponownie przyciąga uwagę Charlie, Effie wytacza ciężkie działa: opowieść o Butchu Cassidym i Sundance Kidzie, którzy mieszkali w Hell’s Half Acre, zaledwie pięć kilometrów od naszego domu, albo o przygotowujących o gęsią skórkę zamkniętych na głucho tunelach dla świń, które biegają pod miastem.

– Stąd wzięły swoją nazwę kozy Judasze – twierdzi Effie. – Bo prowadziły świnię na rzeź, ratując przy tym własne życie. W dawnych czasach kozy przeprowadzały nawet dziesięć tysięcy świń dziennie tunelami pod Fort Worth. W Stockyards czekał świnię marny los. Coś jak nowojorczycy w metrze.

W starciu Effie kontra Twitter przeważnie wygrywa Effie.

– Dzieci potrzebują poczucia przynależności do jakiegoś miejsca – tłumaczy. – Muszą wiedzieć, że żyją w konkretnym *tutaj*, a nie w jakiejś

nieokreślonej przestrzeni.

Wracam do kuchni, do nieprzyjemnej terażniejszości. Siadam na stołku, który posłusznie wykonuje pół obrotu. Popijam herbatę i wpatruję się w liścik doczepiony do kwiatów. Prosi, żeby go otworzyć. Wyciągam rękę, wydaję liścik z plastikowego uchwytu i wysuwam karteczkę z koperty. Są na niej narysowane balony, a pod spodem napis:

*Tęsknię za Tobą.  
Cauję, Lydia.*

Karteczka wypada mi z ręki i zatrzymuje się na blacie. Jej róg zaczyna mięknąć w wodnym okręgu pozostawionym przez szklankę z mrożoną herbatą. „Lydia” zamienia się w fioletową plamę. Pismo jest inne, niż zapamiętałam, ale może wcale nie należy do niej. Może to florystka napisała życzenia.

Dlaczego Lydia przysłała mi kwiaty bez okazji? Czy nie rozumie, że nadal każdego dnia prowadzę z nimi walkę na śmierć i życie? Że wciąż znajduję w pamięci gorzkie ślady naszej kłótni po procesie? Nie rozmawialiśmy od siedemnastu lat, od kiedy jej rodzina wyjechała tak po prostu, bez słowa. Kwiaty wydają się drwiną.

Gwałtownym ruchem wydaję bukiet z wazonu – przy okazji ochlapuję sobie spodnie – i otwieram przesuwne szklane drzwi prowadzące na podwórze za domem. Różowe gerbery i fioletowe orchidee lądują na kompostowym stosie pogrzebowym. Wazon zanoszę do pustego pojemnika na śmieci, który stoi przed podwójnym, przylegającym do ogrodzenia garażem. Utyskuję pod nosem, że Charlie powinna była schować pojemnik dwa dni temu.

Nie ma powodów do paniki. Ani podstaw, by sądzić, że to mój potwór przysłał te kwiaty i podpisał się imieniem Lydii. Otwieram furtkę prowadzącą do ogrodu z boku budynku, a właściwie na udający ogród wąski pas trawy. Z uchylonego okna sąsiadów dolatuje piskliwy głos SpongeBoba. To znaczy, że pedantyczni państwo prawnicy jeżdżący identycznymi sedanami marki Tesla wynajęli na dziś opiekunkę do dziecka.

Dawno temu nauczyłam się zwracać uwagę na to, co zwyczajne, i na to, co niecodzienne.

Dochodzić, co się kryje za pojedynczym dźwiękiem.

Skręcam za róg domu. Nikt nie posadził nowych rudbekii pod moim oknem. Ziemia jest wyrównana i uklepana, wygląda jak masa na ciasto



czekoladowe. Tyle że ja jej wcale nie wyrównywałam i nie uklepywałam.  
Poza tym zniknęła moja łopatką.

## Tessie w 1995 roku

– Gdybyś miała trzy życzenia, Tessie, to jak by one brzmiały? – pyta.

Najnowsza zabawa.

Zasłona zaprowadziła nas donikąd. Nie wiem, dlaczego ją rysowałam. Powiedziałam mu, że to po prostu zwyczajna zasłona. Wisi nieruchomo, jakby nie było wiatru. Dziś nie przyniosłam rysunków, a on nie poruszył tematu. W przeciwieństwie do innych lekarzy odkrył moje ograniczenia, ale i tak drażni mnie jak jeszcze nikt przed nim. Na przykład przed chwilą stwierdził, że powinniśmy umawiać się na te przesłuchania, które nazywa sesjami, dwa razy w tygodniu.

– Serio? – pytam. – Niech no się zastanowię. Mam powiedzieć, że chciałabym, żeby moja mama zeszła z puszystej chmurki i mnie przytuliła? Że nie chcę się czuć, jakbym mieszkała w jednym z wierszy Edgara Allana Poeego? Że wolałabym, żeby mój trzyletni kuzyn przestał pstrykać mi palcami przed nosem w przekonaniu, że robiąc to, w cudowny sposób przywróci mi wzrok? Że byłoby fajnie, gdyby ojciec znów zaczął krzyczeć na telewizor? Trzy życzenia to dla mnie o wiele za mało. Albo takie: chciałabym nie musieć odpowiadać na to durne pytanie.

– Czemu chcesz, żeby ojciec krzyczał na telewizor? – Nutka rozbawienia w głosie.

Trochę się odprężam. Nie wkurzył się.

– Bo kiedyś uwielbiał to robić. Wrzeszczał na Bobby'ego Witta, kiedy ten marnował rzut. A teraz siedzi przed ekranem jak zombie, nawet kiedy grają Rangersi.

– Sądzisz, że to przez ciebie?

Odpowiedź na to pytanie jest dla mnie oczywistą oczywistością.

Żałuję, że spotkałam na swej drodze Roosevelta. Gdybym go nie znała, nie kupowałabym mu snickersów, więc dwudziestego pierwszego czerwca 1994 roku nie wychodziłabym ze sklepu o dwudziestą zero trzy. Wolałabym, żeby tak bardzo nie zależało mi na wygrywaniu.

– Ciekawe, że wspominasz o Poem. – Idziemy dalej.

Nie, zatrzymajmy się na tym.

– Dlaczego?

– Ponieważ większość osób, które doznały urazu psychicznego i które siadają na tej kanapie, porównuje swoje doświadczenia do różnych

składowych współczesnej popkultury. Do horrorów. Seriali kryminalnych. Często pada nazwisko Stephena Kinga. Ludzie odnoszą się do Lennona i McCartneya i tak dalej. Kiedy zaczęłaś czytać Poego?

Wzruszam ramionami.

– Po śmierci dziadka. Odziedziczyłam po nim mnóstwo książek. Razem z moją najlepszą przyjaciółką mocno się wkręciłyśmy w lekturę. Tamtego lata przeczytałyśmy też *Moby Dicka*, więc nie rozmawiajmy już o tym, dobrze? Bo to nic nie znaczy. Zanim... to się wydarzyło, byłam pogodną dziewczyną. Nie skupiamy się na czymś, co nie ma żadnego znaczenia.

– Poe przez całe życie bał się zostać pochowanym za życia. – Pan doktor nie odpuszcza. – Wskreszenie nieżyjących. Jego matka umarła, kiedy był bardzo małym chłopcem. Nie sądzisz, że to może być coś więcej niż tylko przypadkowa zbieżność?

Czuję się, jakbym dostała obuchem w głowę. Skąd on to wie? Już zaczęłam uważać go za idiotę, a tu proszę – zaskoczenie! Więc jednak do czegoś zmierzał.

– Czy chcesz mi o tym opowiedzieć? – pyta.

Oscar wybrał akurat ten moment, żeby zmienić pozycję. Wstaje i znów się kładzie, przy okazji przejeżdża językiem po moim gołym kolanie. Ciocia Hilda bez sensu wciąż go strofuje: „Nie wolno lizać! NIE WOLNO lizać!”, ale ja uwielbiam ten jego jęzor. Mam wrażenie, jakby do mnie mówił: „Śmiało, daj mu szansę. Chciałbym, żebyś jeszcze kiedyś rzuciła mi frisbee”.

– Dziewczyna, studentka z Uniwersytetu Wschodniego Teksasu... Merry, Meredith, nieważne – mówię z wahaniem. – Żyła, kiedy wrzucili nas do tego grobu. *Rozmawiała* ze mną. Pamiętam ją i taką, i taką. Żywą i martwą.

Miała tęczówki jak niebieskie brylanty i jak matowe morskie szkło. W kącikach jej oczu mrowiły się czerwie, wyglądały jak niespokojne ziarenka ryżu.

Milczy. Zdaje sobie sprawę, że się tego nie spodziewał.

– Od policji zapewne usłyszałaś, że to niemożliwe – mówi powoli. – Że już nie żyła, kiedy zostałyście umieszczone w grobie. Że najprawdopodobniej była martwa od wielu godzin.

Widzę, że starannie przestudiował dokumentację mojej sprawy.

– Tak. Ale tam, na polu, *żyła*. Była miła. Czułam na twarzy jej oddech. Śpiewała. Pamięta pan, że należała do chóru kościelnego? – Błagam go, żeby mi uwierzył, dlatego wyjawiam tylko to, co najmniej szalone. – Powiedziała mi, jak miała na imię jej matka. Zdradziła mi imiona matek wszystkich pozostałych.

Chciałabym móc je sobie przypomnieć.

## Tessa obecnie

Czekam na wybuch porannej bomby. Albo na to, że okaże się niewypałem. Zaparzyłam kawę, posmarowałam masłem kromkę chlebka bananowego z bulgurem, wysłuchałam ryku muzyki, kiedy Charlie brała prysznic, zrobiłam niezobowiązujący szkic aplikacji do tutu i pomyślałam, że ja to mam szczęście.

Bo naprawdę je mam, pozory mogą mylić. Jeśli zapomnę, Kwiaty przypominają mi o tym zgodnym chórem. A chlebek, nawiasem mówiąc, nie jest taki zły.

– Mamo! – Słyszać wrzask Charlie z jej pokoju. – Gdzie moja niebieska koszulka?

Zastaję ją w bieliźnie i z mokrymi włosami, które wyglądają jak niewyżęty czerwony mop. Przetrzęsa swój pokój, króliczą norę pełną brudnych ciuchów.

– Która koszulka? – pytam cierpliwie.

Charlie ma dwa stroje do ćwiczeń i cztery stroje na mecze. Wszystkie były rzecz jasna „niezbędne”, kosztowały razem czterysta trzydzieści pięć dolarów, a trzy z nich, jak dla mnie, wyglądają identycznie.

– No niebieska, nie słyszałaś? Dzisiaj gramy mecz towarzyski. Muszę ją mieć, bo inaczej trener każe mi biegać. Może nawet cała drużyna będzie przeze mnie biegała.

Trener. Nazwisko zbędne. Jak Bóg.

– Wczoraj wyrzucił Katlyn z treningu, bo zapomniała czerwonych skarpet. Ale wstyd! Zapomniała tych skarpet, bo jej mama je uprała i przypadkowo odłożyła do rzeczy brata Katlyn – który gra w Red Socksach<sup>6</sup>. No proszę cię!

Wyciągam coś niebieskiego spod sterty ciuchów na podłodze.

– To to?

Charlie leży na plecach z rozrzuconymi ramionami na nieposłanym łóżku i chyba dochodzi do wniosku, że jej świat właśnie się kończy. Wyciąga szyję i patrzy w moją stronę. Zwracam uwagę na jej stojący na biurku rozbebeszony, nierozpakowany plecak i otwartą na zadaniu domowym książkę do biologii. Cyfrowy budzik na komodzie pokazuje, że Charlie ma jeszcze dziewiętnaście minut, zanim moja koleżanka Sasha i jej córka przyjadą, żeby zabrać ją do szkoły.

– No gdzie, mamo! Chodzi o koszulkę z *białym* numerem i tym takim

fajnym wykończeniem u dołu. Tę na *treningi*.

– Rzeczywiście. Wybacz, że nie przeczytałam tego w twoich myślach. Szukałaś w pralce? Albo w suszarce? W samochodzie pod siedzeniem?

– Dlaczego *akurat mnie* się to przytrafia?

Wpatruje się w sufit. Nie rusza się.

Mogłabym powiedzieć: „Z mojej strony to tyle. Powodzenia”, i wyjść. Gdybym ja zadała światu to samo pytanie, mając szesnaście lat, taki *trener* wydałby mi się niczym więcej jak muchą, którą należy potraktować packą. Trudno uwierzyć, że miałam wtedy raptem dwa lata więcej niż Charlie teraz.

Pozytywny skutek wylądowania w grobie? Zmiana punktu widzenia.

Patrę zatem przez pryzmat dzisiejszego poranka: zbliżający się sprawdzian z przedmiotów ścisłych, wredny trener, któremu przydałoby się szkolenie z pracy z dziećmi, no i jeszcze tampon, na który nadepnęłam – i wszystko jasne.

Przyglądam się leżącej na łóżku rozjuszony tygrysicy w sportowym biustonoszu w zebnę – tej samej tygrysicy, która w każdy niedzielny wieczór przeistacza się w dziewczynkę dobrowolnie odwiedzającą Pannę Effie i pomagającą jej poukładać lekarstwa w pojemniku z szufladkami na poszczególne dni tygodnia. Tej samej, która w zeszłym tygodniu przez jeden dzień udawała, że strasznie boli ją kostka, po to, aby rezerwowa rozgrywająca w jej drużynie siatkówki mogła wyjść na boisko w swoje urodziny. „To był naprawdę miły gest z twojej strony – powiedziałam jej, kiedy w końcu przyznała się, dlaczego już nie potrzebuje zimnych okładów. – Ale nie wiem, czy to był dobry pomysł”. Charlie jak zwykle przewróciła oczami. „Mamo, czasem nie można stać z założonymi rękami. Trener w życiu nie pozwoliłby jej zagrać. Kiedy za mnie weszła, dziewczyny od razu zdobyły trzy punkty. Ona jest równie dobra jak ja, tylko o pięć centymetrów niższa”. Nie potrafię zliczyć, ile razy Charlie uraczyła mnie odrobiną swojej powściągliwej mądrości.

– Wysusz włosy, ubierz się i spakuj – zarządzam. – Masz kwadrans z małym okładem. Znajdę tę koszulkę.

– A jak nie znajdziesz? – mówi, ale wstaje z łóżka.

Osiem minut później wyciągam koszulkę zza kosza na brudną bieliznę. Biała dziesiątka na plecach, prawie niewidoczna lamówka na dole. Silny zapach potu i dezodorantu. Widocznie Charlie wbrew sobie umieściła koszulkę tam, gdzie jej miejsce. Nic dziwnego, że nie mogła jej znaleźć.

Wkładam zgubę do stojącej przy drzwiach sportowej torby i upewniam się, czy Charlie zapakowała czerwone skarpety. Rozlegają się dwa krótkie

dźwięki klaksonu.

Zjawia się Charlie.

– I co? Masz ją?

– Aha.

Charlie wygląda tak doskonale, że aż boli. Wilgotne loki, których nie tknęła prostownica, przypominają ogniki. Użyła tylko błyszczyka do ust, czym podkreśliła piegi. Ma na sobie džinsy, zwykłą białą koszulkę i wisiorek ze Świętym Michałem, którego nigdy nie zdejmuje. Rok temu na gwiazdkę dostała go od ojca. Wisiorek jest wykonany według projektu pracowni Jamesa Avery’ego, króla gustownych chrześcijańskich akcesoriów, który zaczął w 1954 roku od sprzedawania swoich wyrobów w garażu w Texas Hill Country, a dziś, sześćdziesiąt lat później, jego biżuteria jest anielsko piękna i diabelnie droga.

Dla Charlie jednak ten kawałek metalu, który wyszedł z fabryki w Kerrville, nie stanowi symbolu statusu. Jest raczej talizmanem, dowodem na to, że tatuś, uosobiony w wiszącym na łańcuszku, dzierżącym miecz świętym, ją obroni. Wszystkich nas obroni. Lucas zawsze nosił ten amulet, który dostał od matki, kiedy po raz pierwszy wyjeżdżał na wojnę.

– Możesz iść – mówię. – Wyglądasz naprawdę ładnie. Powodzenia na sprawdzianie.

Zarzuca torbę na ramię i spogląda na leżące na stoliku przy drzwiach śniadanie, które dla niej przygotowałam.

– Nie ma mowy, nie wezmę kanapek z *bułgarem*.

Łapie baton z granolą i banana i wkłada je do bocznej kieszeni plecaka.

Znowu trąbienie. Effie już na pewno stoi w oknie salonu.

– Do kitu ten dzień. – Charlie otwiera drzwi i wychodzi, pozostawiając za sobą atmosferę pełną napięcia i chaotyczny szlak prowadzący z łazienki do jej pokoju.

Przytrzymuję siatkę w drzwiach tak, żeby nie trzasnęła, i macham do Sashy, której twarz skrywa się w jaskrawym odblasku słońca na przedniej szybie znajomego niebieskiego minivana. Szkło jest czarne, nieprzeniknione. Nie wiem, czy Sasha odwzajemnia gest.

Nie znaczy to, że muszę od razu pobiec sprawdzić, czy nie leży przypadkiem na ulicy albo pod dębem, niewidoczna i zakrwawiona, bo ktoś wyciągnął ją z auta, kiedy cierpliwie czekała na Charlie. I czy za kierownicą nie siedzi obcy – trzymając w bagażniku wszystkie ukradzione Effie rydle – który chce zabrać mojego ognistego anioła do piekła.

Zamykam drzwi i opieram się plecami o gładkie, chłodne drewno. Biorę

głęboki wdech. Mam nadzieję, że inne, normalniejsze matki miewają podobne niedające się opanować myśli o bezpieczeństwie swoich dzieci.

Zawijam w folię wzgardzoną przez Charlie kromkę chleba od Effie, suto posmarowaną truskawkowym serkiem śmietankowym, i chowam ją do lodówki. Może będzie na lunch. Myję kubek po kawie i odstawiam na ociekacz.

Przez kolejne dziesięć minut ciszę przerywa nieregularny warkot maszyny do szycia. Naciskam pedał stopą. Palcami obracam kawałek atłasu. Przeszyć. Zatrzymać. Przeszyć. Zatrzymać. Dźwięki dzieciństwa sprzed śmierci mamy.

To nie jest odgłos rzeźnia kości piłą.

Ścieg, który wychodzi spod igły, jest prosty, doskonały – zupełnie inny niż moje myśli, te bowiem przeskakują niekontrolowane do miejsc, w których *on* posadził rudbekie. Na chwilę zamykam oczy i ścieg zbacza z wyznaczonej trasy jak wykolejony pociąg.

Lista, którą sporządziłam przed dwoma dniami, jest przyklejona do dna szuflady z warzywami. Zachowuję się jak Panna Effie.

Czterdzieści pięć minut później naciskam pedał gazu w moim jeepie.

Wiele razy wracałam do tego miejsca, jeszcze długo po tym jak rozeszły się nasze drogi. Może po cichu liczyłam, że Lydia też to robi.

W końcu przestałam.

Jest inne, a zarazem takie samo. Po pomarszczonej tafli pływają kaczki. Bez celu. Czekają, aż do stawu wpadnie pierwsza skórka od chleba.

Zaparkowałam samochód na poboczu. Stoi samotny. Z Lydią przyjeżdżałyśmy tu przeważnie autobusem, z przystanku Hemphill na Zachodnią Siódmą Ulicę.

Nie słychać odgłosu moich stóp. Mniej więcej w tym miejscu nabierały prędkości, szykowały się do startu.

Kiedy szłyśmy tą ścieżką, Lydia na przemian nawijała po swojemu i wybuchała śmiechem. Mówiła, jaką książkę zabrała oprócz starego, miękkiego zielonego koca myśliwskiego swojego taty i puszki letniego dietetycznego Dr. Peppera.

*Nieznośna lekkość bytu.*

*Diana. Moja historia.*

Słaby wietrzyk wprawia rośliny w drżenie. Słysząc szelest. Połowa liści na wiązowcach i hikorach wciąż nie może się zdecydować, czy jest zima, czy jej nie ma. Kiedy chadzałyśmy tędy z Lydią, gęsto rosnące drzewa były tak bujne, że zasłaniały prażące słońce i wyglądały jak naradzający się piłkarze,



niosły mroczną, intymną pociechę, którą potrafi zrozumieć chyba tylko mieszkaniec Południa.

Gdyby ktoś mnie teraz zobaczył, pomyślałby, że coś knuję. Gdyby było dwie godziny później, w powietrzu latałyby rzucane przez dzieci skórki od chleba, a rodzice braliby za ręce swoje pociechy i usuwali je z drogi dziwnej kobiety, która paraduje z zardzewiałą łopatką. Może nawet ktoś pierwszy raz w życiu zadzwoniłby na policję.

W takich chwilach zastanawiam się, czy ta osoba postąpiłaby słusznie. Czy raptem dwie albo trzy komórki mózgowe mogą zdecydować o tym, że powinnam dołączyć do kobiety mieszkającej przy torach w namiocie skleconym z czarnych worków na śmieci i starych kijów do szczotki.

Właśnie dlatego przyjechałam tu sama. Bez Jo, która z miejsca zabrałaby się do zabezpieczania dowodów. Bez Billa, który martwiłby się, że nie zabraliśmy ze sobą Jo. Jestem przy zdrowych zmysłach i nie jestem – i nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział.

Jak brzmiał ten cytat z Poego, który tak bardzo podobał się Lydii? „Dostałem obłądu z długimi przerwami pełnymi potwornej poczytalności”.

Kaczki i staw zostawiłam daleko w tyle. Słyszę szum oceanu. Oczywiście, że to nie ocean. Tylko tak udawałyśmy z Lydią, zamykając oczy. Najprostszym sposobem dostania się stąd do oceanu jest popłynięcie rzeką Trinity, która wije się przez park po drugiej stronie i pokonuje setki kilometrów, aż do Galveston. *La Santísima Trinidad* – Najświętsza Trójca. Tak ją ochrzcił Alonso De León w 1690 roku.

„Poczucie miejsca” – mówi Effie.

Zaczynam liczyć filary. Jeden, drugi, trzeci, czwarty. Piąty. Ocean mam teraz nad sobą. Idę dalej, w kierunku czerwonej krowy w spiczastej czapce. Coś nowego.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że to jednorożec, a nie głupia krowa. Dotrzymująca mu towarzystwa syrena ma rude włosy, takie jak ja i Charlie, które spływają jej na ramiona. Jej jasnozielony ogon unosi się w wodzie pełnej ryb o zadartych niegroźnych pyszczkach. Pokój, miłość, zrozumienie.

Wieki temu, kiedy z Lydią rozkładaliśmy koc pod piątym filarem mostu przy Lancaster, nie było tu tej optymistycznej sztuki. Dziś dziecinne graffiti pokrywa każdy centymetr betonowej przestrzeni. Kiedyś filary były upačkane paskudną zieloną farbą i oplecione pnącymi chwastami, które tak niewiele potrzebowały do życia.

Nad głową szum i dudnienie samochodów pędzących po moście.

Znajomość tajemnego podziemnego świata.

Elektryzujący strach, że cały ten dudniący chaos może w każdej chwili zwalić się nam na głowy, ale pewnie nic takiego się nie stanie.

Obawa przed tym, co może się czaić w pobliskim leśnym gąszczu.

Nic się nie zmieniło. Nic a nic.

Przyglądam się spękanej, wysuszonej ziemi pod gigantyczną stalowo-betonową konstrukcją. Wciąż bezlitosna, nadal twarda i surowa. Nie posadził rudbekii pod mostem przy piątym filarze, tam gdzie spotykałam się z Lydią po treningach na krętych trasach biegowych. Posadził je *tutaj*, kilka metrów dalej, pod rozłożystym wiązem na skraju lasu. Pojawiły się o tej porze roku, kiedy normalnie kwitną rudbekie, więc nie mogłam być pewna. Nie wróciłam tu po tym, jak je znalazłam. Miałam wtedy dwadzieścia cztery lata i od siedmiu lat nie utrzymywałam kontaktu z Lydią.

Szelest za plecami. Natychmiast się odwracam. Zza filaru wychodzi jakiś mężczyzna. Poprawiam uchwyt na trzonku szpadla, który staje się moją bronią.

To nie mężczyzna. Jest co prawda wysoki i chudy, ale ma nie więcej niż czternaście lat. Chłopak. Błada skóra, workowate dzinsy, wyblakła koszulka z Jackiem Johnsonem. Na ramieniu czarny plecak, właściwie plecaczek. Na pasku kabura w pustynnym kamuflażu, w niej komórka. W prawej ręce chłopak trzyma wykrywacz metalu – tak, to na pewno wykrywacz.

– Nie powinieneś być w szkole? – rzucam.

– Uczę się w domu. Co pani tu robi? Tu nie wolno wykopywać roślin. To teren parku. Można tylko przycinać odnóżki.

– Wobec tego czy nie powinieneś być w domu? I uczyć się? Twojej mamie raczej by się nie spodobało, że zapuszczasz się na tę stronę parku. – Trochę się uspokajam.

– Zbieram okazy. Jest Dzień Botaniki czy coś. Mama została nad stawem z moją siostrą. Uczy ją o kaczym wzroku. Bo kaczki widzą jakieś, nie wiem, cztery razy dalej niż my.

Jego matka znajduje się niedaleko. Matka, która sama uczy swoje dzieci i która zapewne wielokrotnie w przeszłości dzwoniła na policję. Nie zależy mi na zwracaniu na siebie jej uwagi.

Nie zauważam przy nim żadnych rzekomo zbieranych okazów.

– Nie wiedziałam, że botanicy używają wykrywaczy metali – mówię.

– Dobrze. – Przygląda mi się, obgryzając paznokieć. – To po prostu bardzo stary szpadel.

Nie odchodzi.

– Co pani robi? – powtarza.

– Szukam czegoś, co... ktoś mógł zostawić dla mnie, kiedy byłam młodsza. Nigdy w życiu nie ośmieliłabym się kraść roślin w takie święto.

Błąd. Zbyt przyjazny ton. Za dużo szczerości. Pierwszy błysk zaciekawienia w oczach chłopca. Poprawia brązowy kucyk, tak żebym mogła go zobaczyć. Ładny z niego chłopak. Byłby nawet przystojny, gdyby inaczej układał usta.

– Pomóc pani? To coś jest metalowe? Pierścione? Mogę sprawdzić. Nie uwierzy pani, co można znaleźć w parku. – Już jest przy mnie, praktycznie depta mi po piętach, bardzo chce się przydać. Czerwone światełko na jego urządzeniu miga. Zaczyna przesuwac detektorem po mojej nodze. Potem po drugiej. Kieruje się wyżej.

– Ej, przestań. – Odskakuję.

– Przepraszam. Chciałem się upewnić, że nie ma pani broni. Noża, pistoletu. Nie uwierzy pani, jakich ludzi można tu spotkać.

– Jak się nazywasz? – pytam.

Serce mi wali, ale jestem prawie pewna, że ta jego maszynka nie dotarła na tyle wysoko, by zakłócić pracę metalowego mechanizmu w mojej piersi.

Zaczynam się zastanawiać nad tą historią o matce i siostrze. I uczeniu się w domu.

– Carl – odpowiada powoli. – A pani?

– Sue – kłamię.

Chłopak najwyraźniej dochodzi do wniosku, że teraz, skoro poznaliśmy już swoje imiona, działamy jakby w zмовie, i z miną zawodowca przesuwac wykrywaczem nad miejscem, w którym widać odciski moich stóp na podeptanym zielsku.

– Tutaj? – pyta.

– Mniej więcej. Chciałam wykopać dołek pół metra na pół metra.

„Jak się z tego wyplatać?” – myślę. „Jeśli sobie pójdę, na pewno sam zacznie szukać”.

– Chodzi o coś, co zostawił pani... dawny chłopak?

Przechodzi mnie dreszcz.

– Nie, nie chłopak.

– Nie brzęczy, czyli nic tu nie ma. – Sprawia wrażenie zawiedzionego. – Chce pani, żebym pokopał?

Świetnie. Stałam się atrakcją Dnia Botaniki.

– Nie, sama to zrobię. Przyda mi się trochę ruchu. Ale dzięki.

Opiera się o drzewo i zaczyna pisać esemes. Oby nie o mnie. Po kilku minutach odchodzi, nie mówiac „do widzenia”.

Przez pół godziny przebijam się przez plataninę starych jak świat korzeni.

Patrzę na swoje dzieło: głęboki na około trzydzieści centymetrów dół wielkości mniej więcej połowy dziecięcego łódeczka.

Carl miał rację.

Nic tu nie ma.

Zastanawiam się, czy mnie obserwuje. Nie Carl. Mój potwór.

Wciąż na klęczkach, zaczynam pospiesznie wypełniać dół czarną, sypką ziemią. Wygląda jak grób zwierzęcia.

Sygnał telefonu. Niewinny dźwięk, ale serce i tak podjeżdża mi do gardła.

Esemes od Charlie.

*Przepraszam ze tak marudzilam J*

Zaliczyła sprawdzian z biologii.

Chowam telefon do kieszeni i wchodzę w głęboki cień rzucany przez most. Myślę o dwóch dziewczynkach, które słuchały warkotu samochodów i wyobrażały sobie ocean. Dziewczynkach, które nie miały nic lepszego do roboty niż sprzeczać się o to, czy *Park Jurajski* mógł się zdarzyć naprawdę, i wychwalać zalety sieci Sonic, bo sprzedawała bez dwóch zdań najlepszy lód do ssania. Wszystko to, rzecz jasna, zanim jedna z nich wpadła do dziury, a druga próbowała ją stamtąd wyciągnąć.

Pora zrobić krok naprzód.

Kiedy docieram do stawu, zauważam kobietę klęczącą obok dziewczynki w różowym bereciku. Dziecko pokazuje palcem parkę wpatrujących się w nie kaczek.

Kobiecy okrzyk zachwytu rozchodzi się po stawie i przyciąga kolejne kaczki, które płyną, marszcząc wodę. Widzę rozłożony stary patchworkowy koc. I niebieską lodówkę turystyczną.

Nie widzę za to Carla.

## Tessie w 1995 roku

Plecie trzy po trzy.

Bła, bła. Ple, ple.

Okazuje się, że doświadczanie zjawisk paranormalnych po takim *wydarzeniu* nie jest niczym nadzwyczajnym.

Inni też rozmawiają ze zmarłymi. To nic takiego. Pan doktor nie mówi tego wprost, ale z jego słów wynika, że jestem banalna.

– Ze zjawiskami paranormalnymi możemy mieć do czynienia w trakcie wydarzenia – mówi. – Albo po nim.

*Wydarzenie*. Tak jakby chodziło o ślub w rodzinie królewskiej albo mecz drużyn uniwersyteckich stanów Teksas i Oklahoma.

– Osobom, które przeżyły – ciągnie – czasem wydaje się, że ci, którzy stracili życie w trakcie wydarzenia, porozumiewają się z nimi.

Jeśli jeszcze raz powie „wydarzenie”, zacznę wrzeszczeć. Powstrzymuje mnie jedynie Oscar – śpi i nie chcę go wystraszyć.

– Jedna z moich pacjentek była świadkiem śmierci swojej przyjaciółki podczas pływania na dętce. Przeżycie okazało się dla niej tym większym koszmarem, że nie znaleziono ciała dziewczyny, która się utopiła. Pacjentka była przekonana, że przyjaciółka poszła do nieba i stamtąd steruje jej życiem na ziemi, na przykład decyduje o zwyczajnych rzeczach, choćby o tym, czy będzie padał deszcz. Osoby, które znalazły się w podobnych okolicznościach jak ty, zaczynają widzieć duchy w biały dzień. Potrafią przewidywać przyszłość. Wierzą w znaki. Bywa to tak silne, że niektórzy nie są w stanie wyjść z domu.

„W podobnych okolicznościach”? I on to mówi z kamienną twarzą? Nie, na pewno uśmiecha się pod nosem. I nie, trzymanie mojej głowy pod wodą, pośród splątanych żyłek wędkarskich, ludożerczych pniaków i unoszonych z prądem jedwabistych włosów innej dziewczyny nie jest dobrym pomysłem. Tata Lydii często ostrzega nas przed tym, co kryje się w odmętach jeziora. Każe nam wkładać drapiące kamizelki ratunkowe z nylonu, choćby było czterdzieści stopni w cieniu i nieważne, że pocimy się i marudzimy.

– Jakiś idiotyzm, to z deszczem – mówię. – Nie oszalałam. To się naprawdę wydarzyło. Znaczący, wiem, że się zdarzyło. Odzywała się do mnie.

Czekam, aż to powie. „Uważam, że tylko ci się wydaje, Tessie”. Z naciskiem na „uważam”. Z naciskiem na „wydaje”.

Nie mówi tego.

– Jak myślisz, była żywa czy martwa, kiedy z tobą rozmawiała?

– Żywa. Martwa. Nie wiem. – Waham się i zastanawiam, jak daleko mogę się posunąć. – Pamiętam, że miała intensywnie niebieskie oczy, ale w gazecie napisali, że były brązowe. Z tym że w moich snach czasem zmienia się ich kolor.

– Często miewasz sny?

– Nie za bardzo. – Tego tematu nie pociągniemy.

– Powiedz, co dokładnie usłyszałaś od Meredith.

– Od Merry. Jej matka nazywa ją Merry.

– W porządku, od Merry. Jak brzmiały jej pierwsze słowa, kiedy leżałyście w grobie?

– Powiedziała, że jest głodna. – Nagle czuję w ustach smak zwiędniętych orzeszków ziemnych. Przesuwam językiem po zębach, staram się nie dopuścić do ataku nudności.

– Czy dałaś jej coś do jedzenia?

– To nieważne. Nie pamiętam.

Mój Boże, mam wrażenie, jakbym umyła zęby masłem orzechowym. Czuję, że zaraz zwymiotuję. Wyobrażam sobie przestrzeń dokoła mnie. Jeśli zwrócę się w bok, obryzgam skórzaną kanapę. Jeśli w dół, trafię w Oscara. Jeżeli prosto przed siebie – wszystkie chwytaki dozwolone – dostanie pan doktor.

– Merry martwiła się tym, że jej mama będzie się o nią niepokoiła. Zdradziła mi jej imię: Dawna. Pisane przez „a” i „w”. Pamiętam, że rozpaczliwie pragnęłam dotrzeć do matki Merry. Chciałam wydostać się stamtąd, żeby powiedzieć jej, że Merry jest bezpieczna. Ale nie mogłam się ruszyć. Ani głową, ani nogami, ani rękami. Jakby przygniotła mnie ciężarówka.

Nie wiedziałam, czy Merry żyje, i sama byłam martwa.

– Chodzi o to, że wiem, jak się pisze imię jej matki – upieram się. – „Dawna”, nie „Donna”, chociaż wymawia się tak samo. No więc to się musiało naprawdę wydarzyć, bo inaczej skąd bym wiedziała?

– Tessie, posłuchaj, muszę cię o coś zapytać. Wspomniałaś o gazecie. Czy ktoś czytał ci relacje prasowe?

Nie odpowiadam. Lydia miałaby przez to kłopoty u ojca. U prawników pewnie też, bo chcą, żebym zeznawała „nieskażona” szumem medialnym. Słyszałam, jak jeden z asystentów powiedział: „Jeśli będziemy musieli, sprawimy, że jej ślepotą zadziała na naszą korzyść”.

Nie chcę, żeby zabrali Lydię.

– Niewykluczone, że dokonałaś przesunięcia w czasie – mówi pan doktor. – Że rzeczywiście znasz imię matki Merry i wiesz, jak się je pisze, ale poznałaś je dopiero po fakcie.

– Czy to też typowe? – Sarkazm.

– Częste, owszem.

Odhacza wszystkie punkty na liście kontrolnej małej wariatki. Zdobywam sto punktów.

Ze wściekłością stukam czubkiem buta o nogę stołu. Stopa ześlizguje się i przypadkiem trafia w Oscara, który wydaje ciche skomlenie. Przez ten miesiąc chyba nic nie zabolalo mnie tak bardzo, jak ta psia skarga. Pochyliłam się i dotykam policzkiem jego futra. Przepraszam, bardzo przepraszam. W odpowiedzi Oscar przesuwając językiem po mojej ręce, bo wyżej nie sięga.

– Moja Wiecznie Zapracowana Mama Jutro Sama Upiecze Nam Placek – mruczę Oscarowi do ucha, przytulając policzek do jego ciepłego ciała. Uspokajam go. Uspokajam samą siebie.

– Tessie. – Troska w głosie. Już się nie uśmiecha. Wydaje mu się, że przesadził.

Chichoczę rzeczywiście jak pomylenie. Dziwne, bo dziś naprawdę czuję się całkiem nieźle. Mam tylko wyrzuty sumienia, że kopnęłam Oscara.

Podnoszę głowę, Oscar na powrót układa się na moich stopach. Wali mnie ogonem po nodze. Już dobrze. Jest spokojny. Jesteśmy spokojni.

– To taki środek mnemotechniczny – mówię. – Żeby łatwiej zapamiętać kolejność planet.

– Nie rozumiem.

– Merkury, Wenus, Ziemia, Mars... Moja Wiecznie Zapracowana Mama...

– Ach, faktycznie. Ale co to ma wspólnego z Merry? – Doktor sprawia wrażenie poważnie zaniepokojonego.

– Merry uznała, że powinnyśmy wymyślić jakiś kod, dzięki któremu będę mogła zapamiętać imiona matek pozostałych Kwiatów. Żebym mogła je odnaleźć. I powiedzieć, że u ich córek wszystko w porządku.

– I ten kod miał związek z... planetami?

– Nie – odpowiadam zniecierpliwiona. – Kiedy byłam w grobie, powtarzałam to ciągle, wie pan, żeby nie zwariować. Żeby nie stracić przytomności. Wszystko wokół mnie jakby... wirowało. Widziałam gwiazdy i w ogóle. – Księżyc i jego wąski uśmiech. „Nie poddawaj się”. – No więc Merry wymyśliła takie zdanie, żebym nie zapomniała imion pozostałych matek. Żebym nie zapomniała. N, U, S. Dla każdej po literce. Nasze Ulubione Słowa albo coś w tym stylu. Na pewno były tam „słowa”. Przetawiałam litery,

żeby wyszło prawdziwe słowo: SUN. Słońce.

Znowu milczy jak porażony.

– Jak brzmiały imiona pozostałych matek?

– Nie pamiętam. Jeszcze nie pamiętam. – Czuję ból, kiedy wypowiadam te słowa na głos. – Pozostały mi tylko trzy litery. S, U, N. Ale pracuję nad tym.

Uparłam się. Co wieczór, leżąc w łóżku, próbuję dopasować imiona. Najgorzej idzie mi z U. Ursula? Uni? Nie zawiodę Merry. Odnajdę matki wszystkich Kwiatów.

Pan doktor zastanawia się nad tym, co usłyszał.

Już nie jestem taka banalna.

– Oprócz ciebie i Merry w grobie znaleziono szczątki dwóch, nie trzech dziewczyn – mówi w końcu, jak gdyby logika miała z tym cokolwiek wspólnego.



## Tessa obecnie

Nasza trójka ledwo się mieści w gabinecie doktor Joanny Seger. Spodziewałam się czegoś zupełnie innego po gwiazdzie nauki. Z wielkiego okna roztacza się cudowny widok na panoramę Fort Worth, ale Jo siedzi przodem do drzwi. Wita żywych w swoich progach. Na czarnym, nowoczesnym biurku, które zajmuje niemal cały pokój, leżą sterty dokumentów i czasopism branżowych. Przypomina mi się biurko Angie w podziemiach kościoła – tam też pasja wygrywała z porządkiem.

Z chaosu wyłania się potężny komputer z oprogramowaniem wartym sto tysięcy dolarów. Na monitorze o wysokiej rozdzielczości wyświetla się wzorek z żółtozielonych i czarnych kodów kreskowych. To jeden z niewielu akcentów kolorystycznych w tym pomieszczeniu – pozostałymi są wyszczerzone meksykańskie maski pośmiertne i kościotrup panny młodej, który łypie z półki niczym makabryczna Barbie. Meksykanie, niech im będą dzięki, nigdy nie byli przesadnie wrażliwi, jeśli chodzi o śmierć, zawsze mieli do niej mocno realistyczny stosunek. Myślę, że to odpowiada Jo.

Boję się podejść bliżej i przyjrzeć przedmiotowi, który przypomina serce umieszczone w szklanym pojemniku, bo jestem prawie pewna, że to naprawdę serce umieszczone w szklanym pojemniku. Zostało jakimś sposobem zakonserwowane tak, że przybrało odcień kitu. Patrzę na jego mętny połysk i przypomina mi się wycieczka do Dallas, na którą pojechaliśmy z Charlie, żeby obejrzeć wystawę Body Worlds. Pokazywano tam ciała nieboszczyków poddane plastynacji polimerami po to, abyśmy mogli podziwiać złożoność ludzkiego wewnętrznego piękna. Charlie przez tydzień miała koszmary po tym, jak się dowiedziała, że twórcy tej kosztującej wiele milionów dolarów wystawy prawdopodobnie wykorzystali ciała straconych chińskich więźniów.

Zdecydowanie, ale to absolutnie nie chcę wiedzieć, skąd wzięto się to serce.

Na ścianach mnóstwo listów pochwalnych i wyróżnień. Czy to podpis prezydenta Busha?

Bill mnie ignoruje, sprawdza e-maile na telefonie. Tak daleko odsunął krzesło od biurka, żeby zmieścić nogi, że siedzi prawie w drzwiach. Sama mocno przyciskam kolana do blatu od spodu; pewnie już zrobiły się różowe pod bawełnianą spódnicą.

Tu rządzi Jo. Czekamy.

Zajmuje wnekę po drugiej stronie biurka. Siedzi z telefonem przy uchu. Zanim zadzwonił, zdążyła powiedzieć tylko: „Usiądźcie, proszę”.

– Aha – mówi po kilku minutach uważnego słuchania. – Świetnie. Dajcie znać, kiedy skończycie.

– Bardzo dobre wiadomości – oznajmia, odkładając komórkę. – Udało nam się wyodrębnić mitochondrialne DNA ze szczątków dwóch dziewczyn. Konkretnie z kości udowych. Jeśli chodzi o czaszkę, mieliśmy mniej szczęścia. Ale spróbujemy ponownie, tym razem też z kością udową, choć jest w naprawdę kiepskim stanie. W każdym razie nie poddajemy się, znajdziemy odpowiednią kość. – Wahanie. – Postanowiliśmy również pobrać DNA z innych kości. Chcemy wykluczyć możliwość pomyłki.

Nie mogę o tym myśleć. Więcej dziewcząt. Już teraz głośna kakofonia Polnych Kwiatów jest nie do wytrzymania.

Mogę za to wyrazić podziw dla nieustępliwości Jo. Mój iPad nie narzeka na brak zajęcia, od kiedy byłam świadkiem obrabiania szczątków. Dla mieszkańców Fort Worth ten nowoczesny zakład medycyny sądowej jest być może pilnie strzeżoną tajemnicą, ale nie jest nią dla kogoś, kto zajmuje się zwalczaniem przestępczości. Budynek wystaje z terenu ośrodka Camp Bowie niczym srebrny kadłub statku i skrywa ponure skarby: dziecięce zęby, czaszki, kości udowe i żuchwy, które przysłano z odległych stanów bądź zza oceanu z nadzieją, że może tym razem próba identyfikacji zakończy się powodzeniem. Ten zakład odnosi sukcesy tam, gdzie inni nie dają rady.

– To świetnie, Jo. – W głosie Billa słyszę zarazem zmęczenie i ulgę.

Ten ton przypomina mi, że Bill każdego dnia jedną ręką pcha pod górę wózek pełen cegieł, a drugą ciągnie mnie za sobą. Dziś rano niechętnie zgodziłam się na spotkanie z „ekspertem”, który ma przestudiować rysunki nastoletniej Tessie. Korekta planu, w postaci wizyty u Jo, wynikła w ostatniej chwili, ale była mi na rękę. Przynajmniej mogę wziąć kilka głębszych oddechów, zanim zacznę przyglądać się zawijasom na zasłonie skrywającej twarz. To znaczy mogłabym, gdyby mój wzrok uparcie nie wędrował ku sercu w szklanym pojemniku.

– Przed chwilą rozmawiałam z szefem – ciągnie Jo. – Właśnie wprowadzają DNA tych dwóch dziewczyn do ogólnokrajowej bazy osób zaginionych. Nie obiecujcie sobie zbyt wiele. Cały zabieg okaże się nieprzydatny, jeśli rodziny ofiar nie złożyły w bazie danych próbek swojego DNA, bo wtedy po prostu nie będziemy mieli z czym porównać materiałów, które uzyskaliśmy. Kiedy dziewczęta zaginęły, baza jeszcze nie istniała. Oby więc ich rodziny należały

do tych, które wciąż mają nadzieję, zasypują policję pytaniami i co wieczór składają dłonie do modlitwy. Nie zapominajcie, że to rzeczywistość, a nie film z Angeliną Jolie.

Ciekawe, ile razy to powtarzała? Setki. Tysiące.

Lewą ręką bazgrze na marginesie w jakimś magazynie. Łańcuch DNA. Ma buciki. Biega. Albo tańczy.

– Zostało sześć tygodni – mówi Bill. – Ale bywało, że miałem mniej czasu i wygrywałem. Podziękuj wszystkim za wytrwałość. Wszystko, co dotyczy tych dziewcząt, każdy szczegół, wzbudzi w sądzie dodatkowe uzasadnione wątpliwości. Chcę to skumulować podczas rozprawy.

Dłoń Jo zastyga.

– Tesso, co wiesz na temat roli mitochondrialnego DNA w medycynie sądowej? Chciałabym, żebyś zrozumiała, czym się tu zajmujemy.

– Niewiele – odpowiadam. – Tylko tyle, że jest przekazywane niemal wyłącznie w linii żeńskiej. Babka przekazuje matce i tak dalej. Czytałam, że przed trzydziestoma laty udało się wam dzięki temu zidentyfikować szczątki jednej z ofiar Johna Wayne'a Gacy'ego.

– Nie zajmowałam się tym osobiście, ale rzeczywiście, dokonał tego nasz zakład. Okazał się nią William Bundy, znany też jako Ofiara nr 19, bo był dziewiętnastą osobą, którą wydobyto z pustki podpodłogowej w chicagowskim domu Gacy'ego. To był ważny dzień, zarówno dla rodziny Bundy'ego, jak i dla nauki.

John Wayne Gacy. Stracony przez podanie trucizny w 1994 roku, półtora miesiąca przed tym, jak mnie napadnięto.

Jo znów rysuje. Tańczący łańcuch DNA dorobił się partnerki na wysokich obcasach. Jo zakłada długopis za ucho.

– Pozwól zatem, że wytłumaczę ci to w taki sposób, w jaki wyjaśniam wycieczkom szkolnym. Otóż w naszych komórkach znajdują się dwa rodzaje DNA: jądrowe i mitochondrialne. Z DNA jądrowego korzystano w czasach, kiedy trwał proces O.J. Simpsona. Złapano go praktycznie na gorącym uczynku (to w razie gdybyś miała wątpliwości co do słuszności wyroku), a materiał pobrano ze świeżego miejsca zbrodni. Jeśli mamy do czynienia ze starszymi szczątkami, musimy polegać na DNA mitochondrialnym, które jest trwalsze. Trudniej je wyodrębnić, ale udaje się to coraz lepiej. Masz rację, że nasze DNA mitochondrialne jest dokładnie takie samo jak DNA mitochondrialne naszych przodków. Co powoduje, że doskonale nadaje się do rozwiązywania niewyjaśnionych spraw takich jak ta. A także tych dawnych i najbardziej zagadkowych, jak na przykład sprawa morderstwa Romanowów.

Specjaliści w dziedzinie medycyny sądowej obalili mit, że księżna Anastazja uciekła z piwnicy, w której dokonano rzezi jej rodziny. Naukowcy zdołali udowodnić, że każda osoba podająca się za nią bądź za jej potomka jest oszustem. Kolejny sukces. Naprawiamy historię.

Kiwam głową. Sporo wiem o Anastazji. Lydię fascynowały wszelkie romantyczne teorie spiskowe. Dziesięć kobiet, każda twierdziła, że jest jedyną ocalałą córką Mikołaja II i jego żony Aleksandry Fiodorowny, wraz z dziećmi zastrzelonych jak psy przez bolszewików. Obejrzałam też zawiłą, ugrzecznioną, od początku do końca nieprawdziwą i oczywiście zwieńczoną happy endem disneyowską wersję historii Anastazji, kiedy opiekowałam się Ellą, moją sześćioletnią kuzynką. „Czy ty też jesteś księżniczką? – zapytała mnie Ella, kiedy skończyłyśmy oglądać. – No bo zapomniałaś, tak jak ona”.

Bill niespokojnie poprawia się na krześle. Niecierpliwi się.

– A co z włosiem?

– Wciąż czekamy. Okazuje się, że przekazanie nam go przez policję wymaga nieco więcej papierkowej roboty, niż sądziliśmy. Znajduje się w oddzielnym pojemniku na dowody rzeczowe.

– Włos? – wtrącam. – Jaki włos?

– Naprawdę nadal nie orientujesz się w szczegółach sprawy? – pyta zniecierpliwiony Bill. – Włos jest jednym z dwóch dowodów rzeczowych, które przyczyniły się do skazania Terrella. Znaleziono go na ubłoconej kurtce, która leżała na polnej drodze.

Ubłocona kurtka. Zakrwawione rękawiczki. Znowu czuję się jak w krainie O.J. Simpsona.

– Specjalnie nie czytałam dużo o sprawie – odpowiadam chłodno. Boli mnie jego rozczarowanie. – To było dawno. Na sali rozpraw pojawiałam się tylko wtedy, kiedy zeznawałam. Nie pamiętam żadnego włosa.

Jo uważnie mi się przygląda. Przestała rysować.

– To był rudy włos.

*Mój.*

– Jako dowód pojawił się w ostatniej chwili. Ekspert powołany przez oskarżyciela zbadał włos pod mikroskopem i orzekł, że należał do ciebie. Był stuprocentowo, ale to absolutnie przekonany, że włos pochodził z twojej głowy. Taką to pseudonauką się wtedy posługiwano. Nie da się dopasować pojedynczego włosa do określonej osoby jedynie po zwyczajnym zbadaniu go pod mikroskopem. To niemożliwe. Jedynym sposobem jest analiza DNA. Tym właśnie się teraz zajmujemy.

Dobrze, ale... babcia wbiła mi do głowy, że zaledwie dwa procent

populacji ma rude włosy. Po raz pierwszy wytłumaczyła mi to, kiedy mając cztery latka, próbowałam obciąć nożyczkami swoje pomarańczowe loczki; drugi raz sześć lat później, gdy próbowałam ufarbować je na złocisty kolor w taki sposób, że wycisnęłam sobie na głowę trzynaście cytryn i wyszłam na dwór, by poleżeć na teksańskim słońcu jak łosoś na talerzu.

Rude włosy przynosiły mi szczęście. Uczyniły mnie *wyjątkową*.

– Oczywiście, wiem o kurtce – mówię pewnym głosem. – I wiem, że ktoś rozpoznał... Terrella... w osobie, która łapała stopa niedaleko łąki. Po prostu nie miałam pojęcia o tym włosie. Albo o nim zapomniałam.

Bill nagle wstaje.

– Więc może nie wiesz *również* tego, że siedemdziesiąt procent bezprawnych wyroków skazujących, obalonych dzięki badaniom DNA, oparto na błędnej relacji naocznego świadka. I że kurtka, którą znaleziono na drodze, była o rozmiar mniejsza od ubrań, które nosił Terrell. A ten rudy włos? Był prosty jak drut. Tymczasem ty, sądząc po zdjęciach z tamtych czasów, próbowałaś wyhodować na głowie paprykowe cheetosy. Na miłość boską, przecież to równie dobrze mógł być włos, nie wiem, z zadka pudła.

Przecież pudle mają kręcone włosy. Poza tym chyba nie ma rudych pudli. Chociaż ciocia Hilda kiedyś ufarbowała swojego na niebiesko.

Mimo to rozumiem jego złość. Musi powiedzieć, co mu leży na sercu.

Wiem, co sobie myśli, choć nie mówi tego głośno. Terrell Darcy Goodwin nie stracił siedemnastu lat życia z powodu rudego włosa znalezionego na kurtce, którą ktoś beztrudnie porzucił na polnej drodze, ani przez pędzącą mercedesem kobietę, której wydawało się, że widziała coś w ciemności.

Prawdziwą przyczyną, dla której Terrell Darcy Goodwin siedzi w celi skazańców, są zeznania pewnego śmiertelnie wystraszonego Polnego Kwiatu.

## Tessie w 1995 roku

Nie mogę się doczekać, kiedy mu się pochwalę.

– Wiem, że poprzednie spotkanie było trudne – zaczyna – ale do procesu zostały już tylko dwa tygodnie. To bardzo mało czasu, żeby się przekonać, co wiesz albo czego nie wiesz, i pomóc ci, byś czuła się przygotowana.

Dokładniej pięćdziesiąt dziewięć dni.

– Powinniśmy wrócić do tematu hipnozy – ciągnie. – Wiem, co o tym sądzisz, ale wciąż kryją się przed nami ważne rzeczy. Są na wyciągnięcie ręki, Tessie, naprawdę bardzo blisko.

Zawarliśmy umowę. Żadnych leków. Żadnej hipnozy.

Serce mi wali, mam przyspieszony oddech. Czuję się jak zziębnięty kot na podjeździe. Tak jak rok temu w sierpniu, kiedy niemal sprintem przebiegłam pięć kilometrów w parku i Lydia musiała wygrzebać z plecaka awaryjną papierową torebkę.

Lydia, zawsze na miejscu, zawsze opanowana. „Oddychaj. Wdech i wydech. Wdech i wydech”. Papierowa torebka szeleści i trzeszczy, nadyma się i zapada.

– Jak uważasz? – nie odpuszcza lekarz. – Rozmawiałem o tym z twoim ojcem.

Wykończy mnie cisza, która zapada pomiędzy tą groźbą a następnym wypowiedzianym przez niego zdaniem. Próbuję sobie przypomnieć, na czym zwykle skupiam wzrok. Patrę w dół czy w górę? Zawieszam się na jego głosie? To ważne.

– Twój ojciec mówi, że poprzez pomysł zastosowania hipnozy tylko wtedy, gdy ty się zgodzisz – mówi w końcu.

Tak więc sprawa pozostaje do rozstrzygnięcia między nami.

Chyba nigdy tak mocno nie kochałam ojca jak w tej chwili. Wypełnia mnie uczucie ulgi z powodu tego prostego, głębokiego gestu szacunku ze strony mężczyzny, który widział, jak jego płomiennoruda córka – o której sądził, że może wszystko – kurczy się, aż zostają z niej tylko skóra, kości i gorycz. Ojciec trzyma moją przyszłość jak poobijane trofeum, które choć ciężkie, wciąż wiele dla niego znaczy.

Siedzi za ścianą i walczy w moim imieniu. Codziennie za mnie walczy. Mam ochotę wybiec z gabinetu i rzucić mu się na szyję. Chcę go przeprosić za wszystkie milczące wieczory, za wszystkie starannie przezeń przygotowane

posiłki, których nie zjadłam, za wszystkie nieśmiałe zaproszenia, które odrzuciłam: żeby pobujać się na huśtawce na werandzie, żeby przejść się na spacer, żeby wyskoczyć do Dairy Queen na lody w czekoladzie.

– Tessie, przecież dążymy do tego samego – mówi pan doktor. – Chcemy, żebyś wyzdrowiała. Sprawiedliwość to po prostu część tego planu.

Od początku spotkania nie odezwałam się ani słowem. A zamierzałam tyle powiedzieć! Łzy napływają mi do oczu. Nie wiem, co oznaczają. Nie chcę, żeby spłynęły mi po policzkach.

– Tessie. – Idzie na całość. Przemienia moje imię w rozkaz. Przypomina mi, kto tu jest specjalistą. – Być może dzięki temu odzyskasz wzrok – mówi.

Och.

Chce mi się śmiać.

On nie wie, nikt nie wie, że znów widzę.

## Tessa obecnie

Żyłabym sobie szczęśliwie, gdybym trzymała się zasady „nigdy więcej”. Nigdy więcej siedzenia na kanapie u terapeuty. Nigdy więcej myślenia o fałszywych rysunkach dziewczynki bez ust i dziewczynki biegnącej po piasku. Nigdy więcej zmagania się z tym chorym przekonaniem, że osoba, z którą przebywasz w jednym pomieszczeniu, chce wziąć ostry nóż i powoli wykroić z ciebie głęboko schowane tajemnice.

Doktor Nancy Giles na dzień dobry wypchnęła Billa za drzwi, grzecznie go poinformowawszy, że będzie tylko przeszkadzał. Właściwie to nie aż tak grzecznie. Irytację Billa najpewniej osłabił fakt, że pani doktor jest piękna jak gazela. Bill poskarżył się na wyproszenie, strojąc fochy jak mały chłopiec, więc pomyślałam, że znają się od dawna, choć po drodze nie wspomniał o tym ani słowem.

Dziadek powiedział mi kiedyś, że Bóg rozrzuca elementy układanki w niewłaściwych miejscach po to, aby zająć nas rozwiązywaniem łamigłówek, i we właściwych – żebyśmy nie zapomnieli, że Bóg istnieje. Staliśmy wtedy na odludziu w Parku Narodowym Big Bend, otaczał nas niezwykle, księżycowy krajobraz.

Twarz doktor Giles jest ludzkim odpowiednikiem tego cudownego pejzażu. Aksamitna brązowa skóra i oczy jak dwie lśniące sadzawki. Nos, usta, kości policzkowe – wszystko wyrzeźbione przez utalentowanego anioła. Doktor Giles rozumie swoją urodę i nie komplikuje jej. Równo obcięte włosy. Świetnie skrojony niebieski kostium ze spódnicą do połowy uda. W uszach kolczyki: złote łańcuszki, a na końcu każdego duża pojedyncza perła, która tańczy, ilekroć pani doktor porusza głową. Myślę, że Nancy Giles zbliża się do siedemdziesiątki.

Natomiast jej gabinet wygląda jak ukochany tłusty wujaszek, który nosi koszule w krzykliwych kolorach i częstuje wygrzebanymi z kieszeni nieco sprasowanymi ciasteczkami. Ściany w kolorze żółtka. Czerwona welurowa kanapa. Zamiast poduszki pluszowy słoń. Dwa wygodne fotele z obiciem w szkocką kratę. Powyginane półki, a na nich chaos barw: książeczki z obrazkami, Harry Potter i Lemony Snicket, lalki z serii American Girl w różnych kolorach, ciężarówka, plastikowe narzędzia, figurki Pana Bulwy i Pani Bulwy. Na stole taca z flamastrami i kredkami. Obok prosty iMac; wygląda jak komputer dla maluchów. Drzwi lodówki upstrzone koślawymi



radosnymi popisami dzieci. Z boku koszyk pełen zakazanych, bo wielonienasyconych przysmaków, a w zasięgu wzroku nikogo, kto dałby ci po łapach, gdy po nie sięgniesz.

Mój wzrok zatrzymuje się na oprawionych reprodukcjach. Nie ma mowy o typowych dla gabinetów lekarskich stonowanych abstrakcjach, są za to magiczne muzykujące zwierzaki Chagalla i najpiękniejszy błękit, jaki można sobie wyobrazić. Lokomotywa Magritte'a wyłania się z kominka, obok jego wielkie zielone jabłko i unoszący się w powietrzu niczym Mary Poppins mężczyźni w melonikach.

Doskonałe. Nie ma nic bardziej surrealistycznego niż dzieciństwo.

– Zwykle przyjmuję nieco młodszych pacjentów. – Doktor Giles mówi to z rozbawieniem.

Błędnie zinterpretowała rozbiegane spojrzenie, którym wciąż wypatruję moich własnych ponurych dzieł. Przywołuję nerwy do porządku, ale nie słuchają mnie. Mam spocone dłonie, lepią mi się pewnie bardziej niż temu pięciolatkowi, który tuż przede mną opuścił gabinet w podskokach, ściskając w rękę spływającego po patyku lodu.

– Nie jestem pewna, czy uzyskamy to, na czym zależy Williamowi. Jak pani sądzi? – Usiadła na końcu kanapy i założyła nogę na nogę. Spódnica odrobinę podjechała w górę.

Zachowuje się swobodnie. Jest bezpośrednia. Pewnie robi to celowo. Ma wprawę.

– William zawsze obierał sobie niemal niewykonalne cele, nawet kiedy był młodszy – ciągnie. – A jeśli chodzi o mnie, to muszę powiedzieć, że z wiekiem, po tych wszystkich okropnych rzeczach, które widziałam, moje dążenia stają się coraz mniej... skonkretyzowane. Za to bardziej elastyczne. Nabieram cierpliwości. To pewnie rezultat zmęczenia, choć wolę myśleć, że staję się po prostu mądrzejsza.

– A jednak przywiózł mnie do pani... chociaż mamy nóż na gardle – mówię. – I oczekuje konkretnych rezultatów.

– A jednak przywiózł panią do mnie. – Uśmiecha się. Zaczynam rozumieć, jak łatwo ten uśmiech potrafi rozbroić dziecko. Ale ja nie jestem dzieckiem.

– Czyli nie zamierza pani analizować ze mną moich rysunków?

– Czy w ogóle są nam potrzebne? William tylko się rozczaruje. Bo chyba nie wpisała pani nazwiska mordercy w fale oceanu, prawda?

– Nie. – Odchrząkuję. – Nie, nie wpisałam. – Wcale nie byłam tego pewna.

Jedną z pierwszych rzeczy, które zrobiłam po odzyskaniu wzroku, było przejrzenie wszystkich rysunków. Na wszelki wypadek. „Nieświadomy umysł

to nieprzewidywalny artysta” – stwierdziła Lydia sentencjonalnie.

– Moim zdaniem takie prace jak te, które narysowała pani po urazie, często się nadinterpretuje. – Doktor Giles usuwa zza pleców pluszowego słonia, który nie pozwala się wygodnie oprzeć. – Przywiązuje się dużą wagę do barw i dynamiki kreski, ale przecież dziecko może sięgnąć po krwistą czerwień po prostu dlatego, że to jego ulubiony kolor. Rysunek stanowi jedynie odzwierciedlenie nastroju, w jakim autor znajduje się danego dnia, w danej chwili. Każdemu z nas zdarza się, że nienawidzimy rodziców, prawda? Ukazanie ojca jako chaotycznego bazgrołu nie oznacza automatycznie, że molestuje on dziecko albo się nad nim znęca; nigdy bym się nie podpisała pod taką interpretacją. Korzystam z techniki rysunku, owszem, ale przede wszystkim po to, aby pomóc młodym pacjentom uzewnętrznić pewne emocje, tak aby nie stanowiły dla nich obciążenia. Ujęcie stanu uczuć w słowa jest dużo, dużo trudniejsze. Chyba nie muszę tego pani tłumaczyć.

– Pani doktor...

– Jestem Nancy.

– Dobrze, Nancy. Nie chcę być nieuprzejma, ale... dlaczego w takim razie zgodziłaś się spełnić prośbę Billa? Skoro uważasz, że właściwie nie ma o czym rozmawiać?

„Czy ona wie, że ponad połowa moich rysunków to fałszywki? Czy powinnam jej o tym powiedzieć?” – myślę.

Rzeczowy, obiektywny wykład Jo na temat szczątków, koszmarnie serce w pojemniku, leżący między nami różowy słoń, który słyszał zbyt wiele opowieści o okropnych, strasznych rzeczach, jakich dopuszczają się dorośli – chyba mam już dość na dzisiaj.

Za półtorej godziny będę siedziała na trybunach i oglądała mecz drużyny siatkarskiej Charlie. Będą mnie otaczały zmęczone, zdzierające gardła matki. Tam tracą na znaczeniu bliskowschodnie zwiastuny Armagedonu, sto pięćdziesiąt milionów sierot na całym świecie albo topnienie lodowców, albo los niewinnych ludzi w celach śmierci.

Tam liczy się tylko to, żeby piłka nie dotknęła ziemi po niewłaściwej stronie boiska.

Potem wyjmę z lodówki torebkę marchewki pokrojonej w zapałki, wrzucę do mikrofalówki cztery porcje szynki z serem w cieście – jedną dla siebie i trzy dla Charlie – wstawię pranie i doszyję białą koronkę do kawałka jedwabiu w kolorze lawendy. Oto promyki światła, dzięki którym udaje mi się nie zwariować i zachować jako takie poczucie zadowolenia.

– Nie zrozum mnie źle – mówi Nancy. – Wcale nie jestem przekonana, że

twoje rysunki są pozbawione znaczenia. Twój przypadek jest... złożony. Jestem wdzięczna, że zgodziłaś się na wgląd do notatek lekarzy prowadzących twoją terapię. Okazały się bardzo pomocne, choć muszę przyznać, że notatki ostatniego lekarza są dość... skromne. Większość rysunków powstała w czasie, kiedy byłaś niewidoma, zgadza się? Lekarz najwyraźniej uważał, że sfalszowałaś te prace.

A więc wie. To dobrze.

– Uznał również – ciągnie – że razem rozważyliście wszystkie możliwości, jeśli chodzi o odczytanie znaczenia rysunków przedstawiających zasłonę. Czyli tych, które, jak przyznałaś, powstały spontanicznie i były prawdziwe. – Zerka na przymocowany do paska pager. Sprawdza numer, który się wyświetla, i wycisza urządzenie. – Istnieje zatem wiele powodów, dla których nie ma sensu skupiać się na rysunkach. Tak przynajmniej uważał twój lekarz. Zgodziłabyś się z nim?

– Tak.

Zaschło mi w gardle.

Do czego zmierza? Czy powinnam była poprosić o wgląd w notatki pana doktora?

„Wcale nie chcesz wiedzieć, co o tobie napisał” – wtrąca szybko Kwiat.

– Oczywiście nie zawsze dokładnie wiemy, co właściwie udajemy – ciągnie doktor Giles. – Podświadomość nie śpi. Prawda nierzadko przedziera się przez fałsz. Oczywiście intryguje mnie ta kurtyna. Przypomniała mi się pewna znana historia, którą chciałabym ci opowiedzieć. Jak na ironię (można to też odczytać jako znak, jeśli wolisz i jeśli wierzysz w takie rzeczy), dziewczyna będąca bohaterką tej opowieści też nazywa się Tessa. Jej imię prawdopodobnie zmieniono, a cała historia oczywiście różni się od twojej. Otóż Tessa była dziewczynką, która została wykorzystana seksualnie we własnym domu, ale uraz, który przeżyła, sprawił, że nie potrafiła wskazać tego, kto to zrobił. Narysowała swój dwupiętrowy dom w przekroju, żeby terapeutka mogła zobaczyć, co znajduje się w środku. Na najwyższym piętrze Tessa umieściła kilka łóżek. Powiedziała, że służą licznym mieszkańcom domu. Na dole narysowała salon i kuchnię z nieproporcjonalnie dużym czajnikiem. Zamiast drażyć temat łóżek, terapeutka zapytała dziewczynkę o czajnik i o to, dlaczego jest on aż tak ważny. Tessa odparła, że codziennie rano, przed wyjściem do szkoły albo do pracy, każdy mieszkaniec domu wypija kawę rozpuszczalną, którą zalewa wrzątkiem z tego właśnie czajnika. Terapeutka postanowiła zatem wykorzystać czajnik, aby przeprowadzić dziewczynkę przez koszmaryny dzień, w którym doszło do wykorzystania.

Tessa przypomniała sobie, kto po kolei sięgał po czajnik i zaparzał kawę przed wyjściem z domu. Osoba, która tego nie zrobiła, była tą, która została z Tessą. Jej prześladowcą. Potem dziewczynka opowiedziała, co się stało.

Wbrew swej woli dałam się zahipnotyzować.

– Nie wiem tego na pewno – mówi łagodnie Nancy – ale uważam, że również w twoim przypadku zwyczajny, pozornie błahy przedmiot może się okazać silnym impulsem pobudzającym pamięć. Ta rzecz z pewnością gdzieś się znajduje. Musimy się tylko rozejrzeć. Mogłybyśmy spróbować, jeśli zechcesz.

Huczy mi w głowie. Chcę się zgodzić, ale nie wiem, czy mogę. Nic, *nic* nie jest zgodne z moimi oczekiwaniami.

Nancy trafnie odczytuje moje milczenie.

– Nie dzisiaj. Ale może niedługo?

– Tak, tak. Niedługo.

– Czy mogę zadać ci pracę domową? Chciałabym, żebyś ponownie narysowała zasłonę. Z pamięci. Potem zadzwoń do mnie, umówimy się. – Klepie mnie po kolanie. – Przepraszam na chwilę.

Podchodzi do zamkniętych drzwi w głębi pomieszczenia. Zwracam uwagę, że lekko kuleje. Artretyzm. Uchyła drzwi – za nimi znajduje się jej osobisty azyl: duże, zabytkowe biurko oblane ciepłym światłem. Wraca po chwili, niosąc wizytówkę. I to tyle. Nie oddaje mi rysunków, przynajmniej jeszcze nie teraz. Żadnego oszukiwania.

– Na dole dopisałam numer swojej komórki – mówi. – Zanim się pożegnamy, chcę cię zapytać o jeszcze jedną rzecz, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Proszę.

– Rysunek łąki. Ogromne kwiaty, które wiszą jak potwory nad dwiema dziewczynkami i łypią na nie.

Dziewczynki. Dwie. Liczba mnoga.

– To nic nie znaczy – mówię. – To nie ja rysowałam, tylko moja przyjaciółka. Razem narysowałyśmy. Była wtajemniczona w moje... oszustwo. Byłyśmy w zмовie. – Śmieję się z zakłopotaniem.

Nancy posyła mi osobliwe spojrzenie.

– Wszystko u niej w porządku?

Dziwne pytanie. Minęło tyle lat. Czy to ważne?

– Ostatni raz widziałam ją, kiedy kończyłyśmy liceum. Wyjechała przed rozdaniem świadectw, tuż po procesie.

Po prostu zniknęła.

– Musiałaś bardzo to przeżyć. – Ostrożnie dobiera słowa. – Straciłaś przyjaciółkę w tak krótkim czasie po traumatycznych wydarzeniach.

– Tak.

Było wiele powodów. Przesuwam się w stronę drzwi. Nie będziemy rozmawiać o Lydii. Nie dzisiaj.

Ale doktor Giles nie chce mnie jeszcze wypuścić.

– Tesso, myślę, że dziewczynka, która narysowała ten obrazek, twoja przyjaciółka Lydia, była autentycznie przerażona.

– Powiedziałaś, że na rysunku są... dwie dziewczynki. Zawsze mi się wydawało, że widać tylko jedną. Krwawiącą.

Małeńkie, maciupkie czerwone tornado.

– Z początku też tak sądziłam. Niełatwo odróżnić od siebie ich kształty. Ale kiedy dobrze się przyjrzesz, zobaczysz cztery dłonie i dwie głowy. Moim zdaniem jedna z tych dziewcząt to swego rodzaju obrończyni. Pochyliła się nad drugą. Wydaje mi się, że czerwona plamka to nie krew po ataku tych kwiatowych potworów. Myślę, że obrończyni ma włosy tego koloru.

## Tessie w 1995 roku

Niełatwo udawać, że się nie widzi. To trwa od dwóch dni. Wiem, że długo tak nie wytrzymam, nie przy tacie. Potrzebuję czasu na przyjrzenie się sobie, na analizę języka własnego ciała. Chcę wiedzieć, co inni naprawdę o mnie myślą, kiedy wydaje im się, że ich nie widzę.

Pan doktor coś bazgrze, siedząc przy biurku. Skrobie tak głośno, że chce mi się wrzeszczeć. Posyła mi spojrzenie spod zmarszczonych brwi. Sprawdza, czy nie zmieniałam zdania w sprawie rozmowy. Albo czy nie zmieniałam pozycji. Siedzę z założonymi rękami i patrzę prosto przed siebie. O umówionej godzinie wmaszerowałam do gabinetu i oznajmiłam, że mam dość. Dość, dość, *dość*.

Mieliśmy umowę, przypomniałam mu.

Nie ma takiej opcji, żebym poddała się hipnozie. Nie będę jak naćpany drozd. Nie będę mu się spowiadała ze swoich tajemnic. Na samym początku jasno określiłam zasady i skoro pan doktor ot tak potrafił zanegować jedną z nich, to jak daleko się posunie? Zaproponuje pigułkę szczęścia? Czytałam *Krainę prozaca*. Przykra była ta dziewczyna. Kompletnie pochrzaniła. Nie jestem nią.

Nie chcę być taka jak ona – ani taka jak Randy, koleś, który ma szafkę obok mojej, chodzi w koszulce Alice In Chains, na przerwach łyka xanax i ogólnie przesypia liceum. Podobno jego matka miała raka piersi. Nie wnikiem, ale na wszelki wypadek zawsze uśmiecham się do niego, kiedy się spotykamy przy szafkach. Bo go rozumiem. Kiedy leżałam w szpitalu, Randy przysłał mi fajną kartkę. Na pierwszej stronie był rysunek kota z termometrem w pyszczku, a w środku Randy napisał: *Życie bywa okrutne*. Ciekawe, ile czasu zajęło mu wygrzebanie tego tekstu; w szafce przykleiłam zdjęcie Alanis, więc dodał dwa do dwóch. Pewnie na płytach Alice In Chains nie znalazł żadnego kawałka, po którym nie miałabym ochoty się zabić.

Lydia od razu się zorientowała. Podpowiedziały jej drobnostki. Biblia na komodzie otwarta na Księdze Izajasza zamiast na Ewangelii Mateusza. Telewizor odrobinę przesunięty i skierowany bardziej w stronę łóżka. Różowo-zielony T-shirt pasujący do legginsów. Brązowo-brzoskwiniowy cień do powiek Maybelline, którego nie nakładałam od roku. Nie chodziło o jedną konkretną rzecz, powiedziała, tylko o całość.

Wszędzie czekały mnie niespodzianki. Na przykład w lustrze w łazience.

Patrzyłam na swoją twarz i miałam wrażenie, że stała się bardziej koścista, kanciasta. Nos wystaje mi jak wskazówka starego dziadkowego zegara słonecznego. Blizna w kształcie półksiężyca pod okiem blaknie, czerwień przechodzi w róż, robi się coraz mniej widoczna. Kilka tygodni temu tata ostrożnie zasugerował, że jeśli chcę, możemy się zastanowić nad operacją plastyczną, ale kiedy pomyślę, że leżałabym tam jak Śpiąca Królewna, a nade mną stałby mężczyzna z nożem... nie ma mowy. Już wolę, żeby ludzie się na mnie gapili.

Oscar ma bielszą sierść, niż sądziłam, ale to może dlatego że teraz wszystko wydaje mi się jaskrawe, oślepiające. Jego pierwszego ujrzałam tego ranka, kiedy naprawdę otworzyłam oczy – był leżącą w nogach łóżka kulą sierści z oczami. Cicho wymówiłam jego imię. Kiedy przejechał mi językiem po nosie, wiedziałam, że to nie sen.

Ta nagła przemiana dokonała się w sposób pozbawiony dramatyzmu. Poszłam spać, a kiedy się obudziłam, znów widziałam. Świat ponownie nabrał nieznośnej ostrości.

Pan doktor wciąż siedzi przy biurku i skrobie długopisem. Zerkam na wiszący na ścianie zegar. Zostało dziewięć minut. Oscar śpi, ułożony na moich stopach, ale czujnie nastawia uszu. Może śni mu się wredna wiewióra. Zsuwam tenisówkę i przejeżdżam gołą stopą po ciepłym grzbiecie psa.

Lekarz zauważa ten ruch i z wahaniem odkłada długopis. Powoli podchodzi do krzesła stojącego po mojej stronie biurka. Po raz kolejny muszę pogratulować Lydii tego, jak trafnie go opisała.

– Tessie, chciałbym cię przeprosić – zaczyna. – Nie uszanowałem naszej umowy. Naciskałem zbyt mocno, na co dobry terapeuta, niezależnie od okoliczności, nie powinien sobie pozwalać.

Odpowiadam mu milczeniem i nieruchomym spojrzeniem. Czuję, że zaraz się rozplaczę.

Nadal pewnych rzeczy wolałabym nie widzieć. Na przykład wyrazu twarzy mojego braciszka wczoraj wieczorem po tym, jak tata po cichu porozmawiał z nim o stopniach w szkole, do niedawna samych piątkach. Rozłożonych na stole formularzy ubezpieczenia medycznego, które wyglądały, jakby ktoś przegrał w pokera i rzucił kartami. Żałośnie pustej lodówki, zielska rosnącego w popękany beton na podjeździe, zaciśniętych ust ojca.

Wszystko z mojej winy.

Muszę się postarać. Koniecznie chcę się poprawić. Odzyskałam wzrok. Czy to nie poprawa?

Czy mężczyzna, który teraz prosi mnie o wybaczenie, miał z tym cokolwiek

wspólnego? Czy powinnam zapisać to zwycięstwo na jego konto? Przecież wszyscy popełniamy błędy.

– Nie wiem, Tessie, co jeszcze mam powiedzieć, żebyś przynajmniej zaczęła odzyskiwać zaufanie do mnie.

On chyba wie, że widzę.

– Może mi pan opowiedzieć o swojej córce – mówię. – Tej, którą pan stracił.



## Tessa obecnie

Skończyłam tutu.

Delikatnie prasuję spódniczkę parą, choć to wcale nie jest konieczne. Charlie śmieje się ze mnie i z mojej rowenty IS6300, ale cóż, skoro ona – rowenta – jest moim bodaj najlepszym i najwierniejszym terapeutą. Mniej więcej raz w miesiącu wyjmuję ją z szafy, a ona nigdy o nic nie pyta. Nie myśli i nie wymaga myślenia. Zna magiczne sztuczki. Posługuję się nią jak czarodziejską różdżką i usuwam wszelkie zagniecenia. Rezultat jest natychmiastowy – i pewny.

Ale nie dzisiaj.

Dziś czuję się tak, jakby w mojej głowie niewidzialna dłoń umieściła karuzelę dla niemowlaka. Hipnotyzują mnie migające obrazy. Na jednym z nich dostrzegam twarz Lydii, na innym twarz Terrella. Wirują, złączone kruchymi kośćmi, pośród żółtych kwiatów, czarnych oczu, zardzewiałych łopatek i plastikowych serc.

Minęły dwa dni, od kiedy doktor Nancy Giles, posiadaczka dyplomów Vanderbilta, Oxfordu i Harvardu, zinterpretowała rysunek Lydii zaraz po tym, jak jasno i wyraźnie oznajmiła, że nie przykłada zbyt wielkiej wagi do freudowskich bzdur.

Doktor Giles uważa, że to z *Lydią* było coś nie tak. Że Lydia postrzegала *mnie* jako obrońcę. Nie może być. Nikomu nie mówiłam o wierszu, który *on* zakopał pod dębem. Lydia stworzyła rysunek, zanim odnalazłam wiersz. To nie ja uratowałam Lydię od śmierci, lecz ona mnie.

Cholera, muszę zobaczyć ten rysunek. Czemu doktor Giles mi go nie pokazała? Uważa, że kłamię? Że coś ukrywam? Jak zwykle, gdy tylko wyszłam z gabinetu terapeuty, wróciły wątpliwości; zaczęły się więc jak oślizłe robale.

*Tęsknię za Tobą* – napisała Lydia w liściku dołączonym do kwiatów, które przysłała mi po tylu latach. Chyba że nie były od niej. A jeżeli naprawdę przysłał je mój potwór? Jeżeli Lydię zabiło moje milczenie? Jeżeli *on* spełnił tę poetycką groźbę, którą zakopał nieopodal mojego domku na drzewie – ponieważ nie ostrzegłam Lydii? „Lecz jeśli piśniesz słówko, Lydia też Kwiatem się stanie”. A jeżeli poprzez wyparcie i głupotę poświęciłam życie obojga: Terrella i Lydii?

Terrell. Ostatnio wciąż o nim myślę. Zastanawiam się, czy mnie

nienawidzi, czy wyhodował sobie bicepsy, robiąc pompki na betonie, czy już wie, co zje na ostatni posiłek. Potem przypominam sobie, że już nie podają ostatnich posiłków. Wszystko przez pewnego mężczyznę, którzy razem z kumplami przywiązał Jamesa Byrda Juniora łańcuchem do pikapa i włókł go za samochodem, aż nieszczęśnik wyzionął ducha. Gość zamówił dwa filety z kurczaka, pół kilo mięsa z grilla, potrójnego cheeseburgera z boczkiem, pizzę z różnymi wędlinami, omlet, miskę okry, półlitrowe opakowanie lodów, krówkę z masła orzechowego z arachidową posypką i trzy piwa korzenne. Wszystko to dostarczono mu tuż przed egzekucją, ale skazaniec nawet nie tknął posiłku. Wtedy Teksas powiedział: „Dość!”.

Potrafię wyrecytować z pamięci przedśmiertne zamówienie rasistowskiego wykolejeńca, a nie umiem sobie przypomnieć dnia, w którym rozpadł się mój świat. Nie pamiętam nic, co mogłoby ocalić Terrella.

Spoglądam w stronę okna pracowni. Słońce odbija się w szybie. Pracownia znajduje się nad garażem stojącym za domem w rogu podwórza. Powinnam tam pójść. Zasunąć żaluzje. Wyjąć kredki i farby, narysować zasłonę. Odrobić pracę domową.

Dwa lata temu odremontowałam walący się garaż. Effie przyklepała plany w imieniu rady ochrony zabytków. Dla niej niebieskie skrzynki na kwiaty i czerwone pelargonie, dla mnie internet i alarm podpięty do systemu zainstalowanego w domu.

I ładnie, i bezpiecznie.

Dolny poziom, dawniej zajmowany przez należącego do poprzedniego właściciela niebieskiego dodge'a rocznik 1954, dziś wypełniają moje graty: piła stołowa, urządzenie do łączenia ram, wyrzynarka, wiertarki, gwoździarka, szlifierka, pakowarka próżniowa i spawarka. Urządzenia pozwalające upodobnić fronty szafek do piaskowych wydm i zespawać spiralne schody. Maszyny, od których bolą mnie mięśnie, ale które też utwierdzają mnie w przekonaniu, że mogłabym się zmierzyć z mężczyzną. Albo z potworem.

Górny poziom zaprojektowałam dla siebie. To moja przestrzeń. Przeznaczona do spokojniejszej pracy. Wydawała mi się niezwykle istotna, miała być prawdziwym domem dla mojego stołu kreślarskiego, dla sztalug, farb, pędzli i maszyn do szycia. Zaszalałam i kupiłam sofę w Pottery Barn, zaparacz do herbaty Breville i okno panoramiczne marki Pella, by móc podziwiać koronę naszego dębu.

Tydzień po tym, jak ekipa remontowa opuściła budynek, usiadłam i upiłam łyk herbaty, napawając się wspaniałością białej, czystej i pachnącej pracowni

– i uświadomiłam sobie, że wcale nie chcę mieć *swojej* przestrzeni. Nie potrzebuję odosobnienia, nie chcę, żeby omijało mnie trzaskanie drzwiami, kiedy Charlie wraca ze szkoły. Przesiaduję więc w salonie, a pracownia stała się miejscem, w którym mój młodszy brat Bobby zamyka się, żeby pisać, kiedy dwa razy w roku przyjeżdża w odwiedziny z Los Angeles, i do którego Charlie emigruje, ilekroć każde moje słowo działa jej na nerwy. „Mamo, nie wiem dlaczego. Nie chodzi o to, co mówisz, tylko o to, że w ogóle się odzywasz”.

Właśnie dlatego salon jest zawałony brokatowymi tkaninami, wykrojami i pudełkami pełnymi koralików. Cały ten majdan miesza się z należącymi do Charlie japonkami, podręcznikami, zawieruszonymi kolczykami i gumeczkami do aparatu ortodontycznego. I z tej też przyczyny mamy z córką niepisaną zasadę, że o stanie salonu się nie rozmawia – chyba że chodzi o okruszki i mrówki. W każdą niedzielę wieczorem razem sprzątam pokój. To przyjemne, radosne miejsce, w którym tworzymy, kłócimy się i utrwalamy naszą miłość.

W pracowni panuje tłok. Moje duchy wprowadziły się tam razem ze mną, przyszły, gdy tylko robotnicy położyli na ścianach ostatnią warstwę śnieżnobiałej farby. Polne Kwiaty przemawiają tam pełnym głosem, czasem kłócą się jak dziewczyny na pidżama party.

Powinnam wejść na górę. Grzecznie się z nimi przywitać.

Zasunąć zasłonę. Przekonać się, czy wisi w oknie wypełniającej moją głowę rezydencji, w której nocują Kwiaty. *Pozwolić im pomóc.*

Ale nie mogę tego zrobić. Jeszcze nie teraz. Muszę kopać.

Znowu wpatruję się w ziejącą dziurę. Tym razem jest nią basen. Pusty, jeśli nie liczyć czekoladowobrązowej mazi z liści i deszczówki na dnie.

Czuję się jak idiotka. Doznaję zawodu. I jest mi zimno. Naciągam na głowę kaptur bluzy mojej córki, z napisem „Army” na piersi. Jest za trzy wpół do szóstej. Mieszkałyśmy tu z Charlie, kiedy miała dwa latka. Nigdy nie wracałam do tego miejsca. Charlie wysłała mi esemes „Jeść!”, akurat kiedy jechałam autostradą I-30 nie w tę stronę, co powinnam, w dodatku mając na ogonie czerwonego pikapa. Dwadzieścia minut później: „Jestem w domu”, po kolejnych pięciu minutach: „Fajne tutu”, i potem jeszcze: „Eee???”.

Próbowałam do niej oddzwonić, ale nie odbierała. Teraz słyszę, że w kieszeni buczy mi telefon. Słońce schodzi coraz niżej, wielka, pomarańczowa piłka idzie pobawić się gdzie indziej. Okna mieszkań mrugają ognistą barwą przygasającego światła, tak że nie mogę zajrzeć do środka

i podejrzeć lokatorów. Mam nadzieję, że nikt nie obserwuje stojącej w cieniu i uzbrojonej w szpadel zakapturzonej postaci. Czyli mnie.

– Dlaczego nie jesteś u Anny? – rzucam do słuchawki zamiast „cześć”. – Miałaś być u Anny – dodaję, jakby to mogło cokolwiek zmienić.

– Jej mama się rozchorowała – mówi Charlie. – Odebrał nas jej tata. Powiedziałam, że nie ma sprawy i może mnie podrzucić do domu. A ty gdzie jesteś? Dlaczego nie odpowiadasz na esemesy?

– Próbowałam się do ciebie dodzwonić. Jechałam samochodem i się zgubiłam. Jestem w... Dallas. W sprawie zlecenia. Pozamykałaś drzwi?

– Mamo, jeść mi się chce.

– Zamów sobie pizzę w Sweet Mama. Pod telefonem znajdziesz kopertę z pieniędzmi. Poproś, żeby dostarczył ci ją Paul. Zanim otworzysz drzwi, sprawdź przez wizjer, czy to na pewno on. Kiedy wyjdzie, zamknij drzwi i włącz alarm.

– Dasz mi numer?

– Charlie. Przecież znasz kod.

– Nie do alarmu. Numer do Sweet Mama.

To mówi dziewczyna, która wczoraj wygooglała, że Simon Cowell zaczynał przygodę z show-biznesem od polerowania siekiery Jacka Nicholsona na planie *Lśnienia*.

– Charlie, błagam. Niedługo wracam. Trochę mi zeszło, bo... myślałam, że będę pamiętała drogę.

– Czemu szepczesz?

– Pizza. Paul. Wizjer. Pamiętaj.

Ale ona już się rozłączyła.

„Da sobie radę”. To moja myśl czy Kwiatu? Która z nas powinna wiedzieć lepiej?

– Ej!

Od strony budynku szybko zbliża się do mnie mężczyzna z podkaszarką. Wpadłam! Opieram szpadel o drzewo. Za późno. Nawet z tej odległości sposób poruszania się mężczyzny budzi we mnie wspomnienia.

– To teren prywatny! – krzyczy. – Co pani tu robi z tym szpadlem? I to jeszcze w porze kolacji! – Przeciąganie samogłosek, groźba w głosie i w dodatku nagana za nieszanowanie pór posiłków: typowo teksański koktajl.

„Bo się boję ciemności. Bo wiem, że w okolicy mieszka mnóstwo ludzi, którzy mają w domu broń i których swędzą ręce. Wiem, gdyż sama też trzymałam pistolet w szufladzie”.

– Kiedyś tu mieszkałam – mówię.

– A ten szpadeł po co?

Naraz przypominam sobie, kim on jest. To przecież złota rączka, stwierdzam ze zdumieniem. Ten sam, który pracował tu przed ponad dziesięcioma laty i każdego dnia zarzekał się, że rzuca tę robotę. O ile dobrze pamiętam, jest dalekim krewnym zrzędlivej właścicielki tego stojącego we wschodniej części Dallas, przebudowanego domu w wiktoriańskim stylu, reklamowanego jako „szeregowiec z duszą”. Co to oznacza? Bogato zdobione gzymsy, z których coś białego sypało się na głowę, tak że człowiek wyglądał, jakby miał łupież; okna, których otwieranie wymagało herkulesowej siły; prysznic, w którym gorącej wody starczało na jakieś dwie i pół minuty mycia (o ile udało się ubiec mieszkającą na parterze i wstającą o piątej rano maniaczkę gimnastyki).

Zdecydowałam się na to mieszkanie ze względu na okna. Nie można było dostać się przez nie do środka. I jeszcze to, że budynek był przeznaczony *tylko dla dziewcząt*.

– Kiedy właścicielka zlikwidowała parking i zbudowała ten basen? – pytam. – Nazywa się pan Marvin, prawda? Dobrze pamiętam?

– Nie zapomniałaś starego Marvina, co? Większość dziewczyn pamięta. Basen powstał jakieś trzy lata temu. Wcześniej tu był parking wysypany żwirem, były tabliczki z numerami i każdy miał swoje miejsce. No ale przecież wiesz. Teraz wszyscy narzekają, że muszą się bić o miejsca na ulicy. Gertie przestała dbać o ten basen. Mówi, że szkoda pieniędzy i że Marvin nie sprząta liści. Stary Marvin stara się, jak może. Kiedy, mówisz, tu mieszkałaś?

– Jakieś dziesięć lat temu.

Z grubsza.

Zapomniałam, że Marvin ma w zwyczaju mówić o sobie w trzeciej osobie. Pewnie między innymi dlatego nigdy nie znalazł innej pracy.

– Ach, stare, dobre czasy, w których rozkapryszony bachory z college’u nie dzwoniły do Marvina o drugiej w nocy, jęcząc, że ich Nadgryzione Jabłuszka nie łączą się z siecią.

Nie komentuję i nie poprawiam. Duszę w sobie śmiech, zdejmuję kaptur, żeby lepiej widzieć... i od razu uświadamiam sobie swój błąd. Potrząsam głową – niech włosy zasłonią tę część twarzy, którą zdoła ozdobić blizna. To wystarcza, aby Marvin ponownie się mną zainteresował, chociaż jestem ubrana w workowatą czarną bluzę, na nogach mam buty do biegania, a na twarzy ani śladu makijażu. Widać niewiele się dziś dzieje w Domu Tylko dla Dziewcząt, skoro Marvin jeszcze sobie nie poszedł.

– Ciekawa jestem – mówię z wahaniem – czy coś znaleźli, kiedy kopali basen?

– Chodzi ci na przykład o trupa, he? O, ale masz minę! Nie, kotku, żadnych trupów. A co, zgubił ci się?

– Nie. Oczywiście, że nie.

Marvin kręci głową.

– Jesteś taka sama jak te cholerne smarkule. A może pracujesz dla któregoś z tych programów o duchach?

– Jakie smarkule?

– Z korporacji studentek, która co roku na jesieni wynajmuje mieszkanie na górze, to z lewej, bo wydaje im się, że jest nawiedzone. Straszą kandydatki, aż pisk idzie. Stawiają w oknach kościotrupy w prześwitujących koszulach nocnych. Zapraszają tych swoich bogatych chłoptasiów z korporacji, karmią dipami z fasoli czarnej, poją gównianym ponczem, potem rzygają na ganku, a Marvin musi to wszystko sprzątać. Gertie zaczęła pobierać dodatkową opłatę za wynajem tego mieszkania. A czy zaczęła więcej płacić Marvinowi? Nie-e. Marvin ma zamknąć jadaczkę i sprzątać.

– Dlaczego myślą, że tam... straszy? – pytam i od razu tego żałuję.

„Przecież znasz odpowiedź”.

– Z powodu jednej dziewczyny, która kiedyś tam mieszkała. Tej, co wymknęła się mordercy Polnych Kwiatów. Nawet nie wiedzieliśmy, że to ona. Okazało się dopiero półtora roku po tym, jak się wprowadziła. W sumie miła nawet była. Pracowała w centrum, w jakiejś firmie projektowej. Parę razy się poskarżyła, że nie pozwalamy jej zamontować na schodach furtki dla dzieci. Gertie mówiła, że przez to dom by stracił urok.

Nagle jego oblicze tężeje.

– Jezusie, to ty, co nie? Ty jesteś ten Kwiat, co mieszkał na górze.

– Nie nazywam się tak.

– Marvin powinien się domyślić, jak tylko zobaczył rude włosy. W mordę, nikt Marvinowi nie uwierzy. Czy Marvin może zrobić zdjęcie? Nie jesteś duchem, co nie? – Przez chwilę chyba poważnie się nad tym zastanawia.

Nie mam szans na reakcję, bo on już wyjmuje telefon i pstryka zdjęcie. Sportretował mnie z pomocą flesza. Będę żyła wiecznie, krążyła po Facebooku, Twitterze i Instagramie, w całym Wszechświecie Marvina i jeszcze dalej.

– Bomba – mówi do siebie, patrząc na ekran. – Szpadel też się zmieścił.

Mój potwór wkrótce się dowie, jeśli jeszcze nie wie.

Rozpoczęłam poszukiwania.

Kiedy około dziewiętnastej skręcam na nasz podjazd, we wszystkich oknach domu świeci się światło. To nie znaczy, że Charlie się boi, mówię sobie. Po prostu tak ma, że przechodząc z pomieszczenia do pomieszczenia, włącza światło i nie zawraca sobie głowy wyłączeniem.

Rozmawiałam z Charlie mniej więcej pół godziny temu. Pizzę z boczkiem i czarnymi oliwkami zamówiła, odebrała i zjadła. Stwierdziła, że „pęka”. Wszystko wydawało się w porządku. Zupełnie inaczej niż moje niepokojące spotkanie z Marvinem. Byłam jednak na tyle opanowana, że po drodze zahaczyłam o sklep i wspomagając się listą, którą Charlie przesłała mi esemesem – ż ser, szynka, b chleb, winogr, humus, prec, mini oreo – kupiłam rzeczy na jutrzejszy lunch.

– Wróciłam! – krzyczę, nogą zamykając za sobą drzwi.

Alarm włączony. Widzę, że Charlie nawet sprzątnęła pudełko po pizzy ze stolika przed telewizorem, przed którym, jak sądzę, siedziała, oglądając na Netfliksie seriale z listy zakazanych przez zrzędliwą matkę.

Ale Charlie nie ma. Brakuje też plecaka. Telewizor ciepły. Przechodzę przez salon, stawiam torbę z zakupami na ladzie, odkładam klucze.

– Charlie?

Pewnie jest w swoim pokoju, zamknęła się w świecie, którego granice wyznaczają słuchawki Bose, i bez przekonania poznaje dziewiętnastowieczną Anglię za pośrednictwem Jane Austen.

Pukam, bo ciocia Hilda nigdy tego nie robiła. Brak reakcji. Uchylam drzwi, potem otwieram na oścież. Łóżko nieposłane. *Duma i uprzedzenie* w roli podstawki pod butelkę wody. Walające się ciuchy. Szuflada z bielizną wyjęta z komody i położona na łóżku. Na podłodze błotny trop.

Pokój wygląda w zasadzie tak, jak zostawiła go rano. Charlie brak.

Inspekcja pozostałej części domu zajmuje mi jakąś minutę. To dość czasu, żeby przetoczyła się przeze mnie fala mdlącej paniki. Otwieram przesuwne drzwi prowadzące na podwórze na tyłach domu i wołam Charlie. Nie ma jej na hamaku rozpiętym między grubym pniem dębu a starym słupkiem do przywiązywania koni, który Effie uratowała przed porąbaniem. Wyżej czarne okna pracowni. Drzwi garażowe zamknięte na głucho.

Telefon. Prędko po telefon!

Wracam biegiem do środka, dopadam torebki i szukam komórki. Niestarannie wstukuję nowy PIN, który musiałam wprowadzić po wczorajszej aktualizacji oprogramowania. Zablokowany. Cholera jasna! Jeszcze raz, tylko powoli. Obiecuję sobie, że już nigdy, przenigdy nie zaktualizuję telefonu. Dotykam ikonki.

Jest. Moje jednowyrazowe ułaskawienie od Boga.

*u Effie*

Po chwili walę do drzwi Effie. Mam wrażenie, że upływa cała wieczność, zanim się otwierają. Starsza pani ma na sobie długą, białą koszulę nocną z koronką, która okala jej szyję. Uwolnione z koka siwe włosy, zwykle dodatkowo zaplecione w warkocz, sięgają aż do pasa. Gdyby w rękę zamiast ogromnego laminowanego układu okresowego pierwiastków trzymała świecę, powiedziałabym, że urwała się z Pemberley<sup>7</sup>.

– Rany boskie, co się stało? – pyta.

Spokojnie, tylko spokojnie.

– Jest Charlie? – rzucam bez tchu.

– Jasne, że jest.

Wpuszcza mnie do środka, wchodzę i moim oczom ukazuje się najpiękniejszy widok na świecie: moja córka siedzi po turecku na podłodze przy stoliku do kawy i pisze coś w zeszycie. Dostrzegam wszystkie szczegóły: zebrane na czubku głowy i spięte klamerką włosy jak czerwone indycze pióra; spodenki do siatkówki, które wciąż ma na sobie, chociaż na dworze jest nie więcej niż dziesięć stopni; włochate różowe kapcie świnki; poodpryskiwany złoty lakier do paznokci. Widzę, jak porusza ustami, przesadnie wyraźnie, jak aktorzy w niemych filmach: „Ratunku”.

– Siedziałam na huśtawce na werandzie i zauważyłam mężczyznę, który kręcił się po ulicy – zaczyna Effie.

„Pizza” – mówi bezgłośnie Charlie i przewraca oczami. Effie nadaje swoje, a mi w głowie dudni tylko jedna myśl: nie dorwał jej.

– ...pomyślałam, że nie ma twojego samochodu, ale światła w domu są włączone. No i się zaniepokoiłam. Zadzwoiłam, odebrała Charlie, więc od razu poszłam i ją zabrałam. Przerabiamy chemię dla następnej klasy.

Charlie pokazuje na stojący na stoliku talerz. Leżą na nim mniej i bardziej (ale raczej bardziej) przypalone ciasteczka ułożone w uśmiechniętą buźkę. To na pewno sprawka Charlie, ta buźka. Bierze dwa ciasteczka i przykłada je sobie do oczu. No, zdecydowanie przypalone.

Wyglupy Charlie, szczerść Effie, niejadalne ciasteczka. Później porozmawiam z Charlie o złamaniu jednej z najważniejszych, najświętszych zasad. Skrótowy esemes nie zastąpi staroświeckiej odręcznie napisanej wiadomości na karteczce i kawałka taśmy samoprzylepnej. Czyżbym sama urwała się z Pemberley?



– To bardzo miło z twojej strony – mówię do Effie.

– Charlie twierdzi, że to tylko dostawca pizzy, ale jak dla mnie, było w nim coś podejznanego. Obie doskonale wiemy, że ostrożności nigdy dość.

Do mojego otulonego ciepłym kokonem ulgi mózgu dociera, co powiedziała Effie. Czyżby chodziło jej o temat, którego nigdy nie poruszałyśmy? Czy ona też ma się na baczności przed moim potworem?

– Wiesz, kto to moim zdaniem był? – pyta.

Kręcę głową i otepiała zastanawiam się, jakie słowa – których przecież chciałabym oszczędzić Charlie – za chwilę padną z ust Effie.

– Myślę – mówi – że to był złodziej łopatek.

## Tessie w 1995 roku

Wiem już co nieco o córce pana doktora. Nazywała się Rebeka. Miała szesnaście lat. Wiem nie dlatego, że mi powiedział, ale dzięki temu, że Lydia potrafi szperać.

Zniknęła w tym samym roku, w którym szaleniec odebrał światu Johna Lennona, a Alfred Hitchcock zmarł śmiercią mniej gwałtowną, niż na to zasługiwał. Poszłyśmy z Lydią do biblioteki, zamówiłyśmy mikrofiszkę miejscowej gazety i przesuwaliśmy ją dopóty, dopóki nie natrafiłyśmy na poświęcony lekarzowi artykuł sprzed dwóch lat, opublikowany po tym, jak pan doktor zdobył prestiżową międzynarodową nagrodę za badania nad normalnością i paranoją.

„Co, do diabła, znaczy normalność?” – mruknęła Lydia. Potem przesunęła kilka stron i odczytała na głos nekrolog Hitchcocka. Fascynowało ją to, że podczas kręcenia *Nieznajomych z pociągu*, jednego z jej ulubionych filmów, Hitchcock zadreczęła swoją córkę. Przekupił ją, by wsiadła na diabelski młyn, po czym kazał zatrzymać maszynę, kiedy jej wagonik znajdował się na samej górze, wyłączył światła na planie i zostawił córkę samą w ciemności. W końcu ktoś z ekipy ściągnął rozhisteryzowaną dziewczynę na dół. Lydia nacisnęła odpowiedni przycisk i skopiowała wywiad z panem doktorem i nekrolog Hitchcocka – ten drugi uznała za godny dodania do osobistego archiwum osobliwości, które przechowywała w pudle pod łóżkiem.

Kiedy wracałyśmy autobusem z biblioteki, bardziej pochłaniał ją los córki Hitchcocka niż to, jak mało informacji znalazłyśmy na temat Rebeki. „Był z niego kawał sadysty!” – oświadczyła; siedzący najbliżej pasażerowie nie odrywali wzroku od mojej księżycowej blizny.

W artykule biograficznym o panu doktorze Rebecce poświęcono zaledwie jeden akapit, co mnie niesamowicie przybiło. Przypuszczam, że dziennikarzowi przeprowadzającemu wywiad lekarz powiedział po prostu, że nie chce rozmawiać o zniknięciu córki.

To samo dał mi wyraźnie do zrozumienia podczas naszego poprzedniego spotkania. Odpowiedzią na pytanie o Rebece było długie wymowne milczenie. Przerwałam je, mówiąc, że podoba mi się wisząca nad biurkiem reprodukcja *Żniwiarza*.

– Mój dziadek przeżył fascynację Winslowem Homerem i miał swoją „pszeniczną fazę” – powiedziałam. Aha, tak w ogóle, to znów widzę.

Nie potrafię powiedzieć, czy jego zaskoczenie było udawane. Wydawał się szczerze przejęty tym, co nazwał „wielkim, wielkim przełomem”. Zrobił mi takie głupie, staroświeckie badanie wzroku, do którego wykorzystał ołówek i mój nos. Poprosił, żebym zamknęła oczy i jak najdokładniej opisała jego twarz.

Powtórzył, że nie będzie ze mną o tym rozmawiał, ale zapewnił, że jego córka nie ma absolutnie nic wspólnego ze sprawą Polnych Kwiatów. Wcale o to nie pytałam, ale nawet gdyby cokolwiek ją z nami łączyło, to i tak nie jestem pewna, czy chciałabym o tym wiedzieć.

Trudno nie cieszyć się choć trochę. W pięć dni przytyłam prawie półtora kilo. Tata i brat, kiedy dowiedzieli się, że odzyskałam wzrok, wyściskali mnie we dwóch tak mocno, że prawie połamali mi żebra. Ciocia Hilda pospieszyła z tortem szwarcwaldzkim udekorowanym jej firmowym kokosowo-pekanowym lukrem; w życiu nie jadłam czegoś tak dobrego.

Wczoraj wieczorem na mojej szafce nocnej pojawił się pachnący nowością egzemplarz *Zaklinacza koni* w twardej oprawie, a muszę zaznaczyć, że u nas w domu zawsze, ale to zawsze cierpliwie czekamy, aż książka ukaze się w miękkiej okładce.

Do rozprawy zostały pięćdziesiąt dwa dni. Ten czas przekłada się mniej więcej na dziesięć sesji i jeszcze dwie dodatkowe po procesie, żeby zamknąć sprawę. Już widać koniec. Naprawdę nie chcę zakłócać naszych spotkań, na przykład wspominając o Rebecce. Przyznaję, to było podłe z mojej strony, że w ogóle o niej napomknęłam.

Niestety, Rebeka przerodziła się w najświeższą obsesję Lydii, która podjęła się misji wytropienia informacji o niej w innych gazetach. Mówię jej, że cokolwiek znajdzie, nie będzie to miało żadnego znaczenia. „Rebeka była ładna, miała mnóstwo przyjaciół. Życzliwa dziewczyna. To była taka miła rodzina”. I tak dalej, i tak dalej. Wiem, jak to brzmi, ale co mam poradzić?

Zdaję sobie sprawę, jak to wygląda, bo od kiedy zostałam Polnym Kwiatem, przeczytałam wiele przesadzonych doniesień na temat swojego życia. Moja matka zmarła w „podejrzanych” okolicznościach, dziadek wybudował dom, który przyprawia o gęś skórę, ja zaś jestem wcieleniem doskonałości. A tak naprawdę? Mamę uśmiercił rzadki rodzaj udaru, od dziadka bardziej szalona była babcia, ja zaś nie jestem i nigdy nie będę bohaterką jak z bajki. Choć wszystkie one też z początku były czyimiś ofiarami. Królewna Śnieżka – otruta. Kopciuszek – uczyniony niewolnicą. Roszpunka – zamknięta w wieży. Tessie – porzucona na stercie kości.

Wynaturzona fantazja potwora.

„Założę się, że on chciałby ze mną o tym porozmawiać” – myślę, gdy pan doktor siada w swoim fotelu.

Uśmiecha się.

– Śmiało, Tessie.

W zeszłym tygodniu zgodził się, żebym tym razem to ja narzuciła temat i tempo sesji. Obiecał też nie wyjawiać mojemu ojcu, że przez pewien czas udawałam ślepotę. Na razie dotrzymuje słowa. Ciekawe, czy umawia się tak ze wszystkimi swoimi pacjentami. I czy to *właściwe* z jego strony.

Nieważne. Dziś jestem gotowa podsunąć mu coś konkretnego.

– Ilekroć przygasa światło, boję się, że... znów tracę wzrok – mówię. – Na przykład kiedy poszliśmy do Olive Garden i kelnerka przyciemniła oświetlenie, chyba po to, żeby zrobić nastrój przy kolacji. Albo kiedy mój brat opuścił żaluzje w salonie, bo słońce mu świeciło w telewizor.

– W takich sytuacjach zamiast myśleć o tym, że znów ślepniesz, po prostu powiedz sobie głośno i zdecydowanie, że widzisz i nie jesteś niewidoma.

– Serio?

Ojoj, tata płaci za coś takiego?

– Tak, Tessie. Dlatego, że *chcesz* widzieć. Nie jest tak, że w twojej głowie siedzi skrzat, który obsługuje włącznik. To ty sprawujesz kontrolę. Statystycznie rzecz biorąc, prawdopodobieństwo, że oślepniesz po raz drugi, wynosi niemal zero.

Okej, niech będzie, nawet trochę mnie pocieszył. Tyle że prawdopodobieństwo, że oślepnę po raz pierwszy, też wynosiło niemal zero.

– Co tam jeszcze siedzi? – Puka się palcem w głowę.

– Przejmuję się... sprawą O.J. Simpsona.

– Czym konkretnie?

– Że oszuka ławę przysięgłych i się wywinie.

Nie powiem mu, że Lydia wzięła jedną ze swoich czerwonych skórzanych rękawiczek, natarła ją sokiem pomidorowym, wysuszyła na słońcu i zademonstrowała, rozczapierzając palce, jak osiągnąć taki sam efekt jak O.J. Pan doktor zakłada nogę na nogę. Ubiera się znacznie bardziej klasycznie, niż sądziłam. Wykrochmalona biała koszula, czarne spodnie z zaprasowanymi kantami, poluzowany niebieski krawat w małe czerwone romby i czarne, wypucowane do połysku buty. Obrączki brak.

– Uważam, że praktycznie nie ma na to szans – mówi. – Po prostu obawiasz się, że ten, kto na ciebie napadł, uniknie kary. Moim zdaniem nie powinnaś oglądać relacji z procesu O.J. Simpsona, bo to tylko miesza ci w głowie.

Ciocia Hilda powiedziała to samo i na pocieszenie podsunęła mi talerz świeżo usmażonej okry, jednocześnie wyłączając telewizor.

– Wiem, Tessie, że dziś ty tu rządzisz, ale muszę ci o czymś powiedzieć. Otóż chwilę przed naszym spotkaniem dzwonił prokurator. Chce się z tobą spotkać przed rozprawą. Mogę zażądać swojej obecności przy rozmowie, jeśli dzięki temu poczujesz się spokojniejsza. Zaproponował przyszły wtorek. Jeśli chcesz, możemy to załatwić w ramach sesji.

Zmienia pozycję i pochyła się w moim kierunku. Mój żołądek przekształca się w twardy kłębek, jest jak ten owad, który zwija się w kulkę w chwili zagrożenia.

– Odzyskanie przez ciebie wzroku to ważne wydarzenie. Spotkanie z oskarżycielem i przezwycięzenie strachu przed procesem stanowi sensowny kolejny krok. Może dzięki temu zdołasz... odświeżyć sobie pamięć. Wyobraź sobie, że twój mózg jest jak sito, przez które z początku przedostają się tylko najdrobniejsze, najbezpieczniejsze informacje.

Słucham jednym uchem tych psychiatrycznych bredni o sprzęcie kuchennym.

Zostało siedem dni.

– Mam nadzieję, że nie gniewasz się, że przekazałem mu dobre wieści – mówi.

– Ależ skąd – kłamię.

Myślę o niedużej torbie, od miesiący spakowanej i gotowej, ukrytej głęboko w szafie.

Zastanawiam się, czy nie jest za późno na ucieczkę.

## Tessa obecnie

Siedzimy z Charlie na huśtawce stojącej na werandzie od ulicy i bawimy się w starą grę. Deszcz miarowo bębni o dach.

Udajemy, że jesteśmy bujającymi się laleczkami. Dziewczynka palcem wprawia w ruch naszą huśtawkę. Zamknęła swojego wielkiego, żółtego kocura, żeby nie zrobił nam krzywdy. Upiekła dla nas maleńkie plastikowe ciasto, posłała łożeczka i ustawiła plastikowe naczynka w serwantce. Szczoteczką do zębów zamiotła dywan. Nie ma potworów w szafie, bo nie ma szafy.

W takich chwilach wszystko jest doskonałe. Jesteśmy bezpieczne. Znajdujemy się w domku dla lalek.

Głowa Charlie spoczywa na moich kolanach, czuję jej ciepło. Moja córka leży bokiem na huśtawce, podkuliła nogi, bo nie ma już trzech lat i nie mieści się cała na siedzisku. Przykryłam jej gołe stopy swoją kurtką, na wypadek gdyby między ceglane słupy wpadł wiatr, niosąc ze sobą krople deszczu.

Zmienia pozycję na wygodniejszą i zwraca twarz w moją stronę. Obwiodła fioletowe oczy czarną kredką, przez co stały się większe i piękniejsze, ale też ich spojrzenie zrobiło się przez to dużo bardziej cyniczne. W uszach nosi srebrne ćwieki, jeden odrobinę większy od drugiego.

Makijaż można zmyć, dziurki w uszach zarosną. Staram się nie przejmować takimi rzeczami. Jeśli coś komentuję, wystarczy, że Charlie wskaże przedstawiający motyla tatuaż pośród blizn na moim prawym biodrze.

Zacznę się martwić, dopiero kiedy zdejną jej aparat ortodontyczny. To za trzy miesiące.

– Wiesz co, mamó, wczoraj u Effie wyglądałaś, jakby coś cię opętało. Jasne, martwisz się i w ogóle, ale nigdy cię takiej nie widziałam. To dlatego, że się boisz, że nie zdołasz powstrzymać egzekucji tego człowieka?

– Trochę tak. – Bawię się kosmykiem jej włosów. Pozwala mi na to. – Wiesz, Charlie, nigdy jakoś nie rozmawiałyśmy o tym, co mi się przytrafiło.

– Bo nie chciałaś. – Stwierdzenie, nie wyrzut.

– Po prostu bałam się, że staniesz się częścią tego wszystkiego.

Nie chciałam pozbawiać Charlie niewinności, wołałam przekazać jej suche fakty, złągodzoną wersję zdarzeń.

– Czyli że nadal myślisz o... tamtych dziewczynach? – Wahanie. – Kiedyś jedna z nich mi się śniła. Merry. Fajne imię. Jakiś czas temu ktoś przyczepił

do mojego roweru artykuł wyrwany z „People”. Był o jej mamie. Podobno powiedziała, że podczas egzekucji Terrella Goodwina chce siedzieć w pierwszym rzędzie. Jesteś pewna, że on tego nie zrobił?

Siłą woli zmuszam się do zachowania spokoju, choć mam ochotę zerwać się na równe nogi. Miarowo odpycham się od betonowej podłogi. Ktoś obcy zostawił „prezent” mojej córce. Polny Kwiat zakwitł również w jej głowie. Co gorsza, Charlie mówi mi o tym dopiero teraz. Wolę nie myśleć, że moja córka zachowuje tego rodzaju rzeczy dla siebie, ponieważ boi się o nich wspominać, a jednocześnie wiem doskonale, że tak właśnie jest.

– Tak – mówię. – Oczywiście, że myślę o nich. O tym, jak umarły i kto za nimi tęskni. Zwłaszcza teraz. Specjalistka, o której ci opowiadałam, uzyskała DNA z wykopanych szczątków. To w sumie loteria, w której trzeba mieć dużo szczęścia, ale warto spróbować, jeśli rodziny tych dziewcząt wciąż czekają na identyfikację.

– Ty byś mnie szukała. Nie dałabyś za wygraną.

Próbuję się nie rozpłakać.

– Nigdy, kochanie, nigdy bym nie spoczęła. Opowiedz mi, o czym był ten sen. Ten o Kwie... Merry.

– Spacerowałyśmy po wyspie. Nie odzywała się. Było przyjemnie. To nie był koszmar.

Dzięki ci, Merry!

– Czyli co, masz pewność, że Terrell jest niewinny? – powtarza pytanie.

– Tak, niemal całkowitą. Brakuje dowodów rzeczowych. – Pomijam siedemnastoletni szlak rudbekii. Głosy w mojej głowie pogłębiają wątpliwości, które czuję.

– Mamo, kimkolwiek jest prawdziwy morderca, on już nie wróci – zapewnia solennie. – Skoro wtedy był na tyle cwany, żeby nie dać się złapać, to teraz też nie zaryzykuje. Zresztą nawet gdyby rzeczywiście coś planował, zrobiłby to już wiele lat temu. Może siedzi w więzieniu, skazany za coś zupełnie innego. To się podobno często zdarza.

Najwyraźniej moja córka dobrze sobie to wszystko przemyślała. Jak mogłam być na tyle głupia, by sądzić, że trybiki w jej nastoletnim mózgu obracają się wolniej niż w mózgu moim albo Lydii?

Nie dzielę się z nią szokującymi danymi, które usłyszałam od Jo – że większość spośród trzystu aktywnie działających w Stanach Zjednoczonych seryjnych morderców nigdy nie zostanie złapana.

– Charlie, musisz wiedzieć, że przede wszystkim chcę zapewnić ci normalne życie. Nie chcę, żebyś żyła w strachu. Na razie jednak musisz

zachować dużą ostrożność, dopóki nie przekonamy się, co się stanie z... Terrellem. Moim zadaniem jest chronić cię, dlatego proszę, odpuść na jakiś czas i pozwól mi to robić.

Charlie się podnosi.

– Mamo, o połowie moich znajomych nie powiedziałabym, że mają normalną rodzinę. Któregoś dnia w sobotę wieczorem matka Melissy Childers jeździła z cheerleaderkami po mieście i tym najbardziej nielubianym dziewczynom wkładała surowego kurczaka do skrzynki na listy. Na Facebooku jest nawet jej zdjęcie policyjne. A matka Anny wcale się nie rozchorowała, no wiesz, ostatnio, kiedy miała nas odebrać, tylko była pijana. Anna mówi, że matka wlewa sobie wódkę do kubka po coli. Mamo, my wiemy takie rzeczy. Tego nie da się ukryć.

Rzadko się zdarza, żeby moja córka podzieliła się ze mną tak dużą ilością informacji.

– Nie będę więcej jeździła z mamą Anny – oświadcza Charlie.

Huśtawka. Działa hipnotyzująco. Mów dalej.

Telefon Charlie zaczyna wygrywać melodyjkę; jakaś piosenka, której nie kojarzę. Charlie natychmiast sięga po aparat.

– Mogę prznocować u Marley? – pyta i od razu wstaje z huśtawki. Oddala się ode mnie.

– Uwielbiam to miejsce. Nie ma to jak sobotni wieczór we Flying Fish. – Jo podnosi do ust wielką, oszronioną szklankę piwa. Włożyła stare lewisy i czerwoną koszulkę Oklahoma Sooners, na szyi ma złoty wisiołek z DNA, który nosi chyba do wszystkiego.

Bill wraca z dużą porcją smażonych ostryg i chrupiących kulek kukurydzianych dla nas wszystkich. Ma na sobie stare džinsy; jeszcze nie widziałam go tak rozluźnionego. Nie wpuścił koszulki w spodnie. Powinien podciąć włosy. Podaje mi ogromną szklankę St. Pauli Girl. Jego palce stykają się z moimi dłużej, niż to konieczne. Postanawiam złożyć to na karb piwa, które już wypił. Ta szklanka odrobinę skomplikuje mój powrót do domu samochodem.

– Nie mają mniejszych – mówi z uśmiechem i siada po drugiej stronie stolika, obok Jo, tuż pod pstrokatą tablicą ogłoszeniową, na której wisi zdjęcie faceta trzymającego taaaką rybę.

– Prawdziwa? – Pokazuję na morskiego potwora rozmiarami dorównującego Charlie.

– To Ściana Kłamców – rzuca Bill, nie odwracając się, i wkłada do ust



smażoną kukurydzianą kulkę. – Od lat zabiegam o to, żeby zrobić coś takiego w biurze prokuratora okręgowego.

– To niesprawiedliwe – mówi Jo, marszcząc czoło. – Na przykład: od co najmniej dziesięciu lat dzięki badaniom DNA hrabstwo Dallas oczyszcza z zarzutów więcej osób niż niemal wszystkie pozostałe hrabstwa.

Jakbym słyszała Charlie.

– Och, Jo, zawsze dajesz się ponieść optymizmowi – odpowiada jej Bill. – Zaczekaj, aż załatwię Terrellowi nowe przesłuchanie, wtedy pogadamy.

W boksach i przy stołach piknikowych tłum i gwar. Obok nas ciągnie się kolejka do baru, stoją w niej typowi Teksasczycy w kapeluszach kowbojskich albo baseballówkach, potrafiący zjeść każdą rzecz, byle w chrupiącej panierce. Cały stan dostaje jednego wielkiego orgazmu na targach, podczas których wszystko, co jadalne, nawet nutellę, twinkies i masło, zanurza się we wrzącym oleju.

Chwilę po tym, jak Charlie wyparowała z domu, zabierając rzeczy na nocleg u koleżanki, Bill przysłał mi esemes z zapytaniem, czy nie wybrałabym się z nim i Jo na piwo. Nie podał przyczyny spotkania.

Nie wahałam się zbyt długo. Miałam do wyboru to albo wieczór w towarzystwie Kwiatów i butelki merlota. Pioruny waliły, a błyskawice zamieniały każde drzewo i krzak w ludzką sylwetkę. Związałam swoje deszczowe strąki w koński ogon, narzuciłam starą džinsową kurtkę, wskoczyłam do jeepa i przyjechałam, po drodze zapewniając zajęcie wycieraczkom.

Kiedy się zjawiłam, wyglądając jak zmokła kura, Bill i Jo byli już po co najmniej jednym piwie i zawzięcie dyskutowali o rozgrywającym Soonersów. Jo rzuciła mi rolkę ręczników papierowych, żebym choć trochę wysuszyła włosy i starła tusz do rzęs, który rozmazał mi się pod lewym okiem. Rozmowa zesłała nie na Terrella, lecz na jedną z nowych spraw Jo: szczątki trzy- czy czteroletniej dziewczynki, które znaleziono na polu w Ohio; dopiero potem zaczęliśmy rozmawiać o mnie.

– Czym tak dokładnie się zajmujesz? – spytał Bill.

– Nie wiem, czy to się jakoś nazywa. Powiedzmy, że... rozwiązuję problemy. Ludzie wymyślają sobie coś oryginalnego, a ja to tworzę. Czasem chodzi o drobne rzeczy, na przykład zaprojektowanie diademu ślubnego ozdobionego klejnotami wziętymi z pierścionka po babci, a czasem o większe, takie jak schody, które zbudowałam dla hotelu w Santa Fe. Każdy stopień jest osobno przymocowany do ściany, przez co ma się wrażenie, że schody unoszą się w powietrzu. „Sunday Morning” napisał o nich artykuł

w ramach cyklu o kobietach rzemieślnikach, co mi naprawdę pomogło. Autor był na tyle uprzejmy, by nie wspomnieć o Polnych Kwiatkach. Teraz mogę przebierać w zleceniach. I wyżej się cenić.

– Te schody to twoje ulubione dzieło?

– Nie. Bez dwóch zdań najlepszą rzeczą, jaką stworzyłam, była katapulta do dyń na zeszłoroczny dzień sportu w szkole Charlie. Poprawiliśmy rekord szkoły aż o osiemnaście metrów. – Biorę łyk piwa. – Mój ojciec studiował fizykę i nauczył mnie tego i owego.

Powinno być na lunch coś więcej niż tylko krakersy z serem na ostro. W szarej koszulce, która opina jego naprężone mięśnie, Bill wygląda bardziej chłopięco niż zwykle. Zastanawiam się, czy zdążył się spiknąć z tą Szwedką.

Uznaję, że lepiej zmienić temat; nie lubię, kiedy się o mnie rozmawia. Myślę, żeby zapytać, czy czasem nie chcą mnie upić po to, aby przekazać złe wiadomości. Przyglądam się Jo. Dziś wygląda bardzo przeciętnie: jak gosposia, kasjerka albo nauczycielka w podstawówce. Okropności, z którymi codziennie ma do czynienia, skryła za koszulką Soonersów i spojrzeniem jasnyniebieskich oczu, z których wyczytuję, że Jo sypia całkiem nieźle. Nikt by nie powiedział, że bez lęku przeczesywała dymiące zgliszczka bliźniaczych wież.

– Jo, jak to możliwe – odzywam się – że jesteś w stanie robić to, co robisz, dzień po dniu, i że nie ma to na ciebie wpływu?

Odstawia piwo.

– Moim darem od Boga jest to, że patrzenie na okropieństwa nie przyprawia mnie o mdłości. Kończyny. Flaki. Ale nie powiem ci, że wracam do domu i nie myślę o spermie na koszuli nocnej jakiejś Małej Syrenki. Albo o kuli w szczęce jeńca wojennego, która go nie zabiła. O tym, jak się męczył. Zastanawiam się, czy młoda matka przetrwała katastrofę samolotu, czy też od razu zginęła? Myślę o tym, kim są ci ludzie. Jeśli przestanę, będzie to oznaczało, że pora zmienić pracę.

Zabrzmiało to jednocześnie jak pijane bajdurzenie i najbardziej szczere wyznanie, jakie kiedykolwiek słyszałam.

– Tylko w tym jestem dobra – mówi Jo. – Jestem specjalistką w dziedzinie medycyny sądowej. Na niczym innym się nie znam.

– Za grzeczna jesteś. – Bill stuka się z Jo szklanką. – Ja przez większość czasu mam ochotę dać komuś w mordę.

Jo uśmiecha się i wznosi szklankę do toastu.

– Pochodzę z Oklahomy. Jesteśmy najmiłszymi ludźmi pod słońcem. Ale

też lubimy komuś przyłożyć. No i od czasu do czasu zdarza się też taki dzień jak dziś.

– Nie wiem, czy zauważyłaś – zwraca się do mnie Bill – ale świętujemy z Jo. Nie chcieliśmy mówić o tym na dzień dobry.

– Tak? – pytam.

Jo kiwa głową. Zezwolenie wydane.

– Udało nam się zidentyfikować osobę na podstawie jednej z próbek DNA.

Nie dociera do mnie to, co mówi Bill. Chyba nie chodzi o jeden z Kwiatów? Tak szybko?

– Dzięki krajowej bazie osób zaginionych zdołaliśmy ustalić tożsamość jednego z Polnych Kwiatów – potwierdza rzeczowo Jo. – Chodzi o próbkę pobraną z kości udowej.

– Tessie, wszystko okej? – Twarz Billa wykrzywia grymas niepokoju.

Nie wiem, czy zdaje sobie sprawę, co zrobił. Nazwał mnie Tessie. Kładzie swoją dłoń na mojej. Ten gest trąca we mnie kolejną emocjonalną strunę, na której dźwięk nie jestem przygotowana. Zabieram więc rękę i zakładam za ucho kosmyk mokrych włosów.

– Tak... w porządku. Przepraszam. Jestem w szoku. Po tylu latach i po tym wszystkim, co mówiliście o statystykach, zwyczajnie nie spodziewałam się, że cokolwiek z tego wyjdzie. Jak... ona się nazywa?

Muszę to wiedzieć.

– Hannah – mówi Jo. – Hannah Stein. Dwadzieścia lat. Pracowała jako kelnerka w Georgetown. Zaginęła ćwierć wieku temu. Jej młodszy brat pracuje obecnie w policji w Houston. Mieliśmy szczęście. Kilka miesięcy po tym, jak przeszedł obowiązkowe szkolenie z odnajdywania osób zaginionych, uparł się, żeby cała rodzina umieściła swoje DNA w bazie danych CODIS. Mitochondrialne DNA Hannah pasuje do DNA Rachel i Sharon Stein. Pierwsza to matka, druga to siostra. Pamiętaj, że mitochondrialne DNA daje stuprocentową pewność po stronie matki.

– Jeżeli zdołam dowieść, że w dniu, w którym ona zaginęła, Terrell nie przebywał w pobliżu Georgetown, to... no, na pewno nam to pomoże. – W głosie Billa pobrzmiwa triumfalna nuta.

– Jest tylko jedna sprawa. – Jo zatrzymuje na mnie spojrzenie. – Matka chce, żebyś też tam była.

– Tam, czyli gdzie?

Kwiat naraz przestał być kupką kości i zębów i bezcielesnym głosem w mojej głowie. Ma na imię Hannah. Jest cieniem pędzącym ku światłu. Cieniem, którego twarz wkrótce zobaczę.

– Matka i syn przyjeżdżają z Austin, żebyśmy mogli oficjalnie przekazać im informację o ustaleniu tożsamości zaginionej dziewczyny. Matka Hannah poprosiła o spotkanie z tobą. Od zawsze podejrzewała, że coś wspólnego ze zniknięciem jej córki może mieć pewien krewny rodziny. Ona... my i policja też... chcemy się przekonać, czy zdołasz go rozpoznać.

– Sęk w tym – dodaje Bill – że on nie żyje.

## Tessie w 1995 roku

Do gabinetu pana doktora przychodzi ich dwoje. Mężczyzna i kobieta.

Mężczyzna jest prokuratorem. Pan Vega. Niski, krępy, około czterdziestki. Silny uścisk dłoni, kontakt wzrokowy. Solidna dawka włoskiej męskości. Przypomina mi trenera futbolu, który w zeszłym roku podczas turnieju zagonił połowę szkoły do sali gimnastycznej. Widać, że to on tu rządzi.

Kobieta wygląda jak uczennica ostatniej klasy liceum i mam wrażenie, że zdecydowanie lepiej by się czuła ubrana w coś mniej oficjalnego niż ciuchy od Ann Taylor, które ma na sobie. Siadam na kanapie, kobieta zaś tam, gdzie zwykle pan doktor. Stuka lewą piętą o podłogę. Jest zdenerwowana – może to jej pierwsza duża sprawa? Mówi, że jest terapeutką z urzędu ochrony praw dziecka, ale mogłabym się założyć, że robi po prostu za swego rodzaju przyzwoitkę – dla pewności, że nie zarzucę prokuratorowi niczego niestosownego.

Generalnie wszystko mi zwisa, bo przed godziną wzięłam dwa benadryle. Zasadniczo nie łykam takich rzeczy, ale to akurat podsunęła mi Lydia, kiedy jej powiedziałam, że czeka mnie pierwsze spotkanie z oskarżycielem. Sama bierze dwie tabletki, kiedy jej rodzice wpadają w trzydniowy ciąg kłótni i wrzasków. Lydia znowu trafiła w dziesiątkę. Powietrze jest gęste i pełne napięcia, a ja unoszę się w nim, bezpieczna w cichej i spokojnej bańce mydlanej.

Pan doktor nie jest zadowolony. Po pierwsze, nie poprosiłam go, żeby został. Po prostu nie wydaje mi się to aż tak istotne, poza tym wymagałoby ode mnie działania, a na to nie mam energii. Pan Vega woli, żeby pana doktora nie było przy rozmowie. Jestem pod wrażeniem, że tak szybko udało mu się skłócić lekarza i usunąć go za drzwi jego własnego gabinetu, bo przecież tamten też nieźle sobie radzi z manipulacją.

Mówią nagłym tonem, niby cicho, ale wyraźnie. Imię kobiety to Benita. Słyszymy każde słowo, które wypowiadają mężczyźni. Osobliwe wrażenie. Widzę, że ona nie jest pewna, co robić. Od razu uprzedziła mnie, że wcale nie musimy rozmawiać. Współczuję jej.

– Podobają mi się pani włosy – mówię, bo to prawda. Są czarne, z paroma lśnącymi, czerwonymi pasemkami. Ciekawe, czy sama je farbuję.

– A mi twoje buty – odpowiada.

Wciąż słyszymy każde słowo z rozmowy lekarza z prawnikiem.

– Proszę nie zadawać jej pytań zaczynających się od „dlaczego” – instruuje pierwszy drugiego.

– Potrzebujemy pół godziny, szanowny panie. Proszę się o nic nie martwić.

Przypuszczam, że takim samym „szanownym panem” Vega traktuje wrogo nastawionych świadków. Naoglądałam się Christophera Dardena i Johnniego Cochran na procesie O.J. Simpsona.

Zaczynam współczuć również panu doktorowi, że tak bezceremonialnie usuwają go z jego własnej przestrzeni.

Benadryl sprawia, że staję się do rany przyłoż.

Przenoszę uwagę ze starcia przy drzwiach na Benitę. Postanawiam ją sprawdzić. Powiedziała, że przyszła specjalnie dla mnie i że mogę ją zapytać o cokolwiek. Albo o nic. Decyzja należy do mnie. Jasne, słyszałam ten tekst już tyle razy, że robi mi się niedobrze. Brzmi jak z pierwszego rozdziału podręcznika postępowania z dysfunkcyjnym świadkiem/ofiarą.

– Dlaczego macie nie zadawać mi pytań zaczynających się od „dlaczego”? W czym problem? – pytam.

Zerka na oskarżyciela, który w ogóle nie zwraca na nas uwagi. Na pewno zastanawia się, czy powinna podzielić się poufnymi informacjami z nastoletnim świadkiem. Pewnie nie było o tym w podręczniku.

– Ponieważ to sugerowałoby twoją winę – odpowiada. – Wiesz, chodzi o takie pytania, jak: „Dlaczego zrobiłaś to lub tamto?”. Albo: „Jak uważasz, dlaczego to się przytrafiło akurat tobie?”. Pan Vega nie zada ci żadnego pytania zaczynającego się od „dlaczego”. Nie jesteś niczemu winna.

To mnie intryguje. Próbuję przypomnieć sobie, czy pan doktor kiedykolwiek zadał mi pytanie zaczynające się od „dlaczego”, i dochodzę do wniosku, że nie. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że można leczyć poprzez pomijanie pewnych rzeczy. To przecież kłopotliwe. Kolejne zmartwienie.

Odgłos zamykanych drzwi. Pan doktor zostaje po drugiej stronie. Oskarżyciel przysuwa sobie fotel lekarza, bacznie mi się przyglądając.

– W porządku, Tessie. Przepraszam za to. Nie zamierzam dziś omawiać z tobą sprawy, więc możesz się rozluźnić, jeśli właśnie to cię martwi. Następnym razem pewnie też o niej nie porozmawiamy. – Kiwa głową do Benity. – Oboje uważamy, że byłoby złym pomysłem wypytywanie cię o rzecz tak bolesną i głęboko osobistą bez uprzedniego nawiązania z tobą bliższej relacji. Dlatego najpierw się poznamy. Pragnę cię również zapewnić, że gotów jestem pójść do sądu, choćbyś nawet nic więcej sobie nie przypomniała.

Robią na mnie zupełnie inne wrażenie niż pan doktor. Bywa z nim różnie, to fakt, ale przez cały czas subtelnie naciska. Czasem myślę, że celowo chce mi zamącić w głowie.

Teraz muszę się zastanowić, kto mówi prawdę. Głowa mnie boli. Postanawiam odwrócić sytuację i zadać Vedze pytanie. Bo widać, że lubi rządzić innymi.

Benadryl mnie uwolnił. Jest mi wszystko jedno.

– *Dlaczego* – pytam – jesteście tacy pewni, że ten człowiek jest winny?

## Tessa obecnie

Znowu wpatruję się w to głupie plastikowe serce i mam wrażenie, że zaraz zacznę bić.

Jesteśmy tylko Jo i ja. Byłam na miejscu pierwsza, choć wcześniej przez dwie godziny rozpaczliwie próbowałam dobrać odpowiedni strój na spotkanie z matką Hannah, kobietą pogrążoną w żałobie i być może liczącą na to, że żyje we mnie jakaś część jej zmarłej córki. Oczywiście, że Hannah żyje we mnie, ale nie powiem tego jej matce. Okazuje się, że najlepszym ubiorem na tę okazję jest szydełkowy sweter, brązowa skórzana spódnica, botki i sznur pereł po matce, których nigdy wcześniej nie zakładałam.

– Podoba ci się?

Jo zdejmuje pojemnik z półki, otwiera go, wyjmuje serce i podaje mi, jakby było gumową zabawką dla psa. W dotyku nawet ją przypomina. Wzięłam je odruchowo, tak jak teraz odruchowo mam ochotę je rzucić. Ostrożnie zwracam serce właścicielce.

– Prawdziwe?

– Tak. Zaplastynowane. Własnoręcznie.

Czyli miałam rację. Trudno mi jednak przełknąć, że Jo, moja bohaterka, chodząca dobroć, poczyną sobie tak niefrasobliwie z bądź co bądź czyimś sercem.

– Powiedzieć ci, skąd je mam? – Zerka na zegarek. Widocznie taki ma pomysł na zagospodarowanie najbliższych dziesięciu minut.

Kręcę głową, ale Jo tego nie widzi, bo pochyła się, wkładając serce z powrotem do pojemnika.

– Wieczorem, dzień przed Świętem Dziękczynienia, jechałyśmy z babcią do cici nieoświetloną wiejską drogą. Jeleń wybiegł nam przed maskę, nie zdążyłam zahamować.

Jeleń. Uff. Trochę mi lepiej.

– Nieźle grzmotnęłyśmy – ciągnie Jo. – Mnie i babci nic się nie stało, ale jeleń... Zanim odjechałyśmy, poszłam sprawdzić, czy na pewno zginął. Nie zostawiłabym go dogorywającego na poboczu. Z bliska okazało się, że nie przeżył. Nie zdążyłam się zastanowić, co dalej, bo nagle obok nas zatrzymały się trzy pikapy. Z każdego wysiadł, rozumiesz, autochton i... zaproponowali, że zaopiekują się jeleniem. U jednego z mężczyzn zauważyłam nóż przy pasku.



Serce znów zamienia się w znak zapytania. Niepokojąca scena...

– Powiedziałam temu z nożem, że pozwolę mu zabrać zwierzę, jeśli pożycz mi nóż. Zgodził się. Wzięłam go więc i wycięłam jeleniowi serce.

...jak z baśni braci Grimm. W Oklahomie takie lubią. Z jednej strony robi mi się niedobrze, z drugiej czuję ulgę.

– Czy ci faceci... wiedzieli, czym się zajmujesz? Wiedzieli, do czego ci serce?

A ty sama wiedziałaś?

– Nie pamiętam, czy o tym wspomniałam. Panowie zafiksowali się na jeleninie.

– Wykroiłaś serce, zabrałaś je do... samochodu, w którym siedziała babcia. I co z nim potem zrobiłaś?

– Włożyłam do lodówki turystycznej.

– I zawiozłaś na obiad?

Nie zapytałam, czy placek z dynią musiał się przesunąć, żeby zrobić miejsce na stole.

– Ciocia nieźle się wystraszyła, kiedy wyszła nas przywitać i zobaczyła, że mamy wgniecioną maskę, a ja jestem cała we krwi. Było sporo śmiechu.

Coś innego nie daje mi spokoju.

– Co byś zrobiła, gdyby się okazało, że jeleni jednak żyje?

– Nie wiem. Może bym go udusiła sznurówką. W każdym razie żywego bym go nie zostawiła.

Jest Jo, którą znam – i taka, o której istnieniu nie miałam pojęcia.

Pukanie do drzwi. Do pokoju zagląda studentka w białym fartuchu.

– Pani doktor, przyjechała policja. Zaprowadziłam ich do sali konferencyjnej. Recepcja dała znać, że rodzina też już jest. Dzwonił Bill, chciał przekazać, że rodzina Steinów oficjalnie odrzuciła jego prośbę o uczestnictwo w spotkaniu, i poinformować was, że matka Hannah przyprowadzi ze sobą medium.

Jo wydaje się niewzruszona. Jest w końcu jedną z tych kobiet, które po znalezieniu się na ciemnej oklahomskiej drodze, z babcią na tylnym siedzeniu auta, w towarzystwie trzech roślących nieznajomych i z nożem w ręku, myślą tylko o tym, żeby wyciąć serce potraconemu jeleniowi.

– Gotowa? – pyta Jo.

Dwoje funkcjonariuszy, jeden brat, jedna matka, jedno medium – wszyscy pięcioro zatopieni w smętnej ciszy siedzą przy stole konferencyjnym w klaustrofobicznym pomieszczeniu, przed poplamionym dzbankiem do

kawy, piramidą styropianowych kubeczków i nieotwartym brązowym pudełkiem z chusteczkami. Zapach świeżej farby w pokoju jest tak silny, że drapie mnie w gardle. Nie potrafiłabym zgadnąć, kto jest kim w tej grupie ludzi – jedyny wyjątek to porażająco młody brat policjant w galowym mundurze. Nikt nie ma oczu zaczerwienionych od płaczu. Żadnych kryształowych kul i luźnych koszul. Żadnych uniformów i odznak, jeśli nie liczyć stroju brata.

Kiedy wchodzimy do sali, mężczyzna we wranglerach i pod krawatem natychmiast wstaje i wyciąga rękę do Jo, to samo robi kobieta około pięćdziesiątki, mająca najbardziej matczyne, życzliwe oblicze spośród wszystkich zgromadzonych tu osób. Funkcjonariusz numer jeden i funkcjonariuszka numer dwa.

Siadam na krześle z myślą, że wolałabym być teraz zupełnie gdzie indziej.

Zwracam uwagę na kobietę po drugiej stronie stołu. Natychmiast wyciąga rękę i kładzie je na moich dłoniach. Włosy sztywne od lakieru i zepsute jasnoblond pasemkami. Jej oczy mają niespotykane intensywną niebieską barwę. Zakładam, że to Rachel Stein. Z miny funkcjonariuszki numer dwa wnioskuję jednak, że nie.

– Uzgodniliśmy, przypominam, że do aktywnego udziału w spotkaniu upoważnia panią jedynie wyraźna prośba. Znalazła się tu pani wyłącznie na życzenie rodziny.

Kobieta niechętnie cofa dłonie, po czym puszcza do mnie oko, jakbyśmy grały w tej samej drużynie. Czuję odrazę. Niech odda to, co wydaje jej się, że mi wyrwała swoimi wilgotnymi mediumicznymi łapskami.

Funkcjonariusze dokonują prezentacji, a ja skupiam się na prawdziwej matce Hannah, kobiecie po sześćdziesiątce, o jednocześnie bladej i wyrazistej twarzy. Jo mówiła, że pracuje jako nauczycielka angielskiego w gimnazjum. Wydaje się osobą rozsądną i konkretną. Tyle że przyprowadziła ze sobą medium.

Przez ułamek sekundy, kiedy nasze spojrzenia się stykają, widzę przerażenie w jej oczach, jakbym była błotnym potworem, który wypełził z grobu jej córki.

Rano Steinowie spotkali się z koronerem i uzyskali oficjalne potwierdzenie tożsamości. Zadanie Jo polega na przekonaniu ich, że ponad wszelką wątpliwość mamy do czynienia ze szczątkami Hannah. Objasnia podstawy badań z wykorzystaniem mitochondrialnego DNA, opisuje pracę w laboratorium, przytacza dane o wysokim genetycznym prawdopodobieństwie, z marginesem błędu do pół procenta, że to naprawdę

córka pani Stein. Zajmuje jej to jakieś dziesięć minut.

– Pani Stein, szczątki pani córki potraktowaliśmy z najwyższym szacunkiem – mówi Jo. – Jest mi bardzo przykro, że pani rodzinę spotkała taka tragedia.

– Dziękuję. Jestem wdzięczna, że zechciała pani poświęcić nam czas. Wierzę, że to Hannah. – Przenosi spojrzenie na funkcjonariuszy. Widać wyraźnie, że stara się omijać mnie wzrokiem.

– Tesso – odzywa się funkcjonariuszka numer dwa. Usłyszałam jej imię, ale wyleciało mi z głowy. – Czy mogę mówić pani po imieniu?

– Oczywiście. – Wychodzi chropowato. Odchrząkuje.

– Ponieważ w mediach pojawiły się... spekulacje... na temat tego, czy za morderstwo Hannah na pewno skazano właściwego człowieka, państwo Steinowie chcieliby się przekonać, czy umiałabyś wskazać na fotografii krewnego, który okazywał nietypowe zainteresowanie ich córką. W swoim czasie znalazł się nawet w gronie podejrzanych. Człowiek ten już nie żyje, dlatego nie musisz się obawiać jakiegokolwiek odwetu z jego strony. Państwo Steinowie pragną jedynie odnaleźć spokój duszy. Nikt nie chce przecież, aby niewinny człowiek został stracony. – Mówi to bez urazy, ale zastanawiam się, co naprawdę myśli.

Nagle czuję, że brakuje mi Billa. Chciałabym, żeby znów pogładził mnie po dłoni.

– W porządku.

– Przypomina mi pani moją córkę – mówi pani Stein. – Oczywiście pomijając kolor włosów. Podobnie jak ona sprawia pani wrażenie... wolnego ducha.

Funkcjonariuszka podsuwa mi dwa arkusze zadrukowane zdjęciami policyjnymi. Brat policjant, milczący gliniarz o pokerowej twarzy, pochyla się nad fotografiami. Dociera do mnie, że kiedy Hannah zaginęła, jego jeszcze nie było na świecie. Jest dzieckiem, które miało przywrócić normalność domowi Steinów.

– To był okropny człowiek – mówi pan Stein łamiącym się głosem.

Wizerunki dwunastu mężczyzn wirują mi przed oczami. Wszyscy łysi, biali, w średnim wieku.

– Uważam, że tego jelenia, który wybiegł mu przed maskę, zesłał Bóg. – Pierwsze słowa brata brzmią niczym siarczysty, wymierzony z premedytacją policzek. – Sprawił, że drań zapadł w śpiączkę, żebyśmy mogli po prostu wyciągnąć wtyczkę aparatury z kontaktu. Żeby nie musiał własnoręcznie go odstrzelić.

Jestem w szoku. Naprawdę? Jeleń? Korci mnie, żeby złapać spojrzenie Jo, ale tego nie robię. Za dużo jeleni jak na jeden dzień. Za dużo metafor i zbiegów okoliczności. Za dużo złości i pewności co do boskiego gniewu, podczas gdy czasem wszystko jest zwyczajnie pozbawione sensu.

– Przykro mi – mówię w końcu – ale po prostu nie wiem. Niewiele pamiętam. – Jednocześnie dociera do mnie, że coś jednak sobie przypominam. Materiał. Jakiś wzór. Wiem, gdzie go wcześniej widziałam, ale nie mam pojęcia, co to znaczy.

Pod wpływem impulsu wyciągam rękę do medium.

– Mogę? – pytam funkcjonariuszkę.

– Proszę. – Jest zdeprymowana.

Pani Stein energicznie kiwa głową, jest jak ożywiona lalka. Jej syn posyła mi spojrzenie będące mieszaniną rozczarowania i pogardy.

Wiem, że muszę to zrobić, nieważne, co o tym myślę. Dla Hannah. Dla jej zgnębionej matki. Dla brata, który z niewłaściwego powodu został policjantem. Dla ojca, którego nieobecność rzuca się w oczy.

– Czuję, że wracają wspomnienia. – To najprawdziwsza prawda. – Ale chowają się za grubą zasłoną. Czy pomoże mi pani za nią zajrzeć?

Medium zaciska swoje spocone dłonie na moich. Jej paznokcie wbijają mi się w ciało. Czuję się tak, jakby pożerał mnie zaśliniony rekin.

– Oczywiście. – Oczy medium błyszczą jak kawałki lodu. Są pierwszą rzeczą świadczącą o jej wyjątkowości, a także dowodem, że potrafi wejrzeć w zaświaty.

– To czarnoskóry – mówi.

Powoli cofam dłonie i odwracam się do matki Hannah. Oczy Rachel Stein nie lśnią, są niczym grząski, głęboki lej, do którego nie chcę wpaść.

– Pani Stein, leżałam w grobie z pani córką. Hannah na zawsze pozostanie częścią mnie, tak jakbyśmy miały wspólne DNA. Jej potwór jest moim potworem. Proszę mi wierzyć, że naprawdę wiem, co usłyszałyby pani od niej w takim momencie. Powiedziałyby, że panią kocha. I dodałyby, że ta kobieta jedynie przysparza pani bólu. Ponieważ kłamie.

## Tessie w 1995 roku

– Gotowa rozprawić się z zabójcą?

Pan Vega krąży między biurkiem, oknem i kanapą.

– Musisz być odporna psychicznie. Obrona będzie próbowała namieszać ci w głowie. Chcę mieć pewność, że będziesz przygotowana na ich sztuczki.

Pan doktor wychwytuje moje spojrzenie i zachęcająco kiwa głową. Dziś nie dał się wyprosić z własnego gabinetu. W zeszłym tygodniu Vega i Benita spotkali się ze mną jeszcze dwukrotnie, raz w kręgielni i raz w Starbucksie. Dzięki Vedze miałam okazję spróbować mocha frappuccino i zjeść hot doga z grillowaną papryczką jalapeño. Spytał mnie, *dlaczego* lubię biegać, *dlaczego* lubię rysować i *dlaczego* tak bardzo nie znoszę nowojorskich Jankesów. Chętnie uczestniczyłam w tych sesjach „poznawania mnie”, bo były dużo mniej bolesne niż przesiadywanie na kanapie u pana doktora. Jak mawia tata, każdy po prostu wykonuje swoją pracę.

Moje nastawienie zmieniło się, kiedy zagraliśmy w kręgle w rytmie disco na torze szesnastym. Migwały psychodeliczne światła, słycać było huk zbijanych kręgli, a z głośników dudniły kawałki Sister Sledge. Urządziliśmy sobie pojedynek z panem Vegą. Benita zapisywała punkty i dopingowała nas szalonymi hiszpańskimi okrzykami, które pamiętała z liceum. Vega nie zamierzał dawać mi forów, choć do gry musiałam chwilowo – za zgodą chirurga – zdjąć but ortopedyczny. Mężczyzna, który miał prowadzić sprawę przeciwko mojemu potworowi, wyrzucił *spare*, potem *strike* i znów *spare*, i wygrał, choć pod koniec udawałam, że kuleję.

No więc może był manipulatorem, a może był szczery. Albo jedno i drugie po trochu. Nieważne. Liczy się to, że kiedy dziś usiadłam na kanapie, by oficjalnie rozpocząć przygotowania do procesu, byłam gotowa – należałam do drużyny pana Vegi, już nie tylko dlatego że zwyczajnie nie miałam innego wyjścia. Chciałam wygrać.

– Znam wszystkie jego triki. – Vega chodzi po pokoju, jakby to była sala rozpraw. – Zwabia dzieciaki w pułapkę „tak–nie”. Pamiętaj, że im więcej opisów znajdzie się w twoich odpowiedziach, tym silniej ława przysięgłych odczuje twój ból. obrońca zada ci serię pytań, na które odpowiedź będzie brzmiała „tak”. Będziesz więc powtarzała: „Tak, tak, tak, tak”. Wtedy on rzuci pytanie, na które odpowiedzią będzie zdecydowane „nie”, ale ty już będziesz ugotowana, bo wpadłaś w rytm, odpowiesz więc „tak”, a kiedy się

zreflektujesz i poprawisz na „nie”, obrońca zapyta, czy nic ci się nie pomieszało. I wtedy się zacznie.

Kiwam głową. Wydaje mi się, że łatwo sobie poradzę.

– Zasypie cię datami i liczbami, aż zacznie ci się kręcić w głowie. Kiedy coś ci się pomyli, domagaj się doprecyzowania. Zawsze. Za każdym razem. Bez wyjątku. Wtedy wyjdzie na to, że się nad tobą pastwi.

Podchodzi do mnie. Twarz mu tężeje.

– Skoro cztery razy sześć daje dwadzieścia cztery, a dwa razy więcej to czterdzieści osiem, to ile wynosi ta suma razy pięćdziesiąt, plus sześć?

Patrzę na niego z niedowierzaniem. Zaczynam liczyć w głowie.

Wyciąga palec do góry.

– No już, Tessie, odpowiadaj.

– Nie wiem.

– W porządku. Czujesz się otepiała i lekko spanikowana? No właśnie. Tak będzie na rozprawie, tyle że cztery razy mocniej. – Wraca do krążenia po gabinecie. Cieszę się, że nie ma ze mną Oscara, bo chyba by zwariował. – To będzie najtrudniejsze. Obrońca zacznie sugerować, że coś ukrywasz. Dlaczego pamiętasz to, że w dniu, kiedy na ciebie napadnięto, kupowałaś tampony, a nie potrafisz sobie przypomnieć twarzy napastnika? Dlaczego nawiązałaś relację z szalonym bezdomnym? Dlaczego zawsze biegałaś w pojedynkę?

– Bo biegam tak szybko, że znajomi za mną nie nadążają – protestuję. – A Roosevelt wcale nie jest takim wariatem.

– Nie, Tessie. Nie reaguj spontanicznie. Zastanawiaj się, zanim odpowiesz. Biegam wyłącznie za dnia i na dwóch trasach, które zaakceptował mój tata. Roosevelt od dziesięciu lat stoi na tym samym rogu i przyjaźni się ze wszystkimi, nawet z miejscowymi policjantami. Rzeczowo. Nie pozwól mu się sprowokować. Nie zrobiłaś przecież nic złego.

– Czy naprawdę wspomni o... tamponach?

– Mogę się założyć. Wszystko, bylebyś poczuła się nieswojo. To subtelne posunięcie, na które ława przysięgłych nawet nie zwróci uwagi. Dla nich tampony to normalna rzecz. Dla ciebie, nastoletniej dziewczyny, to coś intymnego i krępującego. Uwierz mi, Dick nie ma hamulców, nawet jeśli chodzi o dzieci będące ofiarami molestowania seksualnego.

Jego spojrzenie przeszywa mnie jak laser.

– Dlaczego w zeszłym roku nie zostałaś dopuszczona do startu w dwóch mityngach?

Pan doktor zaczyna się kręcić. Chce interweniować. Prokurator to wyczuwa i podnosi dłoń, nie odrywając ode mnie oczu. Znak stop.

Patrzy na mnie Vega, który udaje, czy ten prawdziwy? Tak czy siak, jego pytanie budzi we mnie złość. Gniew rodzi się w korzeniach włosów, a potem rozchodzi po całym ciele, rozlewa jak gorąca woda.

– Podczas eliminacji w trakcie zawodów regionalnych dziewczyna z konkurencyjnej drużyny zepchnęła moją przyjaciółkę Denise z płotka, żeby wygrać. Nikt, kto oglądał wyścig, a nie jest płotkarzem, niczego nie zauważył. Ale ja zauważyłam, widziałam jej ruchy. Po biegu podeszłam do niej i powiedziałam, że wiem, że oszukiwała. Przewróciła mnie, a kiedy podbiegli organizatorzy, stwierdziła, że to ja pierwsza ją popchnęłam. Zawiesili nas obie na dwa kolejne mityngi. – Prostuję plecy. Wbijam spojrzenie w Vegę, patrzę mu prosto w oczy. Niech wie, że jestem wściekła, ale panuję nad sobą. – Nie żałuję tego, bo teraz wszyscy będą mieli ją na oku. Już więcej tego nie zrobi.

W gabinecie zapada cisza.

Ciekawe, czy mi uwierzyli. Wszyscy, którzy mnie znają, wierzą w moją wersję zdarzeń. Lydia nawet napisała pełen oburzenia list do zarządu Uniwersyteckiej Ligi Międzyszkolnej. Podpisała go: „Z poważaniem, panna Lydia Frances Bell”.

– Doskonale – mówi Vega. – Mamy opowieść. Jest spokój i opanowanie. Świetnie. – Podchodzi bliżej i kładzie mi dłoń na ramieniu.

To przyjemny dotyk. Wciąż jednak nie wiem, czy lubię tego mężczyznę, czy po prostu tylko podoba mi się to, co dzięki niemu odzyskuję. Siłę. Coś, co mój potwór odebrał mi i cisnął do rynsztoka przy Walgreens.

Vega zdejmuje dłoń z mojego ramienia. Sięga po teczkę stojącą na podłodze obok nóg Benity.

– Było krótko, ale myślę, że na dziś wystarczy. Niedługo Benita oprowadzi cię po sali rozpraw. Proponuję, żebyś usiadła na każdym z miejsc. W ławie przysięgłych. Na fotelu sędziego... to mój ulubiony. Chcę jeszcze poczekać z twoim zeznaniem, zajmiemy się nim bliżej rozprawy. Zobaczymy, może do tej pory uda ci się pójść z panem doktorem kilka kroków dalej.

Wszyscy poza mną wstają. Nie ruszam się z kanapy.

– Dwa tysiące czterysta sześć.

Vega zatrzymuje się w drzwiach.

– Zuch dziewczyna – mówi. – Wystarczy zwolnić i zastanowić się, a odpowiedź sama przyjdzie.

## Tessa obecnie

Jasne, że chodzi mi to po głowie, od kiedy usłyszałam, jak nazywa się matka Hannah.

Rachel Stein. Jej imię nie zaczyna się na S ani na U, ani na N. Nie pasuje do wyliczanki, którą odłożyłam na potem, jak krzyżówkę do uzupełnienia. S U N. Litery podsunęte przez Merry, kiedy rozmawialiśmy w grobie, i służące do zapamiętania imion wszystkich matek – żebym potrafiła je odnaleźć.

Od kiedy dowiedziałam się, że znaleziono niezidentyfikowane szczątki trzech, a nie dwóch Kwiatów, nachodzi mnie myśl, że może jednak moja rozmowa z Merry nie była złudzeniem. Bo okazało się, że w grobie rzeczywiście znajdowały się kości trzech, a nie dwóch dziewczyn – czyli tak jak mówiła Merry. To nie może być przypadek, prawda?

A może jednak? Nazwisko Rachel Stein – napisane czarno na białym w dokumencie tożsamości, potwierdzone badaniem DNA – sprawia, że zastanawiam się, czy na pewno wszystko było (i nadal jest!) w porządku z moją głową. Niewiele brakowało, a zasypałabym panią Stein gradem pytań. Czy „Rachel” to pani imię, czy przydomek? Jak pani ma na drugie? Czy zmieniła pani imię?

Nie mogę mieszać jej w głowie; nie wolno mi zastępować szaleństwa medium własnym. Matka Hannah wyszła z pustej sali konferencyjnej słabsza na duchu, niż kiedy do niej wchodziła. „Spokój duszy to mit – powiedziała mi później Jo. – Ale dobrze jest wiedzieć”. Kiedy pani Stein opuszczała pomieszczenie, wspierała się na ramieniu syna. Poruszała się jak staruszka.

Brat Hannah i ja zawarliśmy milczące porozumienie, że medium dostanie kopniaka na drogę. Gotowała się ze złości i potykała o własne nogi, kiedy chłopak wyprowadzał ją z sali. Gdy tylko usłyszał z moich ust słowo „kłamie”, podniósł głowę i posłał mi tak pełne wdzięczności spojrzenie, jakiego jeszcze nigdy nie widziałam. Co zaś się tyczy medium, to nawet jeśli jeszcze nie rzuciła na mnie klątwy, na pewno coś zrobiła, bo jeszcze przez godzinę czułam mrowienie w bliznach...

„Moja Wiecznie Zapracowana Mama Jutro Sama Upiecze Nam Placek”. Obracam te słowa w myślach, od kiedy opuściłam salę konferencyjną. Wyobrażam sobie, jak Merry raz za razem wciska guziki w szafie grającej. Coraz bardziej stanowczo i z coraz większą irytacją. „Przypomnij sobie”.

Moje buty wystukują rytm na schodach. Pierwszy stopień. Moja. Drugi



stopień. Wiecznie. Trzeci stopień. Zapracowana. Czwarty stopień. Mama. Otwieram drzwi do pracowni. Wypuszczam ciepłą, stęchlą duchotę. Otwieram na oścież panoramiczne okno i upajam się świeżym powietrzem, które jest jak lodowaty kieliszek tequili. Odważna sójka siedzi na gałęzi i wpatruje się we mnie. Odwracam wzrok pierwsza.

Podnoszę kilka kartek leżących na zakurzonym stole. Pozostałość po jednym z projektów Bobby'ego, po weekendowych odwiedzinach. Mój kochany braciszek. Dziś pisze scenariusze do kasowych filmów i próbuje się wyleczyć oddychaniem holotropowym oraz wdziękami ponętnej asystentki producenta, która nosi kolczyk w nosie. Wyjechał na studia do Kalifornii i bardzo rzadko tu zagląda; wpada z krótkimi wizytami albo przyjeżdża na pogrzeby. Powinnam była zrobić tak samo jak on. Nawet skrócił nazwisko do Wright.

Rysuję serca na kurzu pokrywającym stół kreślarski. Palec robi się czarny. Wybieram białą herbatę z zapasu, który trzymam w serwantce, i włączam czajnik. Słucham znajomego szumu. Stwierdzam, że stary miód w słoiku pachnie jak piwo, i zamiast niego dodaję do herbaty dwie kostki cukru. Merry raz jeszcze energicznie wdusza przycisk w szafie grającej i znika.

Zawsze bardzo lubiłam ten pokój. Po prostu nie chciałam się nim dzielić z Kwiatami. Dziś wygląda na to, że nie muszę tego robić. Przecieram stół kreślarski papierowym ręcznikiem i przypinam do niego czystą kartkę; klips, którym przymocowuję papier, wydaje tak głośny trzask, że płoszy ptaka. Odlatuje, z rozdrażnieniem trzepocząc skrzydłami. Zaczynam luźno szkicować fałdy tkaniny. Ołówek skrobie cicho jak szczur pod podłogą. Spieszy mi się, by przejść do ważniejszego, bardziej złożonego etapu pracy. Kiedy patrzyłam na prostą bawełnianą bluzkę pani Stein – na obwisłe pod ciężarem lat piersi – przyszedł mi do głowy pomysł.

Niespodzianka: rysuję kwiaty i wcale mi to nie przeszkadza. Mija godzina. Potem druga. Strasznie dużo płatków i ulistnione pnące, które wije się i łączy kwiaty, jak gdyby było spletanym drzewem genealogicznym. Nalewam wody do papierowego kubka i otwieram pudełko z akwarelami. Niebieska, różowa i zielona.

Brak żółtej. To nie są rudbokie.

Tkanina zaś to nie zasłona.

Rysuję fartuch matki. Nie widzisz mnie, ale jestem tu, pod spodem, chowam się. Czuję, jak materiał łaskocze mnie w nos i policzki. Ciemno tu, ale przez cienką bawełnę przesącza się dość światła, bym się nie bała. Pod sobą mam ciepłą poduszkę z ciała matki.

Nie widzę tego, co znajduje się po drugiej stronie.  
Przypomina mi to ślepotę.

Doktor Giles trzyma mój malunek dwoma palcami, obchodzi się z nim ostrożnie, bo jeszcze nie całkiem wysechł.

Kończy pracę. Zabawki i książki są starannie uprzątnięte. Świecą się dwie lampki na stole, górne światło jest wyłączone. Słoń poszedł spać do domku dla lalek, naciągnął koc po samą trąbę.

– I co o tym myślisz? – pytam. – Czy fartuch to zasłona? Czy zasłona nie ma nic wspólnego z tym, że zostałam porzucona w grobie? Czy to bez sensu? – Mam wyrzuty sumienia, że tak usilnie dopytuję.

– Wszystko ma swój sens – odpowiada. – Fartuch najprawdopodobniej kojarzy ci się z czymś, co przynosi pociechę. To, że elementy jednego koszmarnego przeżycia, czyli śmierci matki, łączysz z elementami drugiego, nie jest zaskoczeniem. Posłuchaj, Tesso, w twoim przypadku najważniejsze jest pozbycie się nieznanego, ono bowiem budzi strach. Gdybyś przyszła i powiedziała, że za zasłoną widzisz mordercę, jak Dorotka Czarnoksiężnika z Krainy Oz, to cóż... chyba nie tego się spodziewałaś, prawda?

Ależ tak. Właśnie tego. Wychowałam się w Krainie Oz.

Nie mówię tego głośno. Ani nie dodaję, że obrazek matczynego fartucha wzbudza we mnie taki sam niepokój jak zasłona, którą rysowałam już setki razy.

## Tessie w 1995 roku

– Co sądzisz o panu Vedze i o Benicie?

Czy mi się wydaje, czy pan doktor jest odrobinę zazdrosny?

– Jest miły – odpowiadam ostrożnie. – Oboje są mili.

Dorośli wszystko komplikują. Powinam lubić pana doktora bardziej niż Vegę i Benitę? To jakiś konkurs czy co?

– Gdybyś miała jakieś pytania albo coś by cię zaniepokoiło, mów śmiało. Al Vega potrafi być ostry.

A ty nie?

– Na razie nie ma o czym, ale będę pamiętała. – Ostatnio pragnienie uspokajania lekarza zastąpiło potrzebę dokuczania mu i drażnienia się z nim.

– Chciałabym zapytać o coś innego...

Lydia mówi, że to głupie, że noszę w sobie ten strach i pozwalam mu zżerać się od środka, ale uważa też, że to, co się we mnie dzieje, jest *nawet fajne*.

– Nie tylko Merry ze mną rozmawiała.

– To znaczy? Kto jeszcze?

– Pozostałe Kwiaty też się czasem... odzywają. Te z grobu. Nie przez cały czas. To chyba nic takiego. Lydia uznała, że powinnam o tym wspomnieć.

– Lydia zdaje się wyjątkowo uwrażliwioną przyjaciółką.

– O tak.

– No dobrze, zacznijmy tak. Powiedz, jak brzmiały pierwsze słowa, które wypowiedział do ciebie jeden z pozostałych... Kwiatów.

– Byłam wówczas w szpitalu. Przebudziłam się. I wtedy jedna powiedziała, że galaretka jest do bani. I rzeczywiście – bo była bez cukru.

– Co poza tym?

– Głównie ostrzeżenia. Uważaj na to czy na tamto. Tego typu rzeczy.

„Mówiłyśmy, żebyś nie ruszała tej kartki ze świnia”.

– Czy masz wrażenie, że kiedy się do ciebie odzywają, starają się tobą rządzić? Czy namawiają cię do robienia czegoś, czego nie chcesz?

– Nie. Jasne, że nie. Nie wiem, chyba próbują mi pomóc. A ja obiecałam, że pomogę im. Zawarłyśmy coś w rodzaju układu. – Kiedy mówię to na głos, brzmi jak brednie szaleńca.

Naraz opada mnie strach, że on powie ojcu, że trzeba mnie zamknąć w wariatkowie. Dociera do mnie ze stuprocentową pewnością, że tym razem

Lydia się pomyliła.

– Odpowiadasz im?

– Nie. Zwykle nie. Tylko słucham.

Ostrożnie...

– I nie podpowiadają ci, żebyś coś sobie zrobiła?

– Żartuje pan? O co panu chodzi? Myśli pan, że mam skłonności samobójcze? Że mnie opętało? – Przykładam palce do czoła i macham głową, jakby diabeł bódł rogami.

– Przepraszam cię, Tessie, ale musiałem o to zapytać.

– Ani razu nie przyszło mi do głowy, że mogłabym się zabić. – Pozycja obronna. I kłamstwo. – Za to myślałam o tym, że mogłabym zabić jego.

– To normalne – stwierdza. – Sam bym chętnie to zrobił.

Psychiatra chyba nie powinien mówić takich rzeczy. Nie mam czasu na zachwyty. Potrzebuję odpowiedzi.

– Więc jeśli chodzi o te głosy... Myśli pan, że mam schizofrenię? Albo osobowość borderline?

Dociera do mnie, że wolałabym być schizofreniczką niż opętana przez demony. Lydia stanowczo odmówiła mi pomocy w szukaniu informacji na temat schizofrenii. Właściwie wszystko, co wiedziałam o tej chorobie, wyczytałam u Stephena Kinga.

Postanowiłam zatem sama – to znaczy z Oscarem – wybrać się do biblioteki. Dyżur miała prawie ślepa osiemdziesięcioletnia bibliotekarka, więc pomyślałam, że mogę bezpiecznie poprosić ją o pomoc. Nie rozpoznała mnie, Cartwrightówny, jak nazywają mnie starsi mieszkańcy miasta.

Po kwadransie – kiedy za mną stało już osiem osób – w końcu przyniosła: *Podzielone ja, Lot nad kukułczym gniazdem* i harlequina pod tytułem *Kate of Outpatients*, wszystkie wydane w latach sześćdziesiątych. Autor tej o podzielonym ja, psycholog egzystencjalny, chciał chyba powiedzieć, że szaleńcom należy pozwolić szaleć i zostawić ich w spokoju. Podziękowałam więc za nią, za *Lot* też, i wypożyczyłam tylko *Kate*. Razem z Lydią czytamy ją z podziałem na role, bardzo się wczuwając.

Pan doktor patrzy na mnie zaskakująco życzliwym i spokojnym wzrokiem, ale przeciąga milczenie. Pewnie zastanawia się, jak przekazać złe wieści tej biednej dziewczynie, która niedługo będzie się kiwała i śliniła w sali pełnej warcabistów.

– Nie, Tessie, nie masz schizofrenii. Wiem, że według niektórych psychiatrów głosy w głowie zawsze oznaczają chorobę umysłową. Ale równie

wielu sądzi, że wcale tak nie jest. Wielu ludzi słyszy głosy. Kiedy umiera dziecko bądź bliska osoba, ci, którzy wciąż żyją, nierzadko zwracają się do tych, którzy odeszli, i słyszą odpowiedzi. Bywa, że przez całe życie. Nie znaczy to, że mają jakieś zaburzenia. Wielu z nich twierdzi wręcz, że owe rozmowy pomagają im i korzystnie wpływają na ich życie.

Uwielbiam tego człowieka. Uwielbiam go. Nie zamknie mnie w pokoju bez klamek.

– Kwiaty nie wpływają korzystnie na moje życie – zauważam. – Wydaje mi się, że są duchami.

– Jak już mówiliśmy, doświadczanie zjawisk paranormalnych to typowa *przejęciowa* reakcja.

Nie rozumie.

– Jak mam się ich pozbyć?

Nie chcę ich rozgniewać.

– A jak myślisz?

– Posyłając mordercę za kratki – odpowiadam bez wahania.

– Jesteś na dobrej drodze.

– I odkrywając, kim były. Nadając każdej prawdziwe imię.

– A jeśli to się okaże niemożliwe?

– Wtedy być może nigdy nie odejdą.

– Tessie, czy twoja mama rozmawiała z tobą po śmierci? Tak jak Kwiaty?

– Nie, nigdy.

– Pytam, ponieważ jesteś osobą, która w swoim stosunkowo krótkim życiu przeżyła dwa silnie traumatyczne zdarzenia. Śmierć matki i koszmar porzucenia w grobie. Skłonny byłbym powiedzieć, że wciąż rozpaczasz po śmierci matki. Czy pamiętasz, co zrobiłaś na stypie?

Znowu o mamie. Wzruszam ramionami.

– Zjedliśmy, a potem grałam z bratem w kosza na podjeździe.

Pozwoliłam mu wygrać. Dziesięć do dwóch.

– Dzieci często grają lub bawią się w dniu pogrzebu tak, jakby to był normalny dzień. Sprawiają wrażenie, jak gdyby nic się nie stało. To pozory. Dzieci przeżywają stratę dużo dłużej i mocniej niż dorośli.

– Nie wydaje mi się.

Przypomniał mi się okropny płacz taty i cioci; czułam się, jakby ktoś mnie obdzierał ze skóry.

– Dorośli na początku intensywniej opłakują zmarłych, ale rozpacz wkrótce przemija. Tymczasem dzieci potrafią tkwić w jednej fazie, w złości bądź zaprzeczeniu, przez lata. Być może właśnie to stanowi źródło twoich

objawów: utraty pamięci, ślepoty, Kwiatów, szyfru, który wymyśliłaś, leżąc w grobie...

– W niczym nie tkwię – przerywam mu. – Merry i ja wcale nie wymyśliłyśmy żadnego szyfru. I nie chcę rozmawiać o matce. Nie ma jej. Umarła. A ja mam problem wyłącznie z duchami.

## Tessa obecnie

To tylko trzynaście przecznic od miejsca, w którym dziś mieszkam...

Dawny dom Lydii.

...ale równie dobrze mógłby się znajdować sto kilometrów stąd. Od lat nie stałam przed domem jej dzieciństwa. To w tym miejscu *on* po raz drugi zostawił rudbekie, a ja po raz pierwszy odwróciłam się i uciekłam.

Lydia zawsze opisywała swój dom, jakby był tortem na weselu pary, która zaliczyła wpadkę: piętrowe beżowe pudło, mówiła, z dodanym na łapu-capu ozdobnym szlaczkiem w półokrągłe ząbki. Wiele się zmieniło od czasów naszego dzieciństwa. Lukier na torcie zaczął się kruszyć. To, co kiedyś było pedantycznie zadbanym zielonym kwadratem, stało się porośniętym chwastami burym plackiem ziemi. Zniknęła tabliczka WITAMY SERDECZNIE! z namalowanym słonecznikiem. Lydia powiedziała, że jej tata wyrwał z ziemi palik, do którego był przytwierdzony szyld, jeszcze zanim wróciłam ze szpitala.

– Cześć.

Nie słyszałam jego samochodu. Orientuję się, że Bill idzie w moją stronę. Wydaje się jeszcze chudszy i wyższy, ale to może dlatego że jego długie nogi wyglądają, jakby wyrastały z drogich butów sportowych i chowały się w czarnych szortach Nike. Cały jest mokry: włosy, twarz, kark, ramiona. Spocony trójkąt na przodzie szkarłatnej koszulki Harvardu, którą najwyraźniej tak lubi, że kilka rozdarć nie zniechęca go do noszenia jej. Wreszcie obciął włosy, ale są teraz zbyt krótkie przy tych wielkich uszach. Chcę, żeby poszedł w diabły. I żeby został.

– Mówiłam, żebyś nie przyjeżdżał – odzywam się z pretensją. – Myślałam, że grasz.

Pożałowałam swojego spontanicznego telefonu już w chwili, gdy Bill odebrał połączenie. Był zdyszany. Przyszło mi do głowy, czy przypadkiem nie przerwałam sesji akrobatycznego seksu z jakąś prawniczką, tak jak on na siłę uszczęśliwiającą innych. Powiedział, że gra w kosza.

– Już skończyliśmy. Banda licealistów dała mnie i moim kumplom prawnikom niezły wycisk. Kiedy zadzwoniłaś, akurat jechałem do rodziców do Westover Hills, gdzie niestety muszę stawić się na kolacji. Chyba że zechcesz mnie gdzieś zaprosić. Albo mi potowarzyszyć. W każdym razie mówiłaś, że masz coś do powiedzenia. To słucham.

Naraz zaczynam płakać.

Jestem na to zupełnie nieprzygotowana. Bill też, sądząc po jego minie. Mimo to łzy płyną mi z oczu strumieniem, jakiego nie widziałam u siebie od śmierci ojca, cztery lata temu, kiedy w krótkim czasie zmarł na raka trzustki. Bill obejmuje mnie z zakłopotaniem, bo niby co miałyby zrobić. Przez to zaczynam szlochać jeszcze głośniej.

– Ech, do diabła – mówi. – Jestem za bardzo spocony. Chodź, usiądziemy.

Przysiadamy na krawężniku. Obejmuje mnie ramieniem. Siła jego mięśni, jego *życzliwość* budzą moje hormony do życia. Natychmiast muszę się wyrwać z tych objęć. Żadnych komplikacji. Zamiast tego moja głowa spada jak kamień na jego pierś, a ramiona unoszą się i opadają w rytmie spazmów.

– E... na twoim miejscu nie chowałbym nosa pod tę pachę – mówi, ale kiedy orientuje się, jak bardzo mnie wzięło, po prostu przytula mnie mocniej.

Po kilku chwilach podnoszę nieznacznie głowę i mówię zdławionym głosem:

– Jeszcze sekunda. Biorę się w garść.

– Tak, tak, właśnie widzę. – Przykleja moją twarz do swojej piersi, ale najpierw udaje mi się dostrzec w jego obliczu pragnienie, które nie ma nic wspólnego z uszczęśliwianiem innych na siłę.

Znowu podnoszę głowę. Nasze usta dzieli kilka centymetrów.

Odsuwa się.

– Wyglądasz jak śliwka.

Chichoczę i czkam jednocześnie. Jestem chichocząco-czkającą śliwką. Poprawiam spódnicę. Bill odwraca wzrok i pokazuje na budynek za naszymi plecami – ten, którego adres na moje życzenie przed zaledwie dwudziestoma minutami wklepał do GPS-u.

– O co chodzi z tym domem? Kto tu mieszka? – Nagła, celowa zmiana tematu.

Boże, ależ jestem żalosna. Wstaję.

– Musisz ee... wytrzeć nos.

Totalne, beznadziejne upokorzenie. Wycieram nos swetrem, bo teraz jest mi już wszystko jedno. Biorę na próbę głęboki oddech. Nie wywołuje kolejnego tsunami.

– Najpierw mnie wysłuchaj – mówię z trudem. – Wydaje mi się, że morderca Polnych Kwiatów od lat sadzi dla mnie kwiaty. W różnych miejscach, nie tylko tam, pod moim domem.

– Słucham? W ilu miejscach?

– Razem z ostatnim? W sześciu.



– Jesteś pewna...

– ...że nie rosną sobie po prostu tam, gdzie Pan Bóg przykazał, i że nie jestem stuknięta? Oczywiście, że nie. Właśnie dlatego powiedziałam „wydaje mi się”. Pierwszy raz to się zdarzyło, kiedy miałam siedemnaście lat. Krótco po skazaniu Terrella. Morderca zostawił dla mnie wiersz schowany w starej buteleczce po lekach. Znalazłam ją, kiedy wykopywałam kępkę rudbekii na podwórzu za tamtym domem. – Pokazuję stojący cztery budynki dalej po drugiej stronie ulicy żółty piętrowy budynek. – Tam się wychowałam. Trzy dni po zakończeniu procesu posadził kwiaty pod moim domkiem na drzewie. – Przyglądam się Billowi, żeby wyłapać moment, w którym dotrze do niego sens moich słów. – Zgadza się. To się wydarzyło już po tym, jak Terrell trafił za kratki.

– Mów dalej.

– Ten... ktoś zawarł groźbę w wierszu zaczynającym się od tych samych słów co *Black-Eyed Susan* Johna Gaya, tego poety z osiemnastego wieku. Zapowiedział, że zabije Lydię, jeśli nie będzie trzymała buzi na kłódkę.

Twarz Billa jest pozbawiona wyrazu. Nie wiem, czy dlatego że nie ma pojęcia, kim u diabła jest John Gay, czy też przez to, że stara się nie wybuchnąć gniewem.

– Dopiero dziesięć lat temu zorientowałam się, kim był ten John Gay. Zasłynął *Operą żebraczą*. Znasz? Kapitan Macheath? Polly Peachum? Nie? W każdym razie napisał też balladę o czarnookiej dziewczynie o imieniu Susan, żegnającej ukochanego, który wyrusza w morze. Według jednej z romantycznych teorii, właśnie temu wierszowi rudbekia zawdzięcza swoją nazwę...<sup>8</sup>

Zaczynam cicho recytować na tle warkoczącej na czyimś podwórzu kosiarki do trawy.

*Och, kwiatku, kwiatuszku uroczy,  
przysięga ma zostaje w mocy.  
Scałuję z twych oczu łzy obie,  
krzywdy już ci więcej nie zrobię.  
Lecz jeśli piśniesz słówko,  
Lydia też Kwiatem się stanie.*

– Jezu, Tesso. Co na to twój ojciec?

– Nie powiedziałam mu. Tobie pierwszemu, nie licząc Angie, o tym opowiadam. Nie wiem, po prostu... nie chciałam dokładać ojcu zmartwień.

– A Lydia?

– Nie rozmawialiśmy ze sobą.

Spogląda na mnie z zaciekawieniem.

– Powiedziałam Angie krótko przed jej śmiercią – mówię dalej. – Martwiła się o mnie i o Charlie. Pod koniec zastanawiała się, czy w ogóle angażować mnie w sprawę.

– Dlaczego...

– Dlaczego ci nie powiedziała? Bo mnie chroniła. Ale myślę, że się pomyliła. Nie potrafię żyć ze świadomością, że mogłabym się przyczynić do śmierci niewinnego człowieka. Kiedy miałam siedemnaście lat, niewiele się nad tym zastanawiałam. Proces się zakończył, a ja chciałam, żeby znów było normalnie. Doszłam więc do wniosku, że te kępki rudbekii to sprawka kogoś, kto ma niezdrową obsesję na punkcie mordercy Polnych Kwiatów. Istniało wiele takich osób. To oznaczało, że Terrell mógł jednak być winny. Oskarżyciel, Al Vega, był przekonany o jego winie. A Lydia... Wściekłam się na nią, to prawda, ale zdecydowanie nie chciałam jej narażać.

– Zaczekaj chwilę.

Bill wstaje i podbiega do swojego samochodu, małego, czarnego bmw – te trzy litery moim zdaniem sprawiają, że mili i uprzejmi na co dzień ludzie stają się demonami szos. Znika w eleganckim azylu na tak długo, że zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie włączył Bacha i nie planuje przekręcenia kluczyka i ucieczki z piskiem opon. Kiedy w końcu wyłania się z kabiny, w lewej ręce trzyma długopis i notatnik. Ponownie siada obok mnie na krawężniku. Zdążył zapisać sobie parę rzeczy; zaglądam mu do notatek i widzę niektóre słowa.

*John Gay. 1995.*

– Mów dalej – prosi.

– Niedawno znów odwiedziłam dwa miejsca, w których wydaje mi się, że *on* posadził dla mnie kwiaty. Zrobiłam to sama i nie kierowałam się chronologią...

– Chwileczkę! Mówisz, że wróciłaś do tych miejsc. Po co to zrobiłaś?

– Wiem, wiem, to wariactwo. Po prostu za pierwszym razem nie sprawdziłam, czy nie zostawił dla mnie czegoś jeszcze. Wtedy, przed laty, czułam, że nie mogę dać mu tej satysfakcji. Nie mogę pozwolić sobie w to wszystko uwierzyć. Myślałam, że po prostu jakiś dzieciak ubzdurał sobie, że będzie zabawnie, jeśli wykręci taki numer. Albo że to sprawka jakiegoś przypadkowego świra. Bo przecież pisali o nas, o Lydii też, we wszystkich gazetach.

Lydia pokazywała mi artykuły, w których o niej wspomniano. Ekscytowała się, kiedy zobaczyła swoje nazwisko w „New York Timesie” i została opisana jako „sąsiadka i powiernica panny Cartwright”.

– Przeżyłam dzięki wyparciu – ciągnę. – Tak, wiem, że szaleństwem byłoby sądzić, że cokolwiek się tam, w ziemi, zachowało. Ale może? Uznałam, że jeżeli coś jednak znajdę, w jakiś sposób pomoże to... Terrellowi.

Poza tym obiecałam Kwiatom.

– Zaczęłaś sama kopać? Znalazłaś coś?

– Nic. Ulżyło mi... i trochę się zawiodłam.

– Dlaczego siedzimy tutaj, skoro twój dawny dom znajduje się tam? – Pokazuje brodą.

– Bo to dom Lydii. To znaczy jej dawny dom. Kilka tygodni po procesie znalazłam tu rudbekie.

Czy muszę mu wszystko wyjaśnić? W pewne piątkowe popołudnie przyszłam do niej z pudłem pełnym jej rzeczy. Chciałam odprawić rytuał pożegnania po tym, jak nasza przyjaźń załamała się pod koniec procesu. Lydia od półtora tygodnia nie pojawiała się w szkole. W pudle miałam dwie kasety wideo, z *Ostatnim Mohikaninem* i *Przylądkiem strachu*, zapasową kosmetyczkę z przyborami do makijażu, którą trzymała u mnie w łazience, i pidżamę z Myszka Miki.

Dom wydawał się pogrążony w głębokim śnie, choć była dopiero trzecia po południu. Wydało mi się to dziwne. Z podjazdu zniknął samochód. Po raz pierwszy widziałam, żeby rolety w salonie u Lydii były opuszczone. Mogłam postawić pudło pod drzwiami i sobie pójść. Ale nie. Otworzyłam furtkę prowadzącą na podwórze za domem. Byłam ciekawa. Kiedy zobaczyłam kępkę żółtych kwiatów, poczułam złość na Lydię. Nie wierzyłam własnym oczom. Jak mogła wyhodować akurat te kwiaty? Odwróciłam się na pięcie i uciekłam. Dwa tygodnie później przed jej domem pojawiła się tabliczka NA SPRZEDAŻ. Bellowie wyjechali, nie pożegnawszy się, tak jakby żaden z sąsiadów nie był tego wart.

„Pozwól jej odjechać” – poradził mi wtedy ojciec.

– Przyszłam oddać coś Lydii. Zobaczyłam je na podwórzu za domem – mówię teraz Billowi. Przykładam palce do skroni i masuję je koncentrycznymi ruchami. – Nie obrażę się, jeśli pomyślisz, że to głupie. Chodźmy już. Przepraszam, że zawracałam ci głowę.

Podnosi się i pomaga mi wstać. Potem zaskakuje mnie, mówiąc:

– Możemy sprawdzić, skoro już tu jesteśmy.

Trzykrotnie pukamy do drzwi. Dopiero wtedy się uchylają i pokazuje się

w nich błada kobieta o krótkich, postrzępionych czarnych włosach. Przygląda nam się, jakbyśmy przylecieli z Marsa, i pokazuje palcem przymocowaną pod skrzynką na listy tabliczkę, na której ktoś umieścił wariację na temat informacji dla akwizytorów: JESTEŚMY BIEDNI. NIE CHODZIMY NA WYBORY. ZNALEŻLIŚMY JUŻ JEZUSA. MAMY NAŁADOWANĄ BROŃ.

Bill ignoruje ostrzeżenie i wyciąga dłoń.

– Dzień dobry pani, nazywam się William Hastings. Tessa – pokazuje na mnie – miała bliską przyjaciółkę, która dawniej mieszkała w tym domu. Tessa z rozrzewnieniem wspomina dzieciństwo i zabawy na podwórzu za domem. Czy zgodziłaby się pani, żebyśmy szybko rzucili na nie okiem?

Kobieta otwiera drzwi nieco szerzej, ale nadal wyraźnie nie zamierza nas wpuścić. Bierze zamach, żeby kopnąć grubego żółtawego kota, który nie może się zdecydować, czy chce wyjść na dwór. Ma około czterdziestu pięciu lat – kobieta, nie kot – jest ubrana w obcisłe dżinsowe szorty w rozmiarze, który pasował na nią dwa rozmiary temu. Guzowaty tyłek na patykowatych nogach – po tych nogach, myślę sobie, ocenia swoją tuszę, siedząc na dupsku i żłopiając piwo. Jest bosa. Na dużych palcach u nóg ma plastry opatrunkowe. Jej piersi pod koszulką na ramiączkach wyglądają jak dwa wielkie placki. Na lewym ramieniu czerwone róże, które schodzą serpentynami aż do łokcia. Ten tatuaż wymagał sporo czasu i zaciskania zębów.

– Nie zgodziłabym się. – Kobieta ignoruje wyciągniętą dłoń Billa. Gapi się na bliźnę pod moim okiem. W jej spojrzeniu dostrzegam przelotny błysk. Szacunek? Pewnie myśli, że wyniosłam tę szramę z bójki w barze.

– Ciekaw jestem, pani...

– Gibson, chociaż to nie twój interes.

Bill pokazuje identyfikator pracownika sądu.

– ...pani Gibson, zamieszkała przy Della Court 5216, czy w ostatnich pięciu latach zdarzyło się pani nie stawić na wezwanie do zasiadania w ławie przysięgłych. Mam w sądzie kilku znajomych, którzy chętnie sprawdzą dla mnie to i owo.

– W dupę mać! – denerwuje się kobieta. – Pięć minut i wynocha. Z boku jest furtka. Tylko zamknijcie, jak będziecie wychodzili. Bo spuszczę psa – grozi, po czym zatrzaskuje drzwi.

– Sprytnie – mówię.

– Miałem już do czynienia z takimi typami.

Podwórze okala ta sama stara siatka co dawniej, tyle że dużo bardziej zardzewiała. Zasuwka w furtce wymaga od Billa użycia sporej siły; w końcu ustępuje, a ja myślę o tym, że ojciec Lydii zawsze dbał o zamek i regularnie

go oliwił.

Podwórze jest małe i zagracone. W prawym rogu stoi pokryta plastikowym gontem szopa ze skrzynką na kwiaty, o której dawno zapomniano. Na betonowym, służącym za werandę prostokącie postawiono brudną jak święta ziemia białą psią budę z czerwonym dachem.

Pod dębem – który teraz został zredukowany do metrowego pniaka zwieńczonego posągami bielika amerykańskiego z rozpostartymi skrzydłami – stał kiedyś stół ogrodowy. Trawa jest wysoka i łaskocze mnie po nodze, jakby wspinał się po niej kosarz. Może naprawdę się wspina. O mały włos potknęłabym się o zabawkowy wóz strażacki przerobiony na sadzarę.

Stopa Billa łąduje w wielkiej, rzadkiej psiej kupie.

– Jasna cholera! – warczy Bill.

Zatrzymujemy się i wbijamy spojrzenie w budę. Spokojnie mogłoby się w niej zmieścić dwuletnie dziecko. Bill gwizdże. Gdzieś w domu słychać wściekłe szczekanie, a ja zastanawiam się, czy pani Gibson już łąduje strzelbę.

– No dobra, to gdzie? – Jego ton sugeruje, że Bill chyba traci wiarę w moje poszukiwanie skarbów. Znowu zaczynam żałować, że go w to wciągnęłam.

Wskazuję w lewo, na sam koniec podwórza. Zielsko tworzy tu dziki, włochaty dywan, ale wciąż widać niewielkie wzniesienie, które pan Bell nazywał Trawiastym Wzgórkiem. Lydia odziedziczyła po nim tę potrzebę nadawania rzeczom przezwisk.

Bill idzie za mną, lewą nogę ciągnie po trawie, próbując zetrzeć z buta psią kupę. Nagle staje, pochylam się i zaczynam wyrywać chwasty.

– Co ty wyprawiasz? – Ogląda się w stronę domu.

Spod zielska wyłania się niewielki metalowy właz umieszczony pod skosem w zboczu pagórka. Broniąca dostępu do środka zardzewiała kłódka poddałaby się, jak sądzę, gdyby mocniej kopnąć. Kusi mnie.

– To stara piwnica burzowa z lat trzydziestych. Wtedy też zbudowano ten dom. Nie pamiętam, żeby rodzina Lydie kiedykolwiek z niej korzystała. Pan Bell uważał, że podczas tornada bezpieczniej będzie w wannie niż w czarnej dziurze z jadowitymi pajakami i chrząszczami.

– Gdzie rosły kwiaty?

– Tu, na samej górze. Beton zawsze przykrywała warstwa ziemi, na której kiedyś rosła trawa.

– Nie wzięłaś szpadla – mówi Bill, bardziej do siebie. Stara się złożyć wszystkie elementy w całość i brakuje mu najważniejszego, który mam ja. – Myślisz, że zakopał coś dla ciebie... w piwnicy?

Oczami wyobraźni widzę autokar pełen wrzeszczących siatkarek – to Charlie i jej drużyna jadą do Waco.

Przez tę piwnicę nie pojechałam na mecz córki.

– Tak. – Kładę dwa palce na nadgarstku i wyczuwam pulsującą krew, bo Lydia zawsze tak robiła. – Śniło mi się, że ona tu jest. Że posadził kwiaty na jej grobie.

## Tessie w 1995 roku

– Miewasz koszmary?

Jego zachowanie – sztywne i oficjalne – sugeruje, że pan doktor ma nowy cel. Wyobrażam sobie, jak czekając na mnie, stuka palcem w otwartą na dowolnej stronie Wielką Księgę Sztuczek – cegłę z żółtych, szeleszczących i oprawionych w przetarty czerwony aksamit stron pełnych tysięcy bezużytecznych zaklęć.

– Niech się zastanowię – mówię. Dodałam tę radosną kwestię do repertuaru składającego się z „jasne” i „brzmi nieźle”, bo zależy mi, żeby jak najszybciej przestać się z nim widywać.

*Mogłabym* mu powiedzieć, że to, co śniło mi się zeszłej nocy, nie do końca było koszmarem, i że we śnie występowała jego córka Rebeka. Leżałam w grobie z Kwiatami, jak zwykle. Rebeka, blada i śliczna, ubrana w jedną z kwiecistych niedzielnych sukienek mojej matki, przyglądała nam się z góry. Ukłęknęła i wyciągnęła do nas rękę. Jej włosy, ułożone w takie głupawe staroświeckie pukle, łaskotały mnie w policzek. Palce, którymi mnie dotknęła, miała rozżarzone do białości. Kiedy się obudziłam, ręka płonęła mi z bólu i nie byłam w stanie złapać tchu.

Mogłabym mu to powiedzieć, ale nie zrobię tego. Myślę, że nieuprzejmie byłoby o tym wspominać – a ja chcę być grzeczna i uprzejma.

– Często śni mi się grób. – Po raz pierwszy się do tego przyznaję. To akurat prawda. – Sen zawsze przebiega tak samo, tylko zakończenia są różne.

– Leżysz w grobie czy unosisz się nad nim?

– Przez większość snu leżę. Czekam.

– Aż ktoś cię uratuje?

– Pomoc nigdy nie nadchodzi.

– Co słyszysz?

Silnik ciężarówki. Grzmot. Kości trzaskające jak drewno w kominku. Ktoś przeklina.

– To zależy od zakończenia – mówię.

– Opowiedz mi o nich, dobrze?

– Leje, a my toniemy w błotnej kałuży. Albo pada śnieg i zasypuje nam twarze, aż przestajemy widzieć.

Albo oddychać. Biorę łyk ze szklanki z wodą, którą zawsze zostawia dla mnie sekretarka pana doktora. Smakuje trochę tak, jak pachnie jezioro.

– Uściślijmy: mówiąc „my”, masz na myśli... Merry i... szczątki.

– Polne Kwiaty.

– Czy są jeszcze inne... zakończenia?

– Rolnik nie zauważa nas i przysypuje ziemią, którą orze. Ktoś zapala zapałkę i wrzuca ją do grobu. Wielki czarny niedźwiedź uznaje, że nasz grób jest doskonałym miejscem na przezimowanie, i kładzie się na nas. To jedno z przyjemniejszych zakończeń. Wszyscy zasypiamy. Niedźwiedź chrapie. Wie pan, o co chodzi.

– Coś jeszcze?

– Czasem on wraca i kończy, co zaczął. Grzebie nas.

Przysypuje toną gnoju.

– „On”, czyli morderca?

Nie odpowiadam, bo to przecież oczywiste.

– Czy zdarza się, że widzisz jego twarz?

No błagam, doktorze, przecież powiedziałabym, gdybym zobaczyła jego twarz. Mimo to zastanawiam się nad odpowiedzią. Jak dotąd jedyną twarzą, która pojawiła się w powtarzającym się śnie, była twarz Rebeki. Naprawdę śliczna: wielkie, niewinne oczy, ciemne spiralne loki, jedwabista skóra w kolorze kości słoniowej.

Bardzo przypominała Lillian Gish, pewnie dlatego że niedawno wypożyczyłyśmy z Lydią *Narodziny narodu*.

Lydia mówi, że Lillian Gish uwielbiała grać udęczone postaci dla uzyskania „buntowniczej przeciwwagi dla swojej olśniewającej piękności”. Lydia to wie, bo jej tata durzy się w aktorce jak uczeń, choć Lillian Gish już nie żyje. Powiedziała mi, że jej tata lubi zwłaszcza końcówkę *Męczennicy miłości*, w której Lillian dryfuje nieprzytomna na krze, zmierzając prosto ku kotłującemu się wodospadowi, a jej długie włosy unoszą się na wodzie niczym węże. Zaraz potem przyznała, że niepotrzebnie mi to mówiła, bo kiedy jestem w *takim stanie*, mogą mi się przyśnić koszmary.

Wkurzyło mnie to. Lydia rzadko mówi takie rzeczy. Martwię się. Czy mój *stan* się pogłębia? Lydia nie zauważyła, że zrobiłam się bardziej radosna? Nie poprawia mi się?

Tak czy owak, to, że we śnie widzę córkę pana doktora pod postacią królowej niemego kina, w dodatku ubraną w rzeczy mojej matki, nie ma związku ze sprawą i nie muszę mu o tym mówić. To był dziwny sen, a obecność w nim Rebeki – przypadkowa, tak jak wszystko inne.

– Nie – odpowiadam. – Nie widzę jego twarzy.



## Tessa obecnie

Znów kryję się w cieniu. Obserwuję.

Kulę się pod okapem, przywieram do zimnego, brudnego sidingu, licząc, że pozostanę poza zasięgiem kamer ekipy wozu transmisyjnego stojącego na ulicy przed domem.

Staram się zapanować nad nerwami, wyobrażając sobie podwórze Lydii takie, jak wyglądało dawniej: zielone, zadbane, ocienione. Na skraju betonowej werandy stały dwie wielkie gliniane donice z czerwonymi i białymi niecierpkami. Zawsze czerwone i białe, zupełnie jak światełka choinkowe, które pan Bell mocował do dachu od frontu i w których co roku nieodmiennie brakowało po jednej stronie dziesięciu żarówek. Ilekroć przejeżdżaliśmy obok, mój ojciec zawsze musiał to skomentować.

Za domem mieszkały Lucy i Ethel, psy myśliwskie pana Bella. Kiedy go nie było i nie miał kto ich przywołać, ich pazury zostawiały białe ślady na moich łydkach. Na końcu działki stała na wspornikach stara łódź; nieustannie czekała na czwartego lipca. Kiedy pana Bella nie było w domu, ściągałyśmy z Lydią plandekę i odrabiałyśmy lekcje w łódce, opalając nogi.

Dziś przyjeżdża cyrk. To ja go tu sprowadziłam. Czuję skurcze żołądka. Bill i Jo poręczyli za mnie swoją reputacją.

Trzy dni zajęło Billowi uzyskanie od sędziego pozwolenia na przeszukanie domu Lydii i jeszcze dwadzieścia cztery godziny, zanim udało się ustalić porę rozpoczęcia prac na drugą po południu. Dokładnie za czternaście minut. Prokurator okręgowy okazał się zaskakująco skłonny do współpracy, może dlatego że media nie zostawiły na policji suchej nitki. Redaktor miejscowej gazety skrytykował hrabstwo za „opieszałość w identyfikacji szczątków Polnych Kwiatów” i zaapelował o ich zwrot rodzinom.

Artykuł nie był ani dobrze napisany, ani wsparty konkretami – ot, płomienna tyrada dziennikarza z Południa dla podgrzania atmosfery w nudny dzień. Poruszyła jednakże sędziego Harolda Watersa, który nadal czyta gazety i który od samego początku zajmował się sprawą Polnych Kwiatów. Podpisał papiery, nawet nie zsiadając z Sala, swojego ulubionego konia cuttingowego.

Słabo pamiętam Watersa z procesu, przypominam sobie tylko, że Ala Vegę martwiło, iż sędzia niechętnie orzeka karę śmierci. Kilka lat temu widziałam Watersa w CNN – zaproszono go jako naocznego świadka pojawienia się UFO nad Stephenville. „Wyglądało to tak, jakby ktoś zawiesił na niebie cały

Walmart”.

– Mogliśmy trafić gorzej – usłyszałam od Billa.

Tak więc doprowadził nas do tego miejsca mój sen o Lydii... oraz sędzie, który wierzy w latające spodki.

Dwóch funkcjonariuszy w mundurach odgradza podwórze na tyłach domu żółtą taśmą policyjną. Jo stoi na Trawiastym Wzgórku razem z policjantką, która uczestniczyła w spotkaniu z rodziną Hannah. Nadchodzi profesor geologii z Południowego Uniwersytetu Metodystów, ciągnąc jakiś zaawansowany georadar na kółkach, który za nic nie zmieści się we włązie do piwnicy. Ledwo przecisnął go przez furtkę. Z zaciętej miny profesora wnioskuję, że się tego domyśla.

Jo powiedziała, że wykorzystanie georadaru do poszukiwania znajdujących się w glebie starych kości to wciąż metoda bardziej teoretyczna niż praktyczna, ale razem z Billem doszli do wniosku, że przecież nie zaszkodzi spróbować. Prokurator okręgowy się zgodził; jemu metoda jest obojętna, on tak czy owak skorzysta na całej sprawie.

Profesor jest uznanym specjalistą w skomplikowanej dziedzinie, jaką jest odczytywanie i interpretacja obrazów z georadaru. Jo mówi jednak, że ziemia to nie łono, a georadar to nie USG, i nie da się zobaczyć na monitorze twarzy pogrzebanego człowieka. Profesor będzie szukał śladów wzruszenia gleby, które mogłyby sugerować, że ktoś tu kiedyś wykopał grób. Może nawet, choć to wątpliwe, uda się dostrzec zarys ludzkiej sylwetki. Badanie georadarem jest tylko jednym z etapów prowadzonych tu działań.

Podwórze rozbrzmiewa gwarem rozmów, jest jak na zorganizowanym naprędce garden party, które zaczyna się rozkręcać. Bill zabawia pogaduszkami śliczną asystentkę prokuratora okręgowego, którą szef wysłał, aby przyjrzała się osobliwym poczynaniom policji. Ukryła twarz pod grubą warstwą makijażu. Oceniam, jaki dzieli ich dystans. Pół metra, potem mniej.

Pan i pani Gibson siedzą na krzeselkach ogrodowych ubrani w wyjściowe T-shirty Dallas Cowboys, palą jak smoki i wydają się jedynymi osobami na tej imprezie, które naprawdę dobrze się bawią. Jedno z nich specjalnie na tę okazję wykosiło zielsko w ogrodzie.

Profesor nagle podchodzi do nich i podaje im rękę. Z jego szalonej gestykulacji wnioskuję, że chce przebadac swoim urządzeniem podwórze nie tylko za, ale też przed domem. Gibsonowie energicznie kiwają głowami.

Wydaje im się, że nakręcą o nich film? Czy to właśnie skłoniło panią Gibson do umycia włosów, włożenia japonki i zmiany opatrunków na palcach? Czy liczy na to, że pod tabliczką odstraszającą niechcianych gości

będzie mogła dodać nową, zapraszającą, na której będzie napisane, że budynek ma wartość historyczną, tak jak dom Lizzie Borden<sup>9</sup>?

Słyszę szcęk furtki. Uczestnicy garden party raptem stają na baczność. Dołącza do nich czterech nowych gości: dwóch policjantów w dżinsach – niosą szpadle i wykrywacze metalu – i dwie kobiety w ochronnych strojach techników z zakładu medycyny sądowej – niosą reflektor i sporą kamerę. Ich przybycie oznacza, że moje pełne udręki oczekiwanie wkrótce się zakończy.

Jeden z policjantów przecina kłódkę na drzwiach do piwnicy burzowej i bez trudu otwiera je mocnym szarpnięciem. Odsuwa się i zasłania dłonią usta i nos, a w ślad za nim idą wszyscy, którzy znajdują się w odległości trzech metrów od wejścia do piwnicy – nawet Jo, która mówiła, że na gruzach bliźniaczych wież czuła zapachy, których nigdy nie zapomni.

Teraz wszystko dzieje się zbyt szybko. Jedna z pracownic zakładu medycyny sądowej rozdaje maski. Jeden z funkcjonariuszy w dżinsach znika w dziurze, do której wślizguje się niczym zwinny wąż. Kobieta podaje mu reflektor i szpadel. Potem do piwnicy wchodzi technik z zakładu medycyny sądowej. W środku musi być bardzo mało miejsca, bo reszta zostaje na zewnątrz. Kręcą się. Rzucają pytania do dziury.

Pan Bell nie pozwalał nam otwierać tych drzwi. „Nie, dziewczynki, tam jest okropnie”.

Tym, którzy są w środku, ktoś podaje plik plastikowych torebek na dowody rzeczowe. Kwadrans później dwie z nich wracają na powierzchnię z zawartością. Policjanci układają pełne torebki pod ogrodzeniem.

Techniczka wystawia głowę z dziury i skinieniem przywołuje policjanta z wykrywaczem metali. Szukają biżuterii? Mogłabym im powiedzieć, że Lydia zawsze nosiła wąską złotą obrączkę z maleńkim rubinem, którą dostała po babci. Po raz setny w ciągu tych czterech dni zastanawiam się, dlaczego policji nie udało się znaleźć w rejestrach żadnych członków rodziny Bellów. Jakby zapadli się pod ziemię.

Jo podaje rękę ubłoconej koleżance z zakładu medycyny sądowej, która gramoli się na zewnątrz przez właz. Jej miejsce w piwnicy zajmuje policjant z wykrywaczem metali. Gibsonowie pojadają chipsy i przekazują sobie dip w plastikowej butelce. Geolog metodycznie przeczesuje podwórze swoją maszyną na kółkach; jeździ nią jak taczka, od czasu do czasu przystając, żeby wpatrzeć się w ekran.

Cyrk.

Ktoś podaje na górę plastikową torebkę. Potem jeszcze jedną i kolejną. Wszystkie leżą w równym rzędku pod siatką okalającą działkę. Na koniec na

powierzchnię wędruje osiem czarnych toreb, wyglądających jak ciała guzowatych pajaków, którym wyrwano odnóża. Wreszcie wychodzą obaj policjanci, czarni od kolan w dół, i zzuwają lateksowe rękawiczki. Grupa zbiera się na krótką naradę.

Jo odwraca się i przeszukuje wzrokiem podwórze, dopóki jej spojrzenie nie trafia na mnie. Podchodzi z twarzą wykrzywioną niepokojem. To najdłuższe dwadzieścia metrów w moim życiu.

Jak mogłam zostawić Lydię w tej piwnicy na tak długo? Dlaczego prędzej się tego nie domyśliłam?

Dłoń Jo ciąży mi na ramieniu.

– Tesso, niczego nie znaleźliśmy. Sprawdzimy jeszcze głębiej, ale dotarliśmy na metr i natknęliśmy się na glinę i wapień. Wykopanie grobu w takim podłożu zajęłoby mordercy bardzo dużo czasu. Mało prawdopodobne, żeby to zrobił.

– Co jest w... torbach?

– Ktoś wykorzystywał tę piwnicę jako spiżarnię. Była pełna popękanych słoików i zepsutych owoców i warzyw. Znaleźliśmy też dwa zdechłe krety, które jakimś sposobem dokopały się do piwniczki na ostatnią wieczerzę. Piwnica była zawilgocona, przez pęknięcia w betonie, więc wszystko zgniło i zjełczało.

– Okropnie mi przykro... że zmarnowałam wasz czas.

Wcale nie jest mi przykro. To oznacza, że Lydia być może *nadal żyje*. I kwiaty rzeczywiście mogły być od niej. Nieoczekiwanie wypełnia mnie wielka radość.

– W laboratorium przejrzymy zawartość toreb. Liczyliśmy się z tym, że może to być strzał w ciemno (i to dosłownie), ale czasem trzeba poruszyć niebo i ziemię (to drugie też dosłownie), żeby się przekonać. – Próbuje mnie rozśmieszyć.

Za jej plecami profesor przejeżdża geotaczką tuż pod ziejącym włazem do piwnicy. Zatrzymuje się. Zbiera się tłumek, łącznie z Gibsonami, którzy przeszli pod taśmą policyjną. Ktoś bliżej środka woła kogoś stojącego dalej. Mundurowi robią przejście dla policjantów ze szpadlami.

Dziewczyny z zakładu medycyny sądowej rozmawiają z profesorem, jakby był arbitrem mającym wydać rozstrzygające orzeczenie. Odwracają się do policjantów i pokazują, jak bardzo trzeba poszerzyć wejście do piwnicy.

Mężczyźni kiwają głowami i ostrożnie wbijają szpadle w ziemię.

## Tessie w 1995 roku

Pan doktor wyjawia mi historię z własnego życia. Mówi, że miał wtedy dwanaście lat.

Na pewno jego opowieść ma jakieś sedno, ale wolałabym, żeby już do niego przeszedł. Ostatnio stał się nieco chaotyczny.

Drażni mnie plama na jego okularach. Zdenerwowała mnie Lydia, która wczoraj wieczorem wrzuciła do sedesu cały mój zapas benadrylu i nacisnęła spłuczkę. „Przepraszam”, powiedziała, i zabrzmiało to tak, jakby kajała się za coś więcej, niż tylko spuszczenie z wodą tych różowych pigułek. Coś się z nią dzieje. Od dwóch tygodni albo się spóźnia – a dotąd zawsze przychodziła na czas – albo w ogóle odwołuje spotkania. Podaje jakieś mętne wymówki, czerwieni się i przesuwa zębami po warstwie różowego błyszczycy na dolnej wardze. Jest beznadziejną kłamczuchą. W końcu i tak mi powie, co ją gryzie, więc nie naciskam.

Kiedy lekarz zaczyna swoją opowieść, oczywiście od razu próbuję się domyślić, czy on też kłamie. Mówi, że był pucołowatym chłopcem – ale dziś jest umięśniony i żylasty pod tą koszulą, której kołnierzyk stoi sztywno jak przyszpilony biały motyl. Raz potraçałam jego ramię. Było twarde jak stal, jakby ktoś przymocował mu do barku nogę biegacza.

– Codziennie po szkole wracałem do pustego domu – mówi.

Nagle opanowuje mnie strach o chłopca, samego w pustym domu, choć przecież siedzi przede mną cały i zdrowy i nie ma żadnych widocznych blizn.

– Tessie, czy chcesz, żebym dalej opowiadał? Czy ta historia ci nie odpowiada?

– Nie, proszę mówić.

– Zimą w domu zawsze było ciemno i zimno, dlatego pierwszą rzeczą, jaką robiłem po wejściu do środka, zanim odłożyłem książki i zdjąłem kurtkę, było podejście do termostatu i zwiększenie temperatury. Do dziś odgłos pieca i woń rozgrzewających się grzejników... jest dla mnie zapachem samotności. Tessie, słuchasz mnie?

– Tak. Zastanawiam się tylko, do czego pan zmierza. Myślałam, że pan powie, że przytrafiło się panu coś okropnego. – Jestem zawiedziona. Czuję też ulgę. I trochę mnie zaintrygował.

Uzmysławiam sobie, że lubię zapachy związane z ciepłem. Chmury z kominów, kiedy biegam w chłodne wieczory. Dym z węgla drzewnego

w sobotnie popołudnie, który oznacza, że pora na grilla. Skwierczący tłuszcz z kotletów wieprzowych. Filtr przeciwsłoneczny Banana Boat. Gorące ręczniki w naszej starej suszarce. Kiedy umarła mama, wciąż było mi zimno. Tak często włączałam koc elektryczny na maksymalne grzanie, że jego niebieska powierzchnia pokryła się czarnymi poprzepalanymi smugami i tata mi go zabrał. Do tej pory układałam się przy nawiewie w garderobie mamy i czytam. Nie wiem, czy zdołałabym przetrwać zeszły rok, gdybym nie mogła zamknąć za sobą siatkowych drzwi, rozsiaść się w stojącym na werandzie na tyłach domu fotelu ogrodowym i pozwolić, by słońce spiekło na skwarki wszystkie ponure myśli.

– Powonienie jest zmysłem, który najlepiej łączy się z pamięcią. Czy wiesz coś o Marcelu Prouście?

– Nie. Czy to znaczy, że nie zaliczyłam sprawdzianu? – Nie mogę się doczekać, kiedy powiem Lydii, że pan doktor wyciągnął z kapelusza depresyjnego francuskiego filozofa z podkreśnionym wąsem. To duży krok do przodu. Moją poprzednią terapeutkę Lydia ochrzciła Kurczakiem Małym, bo ta zasugerowała, żebym przeczytała *Balsam dla duszy*<sup>10</sup>.

– To nie jest sprawdzian. W tym pokoju nikt nie zdaje ani nie oblewa. – Mówi rozwlekłym, przewidywalnym i (uświadamiam to sobie nagle) zmęczonym głosem. – Bohater powieści Prousta przypomina sobie zdarzenie z dzieciństwa po tym, jak do jego nozdrzy dolatuje zapach zamoczonego w herbacie ciasteczka. Od tamtej pory naukowcy starają się potwierdzić w praktyce teorię, że zapach wydobywa z nas głębokie wspomnienia. Opuszka węchowa leży blisko tej części mózgu, w której przechowywane są wspomnienia, i błyskawicznie się z nią komunikuje.

– Czyli to jednak sprawdzian. Mówi pan, że mogę odzyskać pamięć dzięki zapachowi.

– Być może. Czy pewne zapachy... przeszkadzają ci, od kiedy nastąpiło zdarzenie?

Masło orzechowe, masło orzechowe, *masło orzechowe*. W zeszłym tygodniu tata pytał mnie i Bobby'ego, dlaczego ledwo zaczęty słoik masła orzechowego wylądował w koszu. Bobby mnie nie wydał.

Nagle chwytą mnie kurcz w nogach.

– Tessie, co się dzieje?

Nie mogę oddychać. Podciągam kolana pod brodę. Palcami zatykam uszy.

– Dlaczego nie pamiętam? Dlaczego nie pamiętam?!!!

Obejmuje mnie. Mówi coś. Moja głowa opada na jego ramię. Czuję, jak pan doktor lekko sztywnieje, a potem się rozluźnia. Ma ciepłe ciało, jest jak

termofor, jak tata. Nie wiem, czy terapeutcie wypada się tak zachowywać,  
i nie obchodzi mnie to.

Jest ciepłem.

## Tessa obecnie

Spędzam trzy kwadranse pod prysznicem, ale to nic nie pomaga. Chodzę po domu. Otwieram lodówkę, pociągam łyk soku pomarańczowego, zamykam lodówkę. Sięgam po leżący na blacie telefon. Chcę zadzwonić do Charlie. Do Billa. Do Jo. Powstrzymuję się.

Przeglądam Facebooka. Podłączam starego iPoda mojej córki do głośników i rozkręcam muzykę tak głośno, że pełne vibrato Kelly Clarkson wwierca mi się w mózg. Przesuwam puszki w kuchni, przekładam gazety, przeglądam pocztę, przerzucam porozwalane notatki i zeszyty Charlie. Składam i rozkładam na podłodze kawałek atłasu. W domu, w którym każda rzecz leży tam, gdzie jej się podoba, ja upieram się, żeby materiał nie miał nawet najmniejszych zagnieceń.

Chcę, muszę poznać zawartość pudełka znalezionego przed kilkoma godzinami obok piwnicy burzowej Lydii. Z miejsca, w którym się znajdowałam, pod okapem, widziałam tylko tyle, że pudełko było metalowe, miało jakieś trzydzieści centymetrów na trzydzieści i niewiele ważyło, bo technik z zakładu medycyny sądowej bez trudu wyjęła je z ziemi dłońmi w niebieskich lateksowych rękawiczkach. Policjanci przystąpili do oczyszczania podwórza na tyłach domu z gapiów takich jak ja. Pośród tego zgiełku Jo nawet nie spojrzała w moją stronę. Bill i asystentka prokuratora okręgowego znów się pojawili; ulokowali się nieco z boku i stali razem z założonymi rękami, przyglądając się operacji.

Pukanie do drzwi. Trzy krótkie stuknięcia. Aż podskakuję. Sprawdzam, czy mogę się pokazać, tak jak stoję. Nie bardzo. Mam gołe nogi i właściwie jedyną rzeczą, która mnie okrywa, jest stara wojskowa koszulka Lucasa kończąca się jakieś dziesięć centymetrów poniżej kawałka koronki, który Victoria's Secret nazywa majtkami. Nie mam stanika. Łapię szorty leżące na kanapie na wierzchu sterty świeżego prania i szybko je wkładam.

Jeszcze dwa niecierpliwie stuknięcia.

Szorty należą do Charlie i chowają się pod koszulką, tak że nadal wygląda to tak, jakbym nie miała nic pod spodem. Ale niech już będzie.

Przekładam oko do judasza. Bill.

Wpasowuje się idealnie w owal wizjera, wygląda jak na maleńkim zdjęciu z innej epoki. Włosy ma mokre i zaczesane do tyłu. Wyobrażam sobie, że czuję zapach jego szamponu.



Wiem, że nie przyszedł rozmawiać o Lydii. Kiedy siedzieliśmy na krawężniku przed jej domem, niewiele nas dzieliło od pocałunku. Milczące porozumienie między nami zawiązało się już w chwili, w której Bill uderzył głową w wiszącą w mojej sypialni żyrandol z ozdobami z morskiego szkła z Galveston.

Otwieram drzwi. Bill jest ubrany w sprane lewisy, a na ustach ma niewymuszony i nieśmiały uśmiech, przez który dziś wpakuję się w tarapaty. Nie potrafię oderwać wzroku od jego ust. Obie ręce ma zajęte, trzyma w nich butelki wina: jedną czerwonego i jedną białego. Nie wie, co lubię, więc to miło, że dał mi wybór, ale nie trafił – w takie wieczory jak ten optuję za piwem. Jest między nami żar, który nie pozostawia żadnych wątpliwości i sprawia, że skóra mi płonie. Pozory, wyparcie, to, że jestem matką czternastolatki, a jego pewnie nadal proszą w barach o okazanie dowodu tożsamości – wszystko to przestało mieć znaczenie po tym, jak rozsypałam się w jego ramionach. Od tamtej pory nie wypowiedział do mnie żadnego zbędnego słowa.

W tej chwili jesteśmy tymi osobami, którymi byliśmy, zanim usiedliśmy na krawężniku; jesteśmy dwojgiem bardzo różniących się od siebie ludzi.

– To nie jest dobry pomysł – mówię.

– Owszem, nie jest – odpowiada, a ja szerzej otwieram drzwi.

Zanim zdecyduję się na seks, muszą zostać spełnione trzy ważne warunki:

Muszę być zaangażowana uczuciowo w związek.

To nie może się stać u mnie w domu, w moim łóżku.

Musi być ciemno.

Bill bez słowa stawia wino na stoliku w korytarzu i nogą zamyka drzwi. Popycha mnie na ścianę. Ciało wciąż ma chłodne od wieczornego powietrza, ale kiedy dotyka palcami i ustami mojej skóry, czuję, jakby lizały mnie języki ognia. Zarzucam mu ręce na szyję i przytulam się do niego, wyciągając głowę do góry. Od bardzo dawna nie czułam takiego pragnienia, by żyć. Aż kręci mi się od tego w głowie.

Dotyka mojej brody, ujmuje ją w dłoń. Spogląda mi w oczy wystarczająco długo i znacząco, bym nabrała przekonania, że doskonale wie, co robi. Jeśli odwrócę wzrok, myślę, jeśli się teraz wycofam, wszystko będzie w porządku, prawie jakby nic się nie stało. On jednak pochyla się, by mnie pocałować, a ja się zatracam. Chciałabym, żeby ten intymny taniec trwał wiecznie. Jego dłonie wślizgują się pod moją koszulkę i przesuwają w górę po plecach.

Nie protestuję, kiedy mnie podnosi. Oplatam go nogami w pasie i wpijam

się w jego usta.

Zanosi mnie do mojego pokoju i delikatnie kładzie na miękkim, byle jak posłanym łóżku. Po drodze znowu uderza głową o żyrandol i wydobywa ze szkiełek cichą muzykę. Zdejmuje mi koszulkę. Pozbywa się swojej koszuli. Natychmiast owijamy się wokół siebie, jak dwoje ludzi, którzy kochali się już setki razy. Zamykam oczy i czuję, że wirując, opadam na dno rzeki.

– Piękna jesteś, Tesso – szepcze. Czuję na szyi jego oddech. – Doprowadzasz mnie do obłądu.

*Obłąd.*

Może to kolejny z jego tekstów. Może ostatni, rozpaczliwy apel, aby któreś z nas się opamiętało.

Odsuwam się lekko, ale nie na tyle, by zauważył bliźnę obok mojego obojczyka. Jest zbyt zajęty. A ja zawsze ostrożna. Nigdy nie upajam się miłością bądź pożądaniem do tego stopnia, żeby o niej zapomnieć. Sięgam do wyłącznika lampki przy łóżku i waham się. Połowa jego twarzy tonie w mroku, a połowa jest jasno oświetlona. Do głowy przychodzą mi wszelkie banalne porównania. Światło i ciemność, życie i śmierć, prawda i fałsz, komedia i tragedia, dobro i zło, yin i yang.

Prawnik, złoty chłopak, i dziewczyna z diabelskim znamieniem.

Jedną ręką rozpinam spinkę do włosów. Ja też dobrze wiem, co robię. Jego twarz wyraża coś, czego nigdy nie zapomnę, do czego zawsze będę wracać, bez względu na to, co się stanie po tej nocy.

Nawet jeśli zawiedziemy Terrella.

Nawet jeśli mój potwór pożre nas oboje.

Wyłączam światło.

Nie złamię przynajmniej tej jednej zasady.

Tylko podczas seksu lubię, żeby było ciemno.

– A ta? – pyta. Przesuwa palcem po bladej kresce na mojej kostce. Przechodzi mnie dreszcz.

– Po operacji. Wiesz, że złamałam kostkę... tamtej nocy. Chodź już do mnie – mówię i ciągnę go za włosy, ale on nie reaguje.

– A to? – Opuszkami palca bada motylka tuż nad moją prawą kością biodrową.

– Nagły impuls. Tuż przed procesem – odpowiadam i naraz wypełnia mnie wspomnienie cudownego bólu towarzyszącego ukłuciom igły. Doskonale rozumiem uzależnienie ludzi mających skórę pokrytą tatuażami, w podnieceniu rozprawiających, gdzie zrobią sobie kolejny.

„Pragnę być wolny i nic więcej. Motyle są wolne”.<sup>11</sup>

Słowa Lydii dźwięczą mi w głowie. Zacytowała ten fragment *Samotni* tatuażystce z wesołego miasteczka podczas targów stanowych. Leżała na brzuchu na czystym ręczniku rozłożonym na metalowej polówce. Poła namiotu była opuszczona, w środku zrobiło się jak w piekarniku. Dżinsy Lydii były rozpięte i lekko zsunięte z jej gładkiego, białego biodra. O dziwo wykazałam się odwagą i poszłam na pierwszy ogień. Szczypały mnie skrzydła tatuażu, piekły mnie nawet jeszcze bardziej, kiedy patrzyłam, jak obca osoba rysuje na ciele Lydii takiego samego motyla jak mój.

Palce Billa sprawiają, że myślami wracam do teraźniejszości. Przesuwają się po moim ciele, powoli i badawczo, jakby ich właściciel metodycznie zbierał dowody dla sądu. To pierwszy od półtorej godziny sygnał, że mój umysł jest przytomny.

Moje włosy zasłaniają długą na osiem centymetrów bliznę nad lewym obojczykiem. Bill je odsuwa. Wie.

– Opowiedz mi o tej – mówi.

Tej szramy najbardziej się wstydzę. Choć nie jest dziełem mojego potwora, czuję się tak, jakby własnoręcznie ją wyrzeźbił. W rzeczywistości morderca nie odpowiada za żadną z tych blizn.

– Lekarze na pogotowiu trochę spanikowali, kiedy mnie... znaleziono. Zresztą tak jak wszyscy. Sanitariusz wniósł mnie na rękach do szpitala. Później mój kardiolog się wściekł. Powiedział, że owszem, prędzej czy później potrzebowałabym rozrusznika, ale jeszcze nie wtedy, nie tak prędko. Użyto przewodów, które trudno byłoby usunąć, więc rozrusznik został. – Zastygam, kiedy Bill muska nosem moją szyję. Przecież dla niego to nie nowość. – „Biedna dziewczynka z rozrusznikiem”. Al Vega miał używanie w sądzie. Nie czytałeś protokołów?

– Czytałem, ale chciałem to usłyszeć od ciebie.

Czyli Bill jest w pracy. Czar pryska jak bańka mydlana.

– Może zadzwonimy do Jo i spytamy, co znaleźli w tym pudle, które wykopali u Lydii? – zmieniam temat. Staram się, żeby nie było słyhać urazy w głosie.

– Spokojnie, sama zadzwoni. Nie myśl o tym.

Zapada krótkie milczenie.

– A co z ojcem Charlie? – pyta nagle Bill. – Orientuje się w sytuacji? Lubię wiedzieć, kiedy mam konkurencję.

Pytanie brzmi fałszywie.

– Lucas powiedziałby, że jest bezkonkurencyjny. Ma o sobie bardzo

wysokie mniemanie. Jest żołnierzem. Miłość własna trzyma go przy życiu. – Dotykam policzka Billa. – Od lat nie jesteśmy razem. Nie w ten sposób.

Robi się niezręcznie, cofamy się, zamiast iść do przodu. To źle. Właśnie dlatego zazwyczaj przestrzegam swoich rozsądnych reguł, jeśli chodzi o seks. Pochyłam się, wyciągam rękę po leżącą na podłodze koszulkę i uświadamiam sobie, że powinnam przyjąć jeszcze jedną dewizę: nie wkładać koszulki jednego faceta, kochając się z drugim.

– Nie idź – mówi cicho Bill. – Zamknę się już. Zostań ze mną.

Ciągnie mnie do siebie. Przykleja się swoim ciepłym ciałem do moich pleców i przykrywa nas kołdrą. Nie potrafię się oprzeć gorącu.

Sen nie przychodzi.

Przytulam się do pleców Billa. Zamykam oczy i snuję myśli.

Znów jestem w namiocie, patrzę, jak motylowi Lydii wyrastają skrzydła. Tatuazystka jest młoda, ma może dwadzieścia pięć lat. Czerwono-biało-niebieska koszulka bez pleców odsłania sporo ciała. Na plecach dziewczyny widzę siatkę ze starych, białych blizn, pewnie po pasku.

Na tym zniszczonym płótnie artysta wyzywająco namalował tatuaż składający się z trzech słów:

*Nadal tu jestem.*

## Tessie w 1995 roku

– Tessie, słuchasz mnie?

Wiecznie pyta, czy go słucham.

W ustach mam prążkowaną słomkę, przez którą sączę Dr. Peppera z Dairy Queen. W zeszłym tygodniu liście, które muskają okno w gabinecie, przebarwiły się na jasnoczerwono. Jeszcze nigdy nie widziałam tak rozświetlonego drzewa w sierpniu, wygląda, jakby namalował je sam Monet, po czym przytknął do niego zapaloną zapałkę. Bóg wyróżnił to drzewo, myślę sobie, jako przypomnienie dla mnie, że powinnam być wdzięczna za odzyskanie wzroku. Kapryśny to jednak Bóg – gdyby było inaczej, w ogóle bym nie oślepla.

Pocieram oko, bo szczypie mnie rozmazany i wymieszany z potem tusz do rzęs. Lydia ma ostatnio obsesję na punkcie wypróbowywania nowych kosmetyków, ja zaś usilnie staram się być niewyraźną plamą, której nikt nie zauważa. Eksperymentowała na mnie dopóty, dopóki nie wymyśliła takiego połączenia kolorów i faktur, które maskuje bliznę w kształcie półksiężyca: Maybelline Fair Stick 10, tubka czegoś w kolorze rzygowin i jeszcze Cover Girl Neutralizer 730. Spisała mi wszystko na kartce, dodała kolejność, w jakiej powinnam to nakładać, a potem poszła do łazienki i zrobiła sobie makijaż przed moim lustrem. Kiedy skończyła, wyglądała powalająco. Tata powiedział kiedyś – bez złośliwości – że Lydia nie opędziłaby się od chłopaków... gdyby się nie odzywała. Nakładając transparentny tusz do rzęs i różowy błyszczący do warg, opowiedziała mi o Erice Jong i jej teorii pierdolenia się w stylu „suwaku, otwórz się”. Wtedy po raz pierwszy użyła przy mnie słowa na „p” i poczułam się, jakby wystrzeliła kulę, która zabiła to, co pozostało z naszego dzieciństwa.

– Seks z nieznajomym – wyjaśniła. – Bez żalu. Bez wyrzutów sumienia.

Coraz bardziej czuję się jak koło, które buksuje w błocie, podczas gdy Lydia siedzi za kierownicą i naciska pedał gazu.

Pan doktor przerywa mi rozmyślenia.

– Tessie, co się dzisiaj z tobą dzieje? O czym myślisz?

O pierdoleniu się w stylu „suwaku, otwórz się”. O przepisie na bliznę.

– Gorąco mi. Trochę się nudzę.

– W porządku, zrobmy inaczej. Powiedz mi, jakie uczucie towarzyszyło ci najczęściej przez te dwa dni, które upłynęły od naszego ostatniego spotkania?

Od kiedy przytuliłeś mnie na kanapie i zachowałeś się jak człowiek?

– Nie wiem.

Nie wiem też, co ze sobą począć. Nie znoszę, kiedy to robi, czyli zaczyna rozmowę na intymne tematy, stojąc półtora metra ode mnie.

– Myślę, że masz poczucie winy. Niemal nieustannie. Od wydarzenia. Krążymy wokół tego.

Powoli pociągam łyk z kubeczka i wpatruję się w pana doktora. Wydarzenie. Doprowadza mnie do szału, kiedy to mówi.

– Czemu miałabym czuć się winna?

– Ponieważ uważasz, że mogłaś zapobiec temu, co ci się przytrafiło. Może nawet temu, co spotkało Merry.

– Miałam szesnaście lat. Byłam sportsmenką. Nie wiem, co dokładnie się wydarzyło, ale jestem pewna, że byłabym w stanie temu zapobiec, gdybym tylko bardziej uważała. Nie jestem dwulatką, którą można wrzucić do samochodu jak poduszkę.

W końcu siada przede mną.

– Dotknęłaś sedna problemu, Tessie. Nie masz dwóch, czterech ani dziesięciu lat. Jesteś nastolatką, więc wydaje ci się, że jesteś całkiem sprytna. Bardziej spostrzegawcza od dorosłych. Od ojca. Od nauczycieli. Ode mnie. W rzeczywistości – mówię to z bólem – już nigdy nie będziesz się sobie wydawała mądrzejsza niż teraz.

Lydia nie cierpi, kiedy faceci noszą mokasyny na gołe nogi. W tej chwili doskonale ją rozumiem, bo patrzę na perlące się potem kostki pana doktora, na wystającą kość, i dochodzę do wniosku, że wszyscy jesteśmy po prostu zbiorem szpetnych elementów. Wypełniają mnie sprzeczne uczucia w stosunku do tego człowieka. I ogólnie w stosunku do mężczyzn. Gdyby naprawdę chciał do czegoś dojść, zapytałby właśnie o *to*.

– Rebeka też myślała, że jest mądrzejsza – mówi.

Imię jego córki eksploduje w wilgotnym powietrzu jak granat. Przestałam się nudzić, jeśli o to mu chodziło.

– Nie bez powodu czujesz potrzebę obwiniania się – ciągnie. – Z relacji różnych osób wynika, że zawsze byłaś bardzo poukładaną osobą. Jeśli zaakceptujesz winę, jeśli uznasz, że, jak rzadko kiedy, źle postawiłaś krok, przekonasz samą siebie, że nie było to przypadkowe zdarzenie. Biorąc na siebie winę, uwierzysz, że nadal w pełni kontrolujesz swój świat. Tak jednak nie jest. I nigdy nie będzie.

– A pan? – pytam. – Założę się, że ciągle pan myśli, że pańska córka żyje. Ale nie, ona rozkłada się gdzieś w rzeczonym mule albo jest posiłkiem dla

kojotów. Pozwoli pan, że *ja* oświecę *pana*: otóż Rebeka jest trupem.

## Tessa obecnie

Wschód słońca maluje sypialnię na różowo. Najlepsza pora dnia na rozmowy z aniołami i robienie zdjęć, jak twierdził mój dziadek. Na podziwianie obłoczków, które płyną po niebie „niczym różowe pióra jakiegoś gigantycznego flaminga”<sup>12</sup>, jak twierdził sir Arthur Conan Doyle.

Na upychanie potworów nocy na dnie szafy.

Bill wsuwa długą, chudą nogę w nogawkę džinsów. Jego szerokie i umięśnione plecy są nagie. Dawno już nie zdarzyło mi się obudzić w sobotni poranek u boku kogoś, kto nie byłby chory albo porośnięty futrem. Próbuję zidentyfikować uczucie, które wierci mi dziurę w brzuchu. To strach? Czy może nadzieja?

Charlie wsiada do autokaru dopiero za dwie godziny, ale kiedy oddawaliśmy się z Billem trzeciej, leniwej rundzie miłosnych igraszek, przysłała mi serię esemesów, które dopiero teraz odczytuję, leżąc oparta o wezłowie i z kołdrą skromnie zasłaniającą piersi.

*Trzecie miejsce L. Wywalili trenera. J*

*Zapomniałam że na biol w poniedz musze miec niebieski zel do wlosow. Sorki.*

*Co na kolacje?*

Zastanawiam się, gdzie kupić niebieski żel do włosów bez cofania się w czasie do 1965 roku. Dzwoni leżąca na szafce nocnej komórka Billa. Sięgam po nią i rzucam mu, przy okazji zerkając na wyświetlacz.

*Spec od kości.*

Telefon nie doleciałby do celu i spadł na skłębioną pościel, gdyby Bill nie pochylił się i nie schwycił go w locie. Mrugnięcie okiem.

Pamiętam, kiedy po raz pierwszy mężczyzna puścił do mnie oko. Lydia zdmuchiwała jedenaście świeczek – w tym jedną na zaś – a ja patrzyłam, jak oko jej ojca zamyka się i otwiera pod wystrzępioną brwią, która nigdy do końca nie odrosła po wypadku w warsztacie.

Spec od kości. Dzwoni Jo, żeby wyjawić tajemnicę pudełka? Od kilku godzin, nawet kiedy język Billa odwraca moją uwagę, mój umysł podważa wieko tego pojemnika i zaraz je zatrząskuje.

W pudełku znajduje się piasek, tak delikatny i drobny, że przesypuje mi się



przez palce jak woda.

Pełno w nim szczerzących się złośliwie zuchw dziewcząt.

I jest jeszcze paczuszka obwiązana mieniącą się czarną lametą z włosów Lydii.

– Cześć – odzywa się cicho Bill do słuchawki i zerka na mnie. Słucha, nie przerywając, przez co najmniej minutę. – Mhm. Skontaktuję się z Tessą.

Zapina spodnie, ramieniem przytrzymując aparat przy uchu.

Z lekcji, których udzielił mi pan doktor na naszych sesjach, wynika, że nawet gdybym postanowiła zaczekać pięć lat, zanim w końcu przespałabym się z tym mężczyzną, i tak nie poznałabym go do końca. Lekarz mówił rzecz jasna nie o Billu, tylko ogólnie. Uważał, że największe wady bądź zalety człowieka albo ujawniają się w sytuacjach kryzysowych, albo na zawsze pozostają ukryte. Pamiętam, że kiedy tamtego dnia wychodziłam z jego gabinetu, myślałam: to smutne, że zwykli, nudni ludzie umierają, nawet nie wiedząc, że są bohaterami, tylko dlatego że żadna dziewczynka nie zaczęła tonąć w jeziorze na ich oczach albo dom sąsiada nie zaczął się palić.

– Będę za jakąś godzinę – mówi Bill do słuchawki.

Pięć osób tłoczy się w maleńkim pomieszczeniu, wszyscy wyglądamy, jakbyśmy mieli za sobą nieprzespaną noc.

Jo jest w spodenkach do biegania i mocno spranej koszulce z napisem „Módl się za Moore, OK”<sup>13</sup>. Bill ma na sobie to samo ubranie co wczoraj wieczorem. Alice Finkel, kokieteryjna asystentka prokuratora okręgowego, ukrywa się pod maską z produktów Mary Kay i tak rozpaczliwie zabiega o względy Billa, że żal patrzeć. Porucznik Ellen Myron ma wranglery i kaburę z bronią przy pasku.

Skupiam spojrzenie na trzech ułożonych w równym rzędzie plastikowych torebkach na dowody rzeczowe.

Swędzą mnie palce, żeby je rozerwać i od razu przejść do tej najbardziej ponurej części spotkania.

Porucznik Myron odchrząkuje.

– Tesso – zaczyna. – W pudełku znalezionym na tyłach dawnego domu Lydii Bell znajdowały się trzy przedmioty. Liczymy, że pomoże nam pani je zidentyfikować.

– Nie było... kości? – pytam.

Po prostu mi powiedzcie, do cholery! Powiedzcie, że znaleźliście szczątki Lydii.

– Nie. Nic z tych rzeczy. – Porucznik Myron otwiera jedną z torebek.

Natychmiast rozpoznaję znajdującą się w niej książeczkę. Sfatygowana złota okładka. Żółte kwiaty i zielone pędy rosnące w stronę liter tytułu. Wiersze i opowiadania Poego.

– Mogę ją obejrzeć? – pytam.

– Nie, proszę nie dotykać. Ja ją pani pokażę.

– Należała do Lydii – potwierdzam. – Razem ją kupiliśmy. Jej tata zawiózł nas do księgarni Larry’ego McMurty’ego w Archer City.

Czemu ją zakopała? Po moim zniknięciu zapewne przetrząsnęła swój pokój w poszukiwaniu wszystkiego, co miało na okładce albo opakowaniu żółte kwiaty. Lydia nie potrafiłaby rozstać się z tą książką, była dla niej zbyt cenna. Ukryła ją więc jak skarb, włożyła do własnej kapsuły czasu, którą otworzyłaby po latach.

Tyle że już nigdy tu nie wróciła.

Porucznik Myron odkłada książkę i dwoma palcami podnosi kolejną torebkę.

– A to?

Przełykam ślinę i przyglądam się zawartości.

– Klucz? Nie potrafię rozpoznawać kluczy. W szufladzie z rupieciami mam pełno kluczy nie wiadomo do czego.

– Czyli nie poznaje pani?

– Nie.

– Wolałam zapytać.

Porucznik Myron sięga po trzecią torebkę. Podsuwa mi ją prawie pod sam nos.

Napięcie. Wszyscy czekają, co powiem.

Tik-tak. Tik-tak.

Czy wszyscy to słyszą? To mój rozrusznik, który nigdy nie wydaje najmniejszego dźwięku, czy może uwięzione w pojemniku jelenie serce?

Kiedy miałam dziesięć lat, potrafiłam wyrecytować Serce oskarżycielem z pamięci. Lydia była w tym, rzecz jasna, lepsza. Pewnego razu schowała mi pod poduszką głośny zegar.

– Tesso? – Bill chwyta mnie za ramiona. Chwieję się. Tykanie narasta. Jasna cholera, to zegarek, tuż przy moim uchu. Tik-tak. Odtrącam jego dłonie.

– Myślałam, że się zgubił. – Ton gotującej się z oburzenia nastolatki. – Musiała mi go zabrać.

– Kto taki? – pyta ostrym tonem pani porucznik.

– Lydia. Lydia mi go zabrała.

## Tessie w 1995 roku

Pan doktor siedzi na fotelu stojącym tuż obok kanapy. Nie wstaje i nie wita się ze mną, kiedy wchodzę. Z jego miny nie potrafię wywnioskować, czy nadal jest na mnie zły po tym, co zrobiłam w zeszłym tygodniu – jak plunęłam jadem i powiedziałam, że jego córkę pożerają kojoty. Nie próbował mnie zatrzymać, kiedy potem po prostu wstałam i wyszłam.

Rzucam torebkę na podłogę, opadam na kanapę, zakładam nogę na nogę i podciągam spódnicę – niech sobie popatrzy. On jednak nie jest zainteresowany. Równie dobrze mogłabym być jego osiemdziesięcioletnią ciotką. Policzki płoną mi z wściekłości, sama nie wiem czemu. Obracam pierścionek na palcu, chciałabym zacisnąć go jak obręcz na szyi lekarza.

– Twoja matka – mówi spokojnie. – Znalazłaś ją tego dnia, kiedy umarła.

Zapłata za wywołanie ducha córki. Wytoczył najcięższe działko. Jego kule przebijają się do miejsca, w którym ukryłam niewysłowiony ból po stracie matki. Mam ochotę wrzeszczeć, chcę zerwać z niego tę wygodną maskę zawodowca, którą przytrzymuje na swojej twarzy niewidoczną gumką recepturką. Czasem zastanawiam się, czy nie umarłam w tym grobie. Czy ten gabinet nie jest czyścicem, a cała reszta – tata, Bobby, Lydia, O.J. Simpson, potwór – nie stanowią części snu, który przychodzi, gdy diabeł pozwala mi spać. Czy ten sędzia w koszuli w prążki musi podjąć decyzję: zamknąć mnie na strychu z bukietem trajkoczących Kwiatów, czy też uwolnić, abym na wieki dręczyła naszego mordercę.

– Wychodzę – mówię, ale nie ruszam się z kanapy. – Mam dość pańskich głupich gier.

– Decyzja należy do ciebie.

Byłam w domku na drzewie.

Zawołała mnie przez okno w kuchni. Myślałam, że chce, bym pomogła jej pozmywać naczynia. Zawsze robiła straszny bałagan. Wszędzie tłuszcz i mąka. Gruby osad na patelni. W zlewie brudne miski. Tata mówił, że to cena, jaką trzeba płacić za ciasteczka, które rozplývają się w ustach, polewę krówkową i smażoną okrę z ziemniakami i pomidorami, którą wcinaliśmy na zimno, jak prażoną kukurydzę.

Byłam w domku na drzewie. Zignorowałam jej wołanie.

– Znalazłaś ją na podłogę w kuchni.

Serce tłucze mi się w piersi.

– Miałaś osiem lat.

Matka ma siną twarz.

– Zmarła na udar.

Zakrywam jej twarz fartuchem.

– Jesteś zła, że jej tu nie ma? Że cię zostawiła?

Byłam w domku na drzewie.

Nie przyszłam, kiedy mnie zawołała.

Poczucie winy szaleje na całego. Jest nie do zniesienia.

– Tak. – Wypuszczam powietrze z płuc.

## Tessa obecnie

Przedmiot znajdujący się w trzeciej plastikowej torebce na dowody rzeczowe, która leży na biurku Jo, jest mały i niepozorny, ma jakiegokolwiek znaczenie prawdopodobnie tylko dla mnie i jego pierwszej właścicielki, dawno zmarłej i pochowanej dziewczynki w spódniczce z falbankami.

Kiedy miałam piętnaście lat, na dnie kosza z rupieciami w sklepie z antykami w Stockyards znalazłam pierścionek. Był tak brudny, że z początku nie zauważyłam osadzonej w nim maleńkiej jak jajo pająka perełki; odkryłam ją dopiero po powrocie do domu. Założyłam go na mały palec, leżał doskonale. Właścicielka sklepu powiedziała, że to dziecięcy pierścionek z epoki wiktoriańskiej, z końca dziewiętnastego wieku, prawdopodobnie ze złotym wypełnieniem – dlatego, jak dodała, sprzeda mi go za trzydzieści pięć dolarów, ale na pewno nie za dziesięć, jak zaproponowałam. Lydia odparła, że gdybyśmy nie przyszły do sklepu i nie zaczęły grzebać w koszu, właścicielka nawet nie wiedziałaby, że ma taki pierścionek. „Tessie mogła po prostu włożyć go do kieszeni” – dorzuciła oburzona, na co wyjęłam ze świątecznych zaskórniaków dodatkowe dwadzieścia pięć dolarów, położyłam na ladzie i wyszłam, ciągnąc za sobą moją najlepszą przyjaciółkę.

Kiedy odeszłyśmy na kilkadziesiąt metrów od sklepu, Lydia uznała, że kupiłam pierścionek wbrew woli wszechświata i że powinnam go zwrócić. Noszenie biżuterii po nieżyjącej obcej osobie przynosi pecha. Kto wie, czy dziewczynce, która go nosiła, nie przytrafiło się coś strasznego? W czasach wiktoriańskich dzieci widywały swoich rodziców raz dziennie, i to po wcześniejszym ustaleniu godziny, a wychowywały je okrutne niańki. Winston Churchill powiedział, że mógłby policzyć na palcach, ile razy matka go przytuliła.

Kiedy dotarliśmy na przystanek autobusowy, Lydia była już w swoim żywiole, upierała się i szalała jeszcze bardziej niż zwykle. Z tematu brudnego świecidełka na moim małym palcu przeskoczyła na diament Hope. Rósł w ziemi ponad miliard lat, a kiedy go z niej wydobyto, rzucił klątwę na każdego, kto go dotknął. Maria Antonina straciła głowę, a jej przyjaciółka księżna została zadżgana pikami i siekierami. Diament przeklął nawet niewinnego przewoźnika, który dostarczył go do Instytutu Smithsona – jego rodzina zmarła, dom spłonął, a jemu samemu zmiażdżyło nogę.

Mówcie, co chcecie o Lydii Frances Bell i jej absurdalnej paplaninie, ale powiedziała rzeczy, których nigdy nie zapomniałam. Gdyby teraz była tu ze mną, przerażałby ją i podniecał na przemian fakt, że stała się bohaterką makabrycznej opowieści, podobnej do tych, które nieustannie pochłaniała i powtarzała.

Pani porucznik trzyma pierścionek tak, że perła patrzy na mnie jak ślepe oko. Wszyscy taktownie milczą. Obezwładnia mnie atmosfera wyczekiwania.

– Tak, należał do mnie – potwierdzam. – Zawieruszył się krótko przed tym, jak miałam zeznawać. Lydia uważała, że przynosi pecha, i chciała, żebym się go pozbyła.

– Dlaczego tak sądziła?

Perły przynoszą łązy. Samobójstwa i szaleństwo, morderstwa i wykolejenia wagonów.

– Jej zdaniem nie powinno się nosić biżuterii po zmarłej osobie, chyba że był to ktoś, kogo się znało. Historia była dla niej ważna.

„I miała rację” – dopowiada jeden z Kwiatów.

To prawda – ten pierścionek tkwił na moim palcu, kiedy *on* wrzucił mnie do rowu. Wszystko pozostałe, co miałam na sobie – moje ulubione czarne legginsy, koszulka taty z godłem stanu Michigan, łańcuszek z krzyżykiem, który dostałam od cioci Hildy z okazji confirmacji – zniknęło. Lekarze z pogotowia zdjęli ze mnie całe ubranie i przekazali je policji.

Nocna pielęgniarka jako pierwsza zauważyła pierścionek, kiedy przyszła sprawdzić kroplówkę dwie godziny po operacji wszczepienia rozrusznika. Czułam, jak zsuwa mi go z palca, jej dłonie muskały moje jak pióra. *Ćśśś*. Kiedy się obudziłam, w miejscu pierścionka miałam wąski pomarszczony pasek jasnej skóry. Miesiąc później, już w domu, odkryłam, że ktoś mi włożył szpitalny egzemplarz Biblii do kieszeni walizki. Otworzyłam księgę i zobaczyłam kopertę z pierścionkiem, przyklejoną do strony z Psalmem 23.

Pierwszą rzeczą, która przychodzi mi do głowy, kiedy słyszę łomot, jest to, że Charlie wypadła z łóżeczka ze szczebelkami. Dopiero po chwili dociera do mnie, że przecież Charlie od trzynastu lat nie śpi w takim łóżeczku. Leży obok mnie pod skotłowanym przykryciem. Jej rude włosy spływają po błękitnej poszewce; wygląda, jakby unosiła się na wodzie. Przypominam sobie okoliczności: późna noc, maraton z Żywymi trupami, popcorn, chipsy serowe. Odtrutka na konieczność identyfikacji przedmiotów wykopanych w ogródku najlepszej przyjaciółki.

Około pierwszej – czyli równie dobrze pół, jak i cztery godziny temu –

wyłączyłam telewizor w swojej sypialni. Na zewnątrz ciemno choć oko wykol. Wyciągam rękę i dotykam nagiego delikatnego ramienia Charlie. Chcę się upewnić, że to mi się nie śni. Jest chłodne, ale, inaczej niż zwykle, nie nakrywam go.

W mojej głowie poszum rozmów – to Kwiaty zbierają się na naradę. Szukam telefonu, który zazwyczaj mam przy sobie nawet w nocy. Trzecia trzydzieści trzy. Charlie równo oddycha. Postanawiam jej nie budzić. Na razie.

Znowu ten odgłos. Ciężki, jakby coś upadło. Na przykład pokrywa bagażnika. Na zewnątrz, bliżej pokoju Charlie, na pewno nie w domu. Zsuwam się z łóżka. Klękam przed szafą i po omacku zaczynam przeszukiwać zamontowane na drzwiach półki na buty. Drugi rząd od dołu, czwarta przegródka. Palce natrafiają na dwudziestkę dwójkę. Przez trzy lata po procesie nosiłam ten pistolet zatknięty za pasek; zastanawiałam się nad większą bronią, ale wolałam, żeby nikt – zwłaszcza tata – nie zobaczył wybruszenia na moim kościstym biodrze. Kiedy akurat nie obściskiwaliśmy się po kątach, przy okazji przypadkiem płodząc Charlie, Lucas w tajemnicy nauczył mnie strzelać. Wręczając mi tę dwudziestkę dwójkę po raz pierwszy, powiedział poważnym tonem:

– Chodź na strzelnicę jak do kościoła: co najmniej raz w tygodniu.

Okazało się, że częściej strzelałam, niż się modliłam. Od dziesięciu lat Lucas namawia mnie na zmianę broni, ale ja nie potrafię sobie wyobrazić innego pistoletu w mojej dłoni niż ten.

Potrząsam Charlie.

– Jeszcze cieemno – zaczyna jęczeć.

– Słyszałam coś na zewnątrz – mówię szeptem. – Wkładaj kaptcie. I to. – Podaję jej bluzę z kosza na pranie.

– Serio?

– Serio. Wstawaj.

– To czemu nie dzwonisz na policję? – Kaptur bluzy, którą wkłada, tłumii jej głos.

– Bo nie chcę, żebyśmy trafiły do wiadomości.

– Mamo, czy to pistolet?

– Charlie, proszę cię, po prostu rób, co mówię. Wyjdziemy drzwiami od tyłu.

– Bez sensu, skoro to... coś jest *na zewnątrz*. W końcu czy nie po to mamy ten superczuły alarm, który zawsze się włącza, kiedy trochę głośniejsze słucham Vampire Weekend? Może chociaż wyrzemy przez okno i upewnimy się, że to

nie śmieciarka?

W takich chwilach żałuję, że nie mam córki, która byłaby mniej pewna siebie, własnej urody, inteligencji i sprawności fizycznej. Ale nie – mam Charlie, która jest jak dawna Tessie. Obie upierały się, że dziwne odgłosy za oknem to po prostu nastoletnie chłopaki, którym zebrało się na żarty, a nie potwory z gnatami i zardzewiałymi szpadlami. Przeważnie miały rację.

– Charlie, posłuchaj się mnie, proszę. Chodź za mną.

Kolejne głucho uderzenie. I stukanie.

– Okej, teraz słyszałam. Faktycznie dziwne. – Charlie przyspiesza kroku.

Idziemy tonącym w ciemności korytarzem i wchodzimy do salonu. Rolety są zasunięte, jak zawsze, ale nie chcę włączać światła.

– Robimy tak, jak na ćwiczeniach przeciwpożarowych – mówię. – Idź do Panny Effie. Zajdź od tyłu. Zadzwoń, jeśli nie będzie otwierała. Masz tu telefon. Jeśli nie przyjdę w ciągu pięciu minut, dzwoń na policję.

– Mam swój – odpowiada. – Co chcesz zrobić?

– Nie przejmuj się tym, Charlie. Leć.

Biegiem!

Wypycham ją przez tylne wejście, prosto w ciemność. Mignięcie różowobiałych kropek zdobiących spodnie od pidżamy i Charlie znika między sosnami odgradzającymi naszą działkę od działki Effie.

Skradam się ku podwórzu przed domem, wykorzystując krzaki głógownika jako osłonę. Łomotanie nie ucichło, przemieściło się jedynie do mojego wnętrza, do mojej piersi. Trzymam w dłoni odbezpieczony pistolet. Chcę to zakończyć. Dziś w nocy. Raz na zawsze. Wyglądam zza gałęzi.

Co to ma być, do ciężkiej cholery? W moim trawniku tkwią cztery szare kwadraty, które wyglądają jak rząd nagrobków. Za jednym z nich dostrzegam niewielki, skąpany w bladym świetle cień. Wiktoriańska podróżniczka w czasie szuka swojego pierścionka? Przymykam oczy, licząc, że zniknie. Cień się jednak powiększa. Duch dziecka przeobraża się w mężczyznę w lśniącej, szarej nylonowej bluzie i z latarką w dłoni.

– Ej! – Mój zuchwały okrzyk przeszywa powietrze.

Mężczyzna wyłącza latarkę i zrywa się do biegu, wcześniej jednak udaje mi się dostrzec logo Nike, czarne włosy i kręconą brodę.

Chce pobiegać? Proszę bardzo! Gonię go przez podwórze, potem ulicą. Tupot stóp. Za szybki jak na mojego potwora. Młode nogi. Nogi maratończyka. Też jestem szybka, ale nie aż tak. Kapatcie kłapią mi o pięty.

Nagle zwalnia. Może wpadł w jeden z tutejszych „zabytkowych” wybojów? Podnosi rękę i mierzy do mnie. Moja dwudziestka dwójka wędruje w górę.



Wtedy on naciska przycisk na pilocie alarmu i włączają się tylne światła zaparkowanego sedana. Wskakuje do samochodu i po chwili odjeżdża z piskiem opon. Nie udaje mi się zapamiętać rejestracji.

Odwracam się. To nie cmentarz na moim podwórzu. Przyglądam się prymitywnym tabliczkom ze sklejki. Przebija z nich nienawiść.

*POLNA BLADŹ  
PO PIĄTE: NIE ZABIJAJ  
ŻAŁUJ ZA GRZECHY!!  
MASZ KREW TERRELLA NA RENKACH*

To tylko jeden z psycholi.

Marna pociecha.

Nagle czuję, że ktoś mnie obserwuje.

*Charlie.*

Dom Effie, w oknach nadal ciemno.

Biegnę do drzwi i walę w nie tak, że w środku coś spada z brzękiem na podłogę. Nikt nie otwiera.

Na ganku zrzucam kaptcie i pędzę na tył domu. Myślę o potworze stojącym pod moim oknem. I o Charlie w pidżamie w kropki.

Tłukę pięścią w drzwi na tyłach domu Effie. Odpowiada mi dusząca cisza. Rozglądam się po podwórzu, otwieram usta, żeby wykrzyczeć imię córki, ale nie potrafię wydobyć z siebie głosu.

Mój rozszalały wzrok pada na rozchwieżytą szopę na końcu ogrodu. Dopadam drzwi i otwieram je, niemal wyrywając z zardzewiałych zawiasów. Charlie kuca w kącie przy dwóch workach z kompostem. Przy uchu ma telefon, blask wyświetlacza rozjaśnia jej policzek.

– Mamo!

Pada mi w ramiona. Przed domem z piskiem opon hamuje samochód. Za nim drugi. Przez krzaki przebija światło kogutów.

Zbliża się do nas wielka postać, oślepia latarką.

– Policja. Ktoś nas wezwał.

– To ja. Jestem Charlie, a to moja mama. Już wszystko w porządku.

Kiwam głową, bo nie mogę mówić. Zza domu dolatują urywki dyskusji podniesionymi głosami.

Policjant omiata nas światłem latarki. Kiedy okazuje się, że nic nam nie jest ani nie stanowimy zagrożenia, oświetla wnętrze szopy.

Jasność niczym woda wlewa się we wszystkie kąty i spływa po ścianach.

Policjant nie dostrzega tu niczego nadzwyczajnego, bo dla niego to, co widzi, jest najzupełniej normalne.

Ja widzę, ale nie rozumiem. Wiem tylko, że to nie jest normalne.

Łopatki ogrodnicze. Całe rzędy.

Wiszą, starannie ułożone, na ścianach. Zajmują całą ich powierzchnię.

## Tessie w 1995 roku

– Powiedz, Tessie, czy wierzysz w istnienie diabła?

Super. Tak jakbym nie dość się nasłuchiwała od cioci Hildy.

– Chodzi mi o diabła w sensie mocno metaforycznym. Chcę dziś porozmawiać o mordercy Polnych Kwiatów. Myślę, że byłoby dobrze, gdybyś nieco lepiej go zrozumiała, zanim zaczniesz zeznawać. Pojęła, że naprawdę istnieje. Że jest człowiekiem z krwi i kości, a nie Sinobrodym ani czającym się pod mostem trollem.

Serce mi przyspiesza. Instynktownie kładę dłoń na guzku nad lewą pierś, na znajdującym się pod skórą kawałku metalu, dzięki któremu moje serce bije z częstotliwością minimum sześćdziesięciu uderzeń na minutę. Nerwowo przesuwam palcem po prostej, ośmiocentymetrowej bliźnie. Lydia już zaczęła szukać bikini na takich ramiączkach, które pozwolą ukryć szramę.

– Przecież niczego o nim nie wiemy – odpowiadam sztywno. – I nigdy się nie dowiemy. Bo milczy. A rodzina twierdzi, że jest normalny.

Nie wypowiadam głośno jego nazwiska. *Terrell Darcy Goodwin*.

– Kiedyś leczyłem seryjnego mordercę – mówi pan doktor. – To był niezwykle bystry i wyrachowany człowiek. Potrafił tak oczarowywać starsze panie, że bez wahania oddawały mu miliony dolarów. Wtapiał się w otoczenie i jednocześnie wyróżniał. Lubił dobrze poznać swoje ofiary, a wiedzę, którą o nich zdobył, wykorzystywał do zastraszania.

– Kartka ze świnką i stokrotką. – Przychodzi mi to do głowy nie wiadomo skąd.

– Sądzisz, że to on ci ją przysłał?

– Tak. Myślę, że przez nią straciłam wzrok.

– Bardzo dobrze, Tessie. Znakomity postęp. Bez względu na to, czy rzeczywiście on przysłał tę kartkę, czy nie, wywołała ona u ciebie reakcję. Nigdy nie zapominaj, Tessie, że ty sama kontrolujesz swój umysł.

Kiwam głową. Zawstydzona komplementem, lekko się rumienię.

– Mój pacjent rozumiał, czym są dobro i zło, po prostu nie obchodziła go różnica między nimi – ciągnie lekarz. – Pilnie uczył się odpowiednich zachowań. Potrafił udawać empatię, bo przesiadywał w szpitalnych poczekalniach i obserwował ludzi. Przez rok sprzedawał garnitury w sklepie braci Brooks, bo chciał nauczyć się dobrze ubierać i wysławiać. Kiedy przemieszczał się z miejsca na miejsce, wymyślał kolejne wersje swojego

życiorysu, czerpiąc z historii opisywanych w gazetach. Ale seryjni mordercy popełniają błędy i ten nie był wyjątkiem. Okazało się, że woził w bagażniku szczątki swoich ofiar; po prostu nie potrafił się powstrzymać. Oto, w czym rzecz: wydaje im się, że nie są ludźmi, tymczasem są.

– Nadal nie rozumiem... dlaczego.

– Tego nikt do końca nie wie. Może nigdy nie poznamy odpowiedzi na to pytanie. Przez pewien czas lekarze sądzili, że może to mieć coś wspólnego z frenologią. Z tym, jaki kształt ma twoja czaszka. Motywy mojego pacjenta okazały się banalne. Obwiniął swoją matkę.

– Bo...

– Zanadto odchodzimy od tematu.

– Próbował pan go wyleczyć? – nie odpuszczam.

A może próbowałaś dociec, czy to on porwał twoją córkę?

– Tak, na przekór oczekiwaniom i wszelkim zasadom psychiatrii chciałem się przekonać, czy to w ogóle możliwe. Źle się skończyło. To psychopata, Tessie. Jest w pełni zadowolony z tego, jaki jest.

## Tessa obecnie

Jo poprosiła o spotkanie w parku Trinity, niedaleko jednej z tras biegowych, mniej więcej kilometr od stawu dla kaczek. Dziwne. Zbyt blisko mostu. Zbyt duża zbieżność. Czy widział mnie ktoś poza chłopaczkiem z wykrywaczem metali? Czy Bill o wszystkim, co mu mówię, donosi Jo?

Tego ranka Kwiaty milczą. Czasem to się zdarza, zwłaszcza kiedy moja paranoja nabierze takiego rozpędu, że nie są w stanie złapać tchu.

Od sobotniej nocy, kiedy to wycelowałam z pistoletu do upiornej postaci na trawniku, mam stargane nerwy. W niedzielę podjęłam próbę pozbierania się i przywrócenia normalności życiu mojej córki. Zadzwoiłam do Billa i poprosiłam, żeby już nie przychodził do mnie z alkoholem. Powiedziałam, że to był błąd, pozwoliliśmy, aby zawiodły nas do łóżka napięte do granic wytrzymałości nerwy, i że odpowiedniejszą partnerką dla niego będzie szwedzka blond naukowiec albo asystentka prokuratora okręgowego.

Zapadło głębokie milczenie, po czym Bill powiedział:

– Nawet nie tknęliśmy wina. Poza tym jesteś całkiem odpowiednia.

Później przetrząsnęłyśmy z Charlie półki Walmartu w poszukiwaniu niebieskiego żelu do włosów, pieprzu w ziarenkach, lukrecji i fasoli limeńskiej – wszystko na zajęcia z biologii; uczniowie będą budować trójwymiarowy model komórki zwierzęcej. Charlie trajkotała, że z roladek owocowych można zrobić aparat Golgiego. Słuchałam kojących urywków rozmów, które w blasku świetlówek zdawały się unosić w powietrzu niczym utwór country. „Mój brat niedawno stracił dom” przy mrożonkach, „Bóg ci pomoże” przy chipsach, „tata go zabije” przed skrzynkami z winem. Zasłyszane słowa działają uspokajająco, bo mało kto udaje, że wszystko jest w porządku albo że świat się skończy tylko dlatego, że nie wszystko gra. Pchałam wózek, rozkoszując się tą potrawką z nieszczęść, codziennych kopniaków w tyłek i starej, dobrej nieustępliwości. Nikogo w Walmarcie nie obchodziło, kim jestem. Wróciłam do domu z dziesięcioma ziemniakami za dwa dolary bez jednego centa i zrobiłam chowder z kukurydzą, według przepisu mamy. Wysięk przywracania normalności chyba się opłacił, bo wieczorem Charlie wsunęła się pod puszystą kołdrę z żołądkiem pełnym skrobi i boczku oraz z przekonaniem, że naszym wrogiem jest zwykły tchórz, który potrafi tylko wbijać tabliczki przed domem i nawet nie umie pisać bez błędów.

Jest poniedziałek rano, chcę odrzucić propozycję spotkania z Jo, ale nie mogę. Gdy tylko Charlie wychodzi do szkoły, zakładam asicsy i związuje włosy w koński ogon, ruchami pełnymi złości. Kiedy się obudziłam, poczułam nieodpartą potrzebę wybiegania, wypocenia całej tej trucizny. Bieganie to jedyna rzecz, która zawsze mi pomaga. Dam radę pokonać jakieś sześć kilometrów, zanim zacznie mnie boleć kostka, a potem jeszcze trzy – *jemu* na złość. Najpierw jednak: Jo.

W południowej części parku jest prawie zupełnie pusto. Parkuję jeepa obok lśniącego srebrnego bmw. Oprócz naszych aut na parkingu, służącym też jako teren pod niewielkie pikniki, nie ma żadnych samochodów. Zamykając drzwi swojego wozu, zerkam do kabiny bmw: na podłodze reklamówka z Taco Bell i pusta puszka po Dr. Pepperze; na półce nad tablicą rozdzielczą garść drobnych i odcinek biletu do kina. Niewinnie. Okrążam wóz, kierując się w stronę ścieżki, i zerkam na tablicę rejestracyjną: DNA 4N6.

W porządku, to na pewno samochód Jo. Odczytuję numer na głos:  
– DNA 4N6.

4N6? Obca płeć<sup>14</sup>? E, pewnie nie, myślę, ale przynajmniej skupiam się na czymś innym niż pistolet na moim biodrze i tajemnice, które „spec od kości” może wozić w bagażniku.

Na horyzoncie prosta czarna kreska. Zapowiadali nadejście zimnego frontu i spadek temperatury w nocy nawet o piętnaście stopni. Ubrana na różowo kobieta koło sześćdziesiątki mija mnie szybkim chodem, intensywnie poruszając ramionami. Zatrzymuję się przy zwiniętym w kłębek bezdomnym śpiącym na betonowym stole piknikowym; obok znajduje się jego załadowany pożytecznymi śmieciami wózek sklepowy. Wkładam banknot dziesięciodolarowy do pustego kubka po kawie, który mężczyzna ściska w dłoni. Śpiący ani drgnie.

Robię, co mogę. Dla Roosevelta. Po tym, jak mnie znaleźli, poprosiłam Lydię, żeby poszła do niego, bo wiedziałam, że będzie się martwił. Nie udało mi się z nim pożegnać. Znalezione go martwego pod drzewem tydzień przed rozpoczęciem procesu; wyglądał, jakby po prostu zasnął.

DNA 4N6. Medycyna sądowa<sup>15</sup>! Ależ jestem głupia.

Kiedy dostrzegam Jo, która czeka dokładnie tam, gdzie zapowiadała – pod charakterystycznym dębem, ponoć dawniej służącym jako szubienica – przyspieszam kroku. Siedzi po turecku na ławce i popija z zielonego neoprenowego bidonu z naklejonym czerwonym symbolem zagrożenia biologicznego. Na czarnej wiatrówce North Face ma naszyte logo CSI Texas. Przypuszczam, że bidon i kurtka to fanty z jakiejś konferencji specjalistów od

medycyny sądowej.

– Dziękuję, że przyszedłaś. – Opuszcza szczupłe nogi na ziemię i klepieniem w ławkę zaprasza mnie, bym usiadła obok niej. – Przez cały weekend pracowałam w laboratorium i potrzebowałam odetchnąć świeżym powietrzem. Słyszałam o tym, co zaszło w twoim domu. Złapali go?

– Nie. I nie przyjrzałam mu się. W sieci krąży biuletyn przeciwników kary śmierci, w którym regularnie pojawia się moje nazwisko, więc policja postanowiła sprawdzić prenumeratorów. Niedawno redaktorka tego biuletynu na swoim blogu w poście, w którym opisuje sprawę Terrella, podała mój adres. Nie liczyłam na zbyt wiele. Już to przerabiałam.

– Dziwne to i niepokojące... że ci ludzie biorą cię na celownik. – Nie mówi tego głośno, ale wiem, co sobie myśli: „ciebie, ofiarę”.

Wzruszam ramionami. Przyzwyczaiłam się.

– Proces wywołał dużo złości. Poza tym przewodniczący ławy przysięgłych otwarcie przyznał, że moje zeznanie zaważyło na wyroku.

Choć przecież jedynie domalowałam tło.

Jo kiwa głową ze współczuciem. Nie za bardzo mam ochotę rozmawiać o tym, co się wydarzyło sobotniej nocy. Wystarczy, że bez ustanku wracam do tego myślami. Że wciąż mam przed oczami Charlie kucającą w szopie pod frapującą kolekcją łopatek. Policja, wskutek moich nalegań, dostała się do domu Effie przez tylne wejście. Okazało się, że Effie zasnęła na fotelu, w słuchawkach wytłumiających, które kupiła na eBayu. „No wiesz, żeby trochę zagłuszyć głosy” – powiedziała mi szeptem, kiedy policjant przeszukiwał budynek. Przez chwilę myślałam, że robi aluzję do tych, które słyszę w swojej głowie, ale zobaczyłam, że strzela oczami jak zdziczały kot. Najprawdopodobniej zatem złodziej łopatek, o którym mówiła, mieszka z nią pod jednym dachem. Nie powiedziałam o tym policjantom, ale też nie wpadłam jeszcze na pomysł, jak poruszyć temat w rozmowie z Effie.

– Pomyślałam, że chciałabyś usłyszeć jakąś dobrą wiadomość – mówi Jo. – Chodzi o rudy włos na kurtce, którą znaleziono niedaleko miejsca porzucenia ciała. Analiza mitochondrialnego DNA wykazała, że na dziewięćdziesiąt dziewięć i siedemdziesiąt pięć setnych procenta ten włos nie spadł z twojej głowy. Ponadto na kurtce nie stwierdzono obecności DNA Terrella.

– Czy to wystarczy, żeby załatwić Terrellowi nowy proces?

Ciekawe, czy powiedziała Billowi.

– Trudno ocenić. Stosunkowo niedawno wprowadzono w Teksasie nowe prawo, które umożliwia skazanym wnoszenie apelacji od wyroku, jeżeli postęp technologiczny rzuca nowe światło na stare dowody. Ale

rozmawiałam dziś rano z Billem. Mówi, że już przechodził tę procedurę ze skazańcami oczekującymi na wykonanie wyroku śmierci i jest prawie pewien, że pojedynczy rudy włos i niechlujny specjalista, który przed laty posłużył się pseudonauką, to za mało, żeby przekonać sąd apelacyjny do unieważnienia wyroku. Wolałby mieć coś więcej do zaoferowania sędziemu. Niestety jedynymi osobami, które mogą zapewnić Terrellowi alibi na dzień, w którym zniknęła Hannah Stein, są jego matka i siostra. Jasne też, że policja nie stoi po stronie Terrella; zależy im przede wszystkim na identyfikacji dziewcząt, ze względu na ich rodziny, i na pozbyciu się dziennikarzy w każdą rocznicę morderstwa uprzykrzających im życie. W dodatku pracują pod dyktando prokuratora okręgowego, który ma parcie na szkło. Widziałaś konferencję prasową poświęconą Hannah? – Nie oczekuje odpowiedzi. – Wytropienie prawdziwego zabójcy... dla *nas* to byłby zaledwie dodatek.

Zaskakuje mnie gorycz jej słów.

– Przepraszam. – Krzywi się. – Z reguły zakładam, że wszyscy robią, co w ich mocy. Szkoda, że Bill i Angie nie zaangażowali mnie w sprawę dużo wcześniej. – Na jej twarz wkrada się wyraz melancholii. – Zależy mi na zidentyfikowaniu pozostałych dwóch dziewczyn, dlatego postanowiłam spróbować czegoś innego. Nie wiem tylko, czy wystarczy mi czasu.

Czuję silne szarpnięcie w trzewiach, choć przecież zdecydowałam się wycofać ze sprawy. „To ja znam odpowiedzi”, powiedział jeden z Kwiatów, kiedy przyglądaliśmy się pracy specjalistów w laboratorium. Czy był to Kwiat, do którego należała gadająca czaszka? Czy ta nowa dziewczyna, zaginiona i znaleziona w stercie kości?

– Znajomy geolog z Galveston zgodził się zbadać kości – ciągnie Jo. – Może, ale to naprawdę duży znak zapytania, może uda mu się zawęzić obszar, bądź obszary, na którym mieszkały te dziewczyny. Wtedy będzie można przyjrzeć się sprawom zaginięć z tych terenów.

– Czytałam w internecie, że z próbki DNA można wyczytać rodowód pojedynczego człowieka. Chodzi o coś takiego?

– Nie, o coś całkiem innego. Mój znajomy geolog przebadła kości za pomocą analizy izotopowej i uzyskane wyniki postara się dopasować do charakterystyki regionu. Jeśli chodzi o identyfikację szczątków w medycynie sądowej, to narzędzie jest dopiero w powijakach. Po raz pierwszy wykorzystano je ponad dziesięć lat temu w przypadku chłopca, którego tułów wyłowiono z Tamizy. Naukowcom udało się wskazać, że pochodził z Nigerii.

– Coś to dało? Ustalili jego tożsamość? Złapali mordercę?

– Nie, jeszcze nie. Sprawa jest w toku. Kiedy stosujesz nowe technologie,



każdy przypadek jest jak pojedynczy krok na drodze liczącej milion kilometrów. – Ton jej głosu łagodnieje. – Jesteśmy częścią tej planety, jej pradawnej przeszłości. Nosimy w kościach izotopy strontu, mamy go tyle samo (proporcjonalnie, rzecz jasna), co skały, gleba, woda, rośliny i zwierzęta. Zwierzęta zjadają rośliny i piją wodę. Ludzie zjadają zwierzęta i rośliny. Stront przechodzi z organizmu do organizmu i odkłada się w kościach, w każdym regionie w innych proporcjach. – Nieodmiennie zdumiewa mnie prostota jej wyjaśnień; byłaby niezłą wykładowczynią. – Problem polega na tym, że świat jest wielki. W dodatku obecnie dysponujemy stosunkowo skromną bazą danych pozwalających na identyfikację regionów pod względem geologicznym. Zatem to kolejny strzał w ciemno.

Jo milknie. Nadal nie wiem, po co właściwie wyciągnęła mnie do parku.

– Jak sobie radzisz, kiedy masz wrażenie, że zmierzasz donikąd? Że sprawa jest beznadziejna? – odzywam się wreszcie. – Nie czujesz czasami, że masz już dość?

– Mogłabym zadać ci to samo pytanie.

– Ale przecież sama wybrałaś sobie takie zajęcie.

– Raczej ono wybrało mnie. Już jako czternastolatka wiedziałam, co będę robiła. Dlatego kiedy jakiś dzieciak mówi mi, że będzie trzeciobazowym w Jankesach, to mu wierzę. Słyszałaś o zamordowaniu skautek w Oklahomie?

– Nie – odpowiadam, choć coś mi świta. Lydia na pewno by wiedziała.

– Każdy specjalista w dziedzinie medycyny sądowej ma taką przedawnioną sprawę, która od lat nie daje mu spokoju. W moim przypadku jest to zamordowanie skautek. Byłam wtedy w liceum. Trzy skautki przebywały na obozie niedaleko Tulsy. Ktoś w środku nocy porwał je z namiotu, zgwałcił i zamordował, a ciała porzucił. Aresztowano miejscowego, niegdyś popularnego zawodnika licealnej drużyny piłkarskiej, oskarżono go, postawiono przed sądem i uniewinniono. Zebrano wprawdzie próbki DNA, ale nie istniała jeszcze technologia umożliwiająca ich zbadanie. Uprzedzę twoje pytanie i powiem, że próbki za bardzo się zestarzały, byśmy zdołali je wykorzystać. Pociągnęłam za wszystkie sznurki, żeby móc obejrzeć zdjęcia z miejsca zbrodni i przeczytać raporty ze śledztwa i badań w zakładzie medycyny sądowej. Gdybym mogła przenieść się do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku, byłabym w stanie przynajmniej udzielić jakichś odpowiedzi rodzicom tych dziewczynek. Wszystko dzięki temu, że naukowcy w laboratoriach wciąż podejmują ten z pozoru daremny trud. Moja praca dotyczy zarówno teraźniejszości, jak i przeszłości.

– Rozumiem – mówię. – Niewykluczone, że moja sprawa jeszcze długo,

przez lata, albo może nigdy, nie doczeka się rozwiązania. Dlaczego chciałaś się spotkać akurat w parku? Żeby przekazać mi najświeższe nowiny? – Wcale nie chciałam, żeby zabrzmiało to tak opryskliwie. Po prostu jestem zmęczona.

– Nie. Chciałam powiedzieć... upewnić się, czy wiesz, że zawsze możesz do mnie przyjść. Nie chcę, żebyś czuła się osamotniona.

Tak naprawdę mówi: „Nie kop beze mnie. Ani w tym parku, ani gdziekolwiek indziej”.

– Tesso, czy pomyślałaś o tym, że ja też cię potrzebuję? Że nie jestem taka twarda, jak ci się wydaje?

Pierwszy podmuch zimnego frontu porusza koronami drzew.

– Lori, Doris, Michele – mówi cicho Jo. – To imiona martwych skautek. *Moich* Polnych Kwiatów.

## Tessie w 1995 roku

– Myślę, że zrezygnuję ze składania zeznań.

Dziś rano, kiedy ćwiczyłam przed lustrem, ze szczoteczką do zębów w dłoni i pianą w kąciku ust, brzmiało to dużo bardziej wyzywająco.

– NIE BĘDĘ zeznawała, panie prokuratorze.

No, tak już lepiej.

Otwieram usta, żeby powtórzyć, tym razem dobitniej, ale prokurator okręgowy krąży po gabinecie niczym tygrys i ani trochę nie interesuje go, co myślę. Pan doktor pochyla się nad biurkiem, trzymając plik dokumentów, i z pewnością doskonale słyszy każde słowo. Sztukę bezruchu opanował do mistrzostwa.

– Słyszał pan? Uważam, że nie mam nic istotnego do dodania. Nie mam *nic* do dodania – jąkam się.

Benita posyła mi życzliwy uśmiech, którym chce powiedzieć, że już po mnie. Ona i Vega przyszli po to, żebyśmy razem przeanalizowali moje zeznanie. Po raz pierwszy chcą, abyśmy powtórzyli wszystkie drastyczne szczegóły. Czekali niemal do ostatniej chwili, bo Vedze zależy, by to, co powiem, zabrzmiało jak najbardziej spontanicznie. Do rozprawy zostały niecałe dwa tygodnie, więc można uznać, że ten warunek został spełniony.

– Tessie, wiem, że to trudne – mówi Vega. – Musimy sprawić, żeby członkowie ławy przysięgłych poczuli się tak, jakby razem z tobą leżeli w tym grobie. Nawet jeśli nie pamiętasz szczegółów dotyczących mordercy, to przynajmniej tworzysz kontekst. Dodajesz rzeczywisty wymiar. Na przykład: jaki był tam zapach?

Mam tak silny odruch wymiotny, że zauważa to nawet nieczuły prokurator. Z pewnością zrobił to celowo; chce się przekonać, jakie wrażenie na ławie wywoła ten melodramat. Nadal uważam, że jest dobrym człowiekiem. Właśnie zmieniłam zdanie. Nie będę dla niego zeznawała. Nie mogę, *nie chcę*, usiąść naprzeciwko mojego potwora.

– W porządku, wróćmy do tego. Zamknij oczy. Znajdujesz się w grobie. Obróć głowę w lewo. Co widzisz?

Z ociąganiem robię, co każe. Widzę ją.

– Merry.

– Czy jest martwa?

Otwieram oczy i szukam pomocy u pana doktora, ale ten jest zajęty

pisaniem na komputerze. Skłamać czy powiedzieć prokuratorowi prawdę, że odzywała się do mnie nieżywa Merry? To na pewno nie pomoże sprawie.

Jeśli będę zeznawała. Ale przecież nie będę.

– Nie wiem, czy jest martwa. – To prawda. – Ma niebieskawoszare usta... ale niektóre dziewczyny używają niebieskiej szminki. Mówią, że są gotkami.

Nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Za życia Merry, która grała na klawercie i chodziła do kościoła, ani trochę nie była gotką. Stała się nią dopiero w grobie, leżąc obok mnie niczym rekwizyt z horroru.

– Co jeszcze?

– Ma otwarte oczy.

Coś ją gryzło.

– Co czujesz? Jaki zapach.

Przełykam ślinę.

– Jakby coś się psuło.

– Czy trudno ci oddychać?

– Oddycha się jak... jak w przenośnej toalecie.

– Jest ci zimno? Gorąco? Postaraj się, opisowe odpowiedzi.

– Pocę się. Boli mnie stopa. Zastanawiam się, czy ją odrąbał. Chcę się rozejrzeć, ale za każdym razem, kiedy podnoszę głowę, czuję się, wie pan, jakby miała pęknąć. Boję się, że stracę przytomność

– Wzywasz pomocy?

– Nie mogę. Usta mam pełne ziemi.

– Nie otwieraj oczu. Teraz spójrz na prawo. Co widzisz?

Obracanie głowy boli. Ale teraz łatwiej oddychać.

– Widzę... kości. Moją pomadkę Pink Lemonade bez zakrętki; nie wiem, gdzie ona jest. Snickersa. Dwudziestopięciocentówkę z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego. Trzy centy.

Obraz w mojej głowie nagle ożywa. Po pomadce uwijają się pobudzone mrówki, ich praca wre. Wyciągnięta dłoń próbuje dosięgnąć snickersa. Wiem, że dłoń należy do mnie, bo jest obsypana piegami i ma krótkie, równo obcięte i pomalowane na niebiesko – lakierem Hard Candy Sky – paznokcie. Mają prawie identyczny kolor jak wargi Merry. Kiedy zębami rozrywam opakowanie, w ustach czuję krew, ziemię, masło orzechowe i żółć. Szczątki pozostałych Kwiatów dodają mi otuchy. „Musisz być silna”.

– Pamiętam, że zjadłam snickersa – mówię. – Nie chciałam.

To Kwiaty nalegały.

– Chyba wcześniej o tym nie wspomniałaś. Wracają do ciebie jakieś szczegóły? Może coś związanego z mordercą? Jego twarz? Kolor włosów?

Cokolwiek?

Nie potrafię wywnioskować z tonu głosu Vegi, czy byłoby dobrze, czy źle, gdybym przypomniała sobie coś nowego.

Czemu to wszystko nagle do mnie wraca? Zamykam oczy, choć nikt mi nie każe tego robić. Zwracam się ku nocnemu niebu, ale nie widzę gwiazd. Zamiast nich świeci słońce. Już nie znajduję się w grobie. Jestem gdzie indziej, w wypełnionej światłem przestrzeni razem z Merry i Kwiatami. Merry śpi, pozostałe szepczą, trajkoczą podnieconymi głosami, omawiają plan. Jeden z nich pochyła się nade mną. Na jego kościotrupim palcu dynda pierścionek, ale bez kamienia. Kwiat wyciska nim półksiężyc na moim policzku. Nie boli nic a nic. Nie leci krew.

„Dorwij go” – mówi. – „Nie zapomnij o nas”.

Wiem, że to tylko wyobraźnia, mimo że na pierścionku, który znajdował się na kości palca należącego do jednego z Kwiatów, znaleziono krew moją, a nie Merry. Założono logicznie, że upadłam na pierścionek, kiedy morderca wrzucił mnie do grobu.

Muszę przestać, zanim znów wpadnę do dziury i nie dam rady się z niej wydostać.

– Nie będę zeznawała. Ani dla pana, ani dla nich.

Vega przekrzywia głowę, gotów wystrzelić z kolejnym pytaniem.

– Słyszeliście państwo, co powiedziała Tessie. – Pan doktor podnosi głowę znad biurka. – Sesja dobiegła końca.

## Tessa obecnie

Zaczekałam, aż Jo zniknie na końcu ścieżki, i upewniłam się, że nie zawróciła. Potem pobiegłam, mijając śpiącego mężczyznę, który odwrócił się plecami do chłodnego wiatru. Szarpnięciem otworzyłam drzwi samochodu i wsiadłam. Zamknęłam się od środka. Oparłam się o kierownicę i sama siebie zdumiałam nagłym wybuchem płaczu. Oto, jak działają na mnie życzliwość, współczucie i propozycja partnerstwa.

Ruszyłam i jechałam jak na autopilocie. Nie podejrzewałam, że dziś rano trafię akurat do tego gabinetu. Pokój jest mały, ściany są białe, jest chłodnawo. Przede mną siedzi spięta kobieta po trzydziestce i widać, że ma chęć rozpocząć rozmowę, gdy tylko przestanę udawać, że czytam gazetę, i w końcu nawiążę kontakt wzrokowy.

– Jest ciężko, prawda? Kiedy dziecku coś dolega. Moje jest teraz w gabinecie.

Kobieta czegoś ode mnie oczekuje. Niechętnie podnoszę wzrok i pozwalam jej się napatrzyć. Czerwone, opuchnięte oczy. Blizna. Kiwam głową ze zrozumieniem i współczuciem, licząc, że to wystarczy, i wracam do nagłówka: „Czy powinniśmy płacić dzieciom za jedzenie warzyw?”.

– Nie wiem, czy po raz pierwszy przyszła pani zasięgnąć porady w sprawie dziecka, ale powiem pani, że doktor Giles jest niesamowita – nie poddaje się nieznajoma. – Lily chodzi do niej już od pół roku. Zdecydowanie polecam.

Powoli zamykam gazetę i odkładam ją na stosik poczekalnianych lektur.

– To ja jestem dzieckiem – mówię.

Kobieta wykrzywia usta w zakłopotaniu.

Z gabinetu wybiega dziewczynka, zapewne Lily, cała w jaskrawych kolorach. Błyszcząca kokarda po prawej stronie głowy jest tak wielka, że wygląda, jakby to głowa była dodatkiem do niej, a nie odwrotnie. Zwracam uwagę na brązowe niewinne oczy dziewczynki, choć to niełatwe, bo tęczywy wygląd małej nie pozwala na niczym się skupić.

I jeszcze uśmiech. Znam go, bo sama taki nosiłam – uśmiech, który angażuje trzynaście mięśni, jest zaraźliwy i sprawia, że wyglądasz na normalną i szczęśliwą. Widzę jednak, że Lily jest przerażona.

Doktor Giles pojawia się w drzwiach zaraz po Lily i nie wydaje się zaskoczona moją obecnością, co dobrze o niej świadczy.

– Mam dwadzieścia minut do kolejnej wizyty, ale musisz chwilkę poczekać,

dobrze? – zwraca się do mnie.

– Tak, oczywiście. – Czuję, że się rumienię. To nie w moim stylu, nie wpadam do ludzi bez uprzedzenia, nie zawracam im głowy. Przypominam sobie, że nie zapłaciłam jej jeszcze ani centa.

Doktor Giles podaje rękę matce Lily.

– Pani Tanger, dzisiejszy ranek należał do wyjątkowo udanych. Lily – mówi do dziewczynki – narysujesz mi coś na następne spotkanie?

Mała kiwa głową z poważną miną, a spojrzenie terapeutki spotyka się ze wzrokiem kobiety; następuje milcząca wymiana zdań. Mam wrażenie, jakbym widziała twarz mojego ojca: nadzieja, niepokój, nadzieja, niepokój, nadzieja, niepokój.

Doktor Giles zaprasza mnie do przytulnej dżungli swojego gabinetu. Siadam w jednym z wygodnych foteli. Nie zastanawiałam się nad tym, co chciałabym jej powiedzieć. Mam poczucie, że widok Lily pozbawił mnie tej samolubnej, piekającej złości, ale chyba się mylę. Nagle zaczynają mi się trząść ręce.

– Chcę to doprowadzić do końca – wypluwam każde słowo niczym żądanie, tak jakby doktor Giles była czemuś winna.

– Nie istnieje coś takiego jak koniec – odpowiada łagodnie. – Jest tylko... świadomość. Że nigdy nie wolno do tego wracać. Że poznało się prawdę na temat przypadkowości życia, o której nie wie większość ludzi. – Pochyliła się do przodu. – Być może musisz mu przebaczyć. Na pewno już to słyszałaś. Ale przebaczenie nie jest dla niego, tylko dla ciebie.

Czuję się tak, jakby przejeżdżała paznokciami po stojącej za jej plecami szkolnej tablicy. Drażni mnie ledwie dostrzegalna obecność niedokładnie wytartej patykowatej postaci. Uśmiechnięte słoneczko. Kwiatek z jednym okiem.

– Nie wyobrażam sobie, żebym mogła mu przebaczyć. – Wlepiam spojrzenie w kwiat na tablicy. Mam ochotę wziąć gąbkę i trzeć, trzeć, aż jej powierzchnia stanie się idealnie czarna. Aż będzie czysta.

– Załóżmy zatem, że istnieje sposób na domknięcie tej sprawy. Jak to sobie wyobrażasz? Co byś zrobiła, gdyby on... jak go nazywasz?

– Moim potworem. – Mówię tak cichym, pełnym wstydu tonem, że nie wiem, czy doktor Giles mnie słyszy. Jaka dorosła kobieta przy zdrowych zmysłach posługuje się takimi nazwami?

– Rozumiem. Co byś zrobiła, gdyby twój potwór nagle stanął w drzwiach? Gdyby wszedł, usiadł na krześle i wszystko wyznał. Widziałabyś jego twarz. Poznałabyś jego nazwisko, dowiedziałabyś się, gdzie dorastał, czy matka go

kochała, czy ojciec bił, czy był lubiany w szkole, czy kochał swojego psa, a może go zabił. Wyobraź sobie, że ten człowiek usiadł, powiedzmy, na tym krześle, metr od ciebie, i udzielił odpowiedzi na każde twoje pytanie. Czy naprawdę zrobiłoby to jakąś różnicę? Czy istnieją odpowiedzi, które by cię zadowolili? Czy poczułabyś się lepiej?

Wpatruję się w krzesło.

Mam wrażenie, jakby zamiast pistoletu w mojej skórze odciskała się zimna metalowa foremka do wykrawania ciasteczek. Korci mnie, żeby wystrzelić prosto w siedzisko i patrzeć, jak w powietrzu fruwa białe wypełnienie.

Nie chcę rozmawiać z moim potworem. Pragnę jedynie jego śmierci.



## Tessie w 1995 roku

– Denerwuję się. – Benicie drży głos.

Sesja *nadzwyczajna*. Wysłali Benitę samą, żeby odwaliła za nich brudną robotę. Nie minęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny, od kiedy oznajmiłam, że nie będę zeznawała.

Nie pomalowała oczu, a to pewny znak, że coś jest mocno nie w porządku. Nadal jest bardzo ładna, z tą różnicą, że wcześniej wyglądała jak niezła laska z liceum, a teraz – jak z gimnazjum. Wiem tylko, że nie chcę, żeby przeze mnie się bała, bo była i jest dla mnie bardzo dobra i życzliwa – przecież nawet jej imię znaczy „błogosławiona”.

Benita nagle zatrzymuje się przy oknie.

– Mam cię przekonać, żebyś zdecydowała się zeznawać. Pan Vega i twój lekarz uznali, że połączyła nas swego rodzaju kobieca więź. Ale jeśli mam być szczerą, to sama nie wiem, co powinnaś zrobić. Zastanawiam się, czy nie zmienić branży i nie zatrudnić się w firmie wuja, która zajmuje się ebenisterią.

No, no. To się porobiło.

– Chcieli, żebym zapytała, czego się najbardziej obawiasz. – Siada w fotelu pana doktora i po raz pierwszy nawiązuje ze mną kontakt wzrokowy. – Kazali mi usiąść w tym miejscu. Teraz mam cię przekonać, że niezależnie od tego, jak trudne okażą się dla ciebie zeznania, nie pożałujesz, że to zrobiłaś. Byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś zdradziła mi, czego tak się boisz, jeśli chodzi o wizytę w sądzie. Niech wiedzą, że przynajmniej próbowałam.

Jej łagodne oczy wypełniają się łzami. Myślę, że to nie pierwszy raz, kiedy płacze tego ranka. Mam ochotę podejść do niej i ją objąć, ale robiąc to, złamałybyśmy kolejną z zasad kodeksu etycznego; dziś i tak już kilka naruszyliśmy.

– Słyszałam, że Richard Lincoln rzuca się ludziom do gardła i rozrywa ich na strzępy – mówię powoli. – Lydia znalazła to w artykule o nim. I słyszała, jak jej tata mówił mamie, że wszyscy nazywają Lincolna Adwokutasem. Mógłby wmówić ławie przysięgłych, że na wszystko sobie zasłużyłam. Albo że zmyślam.

– Lincoln to rzeczywiście łajza – przyznaje Benita. Trzyma palce wskazujące pod oczami, żeby łzy nie spłynęły jej po policzkach.

Bez patrzenia sięgam po chusteczkę i podaję ją Benicie. Pudełko

z chusteczkami stoi niezmiennie, zawsze dokładnie w tym samym miejscu, na stoliku tuż przy moim łokciu.

– I nie chcę znaleźć się w jednym pomieszczeniu z... człowiekiem, który to zrobił – ciągnę. – Nie chcę, żeby przez cały czas na mnie patrzył. Nie wyobrażam sobie nic gorszego. Nie chcę, by czuł, że ma nade mną jakąkolwiek władzę.

Benita wyciera oczy.

– Ja też nie. To musi być przerażające.

– Mój tata tam będzie. Nie chcę, wie pani, opisywać wszystkiego ze szczegółami. Kiedy o tym myślę, kiedy o tym mówię, robi mi się niedobrze. Czasami wyobrażam sobie, że wymiotuję, siedząc na miejscu dla świadka.

Bierze głęboki oddech.

– W zeszłym roku, będąc na stażu, zajmowałam się pewną paskudną sprawą. Dwunastoletnia dziewczynka padła ofiarą molestowania ze strony sześćdziesięcioletniej ciotki, która jeździła na wózku inwalidzkim. Coś okropnego. Nie wszyscy członkowie rodziny byli skłonni uwierzyć dziewczynce.

Niechętnie spogląda mi w oczy.

– Nie jesteś przekonana, prawda? Pan Vega był oskarżycielem. On jest znakomity. Skłonił dziewczynkę do opowiedzenia ze szczegółami o manewrowaniu wózkiem podczas... robienia tego. Kiedy opuściła miejsce dla świadka, nikt już nie miał wątpliwości, kto mówił prawdę.

– Skazano ciotkę?

– Tak. W Teksasie nie ma litości dla tych, którzy molestują nieletnich. Ciotka spędzi w więzieniu resztę życia.

– Czy dziewczynka była zadowolona z tego, że zeznawała?

– Nie wiem. Po rozprawie była kłębkiem nerwów. – Benita posyła mi blade uśmiech. – Myślę sobie, że handel ozdobnymi szafkami to dużo prostsze zajęcie. Szafki otwierają się i zamykają... i tyle.

– No – mówię. – Ale jest pani dobra w tym, co teraz robi.

## Tessa obecnie

– Co Obamę obchodzi, ile mam w pasie?

Effie, ubrana w spodnie od pidżamy w barwach klubu Texas Rangers i blad różową jedwabną bluzkę z koronkowymi mankietami, idzie przez trawnik, krzycząc i wymachując kartką papieru. Charlie i ja właśnie wróciłyśmy z wczesnej kolacji w Ol' South Pancake House, na którą wybrałyśmy się od razu po szkole. Czasem się zastanawiam, jak długo Effie stoi w oknie i wypatruje nas, i czy ten czas ma dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Oby nie.

To był długi dzień – dzień przypominania sobie. Nie wiem, czy zostało mi jeszcze dość cierpliwości dla Effie. Boli mnie głowa. Effie dopada nas na ganku, zziębnięta, stukając palcem w napisany na maszynie list.

– Chce wiedzieć, ile ważę, ile mam w pasie i czy piję albo palę. Czarno na białym. Po co mu to, skoro się nie umawiamy? Choć nie pogardziłabym whisky z lodem i papierosem w towarzystwie przystojnego Murzyna.

Muśnięcie powiek zielonym cieniem, różowe plamy na policzkach i wielkie klipsy ze sztucznymi perłami na uszach – nieomyślne oznaki, że Effie wychodziła dziś z domu. Perłowe klipsy zakłada w każdą niedzielę do kościoła, ale kolor na powiekach oznacza, że ścierała się z paniami z rady ochrony zabytków. Effie nazywa je „przesadnie wybrednymi”.

Przytrzymuję przed nią drzwi. Charlie wchodzi do środka, ostrożnie niosąc przezroczysty plastikowy pojemnik pełen niebieskiego żelu do włosów i starannie ułożonych produktów spożywczych.

Effie powoli i głośno pociąga nosem.

– To mój trójwymiarowy projekt komórki zwierzęcej – wyjaśnia Charlie. – Zaczyna się psuć.

– Postaw to na blacie. Zajrzymy do środka.

Hasła „trójwymiarowy” i „komórka zwierzęca” sprawiają, że Effie przestaje przeszkadzać nieprzyjemny zapach. Jedną ręką uchyla wieko pojemnika, a Charlie zabiera obraźliwy list, który Effie trzyma w drugiej.

– Panno Effie, to jest list od towarzystwa ubezpieczeniowego. – Charlie przebiega tekst wzrokiem. – Potrąca pani sto dolarów ze składki i dorzuca dwadzieścia pięć dolarów do wydania w Amazonie, jeśli wypełni pani formularz, a oni potwierdzą zawarte w nim dane. Chcą też wiedzieć, ile wynosi pani poziom cholesterolu.

– Nic tylko szpiegować, do jasnej anielki. – Dźga palcem niebieskie szambo. – Charlie, moja droga, zapisz sobie, żeby przeczytać *Rok 1984*. Ten to był wróżbitą. Kiedyś miałam czterdzieści osiem centymetrów w pasie. Może tak napiszę, a potem, kiedy przyślą kogoś z centymetrem, zadzwonię na policję i oskarżę go o molestowanie. – Uparcie szturcha komórkę. – Żel do włosów jako cytoplazma. Sprytnie. Co za to dostałaś?

– A z minusem. I tak bardzo wysoko, jak na tę nauczycielkę. U niej średnia ocena za taki projekt na przestrzeni dwudziestu sześciu lat to C plus.

– Powiedziałybyśmy, że nie świadczy to dobrze o nauczycielu. A za co minus?

– Za jądro. Wykorzystałam plastikową przezroczystą ozdobę świąteczną z Hobby Lobby.

– I przez to błona jądrowa jest nieelastyczna. Hm. No tak, tu trzeba jej przyznać, że miała rację.

– Mamo, mam to wyrzucić do kompostu? Na opakowaniu żelu napisali, że produkują go wyłącznie z naturalnych składników.

– Myślę, że na tym etapie bardziej przypomina bombę biologiczną. Zdecydujcie same, ty i nasza sąsiadka naukowiec. Ja idę narzucić jakieś dresy.

I wziąć aspirynę.

W ciemności przechodzę przez korytarz i włączam światło dopiero w swojej sypialni. Na moim łóżku śpi mężczyzna. Nie widzę jego twarzy. Reaguje szybciej niż ja. Kiedy opuszczam wzrok, jednocześnie palcami szukając broni zamocowanej na pasku, on pokonuje dwumetrową przestrzeń łóżka, zasłania mi usta dłonią i nie pozwala krzyknąć.

Wyrywam się. Mężczyzna drugą ręką przyciska moje plecy do swojej piersi. „Charlie jest w domu” – myślę rozpaczliwie.

– Ciiiicho bądź.

Przestaję się wić. Kiwam głową. Puszczam mnie, odskakuję od niego i prawie się potykam. Z wściekłością patrzę na ojca Charlie.

– Jezu, Lucas – syczę. – Przestraszyłeś mnie. Skąd się tu, do cholery, wzięłeś? Czemu nie możesz zapukać do drzwi jak normalny człowiek?

– Przepraszam. – Zamyka drzwi. – Chciałem dać ci znać, jak tylko dotrę na miejsce, ale wiesz, po dwudziestu dziewięciu godzinach podróży, z urozmaicheniami w postaci turbulencji i pilota wojskowego, który lubi napędzać innym pietra, wsiadłem do taksówki, przyjechałem dwie godziny temu i po prostu padłem jak długi na twoje łóżko, a że jest diablo wygodne, to od razu zasnąłem. Pewnie naniosłem trochę piachu. – Jego twarz znajduje

się blisko mojej, bliżej niż to konieczne. – Pachniesz naleśnikami z truskawkami.

Przelotnie przypominam sobie, jakie to uczucie, kiedy oplatają cię silne, wojskowe ramiona. Potem powracają myśli o Billu. Dziś przysłał mi dwie wiadomości: „Jak ci mija dzień?” i dwie godziny później: „Hej, motylku, porozmawiaj ze mną”.

– Dlaczego przyjechałeś? – Próbuję nie dać się pokonać na wszystkich frontach.

– Miałem niepokojącą rozmowę z Charlie na Skypie. Po nocnym najściu.

– Aha.

Przysiadam na łóżku. Nie wspomniała, że opowiedziała o wszystkim ojcu, ale w sumie czemu miałyby to zrobić – znaczy wspomnieć?

Lucas siada obok i obejmuje mnie ramieniem.

– Uznałem, że mnie potrzebujesz, tylko boisz się poprosić, żebym przyjechał. Z drugiej strony, nie chcę przekroczyć granicy zaangażowania, którą mi wyznaczyłaś, dlatego jeśli uważasz, że nie powinienem zostać, wyjadę. Charlie nie musi się dowiedzieć. Wymknę się tą samą drogą, którą wszedłem.

– Czyli pewnie głównym wejściem.

– No tak. Paranoicznie boisz się o swoje bezpieczeństwo, ale kodu do alarmu nie zmieniłaś od pięciu lat.

– Nie.

– Co: nie?

– Nie chcę, żebyś się wymykał. Charlie powinna wiedzieć, że tu jesteś.

Ze przyjechałeś dla niej.

Znam go. Nieważne, że ujął rzecz w zgrabne słówka, nie zamierzał odejść po cichu po tym, jak przyleciał zza oceanu dla swojej córki.

Zdjął rękę z mojego ramienia i objął mnie w pasie. Odwraca uwagę. Wsuwa dłoń pod moją bluzkę, przez chwilę błądzi, po czym wyszarpuje dwudziestkę dwójkę.

– Przydałby ci się trening z sięgania po broń. Nie powinnaś nosić przy sobie pistoletu, jeśli nie jesteś w stanie wydobyć go zza paska.

Szukam celnej riposty, ale nie znajduję.

– Może poćwiczymy jutro? – proponuje.

Głowa przestaje mnie ćmić. Gdybym nadal wierzyła w niebiosa, powiedziałabym, że zesłały mi tego mężczyznę w darze.

Lucas nigdy nie zakwestionował trzeźwości mojego umysłu i nigdy mi nie odmówił.

Oddaje pistolet.

– Masz, schowaj.

– Chciałabym, żebyś jutro rano wyświadczył mi pewną przysługę – mówię.

– O co chodzi?

– O kopanie.

W mojej sypialni ciemno, jedynym źródłem światła jest ekran iPada. Podłożyłam sobie kilka poduszek pod plecy, a na nocnej szafce, w zasięgu ręki, postawiłam pełny kieliszek wina. Lucas leży rozwalony na sofie i chrapie, zawartość jego torby podróżnej wysypała się na podłogę w salonie. Charlie pisze esemesy pod kołdrą. Wieczorna rywalizacja ojca z córką w *Assassin's Creed* miała, jak dla mnie, charakter trochę zbyt instruktażowy. Ulżyło mi, kiedy mniej więcej pół godziny temu Lucas wreszcie wyłączył grę i po raz pierwszy od wielu miesięcy położył spać swoją nastoletnią pociechę. Udawała, że jest już za duża na to, żeby tatuś utulał ją do snu, ale wszyscy wiemy swoje.

Ciemność choć ten jeden raz jest mi przyjazna. Mężczyzna, który śpi na naszej kanapie, pozbawił noc wszystkiego, co złe, i schował to pod swoją poduszką.

Mimo to zamiast odpocząć, wybieram się na wycieczkę w przeszłość.

Trzymam w dłoni zdjęcie, przybliżam je do światła, aż przed oczyma zaczyna migotać. Welon z hiszpańskiej koronki przykrywa włosy i spływa na ramiona. Na szyi wisi niewielki medalion. Nowoczesna dziewczyna przemieniona w piękną pannę młodą w dawnym stylu.

Wiele lat temu, czyli jakieś dwa lata po procesie, wycięłam z gazety to ślubne zdjęcie Benity. Towarzysząca mu notka zawiera jedynie najbardziej podstawowe informacje. Na fotografii Benita uśmiecha się do mężczyzny o bardzo białej skórze i bardzo białym nazwisku. Rodzice panny młodej figurują jako pan Alvarez z żoną, zaś pana młodego jako Joseph Smith senior z żoną.

Okej, zatem Benita, pani Smith, żona Joego. Wklepuję „Benita Smith” w wyszukiwarce iPada i klikam „obrazy”. Pierwsze dwadzieścia pięć twarzy to nie moja Benita Smith. Dwudzieste szóste zdjęcie przedstawia czerwonego mercedesa, kolejne choinkę w centrum handlowym, potem jest bransoletka z perłami, a po niej dziecięca stopa. Dalej spiżarnia, do której prowadzą drzwi z gałkami w kształcie kogucików o jaskrawoczerwonej barwie. Klikam ten ostatni obrazek – na wszelki wypadek, a nuż rzeczywiście zmieniła branżę i zaczęła sprzedawać ozdobne szafki u wuja. Jednak nie. Przeglądam

niekończącą się bezużyteczną dla mnie listę odnośników do różnych Benit Smith, aż wreszcie postanawiam zajrzeć na Facebooka i poszukać Benity Alvarez Smith. Nic. Usuwam nazwisko panięskie i wyskakują setki Benit.

Sama nie wiem, czy chcę w tym grzebać. Czy na pewno będzie wiedziała coś, co pomoże Terrellowi? Może coś przypadkiem usłyszała? Albo miała jakieś podejrzenia?

Pozwoliłam Benicie wypaść z mojego życia przed siedemnastoma laty. Musiał chyba istnieć jakiś powód, prawda? Przez kilka miesięcy po tym, jak złożyłam zeznania, chodziłyśmy na kawę raz w tygodniu, we wtorkowe popołudnia. Na ostatnim spotkaniu porzuciła wszelkie pozory formalności. Przyszła do kawiarni w obcisłych czarnych dżinsach i koszulce „Pamiętajmy o Selenie”, i przyprowadziła swoją sześćioletnią siostrę. Selena pojawiła się wtedy na okładce „Texas Monthly” zamiast mnie i pamiętam, jak poczułam naiwną radość, że już nie jestem na ustach wszystkich.

Krótko po ogłoszeniu wyroku skazującego dla Terrella odbył się proces zabójczyni Seleny; sprawczyni trafiła do więzienia w Gatesville. Przez dwadzieścia trzy godziny na dobę przebywała w ciasnej izolatce, ponieważ grozono jej śmiercią. Odsiadujący wyroki fani muzyki tejano chcieli, żeby Yolanda Saldívar zapłaciła za swój grzech. Kiedy z Benitą szeptem rozmawialiśmy o tej sprawie, jej siostra starannie nanizywała plastikowe koraliki na sznurówkę. Potem zawiązała tę bransoletkę, przypominającą fioletowo-żółtą dżdżownicę, na moim nadgarstku.

Wątpię, żeby Benita Alvarez zajmowała poczesne miejsce w oficjalnych aktach sprawy Polnych Kwiatów. Gdyby w ogóle pojawiło się tam jej nazwisko, Bill i Angie na pewno by je wypatrzyli. Media do niej nie dotarły. Nie zeznawała i była obecna na sali rozpraw jedynie przez te dwa dni, kiedy ja zajmowałam miejsce dla świadka. Dla wszystkich poza mną była drugorzędną postacią, pozostającą w cieniu Ala Vega – czy też *Alfonsa*, jak dziś każe się nazywać. Pan Vega, stuprocentowy Włoch, dodał sobie końcówkę „fonso” podczas boju o stanowisko prokuratora generalnego Teksasu, ponieważ chciał zdobyć głosy Latynosów – i udało mu się.

Kiedy ktoś zadaje mu pytanie o Terrella Darcy’ego Goodwina, Vega *jasno i dobitnie* odpowiada, że dziś niczego by nie zmienił. Przesłał mi kartkę z życzeniami na osiemnaste urodziny i kartkę z kondolencjami po śmierci mojego ojca. Na obu umieścił swoje nazwisko i dopisał pod spodem: „Zawsze możesz się do mnie zwrócić”. Cyniczna Tessa zastanawia się, czy te słowa stanowią po prostu stały element jego podpisu w listach do ofiar, które wmanewrował w składanie zeznań. A Tessie? Tessie jest przekonana, że

wystarczy podnieść słuchawkę, a pan Vega zjawi się u jej drzwi.

Czyszcze okienko wyszukiwania. Waham się tylko przez chwilę. Piszę. Większość mojego nastoletniego niepokoju związanego z panem doktorem minęła. Przyglądam się długiej liście napuszonych artykułów, które napisał dla magazynów psychiatrycznych i blogów. Od ostatniego razu pojawił się jeden nowy: *Romans Colberta. Dlaczego dostrzegamy samych siebie w fikcyjnym francuskim konserwatywnym narcyzie?*

Czyszcze okienko i wpisuję kolejne nazwisko, jeszcze bardziej niechętnie niż pozostałe. Po raz pierwszy klikam link znajdujący się na samej górze.

Otwiera się cotygodniowy blog Richarda Lincolna vel Adwokutasa. Od razu żałuję, że kliknięciem zwiększyłam liczbę odwiedzin na jego stronie i dałam mu tę drobną zachętę do dalszej pracy. Tytuł dzisiejszego postu: *Z trudem łapiąc powietrze*. Nie będę teraz odwracała wzroku, skoro zaszłam tak daleko. Angie zawsze chciała, żebym z nim porozmawiała. Uważała, że być może udałoby się trącić odpowiednią strunę. „Zmienił się”.

Nie strawię jego biogramu, więc tylko przelatuję wzrokiem. „Richard Lincoln, obrońca. Znany w całym kraju prawnik specjalizujący się w najtrudniejszych sprawach. Autor bestsellerowej książki *Mój Kwiat*”.

*Mój Kwiat*. Jego wspomnienia. Ukazały się rok po procesie. Ilekroć zaglądam do księgarni, odwracam tę książkę tyłem do przodu na półce, choć podobno Lincoln połowę tego, co na niej zarabia, przeznaczą na pomoc dzieciom skazańców. No bo czemu tylko połowę?

Na blogu znajduje się link do filmu na YouTube. Palec wędruje do ekranu, nie czekając na pozwolenie głowy. Nagle głos Lincolna przerywa panującą w domu ciszę, wznosi się i opada jak ton kaznodziei – i wciąż mnie drażni, jakby ktoś zdierał mi skórę. Prędko przyciszam. Jest dwunożnym karaluchem łąącym po nijakiej scenie. „Lincoln pełną gębą”, piszą jego fani. „Zawiodłem Terrella – mówi. – Zniszczyłem tę dziewczynę. Sprawa Polnych Kwiatów była dla mnie punktem zwrotnym”.

Nie mogę już tego słuchać.

Zniszczył nie tylko mnie. Zniszczył moich dziadków. Jeśli o to chodzi, policję i Adwokutasa cechowała zadziwiająca jednomyślność. Funkcjonariusze przeczesali zameczek dziadków i zabrali ukochane auto dziadka jako dowód rzeczowy. W Teksasie nie odbiera się człowiekowi samochodu, jeśli nie uważa się go za winnego, dlatego nawet okoliczni farmerzy, najwierniejsi koledzy dziadka, zaczęli się zastanawiać, czy coś jest na rzeczy. Nieważne, że na kilka miesięcy przed rozpoczęciem procesu policja przyznała: „Ojej, pomyliliśmy się” – Adwokutas i tak zaatakował w sądzie.



A brukowce grzmiały: *Czy dziadek mógł zabić?* Nie, nie potrafię przebaczyć temu człowiekowi, nawet mając świadomość, że przez ostatnie trzynaście lat Richard Lincoln, wykorzystując dowody zebrane dzięki badaniom DNA, doprowadził do uwolnienia trzech osób niesłusznie skazanych na karę śmierci. Zamykam iPada. Zrzucam nadmiar poduch na podłogę. Szczelniej okrywam się kołdrą pełną ziarenek piasku ze strefy wojny. Zamykam oczy, zaciskam powieki. Wyobrażam sobie, jak pan doktor, ubrany w pidżamę w kaczuszki, ogląda powtórkę *Colberta*. Mam nadzieję, że Benita wie dzie dobre życie, barwne jak fioletowe i żółte koraliki.

Balansuję na krawędzi snu, kiedy nagle do mojego umysłu wkrada się Lydia.

Setki razy przeczesywałam internet w poszukiwaniu Lydii. Bez rezultatu. Żadnych informacji o niej i o rodzinie Bellów. Tak jakby przemykali na paluszkach, ubrani w maskujące ciuchy, podczas gdy wszyscy inni pędzą hałaśliwie, błyskając krzykliwymi strojami. Choć Bellowie rzeczywiście byli dziwni. Mieli bardzo nieliczną rodzinę i niewielu znajomych w mieście. Dziadkowie Lydii nie żyli. Pamiętam, że istniała jakaś daleka krewna pani Bell, która przysyłała gwiazdę betlejemską na Boże Narodzenie. Ale jak to możliwe, że rodzina po prostu zniknęła? Że nikt się nie przejął?

Przez lata wymyślałam rozmaite tragiczne wersje ich losu. Może zabił ich mój potwór, bo Lydia coś wiedziała. Wycinała artykuły o Polnych Kwiatkach i wklejała je do zeszytu; myślała, że o tym nie wiem. Na marginesach robiła notatki swoim ciasnym, inteligentnym pismem. Mój potwór co prawda nie zamienił piwnicy burzowej w rodzinne mauzoleum, ale mógł przecież rozrzucić szczątki Bellów po pustyni w zachodnim Teksasie. Ciała Lydii i jej rodziców mogły też spoczywać na dnie oceanu, razem z morskimi śmieciami. Cała rodzina mogła spontanicznie, nie uprzedzając nikogo, wyjechać na wakacje, i łódź, prowadzona przez pana Bella, mogła zniknąć w Trójkącie Bermudzkim. Pan Bell wiecznie zapominał odnowić patent żeglarski; mogli wypożyczyć łódź bez dokumentów, a potem zatonać.

Najbardziej logiczne wytłumaczenie, jakie przychodziło mi do głowy, obejmowało program ochrony świadków. Ktoś przecież musiał umieścić przed ich domem tabliczkę NA SPRZEDAŻ. Pan Bell zajmował się handlem używanymi częściami samochodowymi na szrotach, prowadził interesy z szemranymi facetami w typie meksykańskiej mafii. Często się zdarzało, że jeździł na spotkania w środku nocy. Lydia pokazała mi jego szufladę pełną banknotów studolarowych.

Wiem, że gdyby po procesie z naszego kwartału zniknęła jakaś inna

rodzina, równie cicho jak Bellowie, i gdyby to Lydia snuła przypuszczenia, powiedziałyby, że głowa tej rodziny była mordercą Polnych Kwiatów. Żona i córka były wtajemniczone. Wystraszyli się, bo przeżyłam, i teraz jeżdżą od miasta do miasta, posługując się fałszywymi nazwiskami, i zabijają dziewczęta.

Takie oto historie wymyślała Lydia, kiedy leżałyśmy pod kocem i świeciłyśmy sobie latarką. Bałam się potem jak jasna cholera.

## Tessie w 1995 roku

Trzeci października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku, godzina trzynasta.

Godzinę temu zwolniono O.J. Simpsona. Aż coś mi się przewraca w żołądku.

Za kilka minut, jeśli czegoś nie schrzanię, ja też będę wolna.

Ostatnia sesja. Pan doktor proponuje, żebyśmy spotykali się co pół roku przez kolejne dwa lata, przy czym *oczywiście* mam dzwonić w każdej chwili, jeśli tylko poczuję się źle. Sam bierze urlop naukowy i wyjeżdża do Chin, zatem nie będzie go na miejscu, ale poleci kogoś „w sam raz dla mnie”. Zresztą znalazł już odpowiednią osobę. Przeniesienie pacjenta wymaga co prawda sporo pracy papierkowej, ale zajmie się tym przed wyjazdem. „Na szczęście – mówi – proces trwał tylko miesiąc”. A ława przysięgłych w ciągu zaledwie jednego dnia ustaliła werdykt.

Wszyscy chodzą rozpromienieni. Pan doktor. Tata. Odwdzięczam się im radosnym uśmiechem, bo inaczej chyba bym wybuchła.

Już prawie wolna, prawie wolna!

– Chcę jeszcze raz podkreślić, że wykazałaś się odwagą, decydując się na zeznawanie – mówi lekarz. – Nie poddałaś się. Rezultat: dzięki tobie morderca znalazł się w celi śmierci.

– Tak. To rzeczywiście ulga.

Kłamstwo. Ulgę przynosi jedynie wiadomość, że pan doktor wyjeżdża do Chin.

Siedzi zadowolony z siebie. Nie mogę pozwolić, żeby uszło mu to na sucho. Nie wybaczyłabym sobie tego.

– Tato, dasz nam chwilę, żebyśmy mogli się pożegnać?

– Oczywiście. Jasne. – Całuje mnie w czoło. Podaje rękę lekarzowi.

Wychodząc, niechcący zostawia uchylone drzwi. Pan doktor wstaje i je domyka. Klik. Dyskrecja w kontaktach lekarza z pacjentem i tak dalej.

– Czemu nie chce pan rozmawiać o Rebecce? – pytam, zanim usiądzie.

– Ponieważ dla mnie to bardzo bolesny temat. Na pewno rozumiesz. Poza tym byłoby to z mojej strony nieprofesjonalne. I tak już powiedziałem za dużo. Zapomnij o tym, ta rzecz nie powinna była wypłynąć w naszych relacjach lekarz – pacjent.

– Które właśnie się kończą.

– Tak, ale to nieważne. Przestaniesz być moją pacjentką, dopiero kiedy opuścisz ten gabinet.

– Widziałam was. Pana z nią.

– Tessie, zacznasz mnie martwić. – Rzeczywiście, ma zmartwioną minę. – Miałaś rację. Moja córka najprawdopodobniej nie żyje. Chyba... nie rozmawiasz z nią? Tak jak z Kwiatami?

– Nie chodzi o pańską córkę.

– W takim razie nie wiem, do czego zmierzasz – odpowiada.

Nie mówię tego głośno, bo po co?

Oboje wiemy, że kłamie.

– Do zobaczenia – mówię.

## Część II

### Odliczanie

„«L.A. Times» donosi, że prokurator generalny John Ashcroft zamierza zająć «bardziej zdecydowane stanowisko» w sprawie kary śmierci. Co to znaczy «bardziej zdecydowane» w kontekście kary śmierci? Przecież zabijamy skazańca. Jak można to robić bardziej zdecydowanie? Chcecie go najpierw połaskotać? Potraktować go swędzącym proszkiem? Przyczepić pinezkę do krzesła elektrycznego?»

Tessa, leżąc w łóżku, słucha Jaya Leno w *The Tonight Show*, rok 2004

## Wrzesień 1995 roku

Al Vega: Tessie, wiem, że masz za sobą trudny dzień. W imieniu swoim i przysięgłych dziękuję, że zechciałaś zabrać głos, reprezentować wszystkie ofiary i zeznawać. Mam jeszcze tylko jedno pytanie. Co było dla ciebie najgorsze, kiedy leżałaś w grobie?

Tessa Cartwright: Świadomość, że jeśli się poddam i umrę, mój ojciec i brat nie dowiedzą się, co się wydarzyło. Że będą myśleli, że przytrafiło mi się coś strasznego, niż w rzeczywistości. Chciałam móc im powiedzieć, że nie było aż tak źle.

Al Vega: Leżałaś niemal w stanie śpiączki, z roztrzaskaną kostką, w grobie, obok martwej dziewczyny i na szczątkach pozostałych ofiar – i chciałaś przekazać rodzinie, że nie było aż tak źle?

Tessa Cartwright: To znaczy było źle. Ale wyobrażanie sobie przez resztę życia, co się mogło zdarzyć, musi być jeszcze gorsze. Wie pan, kiedy umysł pisze miliony scenariuszy. Dużo o tym myślałam... o tym, jak będą to przeżywali. Kiedy nadeszła pomoc, ulżyło mi przede wszystkim dlatego, że mogłam opowiedzieć tacie, że nie było aż tak źle.

## Dwadzieścia dziewięć dni do egzekucji

Za miesiąc trumna z ciałem Terrella, czarna i lśniąca jak nowy ford mustang, zostanie postawiona na platformie ciągniętej przez maszynę ze znakiem firmowym Johna Deere'a. Zostanie złożona w ziemi na cmentarzu imienia kapitana Joego Byrda, obok trumien zawierających rozkładające się trupy tysięcy gwałcicieli i morderców. Większość z tych ludzi prowadziła życie pod znakiem przemocy, ich droga kończy się zaś na uroczym wzgórku we wschodnim Teksasie, który wygląda jak usypany z marzeń Walta Whitmana. Nikt nie zgłosił się po ich ciała, nikomu na nich nie zależy. W przypadku Terrella komuś jednak zależy, ktoś go jednak *kocha* – tyle że nie ma pieniędzy, aby go pochować. Wyręczy go Teksas: zrobi to, zaskakująco przyzwoicie, za dwa tysiące dolarów z pieniędzy podatników.

Więźniowie przetoczą ciągnik. Będą żałobnikami niosącymi trumnę. Pochylą głowy. Wyrzeźbią nagrobek. Naniosą numer osadzonego. Pewnie zrobią literówkę w nazwisku.

Posłużą się szpadlem, takim jak ten, który teraz trzymam w ręku.

Ścisną mi w żołądku na myśl o Terrellu, kiedy tak stoję za bajkowym domem i patrzę na skrawek czarnej ziemi, który uprawiał kiedyś dziadek. Dokładnie tutaj dwanaście lat temu, pewnego gorącego lipcowego dnia, znalazłam podejrzaną kępkę rudbekii. To ostatnie miejsce, w którym chciałabym kopać w poszukiwaniu prezentu od mojego potwora – no i rzeczywiście zostawiłam je sobie na koniec. Tamtego dnia przed laty też strach ścisnął mi żołądek.

Miałam dwadzieścia dwa lata. Kilka godzin wcześniej umieściliśmy z cicią Hildą tabliczkę NA SPRZEDAŻ na trawniku przed budynkiem. Babcia zmarła osiem miesięcy wcześniej. Spoczęła obok córki i męża na małym wiejskim cmentarzu, dwanaście kilometrów od swojego fantastycznego domu.

Tamtego dnia wyszłam na dwór, żeby odetchnąć świeżym powietrzem, po tym jak otworzyłam szufladkę w szkatułce babci i wciągnęłam solidny haust jej kościelnych perfum. Charlie miała niecałe trzy latka. Kilka minut wcześniej wybiegła na werandę na tyłach domu, zatrzasnąwszy za sobą siatkowe drzwi. Kiedy je otworzyłam, moja rozpromieniona córka stała metr od prowadzących na podwórze schodków, trzymając ręce za plecami. Naraz wysunęła do przodu spoczną dłoń, w której ścisnęła pęk rudbekii. Jakieś trzydzieści metrów dalej rosły pozostałe; tańczyły w swoich żółtych,

falbaniastych spódniczkach – jak śliczne opryszki, kręcące się w pobliżu grządkki rachitycznej fasoli i karłowatego figowca.

Charlie patrzyła z werandy, jak polewam ich czarne oczy wrzątkiem. Kiedy ciocia zawołała mnie z domu i zapytała, co robię, odpowiedziałam, że pozbywam się mrówek, co też uczyniłam przy okazji. „Nie chcę, żeby pogryzły Charlie”. Kilka mrówek zaczęło wynosić swoje martwe siostry.

Herb Wermuth trzaska siatkowymi drzwiami i wrywa mnie z zamyślenia. Drzwi brzęczą jak blaszany dzwonek. Minęło ponad dziesięć lat, teraz zamek należy do niego, nie do mojego dziadka. Herb zniknął w środku, zostawił mnie i Lucasa bez żadnych instrukcji, na kapryśnym zimowym słońcu, w ogrodzie, który, jak mówi, jego żona Bessie dwa razy w roku traktuje kultywatorem. „Szukajcie do woli. Powodzenia życzę”. Dał nam do zrozumienia, że nie obchodzi go, gdzie będziemy ryli, bylebyśmy nie wykopali trupa, i że nie życzy sobie żadnych dziennikarzy. Poprosił tylko, żebyśmy uwinęli się w dwie godziny, zanim żona wróci z zajęć z nowym trenerem osobistym.

Z początku, kiedy zapukaliśmy do jego drzwi, Herb nie był skory do współpracy.

– Słucham wiadomości – oznajmił ponuro. – Minęło tyle lat, a pani wcale nie jest pewna, czy złapali prawdziwego mordercę. Współpracuje pani z jego prawnikiem. – Obrzucił spojrzeniem szpadel, który trzymałam w ręku. – Naprawdę pani myśli, że zakopał tu którąś ze swoich dziewczyn?

– Nie, nie, oczywiście, że nie – zapewniłam go pospiesznie, jednocześnie nie dając po sobie poznać, jaką odrazę wzbudziło we mnie sformułowanie „którąś ze swoich dziewczyn”. Jakbyśmy były własnością potwora. Jakbym do niego należała. – Gdyby tak było, przyjechalibyśmy z policją. Tak jak mówiłam, po prostu zawsze mi się wydawało, że potw... morderca mógł ukryć... zakopać w tym ogrodzie coś przeznaczonego dla mnie.

Odczucia Herba malowały się na jego twarzy: tak jak większość tutejszej społeczności uważa, że po tym, co się stało, Cartwrightówna nie odzyskała pełni władz umysłowych.

– Żadnych dziennikarzy. Musicie dać mi słowo – uparł się. – Wczoraj musiałem pozbyć się fotografa z brukowca. Chciał zrobić zdjęcie pokoju, w którym mieszkał Polny Kwiat. A parę dni temu dzwonił ktoś z „Texas Monthly”. Chciał dostać pozwolenie na sportretowanie pani przed domem. Podobno pani nie oddzwoniła. Mam już tego tak bardzo dość, że zabieram Bessie na Florydę, dopóki nie skończy się ten cyrk z egzekucją.

– Żadnych dziennikarzy – zapewnił Lucas. – Tessa musi się po prostu



upewnić i uspokoić.

Protekcjonalny ton – mnie rozdrażnił, ale Herba najwyraźniej przekonał. Herb okazał się tak uczynny, że nawet przyniósł Lucasowi nowiutki szpadel z garażu.

Zostawił nas zatem samych sobie. Drzwi kłapnęły dobrą minutę temu, a my wciąż stoimy i nie zabieramy się do pracy. Zamiast przeczesywać ogród, Lucas patrzy czujnym okiem na ściany i okna mitycznego domu mojego dziadka. Nigdy wcześniej tu nie był, choć budynek znajduje się zaledwie godzinę drogi od Fort Worth. Kiedy poznałam Lucasa i zaczęłam obściskiwac się z nim na tylnych siedzeniach samochodów, dziadek już ledwo widział i był przykuty do łóżka.

Pocieszające jest to, że Lucas tak bardzo się zaangażował. Chroni mnie przed potworem, choć zawsze uważał, niezależnie od tego, co mówiłam, że potwór istnieje głównie w mojej głowie.

Dom objął mnie chłodnym, ciemnym ramieniem. Znam go jak własne ciało i on zna mnie. Każdą ukrytą szczelinę, każdy wykrzywiony ząb, każdą fałszywą fasadę. Każdą pomysłową sztuczkę zrodzoną w wyobraźni mojego dziadka.

Zaczynam kopać. Lucas staje obok mnie, uzbrojony w szpadel i gotów do działania.

Na wyartykułowanie ostrzeżenia Kwiat wybiera sobie chwilę, w której stawiam pierwszy krok na grząskiej ziemi.

„Może zakopał tu jedną z nas”.

Nie wiedziałabym, gdzie kopać, gdyby nie rosnący tu figowiec, przypominający dotkniętą artretyzmem staruchę. Ogród jest dwa razy większy niż w czasach, kiedy babcia wytyczała w nim równiutkie rzędkie pomidorów, fasoli i papryki habanero (z tej ostatniej robiła konfiturę, która paliła podniebienie jak lawa). Dziś działka to po prostu płaski, brązowy prostokąt, całkiem pusty, jeśli nie liczyć wystającego z ziemi niczym zakrzywiony paluch figowca.

W ogrodzie uruchamiałam wyobraźnię. Przecinające niebo kosy nie były ptakami, lecz wiedźmami na miotłach. Odległe kłosa pszenicy były blond grzywką śpiącego olbrzyma. Widoczne na horyzoncie czarne, przypominające wierzchołki gór chmury były zaczarowane i mogły zaprowadzić do Krainy Oz. Wyjątkiem były ponure letnie dni bezruchu. Zero kolorów. Nieskończona i tak dojmująco monotonna nicość, że aż bolało serce. Przed spotkaniem z moim potworem zawsze wolałam się bać niż nudzić.

– To otwarta przestrzeń – zauważa Lucas. – Każdy, kto wyjrzał przez okno w zachodniej części domu, mógł zobaczyć, jak ten człowiek sadi kwiaty. Myślę, że byłoby to ryzykowne działanie ze strony kogoś, kto, jak twierdzisz, zdołał wmówić wszystkim, że nie istnieje. – Podnosi głowę, osłaniając oczy przed słońcem. – Czy mi się wydaje, czy na dachu znajduje się naga kobieta? Tak, to zdecydowanie naga kobieta.

– Replika Małej Syrenki z portu w Kopenhadze – wyjaśniam. – Tej Andersenowskiej, nie Disneyowskiej.

– To widzę. Wersja zdecydowanie nie dla dzieci.

– Dziadek sam odlał ten posążek. Żeby móc posadzić Syrenkę na dachu, musiał wynająć żuraw. – Stawiam trzy starannie odmierzone kroki na północ od figowca. – Mniej więcej tu – oznajmiam.

Lucas zdecydowanym ruchem wbija w ziemię czyste, połyskujące ostrze szpadla Herba. Mój, nadrdzewiały, stoi oparty o drzewo. Zabrałam ze sobą stertę gazet, stare metalowe sito z kuchni i parę rękawic. Kucam i zaczynam przesiewać pierwsze grudy przewróconej ziemi. Słyszę głos Jo, który napomina: „tak nie można”.

Podnoszę głowę i przez chwilę mam wrażenie, że widzę małą Charlie na werandzie. Wystarczy mrugnięcie, by zniknęła.

Lucas szybko pozbywa się koszuli. Robię swoje, starając się nie patrzeć na jego pracujące mięśnie pleców.

– Opowiedz mi jakąś historię – odzywa się.

– Poważnie? Akurat teraz? – Czarny owad przemyka mi po nodze. Wystarczy mrugnąć i już go nie ma.

– Czemu nie? Lubię twoje historie. Opowiedz mi o dziewczynie na dachu, tej z ładnymi cyckami.

Wyjmuję z ziemi kawałek starego metalu. Zastanawiam się, ile warstw pominąć w tej wielowarstwowej opowieści. Lucas nie potrafi się skoncentrować na dłużej. Wiem, że po prostu stara się odwrócić moją uwagę.

– Dawno, dawno temu pewna syrenka zakochała się do szaleństwa w księciu, którego uratowała od utonięcia. Problem polegał na tym, że syrenka i książę pochodzili z różnych światów.

– Wyczuwam brak happy endu. Biedactwo wygląda na samotne.

– Książę nie wiedział, komu zawdzięcza życie. – Przerywam rozłupywanie solidnego kawałka gleby. – Syrenka pocałowała go, położyła nieprzytomnego na plaży i wróciła do morza. A jednak ciągnęło ją do niego okrutnie. Poszła do czarownicy i wypła magiczny napój, który wprawdzie pozbawił ją pięknego głosu, ale w zamian obdarzył dwiema ludzkimi nogami w miejsce

ogona. Wiedźma zapowiedziała syrence, że choć będzie najzgrabniejszą tancerką na świecie, to jednak przy każdym kroku będzie czuła, jakby stąpała po nożach. Syrenki to nie zraziło. Odszukała księcia i zatańczyła dla niego, ponieważ była niema i nie potrafiła inaczej wyrazić swoich uczuć. Księżę był zafascynowany. Tańczyła więc dla niego, tańczyła długo, odczuwając straszliwy ból.

– Okropna opowieść.

– Czytana na głos z książki ma niezwykle obrazowy styl. W mojej interpretacji sporo traci – wyjaśniam i podnoszę głowę.

Mój wzrok pada na okno w wieżyczce, w której dawniej znajdował się mój pokój. Do połowy zasunięta roleta sprawia, że okno wygląda jak przymknięte oko. Wyobrażam sobie przytłumiony głos dziadka. „Woda błękitna jak najpiękniejsze bławatki. Lodowe góry jak perły. Niebo jak szklany dzwon” – recytuje po drugiej stronie witrażowej szyby.

– A czy ten cały księżę przynajmniej ją kochał? – pyta Lucas.

– Nie. Była skazana na śmierć. Chyba że utoczyłaby księżęcej krwi, ta zaś skapnęłaby na jej stopy i na powrót zamieniła je w płetwy.

Przerywam opowieść. Lucas zdążył wykopać dół szerokości niewielkiego dmuchanego basenu, głęboki na jakieś pół metra. Jestem do tyłu z przesiewaniem ziemi. Jedyne, co jak dotąd udało mi się znaleźć, to kupka kamieni, wstęga zardzewiałej blachy i dwie plastikowe plakietki z informacjami, jak pielęgnować bratki.

Lucas odkłada łopatę i klęka obok mnie.

– Pomóc? – pyta.

Znam go na tyle dobrze, by wiedzieć, co kryje się za tym jednym słowem: to nie ma sensu. Zresztą i tak nie mam do tego serca.

Skrzypnięcie drzwi, po chwili głośnie trzaśnięcie – to Bessie Wermuth idzie w naszą stronę, ubrana w czerwony strój do ćwiczeń, który ciasno opina wałki tłuszczu wokół jej brzucha. Niesie dwa wysokie, żółte, plastikowe kubeczki wypełnione lodem i bursztynowym płynem.

– Dzień dobry, Tesso. – Promienny uśmiech. – Miło panią widzieć. I pani przyjaciela też...

– Dzień dobry pani, nazywam się Lucas. Chętnie pomogę. – Lucas bierze kubek i jednym haustem wychyla czwartą część zawartości. – Wyśmienita herbata. Bardzo dziękuję.

Bessie wpatruje się w jego węzowy tatuaż, który zaczyna się na wysokości pępka i znika w spodniach.

– Znaleźliście coś? – pyta, kiedy udaje jej się oderwać od niego wzrok.

– Parę skamielin, plastikową instrukcję do bratków i jakieś żelastwo.

Bessie obdarza mój stosik przelotnym spojrzeniem.

– Przyszłam powiedzieć wam o pudełku. Herb mówi, że nie wspomniał.

– Jakim pudełku?

Ukłucie niepokoju.

– A, takie tam rupiecie – odpowiada. – Nawet napisałam na nim: „Nikomuniepotrzebne (z wyjątkiem mamy)”. Wiecie, żeby moje dzieci nie odłożyły tego na stertę śmieci do wyrzucenia, kiedy umrzemy. Ale jest tam coś, co może panią zainteresować.

Pod pachami lodowaty pot. Co się z tobą dzieje? Przecież słyszałaś: to tylko nikomu niepotrzebne rzeczy.

– Pójdę po nie – mówi Bessie. – Miałam do wyboru: przynieść herbatę albo pudełko. Podejdźcie do stołu.

– Dobrze się czujesz? – pyta mnie Lucas. – Kiepsko wyglądasz. – Pomaga mi wstać. – Przyda nam się krótka przerwa.

– Tak, wszystko w porządku.

Nie zdradzam mu, co myślę: że mam złe przeczucia w związku z Bessie i tym, jak zawzięcie uprawia ziemię w ogrodzie. Pokonujemy jakieś trzydzieści metrów i przysiadamy na ławie przy starym stole piknikowym, pociągniętym byle jak zieloną farbą.

Lucas pokazuje brodą w stronę domu.

– Idzie.

Bessie niesie stary karton, wymownie przy tym stękając. Lucas zrywa się, podbiega do niej w pół drogi do stołu i przejmuje ciężar. Stawia pudło przede mną. Nie zaglądam do środka. Jak zahipnotyzowana wpatruję się w duży napis, który wyszedł spod ręki Bessie i gwarantuje, że akurat tego pudła jej pogrążone w żałobie i zapewne sentymentalne dzieci za nic nie wyrzucą do śmietnika.

– Trzymam tu przeróżne drobiazgi, które od wprowadzenia się do tego domu znajduję na działce. – Otwiera pudło. – Taka tam bezcelowa archeologia. Jest tu wszystko z wyjątkiem starych butelek, bo te postawiłam na parapecie w kuchni. Wszystko inne, co wygrzebałam z ziemi i co nie wilo się jak dżdżownica ani nie chciało mnie ugryźć, włożyłam tutaj. Nie podzieliłam tego według lat albo miejsca znalezienia. Po prostu wrzuciłam do pudła i tyle. Nie wiem, czy jest tu naprawdę wszystko i czy czegoś nie wessała kosiarka.

Lucas przechyla pudło i zaczyna grzebać w zawartości.

– Niech pan wysypie – mówi Bessie. – Przecież nic im nie będzie. A pani

Tessa też zobaczy.

Nie zdążyłam przygotować się na to, co może się znajdować w środku, a już zawartość kartonu rozsypuje się na stole. Sprężyny i zardzewiałe gwoździe, stara, wgnieciona puszka Dr. Peppera w żółto-czerwone pasy, niebieski samochodzik bez kół. Fiolka po aspirynie Bayera, obgryziona psia kość, duży biały kamień ze złotymi smugami, rozłamany grot strzały, skamieliny z głowonogami, które kiedyś straszyły mackami i oczami jak obiektyw kamery.

Lucas przebiera kawałki rubinowego szkła. Odsuwa na bok maleńki, zaostrzony, brązowy przedmiot.

– Ząb – stwierdza.

– Tak myślałam! – wykrzykuje Bessie. – A Herb mówił, że to cukierek w kształcie ziarenka kukurydzy.

Patrzę na przedmiot leżący na skraju stołu, upadł dalej od innych.

– To chyba należało do Lydii. – Słowa więzną mi w gardle.

– Aż ciarki przechodzą. – Bessie podnosi małą, różową spinkę do włosów i marszczy brwi.

Zdejmuję rękawice i sięgam po nią drżącą dłonią.

– Co to może oznaczać? – pyta Bessie. – Myśli pani, że to jakaś wskazówka? – Zaczyna szybciej oddychać, ale nie dlatego że ma swoje lata, ani też z tego powodu, że Lucas wygląda jak spocony bóg; otóż Bessie jest uzależniona. Założę się, że wchłonęła wszystko, co kiedykolwiek napisano na temat Polnych Kwiatów. Jak mogłam tego nie dostrzec? Kupiła dom mojego dziadka, budynek, którego absolutnie nikt nie chciał. Najwyraźniej nie muszę jej tłumaczyć, kim jest Lydia, bo doskonale to wie.

Lucas kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Jeśli można, chcielibyśmy pożyczyć ząb i... tę rzecz do włosów – zwraca się do Bessie.

– Oczywiście, oczywiście. Zrobimy z Herbem wszystko, co w naszej mocy.

Z roztargnieniem pocieram palcem żółtą uśmiechniętą buźkę widniejącą na kawałku plastiku. To nic nie znaczy, upominam samą siebie. Pewnie zaplątała się Lydii w kukurydzy, kiedy bawiłyśmy się w chowanego i kiedy wierzyłyśmy, że potwory tak naprawdę nie istnieją.

A jednak. Różowa spinka z uśmiechniętą buźką. Wiktoriański pierścionek, książka Poego, klucz. Dlaczego czuję się tak, jakby Lydia prowadziła ze mną grę, którą sprytnie zaplanowała wiele lat naprzód?

Lucas bada wzrokiem moją twarz i już wie, że nie musi pytać, czy dalej szukamy.

Podnoszę głowę. Na dachu widzę dwie dziewczynki. Jedna z nich ma ognistorude włosy. Wystarczy mrugnięcie, żeby zniknęły.

W kieszeni mam spinkę Lydii zawiniętą w chusteczkę. Ząb spoczywa w kieszeni Lucasa.

Dwadzieścia kilka kilometrów dalej Lucas wreszcie odchrząkuje i przerywa ciszę.

– Powiesz mi, jak się skończyło z tą syrenką?

Za oknem błękit miesza się z brązem. Tekszańskie niebo – jak szklany dzwon; wszędzie wokół ziemia uprawna, niegdyś ukryta pod niezgłębionym morzem. „Słońce grzało tak mocno, że syrena musiała często się zanurzać, ażeby chłodzić rozpaloną twarz”.

Wciąż słyszę głos dziadka. Przykładam dłonie do rozpalonych policzków. Spoglądam na profil Lucasa. Jest jak skała, na której można się oprzeć.

– Syrenka nie potrafi zamordować księcia – mówię. – RzUCA się do morza, poświęca się i zamienia w morską pianę. Staje się jednak cud: jej duch unosi się nad wodą. Przemieniła się w córę powietrza. Może teraz zasłużyć uczynkami na nieśmiertelną duszę i rozpocząć życie blisko Boga.

„Córy powietrza. Zupełnie jak my, jak my, jak my”, szepczą Kwiaty.

– Twojemu dziadkowi baptyście musiało się to bardzo podobać – stwierdza Lucas.

– Niekoniecznie. Według baptystów człowiek nie może zasłużyć na miejsce w niebie własnymi uczynkami. Jediną drogą do zbawienia jest żal za grzechy. Przepustkę stanowi skrucha, nawet jeśli sprawiasz, że uroczce syrenki stają się morską pianą.

Albo dziewczęta – kośćmi.

## Wrzesień 1995 roku

Richard Lincoln: Tessie, kochasz dziadka?

Tessa Cartwright: Tak, oczywiście.

Richard Lincoln: Nie przyszedłoby ci do głowy, że mógł zrobić coś strasznego, prawda?

Al Vega: Sprzeciw.

Sędzia Waters: Panie mecenasie, daję panu pewne pole manewru w związku z tym pytaniem, ale niezbyt szerokie.

Richard Lincoln: Czy policja przeszukała dom twojego dziadka dzień po tym, jak zostałaś odnaleziona?

Tessa Cartwright: Tak. Ale nie sprzeciwiał się temu.

Richard Lincoln: Czy policja zabrała coś z domu?

Tessa Cartwright: Niektóre prace. Szpadel. Samochód. Ale wszystko oddali.

Richard Lincoln: Szpadel był świeżo umyty, zgadza się?

Tessa Cartwright: Tak, dzień wcześniej babcia umyła go węzem.

Richard Lincoln: Gdzie dziś przebywa twój dziadek?

Tessa Cartwright: W domu z babcią. Jest chory. Miał udar.

Richard Lincoln: Dostał udaru mniej więcej dwa tygodnie po tym, jak cię odnaleziono, prawda?

Tessa Cartwright: Tak. Bardzo się zdenerwował... mną. Chciał dopaść tego, kto mi to zrobił, i zabić go. Powiedział, że kara śmierci to za mało dla tego człowieka.

Richard Lincoln: Powiedział to tobie?

Tessa Cartwright: Przypadkiem podsłuchałam, jak rozmawiał z ciocią.

Richard Lincoln: To ciekawe.

Tessa Cartwright: Chyba wszyscy założyli, że oprócz wzroku straciłam też słuch.

Richard Lincoln: Do twojej ślepoty jeszcze wrócimy. Czy kiedykolwiek dziadek wydał ci się dziwny?

Al Vega: Sprzeciw. To nie dziadek Tessie stoi przed sądem.

Richard Lincoln: Wysoki Sądzie, już prawie zakończyłem ten wątek.

Sędzia Waters: Panno Cartwright, proszę odpowiedzieć na pytanie.

Tessa Cartwright: Nie do końca rozumiem.

Richard Lincoln: Twój dziadek tworzył dość makabryczne obrazy, tak?

Tessa Cartwright: No tak, owszem, kiedy naśladował Dalego, Picassa albo

kogoś takiego. Był artystą. Cały czas eksperymentował.

Richard Lincoln: Czy opowiadał ci straszne historie?

Tessa Cartwright: Kiedy byłam małą, czytał mi bajki.

Richard Lincoln: *Zbójcki narzeczony*, w której zbójcy porywają dziewczynę, mordują ją, zabijają i zjadają po upieczeniu? *Bezręka dziewczyna*, w której młynarz obcina swojej córce obie dłonie?

Al Vega: Wysoki Sądzie, co to ma być?

Tessa Cartwright: Odrośły. Siedem lat później obie jej dłonie odrosły.



## Dwadzieścia sześć dni do egzekucji

Składam ubrania, jeszcze ciepłe po wyjęciu z suszarki, zastanawiając się, czy w tej samej chwili Jo w przeraźliwie zimnej pracowni zeskrobuje szkliwo z zęba, który wygląda jak ziarnko kukurydzy. Czy kiedy ja popijam pinot po dwanaście dolarów za butelkę i decyduję się wyrzucić różowe skarpetki Charlie z dziurą na pięcie, Terrell siedzi na twardej jak skała pryczy i układa swoje ostatnie słowa. Czy Lydia żyje sobie gdzieś tam, śmiejąc się ze mnie albo tęskniąc za mną. Czy jest w niebie, zadręcza martwych pisarzy, podczas gdy jej ciało gnije, ukryte w miejscu, o którego istnieniu wie jedynie mój potwór. Ciekawe, czy ząb znaleziony w ogródku dziadka należy właśnie do niej.

Przez trzy dni zastanawiałam się, czy przekazać ząb Jo. Nie potrafiłam wytłumaczyć Lucasowi, dlaczego zwlekam. Przerabianie wszelkich, nawet najmniej prawdopodobnych, scenariuszy, niepomijanie żadnej teorii ma przecież sens – chyba że tak naprawdę *wcale nie chcę wiedzieć*. Kilka godzin temu spotkaliśmy się z Jo na parkingu Wydziału Nauk o Zdrowiu Uniwersytetu Północnego Teksasu. Miała na butach białe ochraniacze. W pełnym napięcia milczeniu wysłuchiwała mojej rozwlekłej opowieści o zalewaniu rudbekii wrzątkiem i o pudle z drobiazgami niemającymi wartości dla nikogo prócz Bessie. Nie wspomniałam o należącej do Lydii różowej spince do włosów z uśmiechniętą buźką. Jo była bardzo oszczędna w słowach. Po prostu przyjęła ząb od Lucasa.

Zastanawiam się, czy Jo wybaczy mi, że nie wzięliśmy jej ze sobą, choć teraz nie wydaje się to aż tak ważne. Nic już nie jest istotne. Opanowuje mnie odrętwienie, jest jak powoli działająca trucizna, która usypia Kwiaty, jednocześnie pozwalając moim dłoniom budować doskonale równe wieżyczki z ubrań. W pralce wymieszały się ciuchy należące do całej naszej trójki: wojskowa bielizna Lucasa, flanelowa pidżama Charlie – różowa, z owieczką z waty cukrowej – moje jaskrawe spodenki do biegania.

Lucas siedzi na brzegu kanapy, popija piwo, ogląda CNN, zawija slipy tak, jakby robił z nich sajgonki – w komandoskim stylu – po czym ciska nimi we mnie: w głowę, w tyłek, w co trafi. Udajemy, że wszystko jest w najlepszym porządku, podczas gdy zegar tyka i pokazuje, jak długo jeszcze pozostanę przy zdrowych zmysłach. Bo kiedy Terrell umrze... co wtedy?

Składaj dalej. Dzwonek do drzwi. Lucas wstaje i otwiera. Pewnie Effie

przyszła, żeby podłożyć kolejną kulinarną minę. Zerkam na zegarek: szesnasta dwadzieścia dwie – za dwie godziny muszę odebrać Charlie z treningu.

– Jest Tessa? – Jego głos szarpie nerwy jak palce struny gitary.

Lucas stoi w drzwiach i celowo zasłania mu widok.

– A o co chodzi? – Przeciąga samogłoski jak stuprocentowy Teksańczyk.

Widzę w zwolnionym tempie, jak lewa dłoń Lucasa – ta, na której opiera się kolba pistoletu podczas celowania – niby od niechcienia przesuwają się w górę i lądują na piersi. Palce prawej dłoni się napinają. Lucas jest gotów szybko sięgnąć po broń. Pokazywał mi tę pozycję niecałą godzinę temu, kiedy ćwiczyliśmy na podwórzu za domem.

– Lucas! – Podrywam się z kanapy, przewracając trzy stosiki. – To Bill, prawnik, o którym ci opowiadałam. Zajmuje się apelacją Terrella. Przyjaciel Angie.

Zza pleców Lucasa dostrzegam jedynie czubek czapki Boston Red Sox. Jestem już za nim, bezskutecznie napieram na tamę z twardych mięśni. Dłońmi szukam broni zatkniętej za pasek Lucasowych spodni, ale jej nie znajduję. Zatem gesty, które przed chwilą wykonał, to tylko odruch, dowód nieufności. Uświadamiam sobie, że Bill wprawdzie nie widzi mojej twarzy, ale zapewne nie uszło jego uwagi, że krążę dłonią podejrzenie blisko krocza Lucasa.

Dawna uraza sprawia, że czerwienieję na twarzy. Tym, co przede wszystkim przyciągnęło mnie do Lucasa, kiedy byłam przerażoną, hormonalnie rozchwianą osiemnastolatką, była jego głupia samcza siła. Ona też stanowiła zasadniczą przyczynę naszego rozstania. Był przedstawicielem gatunku mężczyzn, którzy budzą trwogę w sercach, maszerując po bruku, i żyją tak, jakby za każdym rogiem czaił się wróg. Lucas zrywa się na nogi gotów do działania, ilekroć wrzaśnie kot, strzeli gaźnik w samochodzie albo ktoś zapuka do drzwi. To dobry człowiek i świetny oficer, najlepszy, ale jako partner życiowy... sprawia, że przechodzą mnie ciarki.

– Lucas, *odsuń się*. – Napieram mocniej.

Robi pół kroku w bok, tak że wreszcie mogę się wcisnąć pomiędzy niego a framugę drzwi.

– Bill, Lucas – mówię. – Lucas, Bill.

Bill wyciąga rękę. Lucas ją ignoruje.

– Witaj, Bill. Dobrze, że się poznajemy, bo chciałem cię zapytać, czy naprawdę angażowanie Tessy w tę sprawę na tym etapie to dobry pomysł. Nie sądzisz, że pora odpuścić? Wsiąść do bmw i odjechać? Dać Tessie i mojej

córcie święty spokój, na jaki zasługują?

Przez chwilę nie wiem, co powiedzieć. Nie miałam pojęcia, że w Lucasie gotuje się tyle złości. Okazuje się, że każde z nas pulsuje gniewem. Zdecydowanym krokiem wychodzę na werandę.

– Lucas, odczep się, dobrze? Robię to, bo sama chcę. Bill do niczego mnie nie zmusza.

Zamykam drzwi Lucasowi przed nosem, zresztą nie po raz pierwszy.

– No już, zmień tę minę – mówię do Billa.

Nie to chciałam powiedzieć, nie zabrzmiało jak „tęskniłam za tobą”.

– Twój żołnierz, co?

– Jeśli masz na myśli ojca Charlie, to owszem.

– Mieszka tu?

– Jest na krótkiej przepustce. Długa historia. Charlie bardzo się przestraszyła tamtej nocy, kiedy był u nas... wandal. Skontaktowała się z ojcem przez Skype’a. Lucas przyjechał zaraz potem. Ma wyrozumiałego dowódcę, poza tym już dawno należała mu się przepustka na odwiedzinę u córki. Nie zapraszałam go, ale też nie żałuję, że się zjawił. Śpi na kanapie...

– Wcale nie taka długa – zauważa Bill opanowanym głosem. – Jeśli nadal go kochasz, po prostu powiedz.

Stoję ubrana w cienki sweter, z rękami założonymi na piersi. Nie mam zamiaru wpuszczać Billa do środka i robić za rozjemcę.

– Tej rozmowy... nie powinno być – odzywam się. – Ty i ja... nic z tego nie będzie. Przespaliśmy się ze sobą z niewłaściwych powodów. Spontaniczność nie jest w moim stylu. Nie jestem taka.

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

Zaglądam mu w oczy. Wzdrygam się. Intensywność jego spojrzenia jest wręcz nieznośna. Lucas nigdy tak na mnie nie patrzył. U niego liczył się dotyk i instynkt.

– Nie kocham Lucasa. Ale to dobry człowiek, po prostu trafiłeś na zły moment.

Zastanawiam się, czy ten przesywający wzrok jest czymś naturalnym, czy też Bill potrafi nim sterować: włączać i wyłączać na życzenie. Przydatne narzędzie do miażdżenia świadków – albo rozbierania dziewczyny, aż pozostaną wyłącznie jej nagie blizny.

Lydia zawsze twierdziła, że jedynym mężczyzną, który przenika ją wzrokiem aż po waginę, jest Paul Newman, „nieważne, że wiekowy”. Nie знаła Billa. Zresztą *nie chciałabym*, żeby go poznała. Żeby skalala... to, czymkolwiek *to* jest.

Czemu w takiej chwili myślę o Lydii?

Bill siada na huśtawce. Najwyraźniej nie zamierza odejść. Niechętnie zajmuję miejsce na drugim końcu siedziska. Dopiero teraz zauważam, że Bill trzyma w ręku dużą i grubą szarą kopertę.

– Co to? – pytam.

– Przyniosłem ci coś. Czytałaś kiedyś stenogram ze swojego przesłuchania w sądzie?

– Jakoś nie przyszło mi to do głowy.

Kłamstwo. Wiele razy o tym myślałam. O przysięgłych pożerających mnie wzrokiem, jakbym była kosmitką. O rysowniku długimi i szybkimi ruchami nanoszącym kreski włosów na moją podobiznę. O ojcu siedzącym w pierwszym rzędzie w pełnej sali i śmiertelnie przerażonym w moim imieniu. I o Terrellu w tanim niebieskim krawacie w złote pasy; siedział wpatrzony w pustą kartkę, na której mógł robić notatki. Ani razu nie spojrzał na mnie i nie napisał ani słowa. Przysięgli zinterpretowali to jako poczuwanie się do winy.

Ja również tak to odczytałam.

– Zaznaczyłem kilka fragmentów – mówi Bill.

– Po co?

– Ponieważ czułaś wyrzuty sumienia w związku z zeznaniami. – Nagle zatrzymuje huśtawkę. Stuka palcem w kopertę, którą wcześniej położył między nami. – Przeczytaj to, proszę, może ci pomóc. Nie ponosisz winy za to, że Terrell siedzi w więzieniu.

Mocniej przyciskam do piersi skrzyżowane ręce.

– A może myślisz, że im częściej będę wracała do tamtych wydarzeń, tym większe prawdopodobieństwo, że przypomnę sobie coś, co pomoże Terrellowi?

– Czy coś w tym złego?

W odpowiedzi moje serce zaczyna łomotać.

– Nie, jasne, że nie.

Bill się podnosi, na co huśtawka protestuje szarpnięciem.

– Jo powiedziała mi o zębie. Szkoda, że nie poinformowałaś nas, że jedziesz do domu dziadka. Szkoda też, że mnie od siebie odsuwasz. Zamierzasz kopać jeszcze w jakimś miejscu?

Przytrzymuje huśtawkę, żebym mogła wstać.

– Nie. To było ostatnie. Czy Jo jest... na mnie zła?

– Zapytaj ją.

Odchodzi najeżony i rozdrażniony. Życiem. Mną. Zabieram kopertę

i schodzę za nim po schodach.

– Powiedz prawdę. Czy istnieje cień nadziei dla Terrella?

Odwraca się na ostatnim stopniu, tak że prawie na niego wpadam. Dziela nas zaledwie centymetry.

– Trzeba złożyć jeszcze kilka apelacji – odpowiada. – W przyszłym tygodniu jadę do Huntsville na ostatnie widzenie.

Chwytam go za rękę.

– Ostatnie widzenie? Okropnie to brzmi. Powiesz Terrellowi... że nadal bardzo się staram przypomnieć sobie wszystko?

Bill wbija spojrzenie w moje zaciśnięte na jego bluzie palce, w paznokcie, zawsze krótko obcięte i bez lakieru, a dziś dodatkowo brudne od grzebania w dziadkowym ogrodzie.

– Sama mu to powiedz.

– Chyba żartujesz! Jestem ostatnią osobą, którą chciałby widzieć.

Bill ostentacyjnie uwalnia się ode mnie. Równie dobrze mógłby zepchnąć mnie ze schodów.

– To nie jest mój pomysł – mówi – tylko jego.

– Myślałam, że Terrell mnie... nienawidzi.

– Nie, Tesso, nie jest zgorzkniały. Jest jednym z najbardziej niezwykłych ludzi, jakich znam. Uważa, że to ty najwięcej wycierpiałas. Długo powtarzał, że słyszy twoje łkanie i że ono zagłusza pozostałe odgłosy w celi śmierci. Przed snem odmawia za ciebie modlitwę. Powiedział, żebym cię oszczędził.

Siedząc w celi skazańców, Terrell słyszy mój płacz. Nie pozwalam mu zasnąć. Jestem głosem w jego głowie, tak jak Kwiaty są w mojej.

– Dlaczego, u diabła, nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

– Brak kontaktu z drugim człowiekiem. Potrafisz to sobie wyobrazić? Dwadzieścia trzy godziny dziennie w celi mającej jedynie wąski otwór na tacę z jedzeniem i maleńkie pleksiglasowe okienko, umieszczone tak wysoko, że by ujrzeć zamazany obraz świata na zewnątrz, Terrell musi zwinąć materac i stanąć na nim. Ma godzinę dziennie na rozruszanie się, to znaczy szybki spacer po innej, niewiele większej celi. Ma też mnóstwo czasu na myślenie o śmierci. Wiesz, co jego zdaniem jest w tym wszystkim najgorsze? Nie krzyki innych skazańców, nie odgłosy tych, którzy próbują się zadławić, nie kłótnie nad wyimaginowaną partią szachów, nie nieustanny stukot maszyn do pisania. Zapach. Wydzielany przez pół tysiąca mężczyzn odór strachu i beznadziei. Terrell nigdy nie oddycha pełną piersią, bo się boi, że udusiłby się albo zwariował. Myślę o nim, ilekroć biorę głęboki oddech. A dlaczego nie powiedziałem ci o tym wcześniej? Dlatego, Tesso, że masz

wystarczająco dużo zmartwień.

Stuka palcem w kopertę, którą trzymam.

– Przeczytaj to.

Odchodzi i bez pożegnania cofa auto z podjazdu.

Kiedy wracam do domu, Lucas siedzi na oparciu kanapy, pociąga piwo i wpatruje się w drzwi. Czeka.

– Co się stało? – pyta.

Gdy rozmawiałam z Billem, poukładał na nowo stosiki ubrań, które przewróciłam – przeprosiny w jego stylu.

– Czego chciał? – naciska.

– Nic ważnego. Pójdę się zdrzemnąć, zanim pojedę po Charlie.

– Sypiasz z nim. – Stwierdzenie, nie pytanie.

– Idę się zdrzemnąć. – Mijam go i kieruję się w stronę korytarza.

– Możliwe, że on cię wykorzystuje.

Zamykam drzwi sypialni, opieram się o nie plecami i osuwam na podłogę. Lucas coś krzyczy. W oczach zbierają mi się łzy.

Paznokciem otwieram kopertę i wydaję ze środka starannie ułożony plik dokumentów.

Bill nie uważa, żeby Tessie była winna. Ale ja wiem, że jest.

## Wrzesień 1995 roku

Richard Lincoln: Tessie, czy jako dziecko miałaś jakieś nietypowe zabawy?

Tessa Cartwright: Nie bardzo rozumiem.

Richard Lincoln: Ujmę to tak: masz całkiem bogatą wyobraźnię, zgadza się?

Tessa Cartwright: Chyba tak.

Richard Lincoln: Czy bawiłaś się w Annę Boleyn?

Tessa Cartwright: Tak.

Richard Lincoln: Czy bawiłaś się w Amelię Earhart?

Tessa Cartwright: Tak.

Richard Lincoln: Czy bawiłaś się w Marię Antoninę? Kładłaś głowę na pieńku, a druga osoba udawała, że ją odrąbuje?

Al Vega: Wysoki Sądzie, ponownie zwracam uwagę, że pytania mecenasa Lincolna służą wyłącznie odwróceniu uwagi przysięgłych od tego, co jest najistotniejsze dla sprawy, oraz od mężczyzny zasiadającego na ławie oskarżonych.

Richard Lincoln: Przeciwnie, Wysoki Sądzie, staram się pomóc przysięgłym zrozumieć środowisko, w którym dorastała Tessa. Według mnie to bardzo istotne.

Al Vega: W takim razie zaprotokołujmy również, że Tessa grała w warcaby, bawiła się lalkami, urządziła podwieczorki dla misiów, walczyła na kciuki i grała w Królu, daj wojaka.

Sędzia Waters: Panie prokuratorze, proszę usiąść. Zaczyna mnie pan irytować. Panu, panie mecenasie, dam znać, kiedy zacznie mi pan działać na nerwy. To już niedługo.

Richard Lincoln: Dziękuję, Wysoki Sądzie. Tesso, czy chciałabyś napić się wody, zanim przejdziemy do dalszych pytań?

Tessa Cartwright: Nie, dziękuję.

Richard Lincoln: Czy bawiłaś się w zakopywanie skarbów?

Tessa Cartwright: Tak.

Richard Lincoln: Czy bawiłaś się w Kubę Rozpruwacza?

Al Vega: Wysoki Sądzie...

Tessa Cartwright: Tak. Nie. Zaczęliśmy się bawić, ale nie podobało mi się.

Richard Lincoln: „My”, czyli ty i twoja najlepsza przyjaciółka, Lydia Bell, o której wspomniałaś wcześniej?

Tessa Cartwright: Tak. I mój brat. I inne dzieci z sąsiedztwa, jeśli akurat były w pobliżu. Było strasznie gorąco. Okropnie się nudziliśmy. Jeden z chłopaków przyniósł butelkę keczupu, ale żadna z dziewczyn nie chciała zagrać ofiary. A może to Lydia przyniosła keczup? W każdym razie woleliśmy się pobawić w stoisko z oranzadą.

Al Vega: Wysoki Sądzie, kiedy miałem sześć lat, chodziłem nad rzekę i robiłem dysekcję żywym kijankom. W jaki sposób to o mnie świadczy? Chciałbym przypomnieć zarówno mecenasowi Lincolnowi, jak i przysięgłym, że Tessa jest ofiarą. To był dla niej, jako świadka, bardzo długi dzień.

Richard Lincoln: Panie prokuratorze, miałbym doskonałą odpowiedź na pańskie pytanie o kijanki, ale póki co chciałbym zauważyć, że w dzieciństwie Tessa brała udział w zabawach, w których przewijał się temat brutalnej śmierci, zaginięć i zakopywania przedmiotów. Sztuka naśladowała rzeczywistość na długo, zanim Tessę znaleziono w grobie. Dlaczego tak się działo?

Al Vega: Co też pan wygaduje! Nazywa pan „sztuką” to, co się przydarzyło Tessie? Sugeruje, że to była, nie wiem, karma? Naprawdę trzeba być sukinsynem!

Sędzia Waters: Panowie, zapraszam do mnie.



## Dziewiętnaście dni do egzekucji

Terrell i ja nie oddychamy tym samym powietrzem – oto pierwsza rzecz, jaka przychodzi mi do głowy. Ciekawe, ile ściągniętych ust matek i kochanek całowało oddzielającą nas szybę z mętnego szkła.

Pierwszą rzeczą, jaką czuję, jest wstyd. Nigdy wcześniej nie przyglądałam się jego twarzy. Ani w sądzie, kiedy siedział sześć metrów ode mnie, ani w telewizji, w której trąbiono o nas jak o małżeństwie celebrytów, ani na ziarnistej fotografii w gazecie.

Jego oczy to dwie nabiegłe krwią jamy. Jego skóra – jak satynowa czarna farba. Pokryta bliznami. Narysowana nożem kreska – jak wyżłobiona przez mleko spływające po brodzie. Wpatruję się w tę szramę, on zaś przygląda się mojej. Mija ponad minuta, zanim w końcu sięga po słuchawkę. Gestem pokazuje, żebym zrobiła to samo.

Podnoszę słuchawkę i przyciskam ją mocno do ucha, żeby Terrell Darcy Goodwin nie widział, jak bardzo trzęsą mi się ręce. Siedzi w niewielkiej kabinie po drugiej stronie szyby. Z otworu wentylacyjnego nad moją głową płynie zimne powietrze, które wysusza mi gardło na wiór.

– Billy mówił, że przyjdiesz – odzywa się.

– Billy? – odruchowo chrypię w odpowiedzi.

– No. Nie znosi, jak tak go nazywam, sztywniak jeden.

Terrell chce mnie rozluźnić. Próbuję się uśmiechnąć.

– Skąd ją masz? – Przesuwam paznokciem po policzku i czuję, jakbym robiła to tępą stroną noża. Jakby morderca drwił sobie ze mnie, zanim upuści mi krwi.

– Pamiątka po kontaktach z niewłaściwymi ludźmi. Miałem trzynaście lat – mówi Terrell swobodnym tonem. – Dosyć wcześnie zboczyłem z drogi, którą wyznaczył mi Pan. No i proszę, dokąd doszedłem?

Dwie minuty rozmowy i już schodzimy na temat Boga.

– Wierzysz w naszego Zbawiciela, Jezusa Chrystusa? – pyta.

– Czasami.

– W więzieniu Jezus i ja bardzo się do siebie zbliżyliśmy. Mamy mnóstwo czasu na rozmowy o tym, jak bardzo schrzaniłem sobie życie. Jak spieprzyłem życie mojej rodzinie. Córki, syn i żona zapłacą wysoką cenę za tę noc, kiedy znów się naćpałem i nie wiedziałem, gdzie jestem. – Czołem niemal dotyka szyby. – Odważna jesteś, że tu przyszałaś. Nie dostaliśmy dużo

czasu, a ja mam ci coś do powiedzenia. Chcę cię skreślić ze swojej listy. Posłuchaj, musisz przyjąć do wiadomości, że nie jesteś winna mojej śmierci. Nie chcę umierać, ciężąc komuś na sumieniu, rozumiesz?

– Nie powinnam była zeznawać – mówię. – Nic nie pamiętałam. Byłam jak marionetka. To było jak cyrk. Przysięgli patrzyli na mnie i widzieli swoje córki...

– ...i wielkiego, czarnego potwora, który je porwał. – Zdumiewające, że mówi to bez urazy w głosie. – Lata temu odszedłem od takiego myślenia, bo zżerało mnie od środka. Co noc słyszę tych, którzy stracili zmysły. Gadają z ludźmi, których nie ma. Albo tygodniami milczą, jak gdyby mózg wyfrunął im z głowy, zostawiając po sobie wielką dziurę. Postanowiłem, że nie zwariuję tak jak oni. Medytuję. Czytam Biblię i Luthera Kinga. Często gram w szachy, w głowie, sam ze sobą. Myślę nad sprawą. Piszę do dzieci.

Stara się mnie pocieszyć. On *mnie*.

– Posłuchaj... wtedy, przed laty, podejrzewałam, że jesteś niewinny, ale nie zrobiłam nic, żeby ci pomóc. Masz pełne prawo mnie nienawidzić.

– Przecież nic nie pamiętasz. Więc skąd pewność, że to nie ja cię porwałem?

– Morderca prześladowuje mnie rudbekiami. Sadzi je w różnych miejscach. Pierwszy raz zrobił to trzy dni po tym, jak usłyszałeś wyrok. – Posyłam Terrellowi sztuczny uśmiech. – Na pewno myślisz, że oszalałam. Ja sama bym tak pomyślała.

I myślę.

– Wcale nie. Zło nadchodzi na małych kocich łapkach. Przysiada na ogonie, rozgląda się po przystani i mieście. Wiem, że wiersz idzie inaczej. Powinna być „mgła” na małych kocich łapkach. Mgła. Zło. Pasuje jedno i drugie. Światła samochodu dostrzegasz zwykle dopiero wtedy, gdy jest już za późno.

Wyobrażam sobie tego olbrzyma leżącego na pryczy, recytującego wiersz Carla Sandburga i starającego się nie słuchać mężczyzn drapiących ściany jak koty.

– Kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłem – mówi Terrell – siedziałaś na miejscu dla świadka. Miałaś na sobie tę śliczną niebieską sukienkę i trzęsałaś się tak bardzo, że o mało nie rozpadłaś się na kawałki. Widziałem, jak na tym samym miejscu siadają moje córki.

– Dlatego na mnie nie patrzyłeś – odpowiadam powoli.

Długa była dyskusja na temat niebieskiej sukienki. Każdy miał coś do powiedzenia: pan Vega, Benita, pan doktor, Lydia, nawet ciocia Hilda. Koronka strasznie drapała, ale nikomu o tym nie powiedziałam. Kiedy

zeznawałam, musiałam od czasu do czasu, niby mimochodem, podrapać się po karku i ramionach, dla pewności, że nie chodzą po nich robaki. Tessie nigdy w życiu nie włożyłaby tamtej niebieskiej sukienki. „Powinna się kończyć tuż nad kolanami, żeby przysięgli widzieli but ortopedyczny. Nie może wyglądać zbyt seksownie. Będzie miała ten but na nodze, tak? Możemy trochę zebrać w talii, żeby podkreślić, że wciąż jest chuda? Przez ten kolor jej skóra nabiera żółtawej barwy, ale w sumie to dobrze”.

– Nie chciałem, żebyś czuła się jeszcze gorzej. – Jego głos wyrywa mnie z zamyślenia. Terrell szczerzy zęby. – Niezły ze mnie numer.

Strażnik uderza w kraty za plecami Terrella.

– No, zbieraj się. Zamykamy.

– Dziś jeden z nas zostanie stracony – stwierdza Terrell obojętnym tonem. – W celach zawsze panuje większa nerwówka, kiedy wypada ten dzień. Już drugi w tym miesiącu – mówi do słuchawki, wstając. Jego potężne ciało wypełnia kabinę. Jest bardziej misiowaty, niż się spodziewałam. – Jesteś naprawdę odważna, Tessie, że tu przyszedłaś. Wiem, że wciąż wracasz do sprawy, ale pamiętaj, co powiedziałem: kiedy umrę, zapomnij o wszystkim.

Robi mi się niedobrze od wzbierającej fali paniki. To już.

– Będę zeznawała, jeśli zechcą ponownie rozpatrzyć twoją sprawę – rzucam do słuchawki pospiesznie, nerwowo. – Bill jest świetnym prawnikiem. Naprawdę uważa, że jest... nadzieja. Zwłaszcza teraz, po zbadaniu DNA rudego włosa. Oczywiście okazało się, że nie należał do mnie. – Zakładam miedziany kosmyk za ucho.

Terrell wie to wszystko, bo Bill przegadał z nim całą godzinę; teraz siedzi gdzieś niedaleko i kończy pisać na laptopie odwołanie od „nakazu doprowadzenia zatrzymanego do sądu w celu stwierdzenia legalności aresztu”, jak wyjaśnił. Wszystkie inne sposoby podtrzymania zasadności apelacji nie dały rezultatu.

– No, Billy to dobry chłopak. Nigdy nie spotkałem kogoś, kogo Pan tak pewnie prowadziłby za rękę i kto zarazem ani trochę by w niego nie wierzył. Mam mało czasu, żeby go przekonać do zmiany zdania. – Terrell puszcza oko. – Dbaj o siebie, Tessie. Zapomnij.

Odkłada słuchawkę.

Siedzę jak przyśrubowana do plastikowego krzeselka. Mam wrażenie, jakby tym ostatnim kliknięciem w słuchawce losy Terrella i mój zostały zgrabnie przypieczętowane.

Terrell pochyla się i dotyka palcem szyby. Celuje w moją bliznę, która zaczyna pulsować. Wtóruję jej Kwiat: „To zbyt piękne, żeby było prawdziwe,

to zbyt piękne, żeby było prawdziwe”.

Terrell porusza ustami. Panikuje. Nic nie słyszę przez tę szybę.

Powtarza jeszcze raz, starannie układając usta.

– Wiesz, kto to zrobił.

Bill nie chciał mnie tu przywieźć, ale się uparłam. Znajdujemy się zaledwie kilkaset metrów od niesławego Domu Straceń, który swój przydomek „Mur” zawdzięcza otaczającemu teren wysokiemu ogrodzeniu z czerwonej cegły. Kilka godzin wcześniej dowiedziałam się od Terrella, że dziś odbędzie się tu egzekucja. Mur to okazały budynek w starym stylu, zbyt zmęczony, by wdychać nad każdą śmiercią, a widział ich wiele – zadawanych za pomocą sznura i elektryczności, kuli i trucizn – przez ponad sto lat swego istnienia.

Obok stoi niewielki biały dom o drewnianej konstrukcji, ze starannie przykrytym grillem na frontowej werandzie. Po drugiej stronie – kościół.

Terrell znajduje się kilka kilometrów stąd, w Bloku Wynne’a mieszczącym cele skazańców; leży na pryczy i kończy lekturę. Bill powiedział, że nawet mimo zamknięcia i odizolowania Terrell wcześniej niż my dowie się, kiedy zostanie wykonana dzisiejsza egzekucja.

Kiedy zapytałam, jak to możliwe, wzruszył ramionami. Więźniowie mają swoje sposoby.

Małeńkie grudki lodu odbijają się od mojej kurtki. Zakładam kaptur. Nie wpuszczą nas do środka. Jesteśmy jedynie podglądaczami.

Wdychałam zapach swojego przedwczesnego grobu, nigdy jednak nie czułam niczego tak przytłaczającego jak atmosfera tego miejsca. Jak gdyby konająca fabryka pluła śmiercią, wypuszczała smugi rozpacz i żalu, nadziei i nieuchronności. Nadzieja sprawia, że obłok pulsuje. Ciekawe, jak długo musiałabym biec, aby uciec przed tą trującą chmurą. Jak daleko sięgają jej mętne krańce? Kilka przecznic od komory śmierci? Kilometr? Dwa? Czy gdybym spojrzała na nią z góry, okazałoby się, że zasnuwa całe miasto?

Huntsville jest mitycznym miejscem, które wyobrażałam sobie zupełnie inaczej. Wydawało mi się, że to wielki dom jak z horroru. Stojący pośrodku niczego ogromny blok z betonu, w którym Teksas trzyma pod kluczem stworzenia zasługujące na śmierć. I że dzieją się tam rzeczy, o których nigdy, przenigdy się nie dowiesz, chyba że pokazują je w kinie, a w głównej roli występuje Tom Hanks. Tak nam zawsze powtarzał ojciec Lydii, wielki fan Hanksa i mściwej filozofii Księgi Powtórzonego Prawa.

Wprowadzono mnie w błąd, i to bardzo. Huntsville to nie jeden imponujący budynek, tylko siedem, w dodatku rozproszonych po okolicy.

Dom Straceń, który majaczy przed nami w słabnącym świetle, wcale nie stoi pośrodku niczego.

To stu pięćdziesięcioletni budynek z czerwonej cegły zwieńczony wieżą zegarową, na której czas dosłownie się zatrzymał. Znajduje się dwie przecznice od leżącego w samym środku miasta uroczego skweru przed sądem. Ludzie przesiadują w najlepszej knajpie Huntsville, z widokiem na Mur, i zajadają się kotletami z kurczaka i ciastem truskawkowym.

Policjanci niespiesznie, jakby od niechcienia, odgradzają wejście do więzienia taśmą. Pozbawiony okien narożnik budynku, w którym odbędzie się egzekucja, znajduje się w zasięgu naszego głosu.

Staram się nie pokazywać po sobie, jak bardzo przeszkadza mi ta chłodna rzeczowość i sprawność działań, nie tylko zresztą policji. Zaczęło się, kiedy Bill zatrzymał się tuż pod ceglana ścianą więzienia i zapytał strażniczkę stojącą na dachu budynku, czy może tu zostawić samochód.

– Jasne – odkrzyknęła, jak gdyby chodziło o mecz koszykówki drużyn licealnych.

Zwolennicy i przeciwnicy kary śmierci posłusznie zajmują miejsca po obu stronach budynku, w wyznaczonych strefach. Dzieli ich dobre czterysta metrów, są jak bokserzy, którzy nigdy nie spotkają się na ringu.

Tacy kulturalni. Tacy prymitywni. *Tacy swobodni.*

Kilku Strażników Teksasu stoi z założonymi rękami i przygląda się niewielkiemu, ale powoli rosnącemu zgromadzeniu. Wydaje się, jakby nikt nie przewidywał kłopotów. Dwie ekipy hiszpańskojęzycznej telewizji przygotowują się do relacji na żywo, zaś pozostali dziennikarze, bez wyjątku ciemnowłosi, tłoczą się w jasno oświetlonym budynku po drugiej stronie ulicy. Grupa Meksykanek klęczy przed powiększoną podobizną skazańca i zawodzi. Dwie trzecie protestujących przeciwko karze śmierci to Meksykanki. Na pozostałą jedną trzecią składają się w większości biali starsi ludzie, milczący i zrezygnowani.

Dziś zostanie stracony Meksykanin, który trzy razy strzelił w głowę policjantowi z Houston. Następny w kolejce – za dziewiętnaście dni – jest Terrell. Potem gość, który kijem baseballowym rozbił głowę dostawczyni pizzy, a później mężczyzna, który wziął udział w gwałcie zbiorowym i morderstwie upośledzonej umysłowo dziewczyny na jakiejś bocznej drodze. I tak dalej, i tak dalej.

Co kilka minut przed bramą więzienia przejeżdżają Blue Knights<sup>16</sup> na swoich harleyach. To byli policjanci, którzy pragną pomścić kolegę; pewnie najchętniej osobiście wbiliby skazańcowi igłę. Patrzą, jak zajmują pozycje po

drugiej stronie budynku, wśród zwolenników kary śmierci, niedaleko komory straceń. Policjanci i strażnicy w końcu się przebudzili i każą motocyklistom zaparkować nieco dalej.

– Na pewno chcesz zostać? – pyta po raz kolejny Bill. Kręcimy się po niewielkim skrawku ziemi niczyjej między dwoma obozami. – Nie wiem, czy jest sens.

Oczywiście, że jest. Bo chodzi o to, że sama nie wiem, w co wierzę. Wiem tylko, w co chcę wierzyć.

Nie mówię tego głośno. Im mniej emocji, tym lepiej. Kiedy zadzwoniłam do Billa i poprosiłam go, żeby zabrał mnie ze sobą do Huntsville na widzenie z Terrellem, przystaliśmy na niespokojne, pełne skrępowania zawieszenie broni. Obiecałam, że się nie rozkleję. Mój wzrok pada na stojącego po drugiej stronie ulicy mężczyznę trzymającego choinkową świeczkę na baterię. Opiera się o barierkę dochodzącą do billboardu, na którym sieć stacji benzynowych namawia świeżo wypuszczonych z więzienia, by zrealizowali czeki *właśnie w niej*. Wcisnął się wygodnie pomiędzy dwie kobiety o łagodnych twarzach, przypominające zakonnice, i dwóch mężczyzn. Wszyscy pięcioro są dobrze po sześćdziesiątce.

Bill podąża za moim spojrzeniem.

– To Dennis. Nigdy nie zawodzi. Bywa, że przychodzi sam.

– Myślałam, że będzie więcej ludzi. Gdzie są ci wszyscy, którzy gardłują na Facebooku?

– W domu na kanapie. Gardłują.

– Kiedy się zacznie?

– Egzekucja? – Zerka na zegarek. – Jest ósma. Czyli pewnie za jakiś kwadrans. Przeważnie wyznaczają początek na szóstą, a o siódmej jest już po wszystkim, ale dziś mają opóźnienie, bo sąd federalny do ostatniej chwili rozpatrywał apelację, w której obrona utrzymywała, że skazany jest upośledzony umysłowo. – Pokazuje na tłumek po drugiej stronie ulicy. – Dennis i ta czwórka z nim przychodzą bardziej na czuwanie niż na głośne protestowanie. Wiesz, na tym etapie właściwie wszystko jest już przesądzone. Dennis jako jedyny wytrzymuje do samego końca, nawet jeśli zdarza się – rzadko, bo rzadko – że apelacja trwa aż do północy. Zawsze czeka na wyjście rodziny skazanego. Zależy mu, by ci ludzie widzieli, że ktoś stoi po ich stronie.

Wyobrażam to sobie: ciemna noc, świeczka na baterię i chudy, stary Święty Mikołaj, wciśnięty między barierkę, znak stopu i billboard.

– Kobieta z megafonem to Gloria.

Przenoszę uwagę na ludzi z transparentami, w tej chwili nietypowo, w milczeniu protestujących na ulicy. Akurat nie skandują żadnych haseł.

– Kolejna stała bywalczyni – ciągnie Bill. – Uważa, że wszyscy, którzy siedzą w celach śmierci, są niewinni, podczas gdy większość jest, rzecz jasna, winna jak diabli. Cieszy się szacunkiem ze względu na zaangażowanie. Niedługo zaczniesz odliczać.

– Gdzie teraz są rodziny?

– Rodzina ofiary, jeśli w ogóle zechciała przyjechać, jest w budynku więzienia. A rodzina skazańca po drugiej stronie ulicy. Podobno Gutierrez zabronił matce przyjeżdżać na egzekucję. Osoby będące świadkami stracenia wyjdą stamtąd w asyście dziennikarzy i pójdą do komory straceń, gdy tylko zakończy się apelacja. To będzie oznaczało, że już pora. – Pokazuje na wejście w wieżę zegarowej i schodki prowadzące do środka.

Po mojej prawej stronie pojawia się młody dziennikarz telewizyjny w nowym niebieskim garniturze i jasnym lawendowym krawacie. Podsuwa mikrofon kobiecie trzymającej tabliczkę z hasłem głoszącym, że gubernator jest seryjnym zabójcą. Kamera rzuca upiorne światło na twarze obojga.

Ramiona protestującej zgarbił artretyzm. Kobieta nosi czerwone kowbojki. Na pytania dziennikarza odpowiada z typowym teksańskim akcentem i lekko cynicznym tonem, jakby robiła to już setki razy. „Tak, kiedyś światła w całym mieście przygasały, ilekroć ktoś umierał na krześle elektrycznym. Tak, przeważnie jest mniej więcej tyle ludzi, co dziś. Tak, egzekucja Karli Faye Tucker wywołała największe oburzenie, bo stracono kobietę<sup>17</sup>. Tak, jeden ze sklepów muzycznych reklamował się tego dnia hasłem «Zabójcze ceny»”.

Raptem dziennikarz przerywa rozmowę.

Bill ciągnie mnie za łokieć. Gloria podnosi megafon do ust.

Ulicą przesuwają się cienie. Z nieba wciąż pada lód.

Naraz powietrze zaczyna drżeć od wściekłego ryku setek gardeł, tak głośnego i tak dzikiego, że rozchodzi się falą po moim ciele: od głowy, przez jamę brzuszną, po czubki palców u nóg.

Potężna wrzawa zagłusza megafon Glorii i hymny kobiet, których usta otwierają się i zamykają jak dzioby głodnych ptaków.

Blue Knights zwiększają obroty silników swoich motocykli, aby skazaniec usłyszał.

*Zabić go.*

## Wrzesień 1995 roku

Al Vega: Bardzo proszę podać swoje pełne nazwisko.

Ural Russell Boyd: Ural Russell Boyd. Niektórzy nazywają mnie You-All, wie pan, od imienia. To z czasów licealnych, kiedy grałem w koszykówkę. Cheerleaderki nawet skandowały moje przezwisko, żeby zdopingować drużynę.

Al Vega: Jak zatem mam się do pana zwracać?

Ural Russell Boyd: Może być You-All. Trochę się denerwuję.

Al Vega: Niepotrzebnie. Doskonale pan sobie radzi. Jest pan właścicielem stu sześćdziesięciu hektarów ziemi położonej mniej więcej dwadzieścia cztery kilometry na północny zachód od Fort Worth, zgadza się?

Ural Russell Boyd: Tak, proszę pana. Ziemia należy do mojej rodziny od sześćdziesięciu lat. Mimo to ludzie wciąż nazywają ją farmą Jenkinsa.

Al Vega: Proszę opowiedzieć, co się wydarzyło rankiem dwudziestego trzeciego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku.

Ural Russell Boyd: Już mówię. Zaginął mój ogar. Tego dnia wcześnie rano mieliśmy pójść na polowanie na ptaki. Ponieważ nigdzie nie mogłem go znaleźć, poszedłem po Ramonę...

Al Vega: Ramonę, czyli...?

Ural Russell Boyd: Klacz mojej córki. Ramona była w nastroju na przejażdżkę.

Al Vega: Co było potem?

Ural Russell Boyd: Prawie od razu usłyszałem wycie Harleja dochodzące z zachodniego pastwiska. Pomyślałem, że może trafił na mokasy na miedziogłowca. Mieliśmy spore problemy z tymi wężami.

Al Vega: Udał się pan w kierunku, z którego dochodziło wycie psa?

Ural Russell Boyd: Tak, proszę pana. Harley, jak zacznie, to nie wie, kiedy przestać. Myślę, że mógł wyczuć drżenie ziemi pod kopytami Ramony i zorientować się, że jedziemy. To naprawdę bystry pies.

Al Vega: O której godzinie, mniej więcej, to było?

Ural Russell Boyd: Około wpół do piątej rano.

Al Vega: Ile czasu zajęło panu odnalezienie Harleja?

Ural Russell Boyd: Dziesięć minut. Było ciemno. Znalazłem go na drugim końcu farmy, niecały kilometr od autostrady. Czuwał.

Al Vega: Przy czym?



Ural Russell Boyd: Przy dwóch martwych dziewczętach. Nie wiedziałem, że jedna z nich żyje. Nie wyglądała na żywą.

Al Vega: Bardzo proszę opowiedzieć przysięgłym, co dokładnie pan zobaczył, kiedy zbliżył się do grobu.

Ural Russell Boyd: Najpierw poświeciłem latarką na Harleya. Leżał w kwiatach, które rosły w rowie. Nie ruszał się. Z początku nie zauważyłem ręki, bo Harley zasłaniał ją pyskiem. Wiedziałem, że to dłoń dziewczyny, bo miała paznokcie pomalowane na niebiesko. Chciałbym... muszę złapać oddech.

Al Vega: Oczywiście.

Ural Russell Boyd: [wypowiedź niesłyszalna]

Al Vega: Proszę się nie spieszyć.

Ural Russell Boyd: To była okropna chwila. Moja córka bez przerwy zrywa te kwiaty. A nie zajrzałem do niej przed wyjściem z domu.

## Osiemnaście dni do egzekucji

Kiedy czekaliśmy z Billem na śmierć Manuela Abła Gutierrez, marznąca mżawka zamieniła autostradę we wstęgę połyskującego lodu. Z takich warunków jankesi nabijają się na Facebooku, pokazując zdjęcia rozsyanego na chodniku lodu z mrożonej kawy, przez który niby zamyka się u nas szkoły, albo rysunki, na których widać, jak pojedynczy płatek śniegu powoduje karambol na drodze. Byłoby to nawet zabawne, gdyby nie fakt, że w Teksasie naprawdę nawet najmniejsze oblodzenie jest śmiertelnie niebezpieczne.

Skręciliśmy na trasę I-45 i już po sześciu minutach jazdy Bill oznajmił, że nie zamierza przez cztery godziny, które dzielą nas od Fort Worth, sunąć po lodowisku, po czym po prostu zawrócił. Tak trafiliśmy do wiktoriańskiego zamku z lodu, stojącego dwie przecznice od komory straceń i jej powoli rozwiewającej się chmury. Mieliśmy szczęście, że właścicielka pensjonatu, osiemdziesięciosiedmioletnia pani Munson, zechciała odebrać telefon o dwudziestej trzeciej dwadzieścia sześć. W żadnym z hoteli przy autostradzie nie było wolnych miejsc, a na parkingach nie wcisnęłoby się nawet szpilki pomiędzy auta, które wyglądały jak posypane cukrem pudrem matchboksy.

Bill puszcza wodę w swojej łazience. Szum przenika przez ścianę i wsącza się dwucentymetrową przerwą między podłogą a drzwiami łączącymi nasze pokoje. Kiedy wchodziliśmy po schodach na piętro, pani Munson trzy razy nas zatrzymywała i powtarzała, że w całym domu założona została nowa instalacja wodno-kanalizacyjna i centralne ogrzewanie; tak jakby próbowała się wytłumaczyć, skąd cena trzystu dolarów za pokój. Siadam na łóżku i lekko podskakuję, przesuwając palcami po drobnych ściągach kapy w niebieskie i żółte tulipany. Mam ochotę powiedzieć pani Munson, że jej kwatery jest warta każdego centa.

Pokój spodobałby się Lydii. Ściany w radosnym kolorze cytryny, a na komodzie posępne oblicza zmarłych przodków. Lampa z kutego żelaza z abażurem obrębionym złotą nitką daje blask jak mały kominek. Marznący deszcz stuka w szybę, jakby ktoś dzwonił zębami.

Położyłaby się na łóżku i wymyśliła ponury romans z wiszącą w uchylonej szafie zwiewną jak duch staroświecką suknią ślubną w roli głównej. I drugą opowieść, jeszcze bardziej przerażającą, o drzwiach do innego wymiaru ukrytego w ciemnym zakątku starego mebla. Może połączyłaby obie historie w jedną. Znow byłybyśmy małymi dziewczynkami, takimi jak w czasach

przed potworami i druzgocącymi słowami, znów zamieszkiwałybyśmy tę samą krainę wyobraźni.

Krótkie pukanie do drzwi łączących pokoje.

– Wejdz, Bill – mówię od razu.

Staje w progu. Jest ubrany w dżinsy i T-shirt, który musiał mieć pod koszulą.

– Znalazłem w szafce szczoteczki do zębów. Chcesz jedną?

Zsuwam się z łóżka i podchodzę do niego.

– Dzięki. – Mam do wyboru niebieską albo złotą. Biorę tę pierwszą. – Napiłabym się wina. Albo może tequili.

– Obawiam się, że tego nie znajdę w szafce w łazience. Ale mogę przynieść butelkę wody z lodówki na korytarzu. Chcesz?

– Poproszę.

Znika w swoim pokoju. Mogłam mu powiedzieć, że miałby bliżej, gdyby przeszedł przez mój pokój. Zachowujemy wobec siebie stosowny dystans. Wcześniej, zanim poszliśmy na egzekucję, Bill oficjalnie w imieniu Terrella złożył w sądzie federalnym wniosek o odwołanie na mocy *habeas corpus*. Podkreślił w nim pseudonaukowość informacji zebranych przed laty podczas badań DNA rudego włosa, przytoczył przytłaczające dane statystyczne na temat błędów w identyfikacji sprawców na podstawie wskazań świadków, a także załączył moje oświadczenie – oświadczenie żyjącej ofiary, która uważa, że prześladowa ją prawdziwy morderca Polnych Kwiatów, i która gotowa jest zeznawać.

Nie wspomniał o tajemniczych kępkach rudbekii, książce Poego zakopanej na tyłach domu Lydii ani o zębie znalezionym w starym kartonie.

Wiele razy żałowałam, że nie zachowałam znalezionego pod drzewem chorego wierszyka, tylko porwałam go na strzępy i wyrzuciłam razem z buteleczką, w której był ukryty. Pobranie DNA albo odcisków palców z papieru i plastiku po tylu latach mogło się co prawda okazać niemożliwe, ale przynajmniej miałabym namacalny dowód, że nie zmyślam.

Bill sądził, że na tym etapie będziemy dysponowali bogatszym materiałem niż tylko wnioskiem, ale ma też nadzieję, że to wystarczy do przekonania sędziego, by rozpatrzył apelację. Liczy, że tymczasem Jo znajdzie w szczątkach coś, co pomoże sprawie.

– No proszę – mówi, w ręce trzyma wodę. – Masz kablówkę. Szkoda tylko, że prawie nie widać telewizora z za tych grubych jak pnie drążków od baldachimu. Dzwoniłaś do Lucasa?

– Tak, wszystko w porządku. Charlie śpi.

– Możemy chwilę porozmawiać?

– Jasne.

Przysuwa sobie stojące obok komody krzesło z siedziskiem haftowanym w róże. Ja zajmuję miejsce na łóżku.

– Któregoś dnia zapytałaś mnie, czy jest jakaś szansa... – zaczyna. – Po dzisiejszym dniu... chyba powinienem być z tobą szczery. Moim zdaniem Terrell najprawdopodobniej zostanie stracony. Wiem, że ten dzień był trudny. Spotkanie z Terrellem. Egzekucja. Nie ma znaczenia, co sądzisz o karze śmierci. Jeszcze pięć lat temu sam ją popierałem. Jesteś za czy przeciw, to jest tak samo cholernie przygnębiające.

Zdumiewa mnie to wyznanie. Nie sądziłam, że Bill ma jakiegokolwiek wątpliwości.

– Zmieniłem zdanie z dwóch przyczyn. Pierwszą było prawnicze olśnienie, którego doznałem w chwili, gdy zdałem sobie sprawę, że bogaci biali faceci i biedni czarni faceci jadą na różnych wózkach. Drugą była Angie. Dzięki niej poznałem dwóch mężczyzn oczekujących na wykonanie wyroku śmierci. Byli winni jak diabli. Jeden z nich, naćpany metadonem, wpadł na posesję i zastrzelił starszą kobietę na wózku inwalidzkim, po czym wbiegł do domu i ukradł jej torebkę. Angie uważała, że dopiero wtedy nauczę się wykonywać tę pracę w zadowalający sposób, kiedy zrozumie, że nie chodzi wyłącznie o udowodnienie niewinności. I że zawsze muszę się angażować całym sobą. Muszę rozumieć, że ci w celi śmierci to istoty ludzkie, które dopuściły się potwornych czynów, ale to wcale nie znaczy, że są potworami. Mężczyźni, których poznałem w celach skazańców, nie są tymi samymi ludźmi, którzy popełnili zarzucane im zbrodnie. Są trzeźwi. Odrodzili się. Okazali skruchę. Albo zwariowali. – Odchyła się na krzesło. – Czasem, ale niezbyt często, są niewinni.

Zastanawiam się, jak długo dusił w sobie tę przemowę i dlaczego zdecydował się wygłosić ją akurat dzisiaj.

– Sama nie wiem, co sądzę o karze śmierci – mówię.

Dałam obietnice, których muszę dotrzymać.

– A Terrell?

– Nie potrafię o nim rozmawiać.

Kiwa głową.

– Wyśpij się.

Gdy tylko zamyka za sobą drzwi między naszymi pokojami, czuję rozpaczliwą potrzebę zmycia z siebie tego dnia. Wchodzę do łazienki urządzonej w stylu łączącym staroświeckość z nowoczesnością, zdejmuję

ubranie i kładę je na blacie. Wiem, że rano będę się bała je włożyć, bo jest skażone śmiercią. Ale w plecaku nie mam niczego na zmianę, tylko dwa batony, butelkę wody oraz szpulkę jedwabnej nici i igły – na wypadek, gdyby nasza mnie ochota pobawić się w koronkarce. W ostatniej chwili wrzuciłam jeszcze stenogram zeznań, w razie gdyby Bill zapytał, czy przeczytałam. Nie, nie przeczytałam. Otworzyłam kopertę, wyjęłam dokumenty i z powrotem je schowałam.

Odsuwam zasłonę prysznic i przekręcam gałkę. Od razu zaczyna lecieć gorąca woda. Myję się bardzo dokładnie, trzy razy, i dopiero wtedy wychodzę na śliskie białe płytki i z ociąganiem nakładam brudną bieliznę i białą bawełnianą koszulkę na ramiączkach, spodnią warstwę mojego nieudanego ubioru na cebulkę. Wycieram włosy, aż stają się rudą burzą loków, zbyt zmęczona, żeby użyć drogiej ceramicznej suszarki, która leży na blacie.

Wsuwam się w chłodną pościel. Przechodzą mnie dreszcze, staram się nie myśleć o rozpaczającej matce, która dziś wieczorem musiała pojechać do kostnicy. Która miała nadzieję, że dziś, po raz pierwszy od lat, dotknie ciała swojego syna mordercy. Póki wciąż ciepłe.

O czwartej zero dwie nagle otwieram oczy. Z trudem łapię powietrze. Czuję się, jakby ktoś zabrał poduszkę, którą przyciskał do mojej twarzy.

*Lydia.*

Przez okno wsącza się chłodne światło. Zawieja minęła. Szalona gonitwa mojego umysłu.

Wybiegam myślą ku Charlie, bezpiecznej w domu, opatulonej kołdrą. Wyobrażam sobie, jak łagodnie oddycha – wdech, wydech – i nabieram powietrza. Wspominam Lydię przystawiającą papierową torebkę do moich ust po wyścigu, każącą mi oddychać. Oddycham więc – wdech, wydech.

Lydia, Lydia, Lydia. Opanowała pokój. Dawna Lydia, która sprawdzała mi puls, i ta druga, która drapie od środka spoczywającą w plecaku kopertę od Billa, próbując wydostać się na zewnątrz.

Czyżbym przegapiła wskazówki? Czy też od definitywnego zerwania wszelkich kontaktów dzieli nas wszystkich jedna zdrada, nawet jedno zdanie? Zawsze, zawsze broniłam najlepszej przyjaciółki. Nawet dziadek, miłośnik nieposkromionej wyobraźni Lydii, nie był do niej do końca przekonany.

Zapytał mnie kiedyś, co takiego w niej widzę.

– Jest inna od wszystkich – odpowiedziałam, trochę jakbym próbowała się bronić. – I lojalna.

Zmieniła się w ciągu miesiąca poprzedzającego proces. Dawna Lydia

naśmiewała się z push-upów Wonderbra. Wsuwała dłonie pod piersi, układała je tak, że sterczały jak dwa szczyty górskie, i parodiowała reklamy z Evą Herzigową. „Spójrz mi w oczy i powiedz, że mnie kochasz”. Wysuwała nogę, kładła dłonie na biodrach, wypinała biust i pytała: „Czy to ważne, że jestem nieuczczona?”.

Nowa Lydia kupiła stanik Wonderbra i nosiła go. Narzekała, że wszystkie chłopaki w liceum chcą dostać czystą tabliczkę, po której będą mogli pisać swoimi ołówkami. Zaczęła się opuszczać w nauce. Wyrzekła się Dr. Peppera i kulek serowych, a także, co było najgorsze, przestała nawijać tak, jakby pozjadała wszystkie rozумы. Wiem, że powinnam była ją przycisnąć, ale tkwiłam w pułapce, którą stał się mój umysł.

Dawna Lydia strzegła moich tajemnic.

Nowa Lydia rozpowiadała je światu.

Stoję przy jego łóżku. Kołdra wygląda jak zaspą, jakby przez sufit do pokoju napadał śnieg. Bill leży plecami do mnie. Jego pierś porusza się rytmicznie

„To nie w moim stylu”, myślę, zdejmując koszulkę, która bezszelestnie opada na podłogę. Nie gram w takie gierki. Nie działam impulsywnie. Nie jestem taka. Unoszę kołdrę i wchodzę pod nią. Przysuwam swoje nagie ciało do gorących pleców Billa. Jego oddech zamiera. Odczekuje kilka wymownych sekund i dopiero wtedy odwraca się do mnie, jednocześnie odsuwając się na parę centymetrów.

– Cześć – mówi. W tej ciemności nie widzę, jaką ma minę.

„To był błąd” – myślę. On już zdążył przejść do porządku dziennego nad tym, co się między nami wydarzyło. Za chwilę mnie od siebie odepchnie.

Nie odpycha jednak, tylko zaczyna palcem wodzić po moim policzku, tym bez szramy. Nagle uświadamiam sobie, że z oczu płyną mi łzy.

– W porządku? – pyta chropowatym głosem. Zachowuje się elegancko, chce mi dać ostatnią szansę na wycofanie się, po tym jak uczyniłam z siebie nagi prezent, wchodząc mu do łóżka.

– Nie jestem taka – mówię. Wyciągam szyję i przesuвам językiem po uchu Billa.

– Bogu dzięki – odpowiada i przytula mnie.

Ptasie wezwanie pomocy przerywa ciszę i wyrywa mnie ze snu. Przenikliwy apel dolatuje z gałęzi tuż za oknem. „Czemuż świat zamarzł? Gdzież się wszyscy podziali?”

Zwlekam się z łóżka, rezygnując z rozkosznego ciepła Billa, który oddycha

równomiernie.

Zamykam drzwi łączące nasze pokoje i znów jestem po swojej stronie. Przeżywam ponownie zbliżenie, do którego właśnie doszło. Nie robię takich rzeczy, chyba że jestem zakochana. Skąd mam być pewna, że pociągam go ja, a nie migoczący powab Polnego Kwiatu?

Moja czerwona kurtka North Face wisi na kłamce i ocieka wodą, jakby broczyła krwią. W wąskim wazonie stoi samotny biały storczyk, choć przecież nikt nie wiedział, że będę tu dziś spała. Młoda kobieta ze zdjęcia w staroświeckiej ramce obserwuje mnie chłodnym wzrokiem, tak jakby chciała powiedzieć, że nie mam czego szukać w jej pokoju. W zasadzie jest dziewczynką, mniej więcej w wieku Charlie. Na głowie ma koszyczek z grubego warkocza, od którego można dostać migreny. Wyobrażam ją sobie z rozpuszczonymi włosami i oczami podkreślonymi kosmetykami MAC, takimi jakich używa Charlie. Podnoszę fotografię z komody i sprawdzam, co jest z tyłu.

*Mary Jane Whitford, urodzona 6 maja 1918 roku, zmarła 16 marca 1934 roku, kiedy więzień przemierzający pole trzciny cukrowej nieoczekiwanie wyszedł prosto przed jej powóz i przestraszył konie.*

Atrakcja turystyczna. Zupełnie jak ja.

Teraz rozumiem, dlaczego Lydia odwiedziła mnie akurat tutaj, w tym pokoju, który jest jak koronka naszyta na tkaninę tego miasta. W miejscu, w którym śliczna dziewczyna z warkoczami przypomina mi, że nie mamy wyboru.

Trzy godziny temu o mało nie straciłam życia na szosie I-45, w połowie drogi między Huntsville a Corsicaną. Byłoby to ironiczne zamknięcie mojej historii: jedyny ocalały Polny Kwiat skoszony przez ciężarówkę przewożącą wypieki. Trzydzieści metrów przed nami kierowca osiemnastokółowego giganta wpadł w poślizg i jego auto złożyło się jak szwajcarski scyzoryk. Gdyby poślizg był dyscypliną olimpijską, kierowca zdobyłby medal. Jediną rzeczą, która przyszła mi do głowy w ciągu tych sześciu sekund, kiedy pędziliśmy z Billem na spotkanie z wielkim pączkiem z posypką, było pytanie: „Naprawdę tak to się skończy?”.

Skończyło się jednak tak, że zmieniałam zdanie na temat samochodów BMW. Kierowcy tych aut nie bez powodu mają się za lepszych od innych.

Drzwi otwiera Lucas. To dobrze, bo nie pamiętam nowego kodu, na który

się uparł, i źle, ponieważ Bill podwiózł mnie pod same drzwi, żeby mieć pewność, że nic więcej mi się nie przytrafi. Odwracam się, żeby mu pomachać, ale on już cofa na jezdnię. Mam nadzieję, że uwierzył mi, kiedy powiedziałam, że nie śpiam z Lucasem.

Atmosfera przy śniadaniu w pensjonacie była trochę niezręczna. Bill siedział naprzeciwko mnie przy stole elegancko zastawionym delikatnymi kryształami i srebrami, zaś pani Munson zajęła miejsce u szczytu i radośnie paplała o tym, że misterne zdobienia stojącego obok nas kredensu wykonali więźniowie. Nie było sposobu, aby oprzeć się dziełu sztuki, które przyniosła nam córka pani Munson: puszystemu naleśnikowi z truskawkami oprószonemu cukrem pudrem.

Może Billowi zepsuło humor to, że obudził się sam. Później, w samochodzie, oboje czekaliśmy, aż to drugie poruszy temat nocnej bliskości. Te wspólne pół godziny w nocy wydawało się snem sprowadzonym przez dom, któremu brakowało dźwięków i sensu dawnego życia: ślubów na trawniku, porodów w łóżku, wystawiania zwłok w otwartej trumnie w salonie. Tyle że wciąż czuję na sobie dłonie Billa.

Po tym, jak Bill uniknął zderzenia z ciężarówką, cisza, która panowała w samochodzie, stała się jeszcze bardziej krępująca. Jakby ratowanie życia wyczerpywało Billa.

Ponieważ wciąż dręczą mnie damsko-męskie niepokoje, ciągle noszę na sobie śmierć, tak jak nosi się palto, i nadal nie opuszcza mnie radość, że nie zostałam naleśnikiem, dopiero po dłuższej chwili zauważam minę Lucasa.

– Witaj w domu – mówi.

Wydaje się niespokojny. Zdejmuje mi plecak z ramion, kiedy wchodzę do salonu.

– Co się stało? – pytam.

– Ktoś sprzedał informację o twoim... przecuciu... że morderca Polnych Kwiatów przez lata sadił dla ciebie rudbekie. W telewizji tak zwani eksperci rozwodzą się nad stanem twojego zdrowia psychicznego. Poza tym krąży niewyraźne zdjęcie kobiety ze szpadlem, zrobione niedaleko starego wiktoriańskiego domu, w którym mieszkałaś. To podobno, a raczej *na pewno*, ty. Chociaż w sumie trudno powiedzieć.

– Kiedy się o tym dowiedziałeś?

– Usiądź, dobrze?

– Siedziałam przez parę godzin.

Lucas wpatruje się we mnie badawczo.

– Charlie przysłała mi esemes. Zdjęcie krąży po Twitterze i Instagramie.



– Cholera. Cholera jasna!

Waha się.

– Musiałem odłączyć telefon. Po co ci w ogóle numer stacjonarny?

– Możemy teraz o tym nie rozmawiać? Bo to nie ma żadnego znaczenia, prawda? Terrell zostanie stracony. Nie da się ochronić Charlie.

Podchodzę do kuchennej wyspy, na której Lucas położył listy. Staje za mną, masuje mi ramiona. To miłe. Widać, że się troszczy. Ale nie pomaga mi. Jego palce wcierają w skórę śmierć klejącą się do ubrania.

Uwalniam się od niego niby od niechcenia.

– Co to? – Obracam w palcach otwarte kartonowe pudełko. Obok na blacie leży książka w miękkiej okładce.

– Przyszło wczoraj pocztą. Charlie otworzyła pudełko, bo myślała, że to *Paragraf 22*, który musi przeczytać jako lekturę na angielski. Mówiła, że tydzień temu prosiła, by ją zamówić.

– Zapomniałam. Nie zamawiałam ani *Paragrafu 22*, ani żadnej innej książki.

– Twoje nazwisko jest na naklejce adresowej. – Odwraca pudełko do góry nogami, żebym mogła sama się przekonać.

– Gdzie paragon?

Przenoszę spojrzenie na okładkę. Niewyraźna sylwetka pół zjawy, pół dziewczyny wyłania się z morza u stóp skalistego wybrzeża. *Piękny duch* Rose Mylett.

Rose Mylett. To nazwisko kojarzy mi się z czymś nieprzyjemnym. Tylko nie pamiętam z czym.

Lucas zagląda do pudełka.

– Jest paragon. Wygląda, że ktoś ją kupił jako prezent. Jest nawet wiadomość: „Liczę, że się spodoba”. I tyle.

*Liczę, że się spodoba.* Zwyczajne słowa, a przebiegają mi po kręgosłupie jak cztery pająki.

– Dobrze się czujesz? – pyta Lucas.

– Pewnie – odpowiadam tępo. – To tylko książka. Prezent. Muszę to z siebie zrzucić. – Pokazuję na ciuchy.

– Jeszcze jedno. Była tu twoja znajoma, Jo. Masz do niej zadzwonić. Podobno przyjeżdża geochemik, jakiś jej kolega, który prowadzi badania szczątków Kwiatów, i Jo chce, żebyś się z nim spotkała. Aha, co do tego zęba z ogródka dziadka. Należał do kojota.

Dwadzieścia minut do powrotu Charlie ze szkoły. Trochę więcej, zanim Lucas

wróci z polowania na *Paragraf 22* i ze „spotkania”, co według jego szyfru oznacza nową „przyjaciółkę”.

Nie mam czasu na suszenie włosów. Narzucam szlafrok, mocno związuje się w pasie, przetrząsam szufladę Charlie w poszukiwaniu grubych skarpet i z laptopem na kolanach siadam na nieposłanym łóżku córki. Pod moją nieobecność komputer zadomowił się w pościeli Charlie.

Prysznic przywrócił mnie do życia, pulsuje we mnie energia i szalenie pewność, że skądś znam Rose Mylett. Jej nazwisko świdruje mi w głowie, jest ważniejsze od mojego krążącego po Twitterze zdjęcia w pozie Ponurej Żniwiarki i od telefonu do Jo, żeby posłuchać o kolejnych beznadziejnych próbach odczytania nazwisk w prochu. Uparte te kości.

Trafiam od razu. Pierwsza Rose Mylett, która ukazuje się w oknie przeglądarki, wcale nie jest autorką kryminałów. Zdjęcie na ekranie nie przedstawia wyretuszowanego wizerunku pisarki próbującej wyglądać mądrzej, piękniej i dziesięć lat młodziej.

Tej Rose Mylett nie ma już wśród żywych. Została zamordowana w 1888 roku. Wiele wskazuje na to, że padła ofiarą Kuby Rozpruwacza. Była prostytutką, znaną również jako Catherine, Lizzie Pijaczka i Piękna Alice. Kiedy znaleziono ją z odciskiem sznura na szyi, miała na sobie liliowy fartuch, czerwoną flanelową halkę i skarpety w niebiesko-czerwone paski.

Na krótko przenoszę się w przeszłość. Mam czternaście lat, siedzę w drugim rzędzie, maluję usta pomadką Pink Lemonade i słucham wypracowania Lydii o Kubie Rozpruwaczu, po którym połowa klasy miała koszmary.

W terażniejszości nieustannie przebieram palcami. Przechodzę na następną stronę, cztery linijki dalej, znajduję: „Rose Mylett, pisarka, autorka *Pięknego ducha*. Co – pół wieku później – Elizabeth Bates próbuje nam powiedzieć o tym, jak została zamordowana”. Zgadza się, to ta sama książka, która leży na blacie w kuchni. Szybko czytam streszczenie. Historia nic mi nie mówi – to opowieść o młodej członkini brytyjskiej rodziny królewskiej, która podczas miesiąca miodowego zaginęła na urwistych klifach północnego Devonu. Sto osiemdziesiąt cztery recenzje, ocena cztery i sześć dziesiątych gwiazdki. Książka ukazała się przed pięcioma laty w Wielkiej Brytanii. Brakujące do pełnej doskonałości cztery dziesiąte punktu doprowadziłyby Lydię do szewskiej pasji. Nie ma biogramu autorki. Ani też informacji o innych jej dziełach. Strona uprzejmie sugeruje, że jeśli podoba mi się ta autorka, powinnam sięgnąć również po „następujące książki Annie Farmer i Elizabeth Stride”. Szybko googluje te nazwiska, ale nawet bez tego już wiem. Kolejne

dwie ofiary Kuby Rozpruwacza. Sprytnie, Lydio.

Bo to musi być sprawka Lydii, prawda? Najpierw kwiaty. Teraz prezent w postaci książki.

Więc jednak żyje. Nadal interesuje się tym, co mroczne. Kradnie pseudonimy żalonym martwym dziwkom. Zbija kapitał na potwornym smutku. I z jakiegoś nieludzkiego powodu prowadzi ze mną grę.

Czemu nagle wróciłaś, Lydio?

Zamykam laptop.

Moja córka wróciła do domu.

Przez kilka cennych chwil nasiąkam atmosferą artystycznego nieładu tego miejsca – pokój to cała Charlie: czarna tablica, którą zeszłego lata sama pomalowała, dziś pokryta cytatami ze Stephena Colberta i niezłym graffiti autorstwa zdolnych znajomych; zbiór wiszących u sufitu na przymocowanej pinezka żyłce ozdóbek z księżycem i gwiazdami; na parapecie kolekcja w różnym stopniu wypalonych świec. Trofea, które pochowała na najwyższej półce w szafie, bo „nie chce się chwalić”.

W pośpiechu, słysząc szczeł klucza w zamku, wlewam płyn do zasobnika pralki.

– Mamo?

– Jestem w pralni! – odkrzykuję.

Trzy łupnięcia: plecak, jeden but, drugi but – wszystko ląduje na podłodze. To dobre dźwięki.

Charlie podchodzi do mnie i obejmuje od tyłu, akurat kiedy zamykam pokrywę pralki, po tym jak włożyłam do niej ubrania, które chyba już zawsze będą mi się wydawały brudne.

– Rany, czemu jest tak zimno na dworze? – pyta. Nie: „Dlaczego z ciebie taki dziwoląg? Dlaczego musisz być jedną z tych matek, których zdjęcia krążą po Twitterze?”.

Przytulam ją mocniej.

– Tęskniłam – mówi. – Co jemy?

Uwalnia mnie z uścisku. Postanawiam dolać jeszcze trochę wybielacza do prania.

– Ja też za tobą tęskniłam. Myślałam, żeby zrobić jawłotki.

– Super.

Jawłotki to nasza własna nazwa jajek à la nawłoc, naszego jedzenia na pocieszenie. Przygotowuje się je tak, że z ugotowanych na twardo jajek bierze się biało, sieka się je bardzo drobno, potem smaży na maśle z mąką i smaruje się tym grzanekę, którą na koniec posypuje się pokruszonym

zółtkiem. Do tego dużo soli i pieprzu. Do picia dr pepper. Kiedy straciłam wzrok, ciocia Hilda robiła mi jawłotki raz w tygodniu.

– Przepraszam za... to, co dzisiaj – mówię.

– Nie ma sprawy. Moi znajomi i tak nie wierzą, że to ty. Postanowili bojkotować tych, którzy udostępniają to zdjęcie. Usmażysz do tego bekon? I wiesz co, nie włączaj jeszcze pralki, bo mam tonę ciuchów z siatkówki. Ciągłe ktoś zapomina o jakichś gów... głupich drobiazgach i trener każe nam biegać. *Wszystko* mi śmierdzi. Poza tym matka jednego chłopaka *wariuje*, bo na stopie zrobiło mu się takie parchate coś. Goście w kombinezonach jak z *Gwiezdnych wojen* umyli szatnie i teraz wszyscy w szkole cuchną lizolem. To znaczy, chłopaki cuchną lizolem i do tego axem.

– Hm, niedobrze. – Zamykam pokrywę. – Spokojnie, potem wstawię jeszcze jedno pranie.

– Ale przecież pralka jest prawie pusta – protestuje Charlie. – Od razu pójdę po te brudy. Nie mogę jutro niczego zapomnieć. Drużyna *nie zniesie* więcej biegania.

Zdjęła już to, co miała na sobie. Stoi w staniku, majtkach i podkolanówkach – pogodna, melodramatyczna, typowo amerykańska dziewczyna. Czternaście lat temu była zachwycającą różową paczuszką z czerwoną wstążeczką, wysłaną do nastoletniej Tessie po to, aby zechciała pozostać na ziemi.

– Nie szkodzi. – Dopycham niedomkniętą pokrywę. – Nie chcę, żeby coś zafarbowało i pobrudziło twoje ciuchy.

Kłamstwo i prawda jednocześnie.

Siedzę już w pidżamie, kiedy przypominam sobie, że miałam zadzwonić do Jo. Odbiera po pierwszym sygnale.

– Tessa? – odzywa się z niecierpliwością w głosie.

– Przepraszam, że dopiero teraz oddzwaniam.

– Nie szkodzi. Rozmawiałam z Billem. Opowiedział mi o waszej wyprawie. Lód i smutek, zero tequili. Brzmi parszywie. Czy możesz jutro wpaść do mnie do biura?

– Tak, jasne – odpowiadam odruchowo, choć tak naprawdę chciałabym przekręcić klucz w drzwiach i nigdy więcej nie wychodzić z domu.

– Muszę cię o czymś uprzedzić, zanim się spotkamy, bo to wyjdzie na prezentacji. – Jo szybko wyrzuca z siebie słowa. – Zataiłam przed tobą pewną rzecz, bo uznałam, że... to będzie dla ciebie za wiele. Mam nadzieję, że zrozumiesz. Otóż półtora tygodnia temu jedna z moich doktorantek kończyła

katalogowanie pozostałości Kwiatów pochodzących z tych dwóch trumien, które odkopaliśmy. Jak się pewnie domyślasz, było tego całkiem sporo: ziemia, glina, piach, kawałki kości. Po tym, jak odkryliśmy, że koroner, który przed laty pracował nad sprawą, nie zauważył obecności trzeciej prawej kości udowej, chciałam mieć pewność, że nie pominiemy niczego, nawet najmniejszego kawałka. Nawiasem mówiąc, przeglądamy inne dawne sprawy tego koronera i znajdujemy kolejne błędy.

– Jo, po prostu powiedz, o co chodzi.

– Moja studentka miała przecucie w związku z małą chrząstką. Przecucie się potwierdziło. Otóż chrząstka pochodzi z płodu. Jedna z niezidentyfikowanych dziewcząt (albo obie) była w ciąży. Płód był płci żeńskiej. Porównaliśmy DNA dziecka z DNA Terrella. Na dziewięćdziesiąt dziewięć i sześć dziesiątych procent możemy wykluczyć, że był ojcem dziecka. Wprowadzamy informacje do policyjnych baz danych. Kto wie, może na coś trafimy. Może pojawi się nowy trop.

*Oczywiście, że Terrell nie był ojcem.*

Liczę w myślach. Sześć dziewcząt w grobie. Merry i ja. Hannah jako trzecia. Dwa zestawy niezidentyfikowanych kości. I teraz jeszcze dziecko. Głos jednego z Kwiatów brzęczy mi w głowie, przypomina, bo może zapomniałam.

To ja znam odpowiedzi.

## Wrzesień 1995 roku

Al Vega: Tessie, opowiedz nam, proszę o „pyłku Polnego Kwiatu”.

Tessa Cartwright: Trudno to wyjaśnić. Moja przyjaciółka Lydia wymyśliła tę nazwę.

Al Vega: Opowiedz najlepiej, jak potrafisz. Może zacznij od tego, jak podczas ulewy wyszłaś na dwór, a twój ojciec nie potrafił cię przekonać, żebyś wróciła do środka.

Tessa Cartwright: Myślałam, że jeśli postoję na deszczu wystarczająco długo, uda mi się zmyć pyłek.

Al Vega: Czy ten pyłek jest czymś, co można zobaczyć?

Tessa Cartwright: Nie.

Al Vega: A kiedy po raz pierwszy zorientowałaś się, że go masz?

Tessa Cartwright: W dniu, w którym wróciłam do domu ze szpitala. Jak mówiłam, nie widzę go. Przez pewien czas wydawało mi się, że to przez odżywkę, którą stosuję. Przez mydło, którego używam. Przez płyn, w którym pierzemy ubrania. Uznałam, że dlatego nie jestem w stanie się go pozbyć.

Al Vega: Czy teraz też go masz?

Tessa Cartwright: Tylko trochę. Najgorzej było, kiedy znalazłam go w parmezanie, którym posypałam spaghetti. Wymiotowałam przez całą noc.

## Siedemnaście dni do egzekucji

Na stole konferencyjnym Jo nie leżą szczątki Kwiatów. Stoi jedynie samotne brązowe pudełko z chusteczkami. Czuję się, jakby ktoś wbił mi nóż w serce.

Bałam się, że spóźnię się na spotkanie, ale kiedy otworzyłam drzwi prowadzące do sali konferencyjnej, okazało się, że przyjechałam pierwsza. Pokój jest pusty, są w nim jedynie krzesła i stół, a także wyczuwalne odium bólu, które pozostawili po sobie matka i brat Hannah. Gdyby istniała lampa światła czarnego zdolna do wykrywania smutku i złości, na pewno ujawniłaby, że ściany tego pokoju są nimi pokryte jak miejskie mury graffiti w stylu Dalego. Żal i gniew pochodzą nie tylko od rodziny Hannah, lecz od wszystkich, którzy siedzieli w tym miejscu, czekając, aż ich bliscy zostaną sprowadzeni do zbioru niezachwianych zasad i praw nauki.

Drzwi się zamykają. Mam poczucie, jakby światło jarzeniówki ograniczało dopływ krwi do mojego mózgu. Wybieram krzesło, na którym nie tak dawno siedział na baczność brat Hannah w mundurze galowym. Staram się wyłączyć myśli.

Otwierają się drzwi i wszyscy wsypują się do sali konferencyjnej: Bill, porucznik Myron, Jo i jej rosyjski znajomy, doktor Igor Aristow, geniusz z Galveston.

– Igor, jak Igor Strawiński – wyjaśniła mi wczoraj wieczorem przez telefon Jo, oczywiście wiedząc, że na dźwięk tego imienia wyobrażam sobie Frankensteina garbusa, a nie kompozytora *Święta wiosny*.

Igor nie ma garbu, nie nosi czarnego kaptura ani nie przyprawia mnie o gęsią skórę wielkimi, wyłupiastymi oczyma. Igor jest wysoki i dobrze zbudowany, ubrany w spodnie w kolorze khaki i czerwoną koszulkę polo. Ma ciepłe, orzechowe oczy otoczone siateczką drobnych zmarszczek, a skronie lekko, prawie niezauważalnie przyprószone siwizną.

Natychmiast podchodzi do mnie i wyciąga rękę.

– Pani Tessa, prawda? Miło mi poznać.

Mówi z tak silnym akcentem, że większość kobiet chciałaby, aby powtarzał ich imię w nieskończoność, nie puszczać dłoni. Mnie to nie bierze. Znalazłam się tutaj wyłącznie dlatego, że zależało mi na zrobieniu pojednawczego gestu w stronę Jo. Nie chcę wysłuchiwać gdybania Igora. Nie sądzę, aby ten laboratoryjny geniusz był w stanie wyciągnąć królika z kapelusza, zatem muszę posłuchać Billa. Muszę pogodzić się z losem

Terrella.

Porucznik Myron siada pierwsza. Wygląda na zmęczoną – czy to samo można powiedzieć o mnie?

– Usiądźmy – mówi Jo. – Postaramy się załatwić to szybko. Ellen miała ciężką noc.

– Policjant i jego świeżo upieczona żona. Wzięli ślub pół roku temu – wyjaśnia porucznik Myron. – Strzelił jej w twarz, po jednej kuli za każdy miesiąc, który byli razem... Mów śmiało, Jo.

Jo przytakuje. Jest spięta, nie wie, co zrobić z rękami. Nigdy wcześniej nie widziałam jej tak wyraźnie podenerwowanej.

– Przeważnie – zaczyna – wysłałam Igorowi próbki proszku z kości, a on podaje mi wyniki e-mailem. Standardowa wymiana danych pomiędzy naukowcami. Tym razem jednak chciałabym, żeby wasza trójka usłyszała na własne uszy, co Igor ma do powiedzenia. Być może jakiś szczegół uruchomi trybiki w waszych głowach. – Stara się nie patrzeć na mnie. Nie ulega wątpliwości, że trybikami, na których uruchomieniu jej zależy, są przede wszystkim te znajdujące się w mojej głowie.

Igor usadowił się u szczytu stołu.

– Jestem geochemikiem, pracuję jako geolog w zakładzie medycyny sądowej. Czy któreś z was wie, na czym z grubsza polega analiza izotopowa? – pyta i nie czekając na odpowiedź, ciągnie: – Postaram się wyjaśnić najprościej, jak tylko się da. Nazwę omawiane przypadki Kwiat Jeden i Kwiat Dwa. Otrzymałem do analizy próbki z kości udowej Kwiatu Jeden oraz próbki czaszki i zębów Kwiatu Dwa. Dostałem również niewielki fragment płodu należącego do Kwiatu Dwa. Udało mi się ustalić, że jedna z kobiet większość życia przemieszkała w Tennessee, a druga z całą pewnością pochodziła z Meksyku.

– Słucham? – Zaskoczenie Billa rozładowuje napięcie panujące w pomieszczeniu. – Jak to możliwe? Skąd pan to wie?

Igor przenosi spokojne spojrzenie na Billa.

– Kości wchłaniają markery chemiczne charakterystyczne dla gleby na danym terenie. Do pewnego stopnia zachowała ona takie same proporcje składników – tlenu, ołowiu, cynku i tak dalej – jakie miała przed setkami tysięcy lat, kiedy formowały się góry i rzeki. Istnieją również bardziej współczesne markery. Łatwo stwierdzić, że Kwiat Jeden była Amerykanką, a nie Europejką, ponieważ na obu kontynentach produkcja paliwa ołowiowego przebiegała w odmienny sposób.

– Czyli że cały ten syf, który wisi w powietrzu, przenika do naszych kości?



– chce wiedzieć zaintrygowana porucznik Myron. – Ale przecież nie używa się już benzyny ołowiowej.

– To nie ma znaczenia – odpowiada cierpliwie Igor. – Pozostałości takiego paliwa, mimo że od wielu lat jest ono zakazane, nadal utrzymują się w glebie i przenikają do kości. Markery znalezione w materiale pobranym z Kwiatu Jeden wskazują również na to, że znaczną część życia spędziła ona w pobliżu kopalń określonego typu, prawdopodobnie w okolicach Knoxville. Nie potrafię powiedzieć, ile dokładnie lat tam mieszkała, ani precyzyjnie wskazać miejsca, w którym zmarła. Mógłbym spróbować to zrobić, gdybym miał do dyspozycji jej zebro. Żebra bowiem stale rosną, zmieniają się i absorbują związki chemiczne z otoczenia. Badanie zebra z reguły pozwala ustalić miejsce zamieszkania ofiary w ciągu ostatnich ośmiu, dziesięciu lat. No, ale w tym przypadku wielu kości brakowało i grób okazał się, że tak to ujmę, pudełkiem pełnym nieulożonych puzzli.

– Meksyk. Tennessee. – Bill świdruje wzrokiem porucznik Myron. – Twój morderca skakał po mapie. Tymczasem Terrell jest domatorem.

– On nie jest *moim* mordercą. – Sarkazm porucznik Myron nie wywołuje żadnej reakcji u Billa, który zaczyna robić notatki w telefonie.

– Uspokójcie się i pozwólcie Igorowi mówić – Jo przywołuje towarzystwo do porządku.

– Nie przeszkadza mi to – odpowiada Igor. – Mówiąc szczerze, cieszę się, że mogłem opuścić laboratorium. Fascynujące. Zwłaszcza spotkanie z panią, Tesso. Rzadko mam okazję poznać ofiarę. Dzięki temu moja praca nabiera... życia. Przypadek, o którym tu mowa, jest szczególnie interesujący. Ze szczątków Kwiatu Dwa i jej nienarodzonego dziecka udało mi się wyczytać jeszcze więcej. Otóż analiza kości pozwoliła wykryć elementy gleby wulkanicznej oraz pokazała, że podstawę diety Kwiatu Dwa stanowiła kukurydza. Gdybym miał próbować zgadnąć, powiedziałbym, że urodziła się w Mexico City bądź w pobliżu. Zgadzam się z Jo, że w chwili śmierci Kwiat Dwa miała nie więcej niż dwadzieścia kilka lat.

– Co jeszcze? – pyta Bill.

Igor kładzie dłonie płasko na stole.

– W grobie znaleźliśmy tylko jedną czaszkę. Należała do Kwiatu Dwa. Poprosiłem Jo o przysłanie próbek konkretnych zębów, ponieważ dzięki nim jesteśmy w stanie odtworzyć chronologię ekspozycji ofiary. – W jego głosie, dotąd miarowym i opanowanym, głosie, jakim prowadzi się wykład, pojawiają się nuty świadczące o rozemocjonowaniu. – To naprawdę fascynujące, czego się można dowiedzieć dzięki analizie izotopowej... Dzieci

wkładają do ust różne rzeczy. Szkliwo na zębach wchłania kurz i pył. Pierwszy ząb trzonowy wykształca się, kiedy dziecko ma trzy lata, i zawiera informacje mówiące o tym właśnie okresie w życiu człowieka. Dlatego, wnioskując na podstawie pierwszego trzonowca Kwiatu Dwa, mogę powiedzieć, że jako dwu-, trzyletnia dziewczynka kobieta ta mieszkała w Meksyku. Siekacze wyrzynają się w wieku sześciu, siedmiu lat. Markery chemiczne znalezione w jednym z siekaczy Kwiatu Dwa mówią nam, że kiedy miała siedem lat, nadal była mieszkanką Meksyku. Trzeci trzonowiec ostatecznie wykształca się w wieku nastoletnim. Wtedy dziewczyna również mieszkała na terenie Meksyku. Co było dalej, tego nie wiem. Gdzieś na przełomie drugiej i trzeciej dekady życia przeprowadziła się... albo została porwana.

– Niesamowite. – Porucznik Myron rozgląda się po pozostałych. – Niesamowite, prawda? – Trudno powiedzieć, czy jest autentycznie zafascynowana, czy też brak snu i ciągła styczność z okrucieństwem wyzwala ją w niej pokłady sarkazmu.

– Skąd pewność, że wyjechała z Meksyku żywa? – pyta Bill. – Wiemy, że szczątki co najmniej raz przeniesiono. Nie pochodziły z tej łąki, na której morderca pozbył się Tessy. – Rzuca mi szybkie spojrzenie, jakby dopiero przypominał sobie, że tu jestem. – Przepraszam, Tesso. Chodzi mi o to, że może ktoś po prostu przewiózł jej kości przez granicę.

– Odpowiedź na to pytanie znajdujemy w szczątkach dziecka – mówi szybko Igor. – Ta młoda kobieta mieszkała w Teksasie co najmniej przez kilka miesięcy poprzedzających zgon. Wiemy to z kości płodu, najświeższego markera, jaki jesteśmy w stanie uzyskać. W chwili śmierci matki kości dziecka nadal się rozwijały i wchłaniały pierwiastki z otoczenia.

Porucznik Myron przeczesuje palcami swoje krótkie włosy.

– Niewiele zdziałamy, jeśli była nielegalną imigrantką albo została porwana. Jej rodzina nie chciałaby się ujawniać, gdyby mieszkała w Stanach bezprawnie, a już na pewno nie zgodziłaby się na pobranie próbek DNA. Jeszcze gorzej, gdyby zachodziło podejrzenie, że za porwaniem stoi kartel narkotykowy, bo rodzina dziewczyny z pewnością wolałaby nie zadzierać z gangiem. Pamiętajmy, że ci ludzie wieszają na mostach bezgłowe trupy swoich wrogów. Rodzinie z pewnością zależałoby na ochronie pozostałych córek, o ile takie istniały.

Jo przytakuje.

– To prawda. Miałam do czynienia ze szczątkami dziewcząt i kobiet, które zostały zamordowane i zakopane na pustyni w pobliżu Juarez. Rozmawiałam

z rodzinami. Ci ludzie śmiertelnie się boją. Na pustyni znajdują się ciała setek dziewczyn. Z każdym rokiem ich przybywa.

– Przekazuję tylko to, czego dowiedziałem się dzięki zastosowaniu metod naukowych. – Igor wzrusza ramionami. – I tak, mówiąc szczerze, udało mi się uzyskać dużo więcej niż w przypadku innych tego rodzaju starych spraw. Metoda, którą się posłużyłem, jest stosunkowo nowa. Mieliśmy szczęście, że obie te kobiety mieszkały na terenach, dla których mamy rekordową ilość informacji w bazie danych o glebach. Oby w następnej dekadzie udało nam się sporządzić mapę geologiczną większej części świata, bo na razie mamy jedną białą plamę na drugiej.

Bill ma nieprzenikniony wyraz twarzy, ale ja i tak wiem, o czym myśli. Jest za późno. Być może kiedyś nauka zwróci Kwiatom ich nazwiska, ale nie pomoże Terrellowi.

Porucznik Myron znów się ożywia. Wstaje, podchodzi do Billa i daje mu radosnego kuksańca.

– Głowa do góry. Przecież jesteś jednym z tych Tekszańczyków, którzy wierzą w ewolucję, co nie? – Potem zwraca się do pozostałych: – Sprawdzimy bazy danych zaginionych osób i przejrzymy archiwa czasopism. Za godzinę rozpoczniemy poszukiwania dziewcząt w wieku od szesnastu do dwudziestu trzech lat, pochodzących z Tennessee i Meksyku, które zaginęły w interesującym nas przedziale czasowym. Najbardziej liczę na trop prowadzący do Tennessee. Świetna robota, doktorze Frankenstein. Wreszcie coś konkretnego. Wam się wydaje, że mi nie zależy. Otóż zależy. Po prostu lubię konkrety.

Nie chciałyby się znaleźć w mojej głowie. Ciekawe, dlaczego żaden z Kwiatów nie zwraca się do mnie po hiszpańsku.

Wchodzę po cichu do domu. Wczorajsze ubranie, to z egzekucji, leży poskładane i ułożone w zgrabny stosik na krześle w kuchni. Ciekawe, kto oddzielił te ciuchy od pozostałych – Charlie czy Lucas? Nie potrafię rozsądzić, które z nich lepiej mnie przejrzało.

Strój do siatkówki Charlie wylądował na stoliku w salonie. Odkurzacz połknął walające się przed kanapą okruchy prażonej kukurydzy. Lucas zajął się przyziemnymi, acz istotnymi aspektami mojej codzienności, podczas gdy ja usiłowałam zrozumieć tę głęboką więź człowieka z ziemią i powietrzem, która przenika aż do naszych kości.

Wierzę w to, co mówi doktor Igor. Nie ma w tym, rzecz jasna, za grosz nauki, ale był taki okres, kiedy wierzyłam, że jeśli ktoś przypadkowo się

o mnie otrze albo uściśnie mi dłoń i mocno nią potrząśnie, wówczas pyłek Polnych Kwiatów odklei się ode mnie i osiądzie na tej osobie, spadnie na nią jak klątwa. Ludzie myśleli, że mam nerwicę natręctw, bo nikomu nie podawałam ręki. A ja po prostu chroniłam ich przed sobą.

Jestem już dużą dziewczynką. Dziś mam pewny uścisk dłoni, taki jak kiedyś mój dziadek, dwa razy dziennie mocno przytulam Charlie i pozwalam znajomym pić mrożoną herbatę z tej samej szklanki, co ja – i przy żadnej z tych czynności nie oblewam się zimnym potem. Nie znaczy to jednak, że przestałam być Polnym Kwiatem. O nie. To jest jak piętno. Jak schizofrenia. Jak otyłość. Jak nadpobudliwość.

Lucas leży na sofie. Kiedy wchodzę, podnosi głowę z poduszki, po czym, sprawdzwszy, że to tylko ja, kładzie ją z powrotem. Już zdążył zasnąć – wiadomo, żołnierz korzysta z każdej okazji, żeby się zdrzemnąć. Nie wołam Charlie. Pewnie jest u siebie i odstawia ten swój skomplikowany taniec: Jane Austen, matematyka, Snapchat – i jeszcze raz, z życiem!

W takich chwilach ani sobie, ani Charlie nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego nie gramy z Lucasem w jednej drużynie. Ilu podpułkownikom chciałoby się poskładać świeżo uprane dziewczęce majtki? Czuję zapach cicho bulgoczącej w wolnowarze zupy ziemniaczanej, która wyczerpuje kulinarny repertuar Lucasa. Ziemniaki, cebula, mleko, sól, pieprz, masło. Kawalki bekonu dla Charlie. Na upartego mógłby zrobić jeszcze podłe spaghetti z sosem bolońskim i kanapkę z musztardą.

Normalność nieodmiennie próbuje się do mnie przytulić, a ja wciąż ją odpycham. Moja matka w jednej chwili piekła brownie, a w drugiej leżała martwa na podłodze w kuchni. Oto moja linia odniesienia dla normalności – potem już nigdy nie była prosta.

Kładę torebkę na blacie w kuchni. *Piękny duch* czeka razem z nieotwartymi listami. Chcę przeczytać tę książkę, a jednak nie potrafię się zmusić, by po nią sięgnąć. Okazuje się, że znajdę w niej odpowiedzi dotyczące Lydii, których nie zdołam objąć myślą. Albo ukłuję się w palec ostrym rogiem kartki i spadnie na mnie stuletni sen. Z roztargnieniem badam leżącą na blacie, zawiniętą w folię cegłę, której rano tu nie było. Na folię naklejono kawalek taśmy, a na niej coś nagryzmołono. „Zaskakujący chlebek z szarańczynem i figą według przepisu Effie”. Nazwy niemal wszystkich potraw, które rodzą się w kuchni Effie, zaczynają się od „zaskakujący”, a jeśli nie, to zdecydowanie powinny.

Zastanawiam się, czy jej córka (chyba przyjechała w odwiedziny) siedzi i posłusznie stara się przeżuwać i przełykać matczyne chleb. Zauważyłam

stojącego pod domem Effie Forda Focusa na numerach z New Jersey. W zeszłym tygodniu Effie radosnym tonem poinformowała mnie, że jej Kwiatusek wybiera się na Południe. Machnęłam na to ręką, zakładając, że pewnie pomyliło jej się z fałszywą obietnicą córki sprzed roku albo trzech lat. Nie wiem, co może się wiązać z jej przyjazdem po latach nieodwiedzenia matki, ale mam nadzieję, że wyjdzie z tego coś dobrego dla Effie. Może Kwiatusek – nawiasem mówiąc, na imię ma Sue – tak jak ja dostrzegła złodzieja łopatek mieszkającego w głowie Effie? Rabuś z niego pierwsza klasa, tylko nieco inny, niż się zdaje Effie. Wspomnienie tych wszystkich łopatek wiszących w równych rzędkach wciąż przyprawia mnie o dreszcze.

Przykrywam Lucasa kocem i postanawiam zajrzeć do Charlie. Drzwi do jej sypialni są zamknięte. Pukam. Cisza. Pukam raz jeszcze, tym razem głośniejsze, i przekreślam gałkę. Białe światelka pod sufitem migoczą, co oznacza, że moja córka zamierzała koczować w swojej jaskini. Nie ma jednak śladu Charlie.

Jakiś dźwięk za ścianą, w moim pokoju. Pociągnięcie nosem? Czyżby była chora? Szuka pociechy w łóżku matki podczas jej nieobecności? Wypełnia mnie poczucie winy. Lucas powinien był zadzwonić i dać mi znać. Może szczepionka na grypę nie zadziałała albo dała o sobie znać alergią, albo trener zranił jej delikatne nastoletnie serce jakąś obcesową uwagą.

Nie. Nie jest chora. Pochylona Charlie siedzi po turecku na moim łóżku, tak jak zwykła siadać Lydia, i skupia się na lekturze. Dokoła niej pełno kartek, leżą wszędzie: na łóżku, na starym dywanie. Za jej plecami stoi oparty o poduszkę mój plecak. Nie otwierałam go od powrotu z Huntsville. Teraz zamek jest rozsunięty. Chcę krzyknąć: „Nie!”, ale jest już o wiele za późno.

Charlie ma policzki mokre od łez.

– Szukałam mazaka.

Pokazuje kartkę, która trzyma w ręku.

Poraża mnie świadomość, że od tej chwili już nigdy nie będzie między nami tak jak dawniej.

– Czy to dlatego nie lubisz snickersów? – pyta.

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, ale w drzwiach staje Lucas. Trzyma telefon, który zostawiłam na blacie w kuchni razem z torebką.

– Dzwoni Jo. Mówi, że musisz natychmiast do niej przyjechać.

## Wrzesień 1995 roku

Richard Lincoln: Lydio... mogę się do ciebie zwracać po imieniu?

Lydia Bell: Tak.

Richard Lincoln: Od jak dawna znasz Tessę Cartwright?

Lydia Bell: Od drugiej klasy szkoły podstawowej. Siedzieliśmy obok siebie, bo usadzano nas w kolejności alfabetycznej. Ciotka Tessie mówiła, że te ławki to nam chyba sam Pan Bóg poustawiał.

Richard Lincoln: I od tamtej pory, od dziesięciu lat, jesteście bliskimi przyjaciółkami, zgadza się?

Lydia Bell: Tak.

Richard Lincoln: Zatem kiedy Tessie zaginęła, musiałaś się śmiertelnie przerazić.

Lydia Bell: Od razu miałam złe przeczucia. Miałyśmy taki kod – kiedy chciałyśmy dać znać, że wszystko w porządku, jedna dzwoniła do drugiej i oczekiwała dwa sygnały. Potem, pięć minut później, dzwoniła znowu. To głupie, wiem, ale robiłyśmy tak, kiedy byłyśmy małe. Tym razem też siedziałam w domu i czekałam, aż zadzwoni telefon.

Richard Lincoln: Tessie się nie odezwała? I nie wychodziłaś z domu?

Lydia Bell: Nie. To znaczy wyszłam na jakieś dziesięć minut, żeby zajrzeć do domku na drzewie.

Richard Lincoln: Zajrzeć po co? W poszukiwaniu Tessy?

Lydia Bell: Zostawiałyśmy sobie liściki w specjalnej szczelinie.

Richard Lincoln: Ale nie znalazłaś nic takiego?

Lydia Bell: Nie, nie było liściku.

Richard Lincoln: Czy w tym czasie, kiedy czekałaś na Tessę po jej zaginięciu, twoi rodzice byli w domu?

Lydia Bell: Mama była. Tatę pilnie wezwali do pracy. Wybuchł silnik w samochodzie albo coś takiego. Wrócił późno.

Richard Lincoln: Jeszcze o tym porozmawiamy. Wcześniej, składając zeznania, powiedziałaś, że od napaści na Tessę miewasz koszmary. Czy to prawda?

Lydia Bell: Tak, ale moje są łagodniejsze niż Tessy.

Richard Lincoln: Czy możesz opisać jeden ze swoich koszmarów?

Lydia Bell: Właściwie to zawsze ten sam motyw. Każdej nocy. Stoję na dnie jeziora. Banał. Nie zaciekałby Freuda.

Richard Lincoln: Czy Tessa występuje w tym śnie?

Lydia Bell: Nie. Widzę niby swoją twarz, która jednak nie jest moja. Ojciec wyciąga do mnie rękę z łódki. Zawsze się bał, że któraś z nas utonie. Z jego palca zsuwa się sygnet uniwersytecki i zaczyna tonąć. Tego też się zawsze bał, dlatego nigdy nie nosił sygnetu na łodzi. Przez rok studiował na Uniwersytecie Stanowym Ohio, z czego jest bardzo dumny. Uwielbia ten sygnet. Kupił go u kogoś na wyprzedaży.

Richard Lincoln: Wiem, że to niełatwe, ale postaraj się ograniczyć dygresje, dobrze? Odpowiadaj krótko i na temat. Powiedz: czy Tessa bała się twojego ojca?

## Szesnaście dni do egzekucji

Tym razem nie zjawiam się jako pierwsza. Jest kilka minut po północy. Pudełko z chusteczkami zostało przesunięte na koniec stołu. Jo wkłada lateksowe rękawiczki. Przez telefon powiedziała, że mam przyjechać, *natychmiast*, ale przecież nie mogłam zostawić Charlie na papierowym posłaniu z moich zeznań. Musiałyśmy porozmawiać. Charlie bywa czasem jak mała Tessie. Zbyt szybko zapewnia dorosłych, że nic jej nie jest.

Jo nie chciała wyjawić, dlaczego chce się spotkać. Irytujące. „Tylko jedź ostrożnie”, ostrzegła. Po rozmowie z Charlie wskoczyłam do auta i pomknęłam do laboratorium (dwa razy przejechałam na czerwonym świetle), zachodząc w głowę, co mnie czeka na miejscu. Mój potwór w kajdankach. Kolejne szkielety Kwiatów złośliwie szczerzące paskudne zęby.

W pomieszczeniu jest jeszcze jedna osoba. Przy oknie stoi młoda dziewczyna, jak najbardziej żywa. Po jej plecach spływa jedwabście czarny koński ogon. Dziewczyna patrzy na posrebrzone bladym światłem księżycy drzewa po drugiej stronie ulicy, na trawniku przed Muzeum Sztuki Współczesnej. Są dwa; wyglądają jak zrobione ze stali nierdzewnej i mają misterne, starannie przyspawane gałęzie. Lgną do siebie, jakby przyciągane siłą pola magnetycznego. Coś podobnego czuję w stosunku do tej nieznanomej dziewczyny. Mam wrażenie, jakbym nie mogła się doczekać, kiedy się do mnie odwróci. Gdy w końcu to robi, doznaję poczucia bliskości. A wraz z nim – tęsknoty.

– Ta młoda kobieta to Aurora Leigh – wyjaśnia Jo. – Mówi, że jest córką Lydii Bell.

Sama się domyśliłam. Ma ciemniejsze włosy niż matka i kolor skóry jeszcze bardziej zbliżony do barwy kości słoniowej, ale jej błękitne oczy, inteligentne i rozmarzone, nie pozostawiają żadnych wątpliwości.

I jeszcze te imiona. Aurora Leigh. Bohaterka ulubionej powieści Lydii.

– Witaj, Auroro – mówię. Usiłuję zagłuszyć epitety, którymi Kwiaty bezgłośnie obrzucają dziewczynę. „Kłamczucha”, wrzeszczy jeden. „Oszustka”.

Jo bębni palcami w stół, czym wyrywa mnie z zamyślenia.

– Aurora najpierw poszła na policję. Wezwano porucznik Myron, która



była już po służbie i poleciła zadzwonić po mnie.

– Urządziłam scenę. – Aurora siada na najbliższym krześle i kładzie na stole garść zmiętych chusteczek. Jej nos, w którym tkwi maleńki srebrny kolczyk, błyszczy i jest czerwony. Jej oczy, choć też czerwone, są urzekające. – Przepraszam. Już się uspokoiłam.

– Tesso, ty też lepiej usiądź – mówi Jo, po czym zwraca się do Aurory: – Czy mam to zrobić za ciebie? – Kładzie jej dłoń na ramieniu, na co Aurora się wzdryga.

– Nie – odpowiada. – Już w porządku. Sama powiem. Już dobrze. Naprawdę. Po prostu chciałam, żeby ktoś mnie wysłuchał. Pani to zrobiła. – Potem zwraca się do mnie: – Zobaczyłam w wiadomościach, że znaleźliście pudełko. To są rzeczy mojej mamy. Należą do mnie.

– Wyjaśniłam Aurorze, że traktujemy te przedmioty jako dowody rzeczowe – odzywa się Jo. – I że być może później będzie mogła je odebrać.

– Nie chcę później. Chcę je zobaczyć teraz. – Rzeczowość i rozdrażnienie w jednym. Jakbym słyszała Charlie. Ile lat ma ta dziewczyna? Pewnie jest nie więcej niż dwa lata starsza od mojej córki. Szesnaście, najwyżej siedemnaście lat.

– Nie wiedziałam, że Lydia ma córkę. – Mój głos brzmi zaskakująco spokojnie. – Gdzie jest teraz twoja matka?

– Nie wiem. Nie znam jej. – Napastliwy ton. Wręcz oskarżycielski.

Jo robi poważną minę.

– Aurora od maleńkości mieszkała z dziadkami. Z państwem Bell. Dopiero niedawno dowiedziała się, że zmienili nazwisko. Powiedzieli, że jej matka umarła, o ojcu zaś nie mają żadnych informacji. Nie miała powodu, by im nie wierzyć. Niedawno umarła babka, a w zeszłym roku dziadek dostał udaru i został umieszczony w domu opieki. Aurora zamieszkała w rodzinie zastępczej na Florydzie. Już ich powiadomiłam, że wszystko w porządku.

– I co dalej?

– Przed miesiącem prawnik otworzył skrytkę bankową dziadków Aurory i znalazł metryki urodzenia, zeznania podatkowe i inne dokumenty. Wszystko znajduje się w tej torbie. – Pokazuje na wypchaną płócienną torbę w różowe kwiatki.

– Okłamali mnie. Przez cały ten czas mnie okłamywali. Nie nazywam się Aurora Leigh Green, tylko Aurora Leigh Bell. – Sięga po kolejną chusteczkę. – Odkładałam pieniądze na prywatnego detektywa. Szperałam w internecie. Przestraszyłam się, kiedy kilka razy w wyszukiwarce wyskoczyło nazwisko Lydii Bell. Wie pani, w artykułach o Polnych Kwiatkach. Ale nie wiedziałam,

czy chodzi o tę samą Lydię Bell. Nie chciałam, żeby tak było. Potem zobaczyłam w wiadomościach, że policja zaczęła kopać w ogrodzie w dawnym domu dziadków. Wymienili ich prawdziwe nazwisko. Wtedy już wiedziałam, że nie mogę dłużej czekać. Wzięłam trochę pieniędzy z portfela mojej opiekunki i kupiłam bilet na autobus. – Znowu łzy. – Ona mnie zabije. Pewnie nie będzie chciała mnie przyjąć z powrotem. A nawet nie jest taka zła.

– Cieszy się, że nic ci się nie stało. Pamiętaj, że rozmawiałam z nią i powiedziała, żebyś się nie martwiła – pociesza ją Jo. – Aurora obawia się, że jej prawdziwa matka mogła paść ofiarą mordercy Polnych Kwiatów i że właśnie z tego powodu dziadkowie postanowili ukryć się pod przybranym nazwiskiem. Wytłumaczyłam, że nic na to nie wskazuje. Dodałam, że ty najlepiej znałaś jej matkę i możesz powiedzieć, jaka była i z kim się spotykała.

Otwieram usta... i zaraz je zamykam.

O ile mi wiadomo, Lydia dotarła zaledwie do trzeciej bazy – i to tylko raz – z trzeciobazowym, nomen omen, z naszej szkolnej drużyny baseballowej. Upajała się dosłownością swojego podboju, a nawet, jak przyznała, zastanawiała się, czy nie wpisać na listę osiągnięć analogicznych przygód z jakimś pierwszo- i drugobazowym. Było mi jej żal. W przypadku Lydii chłopaków pociągała tania podnieta: spotkać się z piękną wariatką na osobności, licząc, że nie będzie miała przy sobie siekiery.

Patrzę na wykrzywioną niecierpliwością twarz Aurory. Proszę, jaka wyzywająca, dowód z krwi i kości, o którego istnieniu nawet mi się nie śniło. Czuję się niezręcznie, nie potrafię spełnić prośby tak, by nie zranić tej dziewczyny. Oczy Aurory żarzą się, jaśniejają mimo jaskrawego światła w sali konferencyjnej. To niezwykle, jak bardzo – pomijając kolczyk w nosie i grymas niezadowolenia – przypomina swoją matkę.

– Jo, po co ci rękawiczki? – pytam.

– Właśnie miałam pobrać próbkę DNA od Aurory. Powiedziałam, że wprawdzie nie dostanie ode mnie pudełka, bo to dowód rzeczowy, ale mogę wrzucić jej DNA do bazy danych i zobaczymy.

– Może uda się zidentyfikować mojego ojca. Na świadectwie chrztu brakuje nazwiska. – Aurora jest pełna nadziei. Niewinna. – Może nie wiedział, że się urodziłam.

– Ile masz lat? – pytam.

– Szesnaście.

Zatem Lydia była w ciąży, kiedy zniknęła. Powoli rozjaśnia mi się

w głowie. Zaczynam rozumieć, dlaczego Bellowie postanowili wyjechać. Pani Bell uważała, że pannie młodej wolno stanąć przed ołtarzem jedynie z nietkniętą błoną dziewiczą. Plemniki plus jajeczko zawsze i natychmiast równa się mikroskopijny ludzik. Córka, która zaliczyła wpadkę, to w jej świecie największe upokorzenie. Aborcja nie wchodziła w grę, więc czemu nie zmienić nazwiska?

– Pani Jo mówi, że byliście najlepszymi przyjaciółkami. – Córka Lydii błaga. Błaga mnie o cokolwiek.

Pojawienie się Aurory wydaje się nieco zbyt gładkim zbiegiem okoliczności. Niewykluczone, że dziewczyna mówi prawdę. Ale też całkiem możliwe, że jest pionkiem w grze prowadzonej przez jej matkę.

– Była lojalna – kłamie. – Jak nikt inny.

## Wrzesień 1995 roku

Lydia Bell: Nie, Tessie nie bała się mojego taty. Bywał nieprzyjemny po paru piwach, ale nigdy nie zaczepiał Tessie. Bo ona potrafiła być twarda. Stawała w obronie innych. Kiedyś powiedziałam jej, że gdybym to ja obudziła się w grobie, na pewno nie dałabym rady. Proszę mnie dobrze zrozumieć: Tessie oczywiście przeżyła załamanie – albo może po prostu stała się taką samą śmiertelniczką jak my wszyscy – ale ja to bym kompletnie zwariowała. I wie pan, co mi odpowiedziała? „Właśnie dlatego to przytrafiło się mnie, a nie tobie”. Nie chodziło jej o to, że bym poczuła się winna, nic z tych rzeczy, nie robiła z siebie męczennicy, ona po prostu nie znosi, kiedy innym dzieje się krzywda. Musi pan wiedzieć jedno: Tessie jest najlepsza.

Richard Lincoln: Powtarzam prośbę: odpowiadaj krótko i trzymaj się tematu. Prokurator Vega na pewno odpowiednio cię poinstruował.

Al Vega: Brak sprzeciwu.

Richard Lincoln: Lydio, zapytam tak: czy ty się boisz ojca?

Lydia Bell: Tylko czasami. Kiedy pije. Ale zaczął się leczyć.

Richard Lincoln: Twój sen wydaje mi się przerażający. Znajdujesz się na dnie jeziora, nikt nie przychodzi z pomocą...

Lydia Bell: Tego nie powiedziałam. Tata zawsze wskakuje za mną do wody.

Richard Lincoln: Ciekawe, że wcześniej, podczas składania zeznań, nie wspomniałaś o tym zakończeniu. Skąd pewność, że tak naprawdę ojciec nie nurkuje po to, żeby wyłowić sygnet, który tak lubi?

Al Vega: Dość tego. Wysoki Sądzie, wnoszę sprzeciw.

## Dwanaście dni do egzekucji

– Odtwarzanie pamięci nie działa w taki sposób – mówi doktor Giles. – To nie czary ani magia. Nie znam się na hipnozie. Przecież uprzedzałam.

Wpatruję się w pusty welurowy fotel, ten sam, na którym – jak zaproponowała doktor Giles – powinnam wyobrazić sobie swojego potwora i przepytąć go. W kąciку siedzi Barbie z kręconymi blond włosami i ramionami wyciągniętymi tak, jakby cieszyła się ze zdobytego gola.

– Wobec tego jak działa? – pytam.

– Niektórzy terapeuci wykorzystują metaforę z liną czy drabiną. Albo każą spojrzeć na bolesne doświadczenie z góry, jakby się było podglądaczem. Jest takie powiedzenie, że traumatyczne wspomnienie to ciąg nieruchomych obrazów bądź niemy film, do którego w trakcie terapii trzeba dobrać muzykę i słowa.

– No więc dobierzmy tę muzykę – mówię. – I obrazy też. Wybieram... spojrzenie z góry. Nakręcmy mój film.

Milczę na temat Aurory, która bezpiecznie wróciła na Florydę, do rodziny zastępczej.

Nie zdradzam, że dziś w głównej roli obsadzam Lydię. Zawsze tego pragnęła, a ja zawsze odbierałam jej tę szansę. To ja byłam dziewczynką, której umarła mamusia. To ja byłam Polnym Kwiatem.

Liczę, że Lydia pojawi się na fotelu i powie mi coś, o czym nie wiem. Zwykle to robi.

– Jeżeli naprawdę chcesz spróbować hipnozy, to u innego terapeuty. Ja się tego nie podejmę. Po prostu nie stosuję takich metod. Wydawało mi się, że to rozumiesz.

– Nie chcę innego terapeuty.

Na czoło występuje mi pot. Wiszę u sufitu, jestem nietoperzem w ciemności.

Parking. Zawijazuję adidasa. Różowe sznurówki, które znalazłam pod choinką. Podnoszę głowę. Merry. Na tylnym siedzeniu niebieskiej furgonetki. Zakneblowana. Jej twarz przyklejona do szyby. Biegnę. Docieram do budki telefonicznej. Słuchawka lepi mi się do rąk. Modlę się, żeby ten, kto przekręca kluczyk w stacyjce furgonetki, nie zauważył mnie. Nagle potworny ból kostki. Upadam na beton. Jego twarz nade mną. Podnoszą mnie silne ręce. Czarno.

– Tesso, widzisz coś?

Nie teraz! Nie mogę przerwać projekcji. Chcę jeszcze. Zamykam oczy i widzę światło tak jasne, że aż oślepiające. Lydia. Płasa z Kwiatami. Spycha je z parkietu. Tańczy jak Madonna w klipie do *Vogue*. Czesze mi włosy, aż czuję mrowienie skóry na głowie. Naśladuje gadkę trenera Winkle'a o seksie: „Ilekroć najdzie was ochota, żeby to zrobić, wyobraźcie sobie moją twarz. I moje usta, które mówią: «Brodawki płciowe, brodawki płciowe!»”.

Atakują mnie obrazy. Rysunek Lydii przedstawiający rudowłosą dziewczynkę i rozgniewane kwiaty. Pijany pan Bell. Skomlaące i kręcące się w kółko psy. Płacząca pani Bell. Lydia i ja na rowerach, pochylamy się nad kierownicami i pedałowujemy ile sił w nogach, pędzimy do mnie do domu. Ford mustang pana Bella na podjeździe, odgłos silnika brzmi jak oddech ohydneho gada, ukrywamy się w ogrodzie wśród kwiatów. Weranda, mój tata spokojnym tonem rozmawia z panem Bellem. Odsyła go do domu. To tylko jeden wieczór, setka wieczorów.

Ja – obrończyni. Szloch więźnie mi w gardle.

Cięcie. Kolejna scena. Pan doktor. Jak na zawołanie. Widziałam już ten fragment filmu. Jest Lydia. I jestem też ja, razem z Oscarem, pod drzewem. Ależ przyjemne miejsce na spacer. Dobrze, że Oscar nie pociągnął mnie w drugą stronę, bo wtedy bym ich nie zobaczyła.

Najazd kamery. Gdybym wyteżyła wzrok, przeczytałabym tytuły na grzbietach książek, które Lydia wypożyczyła z biblioteki i trzyma przed sobą. Lydia udaje studentkę. Rozmawia z doktorem, nawija jak to ona. Pan doktor wyraźnie się spieszy, stara się być uprzejmy, ale wygląda, jakby zależało mu wyłącznie na tym, żeby się od niej uwolnić.

## Wrzesień 1995 roku

Richard Lincoln: Wysoki Sądzie, wnoszę o uznanie, że świadek jest wrogo nastawiony i zeznaje na niekorzyść powołującej go strony. Mam dużo cierpliwości, ale powoli zaczynam ją tracić. Świadek unika odpowiedzi na moje pytania.

Sędzia Waters: Panie mecenasie, nie widzę żadnej „wrogości” w tej chudej dziewczynie w okularach, chyba że za wrogi uzna pan jej najwyraźniej wyższy od pańskiego iloraz inteligencji.

Richard Lincoln: Sprzeciw, Wysoki Sądzie, wobec... Wysokiego Sądu.

Sędzia Waters: Panno Bell, musi pani odpowiedzieć. Czy Tessie skłamała o czymś, co dotyczy rozpatrywanej sprawy?

Lydia Bell: Tak, Wysoki Sądzie.

Richard Lincoln: W porządku, spróbujmy jeszcze raz. Czy Tessie skłamała w sprawie rysunków?

Lydia Bell: Tak.

Richard Lincoln: I kłamała wtedy, kiedy twierdziła, że nadal nie widzi?

Lydia Bell: Tak.

Richard Lincoln: A przed napaścią kłamała, mówiąc o tym, gdzie idzie pobiegać?

Lydia Bell: Czasami tak.

Richard Lincoln: A czy twój ojciec też czasem kłamał na temat tego, dokąd się wybiera?

Al Vega: Sprzeciw.

## Dziewięć dni do egzekucji

Został nieco ponad tydzień do śmierci Terrella, a ja czyszcze zamrażarkę Effie.

Pięć godzin temu sędzia odrzucił wniosek o odwołanie na mocy *habeas corpus*. Ta wiadomość, którą Bill przekazał przez telefon, wypaliła mi wnętrze żołądka. Kiedy padło słowo „odrzucił”, właściwie przestałam słuchać. Dotarło do mnie tylko tyle, że zdaniem sędziego to „bardzo trudna decyzja”, ale „brak przekonujących dowodów” przemawiających za niewinnością Terrella i tym, że ława przysięgłych się pomyliła.

Policja wciąż prowadzi poszukiwania według wskazań Igora. Zawężono listę do sześćdziesięciu ośmiu nazwisk; znajdują się na niej pochodzące z Meksyku i Tennessee kobiety w wieku od kilkunastu do dwudziestu kilku lat, które zaginęły w drugiej połowie lat osiemdziesiątych – Jo ustaliła, że szczątki leżały w ziemi mniej więcej od tego czasu.

Problem polega na tym, że lista sześćdziesięciu ośmiu nazwisk przekłada się na poszukiwania setek członków rodzin, którzy się przeprowadzili, zmarli, nie odpowiedzą na próby kontaktu albo po prostu nie zgodzą się na pobranie próbek DNA w celu zidentyfikowania Kwiatów. Co najmniej piętnaście osób z tych, z którymi policja już się skontaktowała, to podejrzani w badanych sprawach. Niektórzy mogą rzeczywiście okazać się zabójcami, lecz akurat nie tym zabójcą, którego szukamy. Jedenaście dziewczyn uciekło z domu i odnalazło się żywe, ale zapomniano je usunąć z listy osób zaginionych. To mozolna praca, która może zająć wiele miesięcy albo lat. Opiera się na domysłach, na złamanym szyfrze ziemi – wydaje się niemożliwa do wykonania. Tymczasem ja nie wiem nawet, jak zeszkrobać plamę po roztopionych lodach w zamrażarce Effie.

– Effie, to zostaje czy do kosza?

Znam odpowiedź – od godziny słyszę ją powtarzaną jak mantrę – ale i tak pytam. Trzymam foliową torebkę zawierającą wysłużony egzemplarz *Na południe od Brazos*. Gus McCrae i Pea Eye Parker przez lata zamierzali na śmierć, ukryci za owiniętymi w foliowe torebki i porośniętymi lodowym futrem rzeczami, które, nawiasem mówiąc, wylądowały w koszu bez wiedzy Effie.

– Zostaje – napomina mnie Effie. – Przecież *Na południe od Brazos* to moja ulubiona książka. Włożyłam ją tam, żeby wiedziała, gdzie jest.



W jej przypadku nigdy nie mam pojęcia, czy te wytłumaczenia są prawdą, czy ściemnianiem.

Dwa dni po egzekucji Terrella Effie ma się przenieść do córki w New Jersey. Zatyka mnie, kiedy pomyślę, że jej duch opuści ten dom, a mimo to pomagam przyjaciółce zapakować życie do pudeł. Przynajmniej taki był plan.

Póki co Effie nie zdołała rozstać się z niczym, nawet z czterema żelaznymi patelniami, praktycznie identycznymi, jeśli nie liczyć historii wysmażonych na ich czarnym dnie. Na jednej przygotowywała mężowi naleśniki „borówkowa niespodzianka” w dniu, w którym zmarł. Druga, z nadrdzewiałą rączką, należała do jej matki. Po jej pogrzebie Effie niemal pożarła się o tę patelnię ze swoją siostrą, która „nic a nic nie potrafi gotować”. Pozostałe dwie najlepiej *prawie* przypiekają okrę i chleb kukurydziany do doskonałej kruchości, a przecież jeśli chodzi o okrę, „bez dwóch patelni ani rusz”.

Effie, ubrana w starą czerwoną jedwabną pidżamę, usadowiła się zgrabnie na podłodze i wygląda jak dawna hollywoodzka gwiazda – o ile to w ogóle możliwe, kiedy za tło ma się pożółkłe czarno-białe linoleum i chomikowane przez sześćdziesiąt lat garnki i patelnie. Kuchnia, tak samo jak pozostała część domu, to jeden wielki bajzel. Od trzech dni Effie opróżnia szafki, półki i szafy ze wszystkiego, co się w nich znajduje, i rzuca to na łóżka, podłogę, stoły – gdzie się da. Wygląda to tak, jakby przez sklep ze starociami przeszło tornado.

– Nic nie mówisz, Kwiatuszku. Chodzi o tę przeklętą sprawę z Terrellem Goodwinem?

Przerywam skrobanie widelcem i wydaję głowę z zamrażarki. Effie zwróciła się do mnie, używając przezwiska dla swojej córki, i jednocześnie zadała mi najbardziej bezpośrednie pytanie, jakie padło z jej ust w trakcie całej naszej znajomości.

– Nie rób takiej zdziwionej miny, kochanie. Jeszcze nie straciłam całego rozumu. Myślałam, że zechcesz porozmawiać, po tym jak policja wyłamała mi drzwi i zerwała słuchawki z głowy. Ale w porządku, nie to nie. To tylko odrobina, kapeczka tego, kim jesteś, kochanie. Kim ty jesteś... W każdym razie będę okropnie tęskniła za tym, kim jesteś. I za Charlie. Chciałabym widzieć, jak dorasta. Dlatego naucz mnie posługiwać się Skajem, czy jak mu tam. Mówiłam ci, że wczoraj wieczorem pogadałam sobie od serca z narzeczonym Kwiatuszka? Jest Włochem z New Jersey w piątym pokoleniu. Powiedział, że w jego rodzinie opieka nad starszymi to zaszczyt i przywilej. Przynajmniej tak mi się wydaje, bo w sumie nie rozumiałam połowy z tego, co mówił. Przez pierwszy kwadrans myślałam, że biedaczyna ma wadę

wymowy.

Śmieję się, bo słyszałam, jak Effie mówi płynnie po francusku z akcentem ze wschodniego Teksasu, i nie brzmiało to tak ładnie jak akcent z Hoboken. Moja reakcja jest podszyta niepokojem, bo wolałabym uniknąć czułych pożegnań i wyznań na do widzenia. Zostawię w spokoju jej marzenia. Nie chcę, by widziała, jak rozszerzają mi się źrenice i powstają z nich czarne dziury, ani żeby spacerowała po niemającej końca łące pełnej żółtych kwiatów wydzielających woń śmierci. Nie chcę, żeby się budziła i wciąż czuła ten zapach.

Przychodzi mi z pomocą dzwoniący telefon, który zostawiłam gdzieś na blacie, niedaleko stosu przypraw. Wygrzebuję komórkę spod poślóckiej instrukcji obsługi ekspresu do kawy i przepisu na sałatkę. Nie przypominam sobie jednak, żebym ją pod czymś chowała; kuchnia zamienia się w inwazyjne kudzu i sama siebie zarasta.

Na wyświetlaczu imię Jo. Ukłucie strachu ze szczyptą nadziei.

– Cześć – odzywam się.

– Witaj, Tesso. Wiem od Billa, że przekazał ci informację o decyzji sędziego. Kiepsko.

– Tak, dzwonił. – Nie mogę powiedzieć więcej przy Effie.

– Trochę martwię się o Billa. Wygląda, jakby od kilku dni nie spał. Nigdy nie widziałam go w takim stanie podczas pracy nad sprawą. Myślę, że to się wiąże z żalem z powodu śmierci Angie. Tak jakby bał się ją zawieść.

Jeżeli zacznę teraz myśleć o Billu albo Terrellu, wyleją się ze mnie emocje. Zresztą już czuję, że jestem bliska łez.

– Jest jeszcze jeden powód, dla którego dzwonię – ciągnie Jo. – Policja ujęła mężczyznę, który wbił tabliczki przed twoim domem. Złapali go, kiedy niszczył trawnik przed domem katolickiego księdza w Boerne. Pomyślałam, że może zechcesz wystąpić o sądowy zakaz zbliżania się. Facet wyszedł za kaucją. Nazywa się Jared Lester. Zapewne nie pójdzie siedzieć i skończy się na wysokiej grzywnie i pracach społecznych.

– Okej, dzięki. Zastanowię się nad tym.

I dojdę do wniosku, że akurat teraz nie chcę go drażnić.

– To nie wszystko. Ten człowiek chwali się, że kilka tygodni temu posadził pod twoim oknem kępkę rudbekii. Sprawdziłam to. Skład chemiczny ziemi ogrodowej, którą znalazłam w jego garażu, odpowiada składowi próbki, którą pobrałam z twojego ogródka. Myślę, że mówi prawdę. Nie pytano go o to, sam się przyznał podczas przesłuchania na posterunku. Ale posłuchaj, on ma zaledwie dwadzieścia trzy lata.

Więc nie jest moim potworem. Szybki rachunek. Miał pięć lat, kiedy wrzucono mnie do grobu.

Effie wpatruje się w moją szyję, w pulsujące tętno. Pojedyncza łza spływa na okładkę instrukcji obsługi, na której widnieje rysunek ekspresu do kawy z twarzą Kool-Aid Mana. Zaczynam metodycznie ustawiać przyprawy w równym rzędku.

Od jak dawna Jo wie? Policja zdążyła go złapać i przesłuchać, sąd wyznaczyć kaucję, a Jo przeprowadzić analizę próbek ziemi.

Oczywiście nie powinnam czepiać się Jo. Musiała wiedzieć, że wynik nie przyniesie mi ukojenia.

Mój potwór wciąż gdzieś tam jest.

Drzwi się otwierają i tym razem to ja stoję na zewnątrz i chcę wejść do środka.

Spoglądam mu w oczy i moje serce pęka.

W myślach błagam go, aby ujrzał wszystkie moje oblicza: Polnego Kwiatu, który rozmawia ze zmarłymi; artystki z blizną w kształcie półksiężyca, która męczy farby i nici, chcąc udowodnić samej sobie, że istnieje w niej piękno; matki, która dała córce na imię Charlie po ulubionym teksańskim miotaczu jej ojca; biegaczki, która nigdy nie przestała biec.

– Wyglądasz jak sto nieszczęść – mówię.

– Co tu robisz? – pyta, biorąc mnie w ramiona przez próg.

Od kilku dni niewiele rozmawialiśmy i pisaliśmy do siebie. Bill sprawia wrażenie, jakby przez większość tego czasu się nie mył. Nie szkodzi. Przynajmniej *czuję*, że żyje. Jego zarost drapie mnie po policzku jak papier ścierny. Wpijamy się w siebie ustami i długo, bardzo długo nie liczy się nic innego.

– To nie jest dobry pomysł – mówi Bill, kiedy wreszcie odklejamy się od siebie.

– Nie kradnij moich kwestii.

– Serio. Jadę na oparach. Chodź, dam ci piwo i pogadamy.

– Przykro mi z powodu Terrella – mówię, wchodząc za nim do środka. – Przepraszam za wszystko.

Słowa. Nieodpowiednie.

– Tak. Ja też. – Ponury ton.

– Nie chciałam rozmawiać, kiedy zadzwoniłeś, bo... po prostu byłam zaszokowana.

Wzrusza ramionami.

– Następny przystanek: sąd apelacyjny. Banda błaznów z pieczętkami. Mieliśmy dokonać przełomu wnioskiem o odwołanie na mocy *habeas corpus*. Usiądź, przyniosę piwo.

Znika w korytarzu. Mam czas, żeby rozejrzeć się po jego mieszkaniu. Przyglądam się obrazom, które Bill powiesił na ścianach, tak jak inni ukradkiem lustrują półki z książkami i stojaki z płytami. Albo może kiedyś lustrowali. Kilka przyzwoitych reprodukcji utrzymanych w czerwono-zielono-złotej tonacji. Nic, co by pozwalało wejrzeć w duszę Billa, a jeśli nawet, to i tak wolę nie rezygnować ze złudzeń.

Wybieram kremowy skórzany fotel i zastanawiam się, trochę poniewczasie, czy miła młoda stażystka Kayley będzie miała kłopoty w kancelarii przez to, że praktycznie zmusiłam ją do podania mi adresu domowego Billa. Kiedy zjawiłam się w piwnicy Angie, Kayley padała z nóg, tak jak teraz Bill. Przekonałam ją zaczerwienionymi oczami, prawem jazdy i rozwlekłą rozprawą na temat *Ukamienowania Szczepana*, które nadal wisiało nad biurkiem Angie, zamienionym w kapliczkę ku jej pamięci. Słuchając mnie, Kayley usiłowała nie patrzeć na moją bliznę; w oczywisty sposób poraziło ją spotkanie z żywą legendą.

Wszystko to doprowadziło mnie tutaj, do garażu z lat sześćdziesiątych, przerobionego na lokum warte na pewno co najmniej sześćset tysięcy dolarów. Znajduje się w Turtle Creek, słynnej starej i zamożnej dzielnicy Dallas, pełnej drzew i wijących się rzeczek, dawnym obozowisku Indian. Podoba mi się gra świateł na drewnianych meblach, przyjemny kominek z białej cegły z paleniskiem pełnym popiołu, a nawet okrągłe ślady po kubku na blacie ławy, obok otwartego laptopa. Obrazy na ścianach średnie. Pasują do poduszek.

Bill przynosi dwie butelki St. Pauli Girl. Chciałabym, żeby to oznaczało, że zwrócił uwagę, jakie piwo lubię, i zrobił zapas.

– Nie wiem, czy to widać – mówi, robiąc szeroki gest dłonią, w której trzyma piwo – ale jestem dzikim lokatorem. Od kiedy mój ojciec przeszedł na emeryturę, zajmuje się remontowaniem domów i odsprzedawaniem ich z zyskiem. Lepsze to niż granie w bakarata w Choctaw. Matka dba o wystrój wewnątrz. A moim zadaniem jest dopilnowanie, żeby dom wyglądał na zamieszkały. – Pociąga łyk z butelki i siada na kanapie naprzeciwko mnie. – Kayley zadzwoniła i uprzedziła, że przyjedziesz.

– Żebyś zdążył się przygotować – odpowiadam z uśmiechem.

– Nie po raz pierwszy – mówi.

Zmieniam temat. Terrell.

– Ile razy udało ci się doprowadzić do wstrzymania egzekucji więźnia skazanego na karę śmierci?

– Do wstrzymania egzekucji? Pięć albo sześć razy. W większości przypadków to jest właśnie prawdziwy cel. Chodzi o maksymalne przedłużenie życia, bo jeśli trafisz do teksańskiej celi śmierci, najpewniej w niej umrzesz. Tylko raz miałem do czynienia ze sprawą, która skończyła się jak film Franka Capry. Angie ją prowadziła. Ja nie robię tego na pełny etat. Zresztą sama wiesz.

– Musiałeś być wtedy w... euforii – mówię.

– Nie wiem, czy „euforia” to odpowiednie słowo. Nic nie zmieni faktu, że ofiara zmarła straszną śmiercią. W rodzinie ofiary zawsze znajdzie się ktoś, kto uważa, że przyczyniliśmy się do wypuszczenia mordercy na wolność. Powiedzmy więc, że poczułem głęboką, bardzo głęboką ulgę. Angie uparła się, że świętować będziemy bez świadków. – Bill gestem zaprasza mnie, żebym usiadła obok niego. – Chodź bliżej.

Wstaję bardzo powoli. Bill przyciąga mnie do siebie i całuje mnie w usta.

– Połóż się – mówi.

– Wydawało mi się, że to zły pomysł.

– Przeciwnie: bardzo dobry. Idziemy spać.

Wściekłe walenie do drzwi wyrywa nas ze snu.

Bill zrywa się z kanapy, podczas gdy ja niezdarnie gramolę się z poduch. Zanim zdążę wstać, dopada drzwi i wygląda przez wizjer. Podchodzę do niego.

– Idź do kuchni – rozkazuje. – Jeśli chcesz utrzymać... nas... w tajemnicy.

Nigdzie się nie ruszam. Bill otwiera drzwi. Oślepia mnie żółtozielona plama – to kurtka narciarska, która musi rzucać się w oczy, żeby pilot śmigłowca dostrzegł ją na zaśnieżonym zboczu. Wystaje z niej głowa Jo.

Jo przeciska się obok Billa i wchodzi do środka, jakby była u siebie. Szybko domyśla się, co oznacza moja obecność.

– Tessa? Czemu...? – Kręci głową. – Nieważne. Ty też musisz wiedzieć.

– Co takiego? – Poprawiam włosy niezgrabnym ruchem.

– Chodzi o Aurorę.

– Coś się jej stało?

*Nie żyje?*

– Nie, nie. Chodzi o jej DNA. Przeszukaliśmy bazy i trafiliśmy na coś. Ale to dziwne.

– No mówże, Jo. Co takiego odkryliście? – Bill się niecierpliwi. Wpatruje

się we mnie.

– DNA Aurory pasuje do DNA płodu znalezionej w grobie Polnych Kwiatów. Ich ojcem jest ta sama osoba. Gdyby dziewczynka przyszła na świat, byłyby przyrodnymi siostrami.

– Zgodność z DNA... córki Lydii? – Bill nie może uwierzyć w to, co usłyszał.

Ja zaś próbuję... nadgonić. Muszę pozbyć się z myśli obrazu nagiej Lydii w objęciach chłopaka z liceum. Lydia przespała się z mordercą. Albo została zgwałcona.

„To ja znam odpowiedzi”, szepcze Kwiat.

Dzwoni komórka. Bill wyjmując telefon z kieszeni i zdenerwowany zerka na wyświetlacz. Wyraz jego twarzy nagle się zmienia.

– Muszę odebrać – rzuca i pokazuje na mnie i Jo. – Ani słowa, dopóki nie skończę rozmawiać.

Jo bierze mnie pod rękę i prowadzi z powrotem na kanapę. Kwiaty szepczą cicho, szumią jak wiatr, który przez szczelinę wdziera się do mojego domku na drzewie.

Tej nocy Kwiaty przychodzą do mnie we śnie. Są rozszalałe, biegają wkoło, widzę tylko niewyraźne plamy, pomieszanie młodych kończyn i jasnych, wirujących spódnic, nigdy jeszcze nie były tak ożywione. Szukają mojego potwora we wszystkich zakamarkach, jak gdyby ich dom w mojej głowie miał się z hukiem rozpaść. Jak gdyby robiły to po raz ostatni.

Krzyczą i przeklinają siebie nawzajem. Przeklinają mnie.

„Obudź się, Tessie!” – wrzeszczą. – „Lydia coś wie!” Rozsypują się jak żołnierzyki. Otwierają i z trzaskiem zamykają drzwi szaf, zdejmują prześcieradła z łóżek, usuwają pajęczyny z żyrandoli, wyrrywają chwasty w ogrodzie. Merry, kochana Merry, pada na kolana i prosi Boga o zmiłowanie. „Tutaj! Znalazłam potwora!” – wyje jeden z Kwiatów. – „Prędeż, prędeż”, mówi, bo nie zdoła go długo utrzymać.

Trwam na krawędzi przytomności. Kwiat siedzi na *nim*, czerwona spódnica spływa jak plama krwi. Wkładając w to wszystkie swoje siły, obraca mu głowę tak, bym mogła zobaczyć jego twarz. Z jego ust wypełza robak. Twarz jest ubłocona.

Budzę się z płaczem.

Mój potwór nadal nosi maskę. Ale Lydia wie doskonale, kim on jest.

## Wrzesień 1995 roku

Richard Lincoln: Myślę, że to wszystko. Dziękuję ci, Lydio. Wiem, że to był dla ciebie trudny dzień.

Lydia Bell: Wcale nie był trudny. Chcę jeszcze coś powiedzieć. Chodzi o dziennik Tessie.

Richard Lincoln: Nie wiedziałem, że prowadziła dziennik.

Al Vega: Sprzeciw. Nic nie wiem o żadnym dzienniku. Nie ma go na liście dowodów. Poza tym, Wysoki Sądzie, nie widzę związku ze sprawą.

Sędzia Waters: Panie mecenasie?

Richard Lincoln: Zastanawiam się.

Sędzia Waters: Wobec tego póki pan się zastanawia, sam zadam świadkowi kilka pytań.

Al Vega: Sprzeciw. Wydaje mi się, że Wysoki Sąd nieco przesadza. Jedynym potwierdzeniem istnienia dziennika są słowa świadka.

Richard Lincoln: Obawiam się, Wysoki Sądzie, że muszę się zgodzić z kolegą i również wyrazić sprzeciw. Razem z prokuratorem Vegą poruszamy się po omacku, ponieważ nie znamy treści dziennika.

Sędzia Waters: Dziękuję, panowie, za jednomyślność w dążeniu do ustalenia prawdy. Panno Bell, niech pani na mnie spojrzysz. Proszę odpowiedzieć bez wnikania w szczegóły. Czy wspomniała pani o dzienniku, ponieważ uważa, że znajduje się w nim coś istotnego dla sprawy?

Lydia Bell: To głównie wyniki biegów, różne osobiste zapiski. Zdarzało się, że Tessie czytała mi fragment, jakąś historię, którą wymyśliła. Albo pokazywała szkic. Albo...

Sędzia Waters: Chwileczkę, panno Bell. Czy panna Cartwright pozwoliła pani zaglądać do dziennika?

Lydia Bell: Nie bardzo. Ale robiłam to, kiedy zachowywała się dziwnie. Poza tym grzebałam w jej torebce i w szufladach, żeby upewnić się, że nie faszeruje się benadrylem albo czymś w tym guście. Po to ma się przyjaciółkę, prawda?

Sędzia Waters: Panno Bell, proszę odpowiedzieć „tak” lub „nie”. Czy uważa pani, że ten dziennik zawiera coś, co ma znaczenie dla sprawy?

Lydia Bell: Trudno powiedzieć, ale wie pan, można się zastanawiać. Nie przeczytałam całości, tylko przekartkowałam. Obie prowadziłyśmy dzienniki, tak się umówiłyśmy.

Sędzia Waters: Czy wie pani, gdzie się znajduje dziennik Tessie?

Lydia Bell: Tak.

Sędzia Waters: Proszę powiedzieć.

Lydia Bell: Oddałam go jej psychiatrze.

Sędzia Waters: Dlaczego?

Lydia Bell: Bo znalazłam w nim rysunek, który stworzyła, kiedy była niewidoma. Narysowała rudą syrenkę skaczącą z dachu domu jej dziadka. Wie pan, syrenkę, która próbuje się zabić.



## Część III

### Tessa i Lydia

*Patrzanie na kwiaty przynosi ukojenie. Nie mają one bowiem ni uczuć, ni sprzeczności.*

Piętnastoletnia Lydia czyta słowa Zygmunta Freuda, wylegając się na łódce ojca, rok 1993

## Tessa obecnie

### Pierwsza czterdzieści sześć w nocy

Effie stoi przed moimi drzwiami i trzyma brązową nieforemną paczuszkę. Wiatr wydyma jej cienki szlafrok. Okolica śpi, czuwamy jedynie my i kilka latarni. Zanim zapukała, siedziałam i próbowałam czytać *Szczygła*, tak naprawdę myśląc o Terrellu.

Zostały trzy dni.

– Zapomniałam dać ci wcześniej. – Effie wkłada mi paczuszkę do rąk. – Widziałam, jak podrzuciła ją dziewczyna w fioletowej sukience. A może to był przystojniak w garniturze? No, w każdym razie dziś po południu to leżało u ciebie na werandzie. Albo wczoraj. A może tydzień temu? Pomyślałam, że schowam, a potem ci przyniosę.

– Dziękuję – mówię zaniepokojona.

„Tessie” nabazgrane na wierzchu. Brak znaczka. Brak adresu zwrotnego. W dotyku miękkie, ale w środku jest też coś twardego.

„Nie otwieraj” – ostrzeżenie od Kwiatu.

Przenoszę spojrzenie z Effie na tonący w ciemności trawnik za jej plecami. Przeczesuję wzrokiem krzaki na granicy naszych działek. Cienie na podjeździe tańczą do fałszywego rytmu.

Charlie została na noc u koleżanki. Lucas pojechał na randkę i wróci dopiero rano. Bill nocuje w Days Inn w Huntsville, bo Terrell ubłagał go o przyjazd.

Effie oddała się w kierunku swojego domu.

## Lydia w wieku szesnastu lat Czterdzieści trzy godziny po napaści

To nie jest moja najlepsza przyjaciółka.

To rzecz, rzecz w peruce klauna Bozo, z zapadniętą twarzą i wszechobecnymi rurkami, jak w akwaparku zaprojektowanym przez szalonego architekta, tyle że płynąca rurkami woda ma żółtą i czerwoną barwę.

Trzymam Tessie za rękę, ściskam ją regularnie jak w zegarku, bo tak kazała ciocia Hilda. „Mniej więcej co minutę – powiedziała. – Niech wie, że tu jesteśmy”. Staram się nie ścisnąć tam, gdzie opatrunek robi się różowawy. Przypadkiem usłyszałam, jak pielęgniarka mówiła, że Tessie ma zdarte paznokcie, tak jakby próbowała dosłownie wdrapać się na górę, chcąc uciec z grobu. Z rozcięcia na jej głowie trzeba było usunąć żółte płatki kwiatów.

– Może minąć nawet półtora roku, zanim odrosną paznokcie na palcach u nóg – odzywam się na głos, ponieważ ciocia Hilda powiedziała, że trzeba do niej mówić („bo nie wiemy, co ona słyszy”) i ponieważ pocieszyłam już Tessie, że odrastanie paznokci na palcach u rąk zajmuje tylko pół roku.

Zwymiotowałam, kiedy się dowiedziałam, że Tessie zaginęła. Po dwunastu godzinach już wiedziałam, że dopadło ją coś złego. Zaczęłam pisać mowę, którą wygłoszę na jej pogrzebie. Napisałam, że już nigdy nie poczuję jej palców delikatnie zaplatających moje włosy w warkocz, ani nie zobaczę, jak w pół minuty tworzy piękny rysunek, ani nie ujrzę zwierzęcej natury, która budzi się w niej, gdy biega. Ludzie będą płakali, kiedy to usłyszą.

Chciałam zacytować Chaucera i Jezusa i dać słowo, że znajdę jej mordercę, choćby miało mi to zająć całe życie. Chciałam z wysokości ambony rzucić wyzwanie zabójcy, dać mu ostrzeżenie na wypadek, gdyby znajdował się wśród żałobników, a to podobno częste. Zamiast przekazywać sobie znak pokoju, ludzie kręciliby się w ławkach, obrzucali jeden drugiego nerwowymi spojrzeniami i od tej chwili już zawsze zastanawialiby się, kim tak naprawdę są ich sąsiedzi. W każdej kuchni w szufladzie znajduje się nóż, na każdym łóżku poduszka, a w każdym garażu środek przeciw zamarzaniu. Wszystko może być bronią, ludzie, jesteśmy gotowi zadać cios. Tak brzmiałby mój przekaz.

Tessie uważa, że ludzie są z gruntu dobrzy. Ja tak nie myślę. Chętnie

zapytałabym ją, czy nadal sądzi, że zło to tylko wyjątek od reguły, ale nie chcę, by uznała, że próbuję ją dobić.

Monitor nad łóżkiem piszczy po raz setny. Aż podskakuję. Tessie jednak nadal leży nieruchomo. Czuję się, jakby moja dłoń ścisnęła kulę mozzarella. Po raz... nie wiem... dziesiąty dociera do mnie z całą mocą, że Tessie już nigdy nie będzie taka jak dawniej. Twarz ma owiniętą bandażem, pod którym coś się kryje. Być może nie będzie już piękna ani zabawna albo przestanie rozumieć moje aluzje do literatury, albo przestanie być jedyną osobą na świecie, która nie uważa mnie za upiorne dziwadło. Nawet tata czasem nazywa mnie Mortycją Addams.

Brzęczy i brzęczy. Po raz *kolejny* wciskam przycisk wzywający pielęgniarkę. Wreszcie przychodzi i pyta mnie, kiedy u Tessie zjawi się ktoś dorosły. Tak jakbym to *ja* stanowiła problem. Nie chcę, żeby znowu odesłała mnie do poczekalni. Tam jest chyba z milion osób. Poza tym trener Tessie doprowadza mnie do szału. Papła, jakie to szczęście, że *kalwaria* w porę dotarła do Tessie i ją uratowała. *Kawaleria*, nie kalwaria, ty kretynie. Kalwaria to wzgórze, na którym ukrzyżowano Jezusa. Ponownie opowiadam o tym Tessie, mimo że zrobiłam to już przed kilkoma minutami.

Widzę ruch powiek. Ciocia Hilda mówiła, że to normalne i wcale nie znaczy, że Tessie się budzi.

Wypatrzyłam Tessie w drugiej klasie. Zwróciłam na nią uwagę, kiedy usiadłam w sąsiedniej ławce.

Ścisnęłam jej dłoń.

– Już dobrze. Możesz wrócić. Nie pozwolę, by cię dopadł.

# Tessa obecnie

## Pierwsza pięćdziesiąt jeden w nocy

Zamykam drzwi. Dłoń na klawiaturze systemu alarmowego.

Odwracam się i zachłystuję się powietrzem.

W lustrze wiszącym na ścianie dostrzegam twarz Merry.

Jest uwięziona po drugiej stronie, tak jak tego wieczoru na parkingu za drogerią, kiedy przyklejała policzek do szyby furgonetki. Wyobrażam sobie, ile wysiłku musiało wymagać od niej – półżywej, otumanionej, zakneblowanej niebieską chustą – dźwignięcie się z tylnego siedzenia w rozpaczliwej nadziei, że na zewnątrz przypadkiem znajdzie się ktoś taki jak ja, kto ją uratuje. Spośród wszystkich Kwiatów w mojej głowie Merry jest najmniej potrzebująca, najmniej oskarżająca. I ma największe poczucie winy.

„Już dobrze” – mówię łagodnie, zbliżając się do niej. – „To nie twoja wina. To ja powinnam przeprosić, że nie zdołałam cię uratować”.

Kiedy przykładam dłoń do lustra, Merry już w nim nie ma. Zastąpiła ją blada kobieta z potarganymi rudymi włosami, zielonymi oczami i złotym wisiorkiem w kształcie zawijasa na szyi. Mój oddech pokrywa lustro parą i po chwili również znikam.

Do tej pory Merry ukazała mi się dwukrotnie. Pojawiła się w oknie u pana doktora, kiedy miałam siedemnaście lat, pięć dni po tym, jak odzyskałam wzrok. Cztery lata temu podczas pogrzebu mojego ojca stała w ostatnim rzędzie w kościelnym chórze i śpiewała *I'll Fly Away*.

Podchodzę do szuflady w kuchni, wydaję nóż i dobieram się do paczki.

Gwar Kwiatów w mojej głowie narasta.

## Lydia w wieku szesnastu lat Pół roku przed rozpoczęciem procesu

Wale w drzwi i wrzeszczę imię Tessie.

Zamknęła mnie. Utknęłam w jej idiotycznym różowym bajkowym pokoju, który wyglądał fajnie, owszem, ale kiedy miałyśmy po dziesięć lat. Obudziłam się i zobaczyłam, że nie ma jej w łóżku, a teraz nie mogę otworzyć drzwi na taras. Powiedziałam *wyraźnie*, żeby nie wychodziła sama, bo przecież jest ślepa i to niebezpieczne, a poza tym jestem dziś za nią odpowiedzialna. W rzeczywistości boję się, żeby nie skoczyła z dachu domu dziadka.

Dziś był kolejny Smutny Dzień. Dwudziesty szósty z rzędu. Rysuję w kalendarzu radosną buźkę, ilekroć Tessie choć *raz* się uśmiechnie danego dnia. Nikt poza mną nie rysuje tych buziek, a jednak jeśli dziś wieczorem Tessie odbierze sobie życie, wina spadnie na Lydię Frances Bell. „Lydia zawsze miała na nią zły wpływ. Lydia jest chora. Niewykluczone, że Lydia pomogła Tessie skoczyć”.

Przykładam ucho do drzwi. Żyje. Wygrywa jakąś zawodzącą melodię na flecie. Gra na flecie wymaga sporej pary w płucach. Wolałabym nie znaleźć się w zasięgu jej oddechu. Od sześciu dni nie myła zębów. *Tego* też nikt inny nie liczy. Nauka płynąca z przypadku Tessie brzmi tak, że kiedy ktoś śmierdzi, trudniej go kochać. Oczywiście są też plusy całej sytuacji. Miło jest zostać nazwaną „wymarzoną przyjaciółką” przez magazyn „People”. Poza tym czuję, i przeżywam w tajemnicy, rozkoszny dreszczyk emocji, jakbym wpatrywała się w ocean i zastanawiała, jaki jest głęboki i ciemny i co czai się na jego dnie. *Podoba mi się* przebywanie wewnątrz okropnej powieści, życie nią, wstawanie codziennie rano po to, by napisać kolejną stronę, nawet jeśli dla wszystkich to Tessie jest główną bohaterką tej historii.

Drzwi nieco ustępują, napieram jeszcze mocniej. Sprowadzenie Tessie na weekend do zamku to nie mój, tylko jej dziadków głupi pomysł. Jak można było przypuszczać, zasypiają o wpół do dziesiątej i są prawie głusi.

Chyba nie przyszła jej do głowy myśl o skoku po tej uwadze o Fridzie Kahlo, którą zrobiłam przy kolacji? Babcia krzywo na mnie spojrzała, ale to przecież dziadek poruszył temat.

Zaczął opowiadać Tessie o tym, jak osiemnastoletnia Frida Kahlo

malowała, unieruchomiona w gipsie i przykuta do łóżka po zderzeniu z tramwajem autobusu, którym jechała. Matka zrobiła dla niej specjalną sztalugę do łóżka. Dziadek zapytał Tessie, czy też chciałaby mieć coś takiego. Próbował ją natchnąć, ale moim zdaniem jedyną nauką, jaka płynie z tej opowieści, jest to, że wypadek okaleczył Fridę Kahlo psychicznie, tak jak porwanie poraniło Tessę. Powiedziałam *tylko*, że to w sumie dobrze, że Kahlo w końcu się zabiła, bo by się dosłownie zamalowała na śmierć. Wydawało mi się to zabawne: ile twarzy Fridy Kahlo jest w stanie przyjąć świat?

Drzwi nagle puszczają i wypadam na taras. Tessie siedzi na brzegu. Jest odwrócona do mnie plecami. Ma na sobie białą koszulkę dziadka w rozmiarze XL, w której wygląda jak przyjazny duszek Casper. Zapomniała zabrać koszulę do spania na naszą małą nocną wyprawę, więc pożyczyła T-shirt z szuflady dziadka.

„Istnieją duże lepsze sposoby na zabicie się – myślę. – Poza tym w życiu bym nie włożyła czegoś takiego”.

Może powinnam pozwolić jej skoczyć? Taka myśl przychodzi mi do głowy. Jeśli to zrobi, pewnie skończy na wózku, bo to taka szczęściara. Albo nieszczęściara. Niewielka różnica. Tyle ciężkiej pracy, by przywrócić ją do życia, podczas gdy ona, nie mam cienia wątpliwości, najchętniej zasnęłaby na wieczność w tym swoim grobie.

Jestem dziś naprawdę, naprawdę wkurzona. Bardziej niż zwykle. *Płaczę*. Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam. Gazety rozpisują się o tej historii, ale żadna z nich nie dotyka paskudnej prawdy.

Tessie ciągle gra na durnym flecie. Przez to sama mam ochotę skoczyć.

– Odsuń się od krawędzi – z trudem wydobywam z siebie głos. – Proszę!

Tessa obecnie  
Pierwsza pięćdziesiąt cztery w nocy

Otwieram paczkę i wyjmuję z niej reklamówkę.  
W środku jest bluzka.  
Poplamiona krwią.  
Poznaję ją.



## Lydia w wieku siedemnastu lat Dwa i pół miesiąca przed rozpoczęciem procesu

Dziś mogłabym narysować w kalendarzu *dwadzieścia* uśmiechniętych buziek.

Mama przyniosła nam zmrożoną colę w puszkach, do tego słomki, i ciasteczka na talerzu. Powiedziała, że miło posłuchać, jak znów się śmiejemy. Kiedy wyszła, zamknęłam drzwi na klucz. Tessie wpadła na pomysł, żeby narysować fałszywki dla jej nowego lekarza. Zdziwiłam się, i to mocno, bo o takie rzeczy podejrzewałabym raczej *siebie*. Tessie nigdy nie była kłamczuchą, za to ja owszem, o ile czemuś to służyło. Powiedziała, że nie jest gotowa pozwolić nowemu specjalście zajrzeć do swojej duszy. Gadaniem o duszy po prostu naśladowała lekarza, z którym ostatnio się męczyła. Idiota powiedział, że Tessie odzyska wzrok, jeśli skoczy z wysokiej trampoliny i otworzy oczy pod wodą. Doniosłam o tym jej tacie – jeszcze nigdy nie widziałam go tak wściekłego. „Równie dobrze mógł kazać jej się zabić!”

Tessie ma na sobie tę głupkowatą białą pidżamę z koronką, którą dostała od cici Hildy. W życiu by czegoś takiego nie włożyła, gdyby mogła to zobaczyć. Ale nie może, i to w sumie urocze. Nadaje jej niewinny wygląd, tak jakby świat wcale się nie kończył.

– Masz czarny mazak? – pyta Tessie.

– Mam. – Poprawiam jeszcze minę kwiatka i oddaję jej pisak.

Choć raz nie czuję wstydu, rysując w jej obecności. Musiała oślepnąć, aby stało się to możliwe. Bo wszystko, co Tessie narysuje, jest *doskonałe*. No, ale podoba mi się moje dzieło. Zdecydowanie lepiej mi to wychodzi, kiedy nie konkuruję z Tessie.

A jednak wydaje mi się, że rysunek jest ciut zbyt *dostowny*. Łąka pełna potwornych kwiatów. Kuląca się ze strachu dziewczyna. Przydałby się jakiś *dramatyzm*.

Dorysowuję jeszcze jedną dziewczynę na tej istniejącej. Dodaję odrobinę czerwieni. Czy walczą na śmierć? Czy jedna zabija drugą? Czy biedne kwiatki są nie straszne, tylko po prostu zatroskane, i próbują rozdzielić dziewczęta?

Cha, cha. Niech się pan doktor głowi.

## Tessa obecnie

### Druga zero trzy w nocy

Wpatruję się w brązową plamę na różowej bluzce. Mojej bluzce. Pożyczyła ją ode mnie bardzo dawno temu i nigdy nie oddała.

Dużo krwi.

Nie po raz pierwszy zastanawiam się w otępieniu, czy Lydia nie została zamordowana.

Lydia lubiła keczup, przypominam sobie. Lubiała też syrop kukurydziany i czerwony barwnik, manipulowanie i zagadki.

W paczce jest coś jeszcze.

Zeszyt w linie. To też rozpoznaję. Było tego całe pudło.

Zeszyt na okładce ma datę. I imię.

Na końcu „L” zawijas jak koci ogon. Setki razy widziałam, jak pisała to „L”.

Waham się pomiędzy otwarciem zeszytu a sięgnięciem po telefon.

Zastanawiam się, jak to rozegrać.

## Lydia w wieku siedemnastu lat Trzy tygodnie przed rozpoczęciem procesu

– Nazywam się Lydia Frances Bell – przedstawiam się i od razu żałuję, że dodałam „Frances”.

I że użyłam imienia Lydia, które nigdy nie wydawało mi się moim prawdziwym imieniem. Bardziej pasują do mnie Audriana albo Violetta, albo Dahlia. Powinnam była podać fałszywe nazwisko. Tessie uznałaby, że nawiązywanie z nim kontaktu to w ogóle bardzo zły pomysł. Wściekłyby się. Zamierzałam przejść się na wykład tego jej pana doktora, posiedzieć i posłuchać bez zwracania na siebie uwagi. Od tamtej pory byłam już dwa razy. Tessie doprowadza mnie do szału. Wczoraj wieczorem prawie urwała mi głowę, kiedy zrobiłam sobie kanapkę z masłem orzechowym i przyniosłam ją do jej pokoju. Dziewczyno, ogarnij się. Przecież to tylko kanapka.

Dziś po raz pierwszy wybieram się do niego, kiedy będzie miał dyżur w gabinecie. Czuję, że jestem przygotowana na miarę swoich możliwości. Zebrałam o nim wszystkie informacje, do jakich zdołałam dotrzeć. Przeczytałam jego cykl wykładów pod tytułem *Od Marilyn Monroe do Ewy Braun: najbardziej wpływowe lalunie w dziejach. Pochłonęłam* studium przypadku dziewczyny, która przeżyła, choć ojczym pogrzebał ją żywcem. Kiedy nazwisko tego lekarza pojawiło się na liście kandydatów na terapeutę Tessie, właśnie ta historia przekonała wszystkich, że warto dać mu szansę. Jest profesorem wizytującym na trzech uczelniach Ligi Bluszczowej. Żaden z jego wykładów i kursów nie ma w tytule „dla początkujących”. Niewiele udało mi się znaleźć na temat jego życia prywatnego, więc tu akurat zonk, w dodatku nic, zero, o zaginionej córce, ale na pewno jest po prostu człowiekiem zamkniętym w sobie i całkowicie oddanym pracy.

– Bardzo się cieszę, że przyszłaś, Lydio – mówi. – Widziałem, że siedziałaś w pierwszym rzędzie. – Jego uśmiech jest jak powiew słońca. No proszę, sprawia, że myślę Keatsem.

Przedstawiam swoje *obszerne* notatki z jego ostatniego wykładu, traktującego o mrocznej triadzie osobowości, bo chcę, żeby od razu się przekonał, jak pilną jestem studentką. Pyta mnie, czy zgadzam się z Machiavellim, że w nieszczęściu nie jesteśmy bezradni. Pytanie było najwyraźniej retoryczne, bo nie pozwala mi odpowiedzieć, i mówi dalej.

Podoba mi się brzmienie jego głosu, kiedy wypowiada wszystkie te czterosylabowe słowa. Czuję się, jakby uprawiał seks z moim mózgiem.

Przygotowałam dziesięć znakomitych pytań, którymi chciałam zrobić na nim wrażenie, ale jak dotąd nie udało mi się zadać nawet jednego.

Wyjechał z fotelem zza biurka. Kolanem napiera na moją nogę, co daje rozkoszne przyjemno-bolesne odczucie. Nie jestem w stanie *pozbiierać myśli*, czując dotyk jego kolana, on zaś zachowuje się jak gdyby nigdy nic.

Wiem, że muszę mu powiedzieć, że jestem *tą* Lydią, najlepszą przyjaciółką Tessie, ale nie mogę tego zrobić, kiedy tak na mnie patrzy.

Następnym razem.

## Tessa obecnie

### Druga dwadzieścia cztery w nocy

Przeglądam pobieżnie zeszyt. Okrutne słowa. Ranią mnie, wbijają mi nóż w serce, kopią w brzuch. Posyłają całusy. Miłość i uraza, wszystko w jednym.

Kiedy miałam szesnaście lat, obok mnie istniała zupełnie inna Lydia. Obraz ukryty za obrazem. Wracam pamięcią do tej nocy na tarasie, podczas której, jak sądziłam, wyciągnęliśmy wszystko, co można było wyciągnąć. Wyrzuciłyśmy sobie każdą niewypowiedzianą przyczynę gniewu. Wycięłyśmy wszystkie guzy, które rosły w nas, od kiedy zostałyśmy przyjaciółkami, które rosną pod skórą każdej znajomości, dopóki jakieś niewybaczalne zdarzenie na zawsze nie zmieni ich właściwości.

Myliłam się. Było tego dużo, dużo więcej.

Próbuję dopasować dziewczynę z zeszytu do tej, która pomagała mi odzyskać oddech za pomocą brązowej papierowej torebki. Która tuliła mnie przez całą noc, kiedy umarła moja mama. I która zaplatała mi włosy, kiedy oślepałam. Która czytała mi pełną uniesienia poezję. Która pisała do mnie liściki atramentem sympatycznym z soku z cytryny i ulubionym szyfrem Edgara Allana Poego, po czym umieszczała je w szczelinie w moim domku na drzewie; chcąc dowiedzieć się, co napisała, musiałam czytać jej słowa pod słońce.

Robi mi się niedobrze.

Dzwonek telefonu. Podskakuję i przewracam butelkę z wodą.

Pismo Lydii zaczyna się rozmywać.

Łapię chusteczkę i rozpaczliwie usiłuję osuszyć strony.

Telefon uparcie brzęczy. Wpatruję się w nazwisko na wyświetlaczu.

*Outler, Euphemia.*

Została mniej więcej jedna czwarta zeszytu. Nie wiem, jak kończy się historia Lydii. Ani ile mam czasu na lekturę. Muszę się przekonać, i to szybko.

Odbieram telefon.

– Kwiatuszek? Kwiatuszku! – Totalna panika całkiem w jej stylu. Effie ścisza głos. – Chyba jest tu ten przeklęty złodziej łopatek.

## Lydia w wieku siedemnastu lat Dwa dni po zakończeniu procesu

Tessa na mnie *krzyczy*.

– Dałaś mu mój dziennik?! Grzebiesz w moich rzeczach?!

– Musiałam pomóc przysięgłym uzyskać pełny obraz.

Dobry Boże, *wściekła się* nie na żarty. Sądziłam, że zrozumie.

– Dałam mu ten dziennik, żeby cię *ochronić*. Zeznałam to wszystko, żeby Terrell dostał, na co zasłużył.

– Ta, jasne. I musiałaś mówić, że się nie myłam? Że znalazłaś wszy w moich włosach? Że kradłam środki przeciwbólowe z apteczki cioci Hildy?

– Przepraszam, że powiedziałam, że chłopaki nazywają cię Polna Szrama. To był bardzo niefortunny nagłówek.

– Naprawdę mnie tak nazywają? Naprawdę, Lydio? – Tessie wygląda, jakby miała się rozpłakać.

Nie mogę jednak ustąpić. Ona zawsze chciałaby mieć wszystko.

– Zeznawałaś *dla siebie* – mówi. – Żebyś *sama* mogła zostać gwiazdą.

Stoimy na tarasie domu jej dziadka, tak jak milion razy wcześniej. Jest na mnie tak zła, że cała się trzęsie. Ale ja też czuję, że z każdą chwilą opanowuje mnie coraz większy gniew. Czy ona naprawdę nie rozumie tego wszystkiego, co dla niej zrobiłam?! Wrzeszczy na mnie, ja wrzeszczę na nią – pyskówka stulecia. Wreszcie brakuje jej repliki. Zapada cisza. Jest ciemna noc, a pośród niej my. Oddychamy z trudem.

– Widziałam cię z panem doktorem.

Jej ton przyprawia mnie o gęsią skórę.

– O czym ty mówisz?

Oczywiście, że *wiem*, o czym mówi. Tylko o który raz jej chodzi? Ile wie? Postanawiam zaryzykować.

– To znaczy wtedy, kiedy dawałam mu twój dziennik?

– Chyba tak. Spacerowałam z Oscarem po kampusie. Coś ty sobie myślała, Lydio? Wynoś się!

Nagle zjawia się za mną jej babcia, wbija mi szpony w ramię, oddycha chrapliwie, bo musiała wspiąć się po tych wszystkich schodach. Nigdy za mną nie przepadała.

– Dziewczeta...

– Wyoń się, Lydio – szłocha Tessie. – *Wynochawynochawynocha.*

## Tessa obecnie

### Druga dwadzieścia dziewięć w nocy

Biegnę przez podwórze. Bosa. Czuję się jak we śnie. Nad moją głową rozgwieżdżone nocne niebo. Słodka, przyprawiająca o mdłości woń.

Na każdym drzewie cienie, gotowe rzucić się na mnie i udusić. Skupiam się na świetle wyciekającym z okna w kuchni Effie. Na zimnej stali w mojej dłoni. Na Effie stającej oko w oko z potworem. Tym, który wyżera jej mózg. Albo tym, który sprawia, że po dziewczętach zostają tylko kości. Albo tym, który czesał mi włosy i skrycie pogardzał moją słabością. A może z wszystkimi trzema.

Czeka na mnie. Wykorzystuje Effie jako przynętę.

Co to takiego? Pochylam się i przesuwam dłonią po trawie. Konfetti. Rozsypane tak, że tworzy ścieżkę pomiędzy domem Effie a moim. Rozcieram kawałki papieru w palcach. Widzę, jak się kruszą i spadają na ziemię niczym błyskotliwe abstrakcyjne myśli.

To nie konfetti.

Trawa jest usiana rudbekiami.

Ktoś poodrywał płatki i usypał z nich dla mnie szlak.

Biorę gwałtowny wdech, łapię powietrze, które ucieka mi z płuc.

Niebo nade mną wiruje jak na obrazie Van Gogha.

Moje myśli wybuchają obrazami, aż w końcu zostaje tylko jeden. Ten jeden obraz.

*On* wreszcie starł błoto ze swojej twarzy.

Mój potwór. Morderca Polnych Kwiatów.

Jest czysty, umyty i ogolony. Uśmiecha się.

Kwiaty piszczą z radości. „To on, to on, to on!”

Czuję, jak zaciska mi dłoń na ramieniu. Do moich nozdrzy dolatuje zapach jego wody kolońskiej.

Słyszę jego niespieszne, uspokajające słowa, wypowiedane z teksańskim akcentem.

„Gdybyś miała trzy życzenia, Tessie, to jak by one brzmiały?”



## Lydia w wieku siedemnastu lat Trzy dni po zakończeniu procesu

Kochaliśmy się dwa razy. On siedzi na brzegu łóżka.

– Pozwolisz, mała, że wezmę prysznic – mówi. – Potem będę musiał lecieć. Więc zbieraj się już, okej?

*Mała.* Jakby ta scena rozgrywała się w latach czterdziestych, a ja byłabym jego panienką na boku. Może byś tak sięgnął do mitów i nazwał mnie Eurydyką? Albo Izoldą? Myślę, że Lydia Frances Bell zasługuje na coś lepszego niż szorstka pościel, „zbieraj się” i „mała”.

Szum prysznic.

Wstaję z łóżka i przechodzą mnie dreszcze. W jego mieszkaniu zawsze jest lodowato. Mówi, że nie lubi hałasu włączającego się i wyłączającego piecyka. Niech mu będzie. Podnoszę z podłogi jego koszulę i wkładam ją. Macham długimi rękawami jak ptak skrzydłami. To jego ostatni dzień na uczelni przed wyjazdem do Chin na urlop naukowy. Mówi, że Tessie wcale nie musi się dowiedzieć, że ze sobą sypialiśmy. „To dopiero” – myślę. Przewiduję też, że Tessie dojdzie do siebie po zeznaniach. Daję jej miesiąc.

Większość mieszkania zajmują kartony.

Może trochę pomyszkuję. Znajdę sobie coś na pamiątkę, coś, za czym nie zatęskni.

Wsuwam dłonie do kieszeni jego staroświeckich garniturów. Mógłby mi pozwolić sobie ubrać. Koszulę ma zdecydowanie zbyt mocno wykrochmaloną, drapie mnie w szyję. Kartkuję leżące na stercie podręczniki, które na pewno zanudziłyby mnie na śmierć. Otwieram szufladę z bielizną i przesuwam wzrokiem po zawartości. Zwyczajna, zwyczajniejsza, najzwyczajniejsza.

Prysznic wciąż szumi.

Otwieram i zamykam puste szuflady. Zaglądam do zamrażarki.

Przeglądam stosik listów. Ech, nawet u Tessie bywa więcej niespodzianek.

Miałam nie otwierać szafki pod zlewem w kuchni, ale stwierdziłam, że w sumie czemu nie.

I tam je znalazłam.

Bujne żółte kwiaty z czarnymi oczkami.

## Tessa obecnie

### Druga trzydzieści cztery w nocy

Kłęczę. Wpatruję się w płatek, który trzymam w dłoni. Pulsuje we mnie złość.

Na *niego*. Na siebie za to, że od początku wiedziałam, ale za bardzo się bałam, by to sobie uświadomić.

Na Lydię.

Nie wiem, ile czasu minęło. Kilka sekund? Kilka minut? Okno w domu Effie nadal jest rozświetlone.

„Ty sama kontrolujesz swój umysł, Tessie”. Słowa pana doktora. W mojej głowie. Szydzą. Drwią.

Zmuszam się do wstania.

Wszędzie dokoła płatki, kleją się do moich kolan i bosych stóp.

Pochylam się i rozgarniam je.

To nie płatki.

To maleńkie, poskręcane strzępki chusteczek higienicznych. Rozpadły się w praniu. To fragmenty chusteczek, które Effie nieustannie upycha po kieszeniach szlafroka i swetrów.

Szlak Effie. Prowadzi do jej drzwi, znajduje się wiele kilometrów od grobu, w którym zasnęła Tessie.

Tyle że Tessie się budzi. Dawna Tessie, ta, co prześcigała chłopców, pokonywała ospałe serce, kładła na szali strupy, kości, blizny. Ta, co nie przegrywała, bo dopingowała ją nieżyjąca matka.

Tessie na torze, przygotowująca się do biegu w oślepiającym słońcu. Widać fale gorąca. Oczy skierowane w dół. Żeby wygrać, będzie musiała jak najmniej czasu spędzić w powietrzu, przeskakując nad płotkami.

Opiera palce na ziarnistym podłożu.

Ja kładę dłoń na klamce u drzwi domu Effie.

Obie czekamy, kiedy wystrzeli pistolet.

## Lydia w wieku siedemnastu lat Dziesięć dni po zakończeniu procesu

Jest jak pan Darcy wśród seryjnych morderców. Podaje mi dłoń, abym mogła wsiąść do kołyszącej się na falach łódki przycumowanej do rozpadającego się nabrzeża. Z domku dotarliśmy nad wodę krętą ścieżynką. Wynajęcie domku letniskowego to był jego pomysł. Powiedział, że tam pożegnamy się w wyjątkowy sposób, zanim wyjedzie do Chin czy tam, gdzie naprawdę się wybiera. Domek stoi na całkowitym odludziu. Ciekawe, czy przywoził tu nowe dziewczyny. A może za każdym razem wybiera inne miejsce? Wszystko jest czarne. Woda, niebo, las za naszymi plecami. Plandeka na dnie łódki. Czy on naprawdę uważa, że Lydia Bell jest taka głupia? Oczywiście, wsiadłam do łódki razem z seryjnym mordercą, ale przecież tak trzeba, kiedy brak dowodów i ty masz jedyną szansę, by je zdobyć.

– Ostrożnie – uprzedza, kiedy stawiam pierwszy krok na pokładzie. – Chcesz sterować?

Siadam, a w tym czasie on szarpie za linkę silnika przyczepnego. Zwiększenie obrotów sprawia mu pewną trudność. Mogłabym mu podpowiedzieć, ale nie robię tego.

– Nie, dzięki – odpowiadam. – Bałabym się. Posiedzę sobie i popatrzę na księżyc, jeśli go znajdę. Mam latarkę. Może coś ci poczytam. – Pokazuję, że wzięłam ze sobą *Wielką księgę liryki miłosnej: od Browninga do Yeatsa*, mimo że mam pamięć fotograficzną i czytałam tę książkę z milion razy.

– Nie wiedziałem, że coś jest w stanie cię przestraszyć – drażni się ze mną.

Hm, może trochę przedobrzyłam.

– Spodoba ci się tu, w ciemnościach na jeziorze – mówi. – To w twoim stylu. Zaczekaj z tym czytaniem, aż znajdziemy odpowiednie miejsce. Wyłączę silnik i podryfujemy. Napij się wina.

Po jakichś trzech kilometrach wreszcie zwalnia. Włączam latarkę, otwieram książkę i zaczynam:

– „Kochasz, *nie* kochasz”.

Silnik tłumi mój głos.

– Co? – Zniecierpliwiony. – Mówiłem, żebyś jeszcze nie czytała. Milknę. To dla mnie niełatwe.

Wyłącza silnik na środku jeziora.

Jestem rzecz jasna przygotowana. W głowie mam ułożone dziesięć pytań. Zamykam książkę.

Pytanie numer jeden:

– Czy zabiłeś te dziewczyny?

– Jakie dziewczyny, skarbie?

– Myślałeś, że przestanę cię kochać? Że o wszystkim opowiem?

– Lydio, przestań.

– Czy kiedy po raz pierwszy przyszedłem do twojego gabinetu, wiedziałeś, kim jestem? Że jestem najlepszą przyjaciółką Tessie?

Chcę, żeby odpowiedział „nie”. Chcę, żeby to *wyjaśnił*.

Z trudem wyławiam z ciemności rysy jego twarzy. Siedzi całkiem rozluźniony.

– Mała... oczywiście, że wiedziałem. Wiem wszystko o tobie i Tessie. Pojebane z was panny.

Obserwuję jego dłonie. Majstrują przy zwiniętej linie.

No i stało się. Lydia Frances Bell zakochała się w seryjnym mordercy.

Serce wali mi jak oszalałe, ale należało się tego spodziewać. Nie spuszcza oczu z liny.

– Dokąd tak naprawdę lecisz?

– Na pewno, pani mądralińska, masz dla mnie lepsze pytania. Ale odpowiem. Jeszcze nie wiem.

– Mam łącznie dziesięć.

– Wal.

– Czy naprawdę masz córkę Rebekeę?

– Nie. – Szczerzy zęby.

– Rodzina? Przyjaciele?

– Raczej nie są mi potrzebni, nie sądzisz?

– Pozostałe trzy pytania nie mają znaczenia.

Zaciskam palce na uchwycie pistoletu taty w kieszeni kurtki.

– Jestem w ciąży – mówię.

Celuję w pierś.

Ale krew zaczyna lecieć z ramienia.

Nawet nie wiem, kiedy pistolet wypalił. Wystrzał rozchodzi się po jeziorze i brzmi, jakby pękało niebo. Jakby miał spaść deszcz odłamków szkła. Tak mawiała Tessie.

Odzyskuję panowanie nad ręką.

– Zaczekaj, mała. – Błaga. – Możemy razem coś wymyślić. Przecież jesteśmy tacy sami.

# Tessa obecnie

## Druga czterdzieści cztery w nocy

Korytarz.

Ciemno.

– Effie?! – wołam.

– W kuchni, Kwiatuszku! – Jej głos dolatuje z pomieszczenia obok. Jest śpiewny. Nie słyszę w nim nuty paniki.

Czuję swąd.

Czy to proch? Czy moja sąsiadka zastrzeliła złodzieja łopatek z pistoleciku z kolbą wykładaną masą perłową, który wbrew temu, o co ją prosiłam, trzyma naładowany w szafce nocnej?

„Dasz radę” – myślę. „Dla Charlie”.

Zaglądam do środka.

Zwyczajna scenka.

Scenka mroząca krew w żyłach.

Lydia, jak najbardziej żywa. Lydia w kolorze *blond*, siedzi przy stole.

Rozpromieniona gospodyni stawia przed nią porcelanowy talerz w niebieskie kwiatki.

– Jesteś! – cieszy się Effie. – Fałszywy alarm! Okazało się, że to nie złodziej łopatek, tylko Liz. To dopiero!

Lydia się uśmiecha. Nie leży pogrzebana w anonimowym grobie. Nie jest załamana. Nie budzi litości. A zarazem wszystko to po trochu.

Usta ma pociągnięte jasnoczerwoną szminką. Widzę małe, maleńkie znamię na górnej wardze – kiedyś jeden chłopak wmawiał jej, że to kleszcz; przez tydzień zasłaniała usta dłonią. Lewą nogę założyła na prawą pod nieco dziwnym kątem. Pewnego lata siadała w taki sposób, żeby ukryć ślad po sprzączce ojcowskiego paska. Weszło jej to w nawyk.

Znałam jej przyzwyczajenia. Znałam tajemnice, przez które wyła z bólu. Mogłabym rozerwać ją na strzępy.

Lydia patrzy na mnie uważnie. Nadal się nie odzywa.

Pistolet wypada mi z ręki i głośno ląduje na podłodze.

Nie ruszam się. Bo to był mój ruch.

– Coś ci upadło, kochanie – mówi Effie. – Czemu nie podnosisz? Pewnie pamiętasz, jak opowiadałam ci o Liz. To ta naukowiec z towarzystwa

historycznego, która czasem wpada do mnie z wizytą. Niedawno wzięłam od niej na przechowanie i wstawiłam do szopy pudła z materiałami do badań nad Fort Worth. Liz odwiedza rady ochrony zabytków w całym kraju!

Pamiętam. Szczelnie zaklejone taśmą kartony. Charlie pomagała Effie i jakiejś obcej kobiecie zataścić je do szopy.

– Liz przyjechała późnym wieczorem, żeby zabrać coś z pudeł, i nie chciała mnie budzić – ciągnie Effie. – Już ją pouczyłam, że w Teksasie lepiej nie podkradać się do czyjegoś domu. Większość czasu spędza w bardziej cywilizowanych miejscach, takich jak Waszyngton i Londyn, prawda?

Lydia, ta ufarbowana, uśmiechnięta, potakująca Lydia, wkradła się do życia Effie. Udaje kogoś, kim nie jest. Szpieguje, tak jak robiła to kiedyś. Obserwuje mnie. Obserwuje Charlie. Podrzuca mi swój dziennik. Zwraca mi zakrwawioną bluzkę. Prowadzi swoje gierki.

– Gdzie *on* jest? – syczę do niej.

To przecież ona stale powtarzała mi, żeby nigdy nie wymawiać głośno imienia pana doktora. „Przejmuj kontrolę. Ograniczaj jego władzę”.

– Ależ kochanie, złodzieja łopatek tu nie ma – odzywa się Effie, starając się wszystko wyjaśnić. – Jak już mówiłam, to nie był *on*, tylko Liz. Właśnie rozmawialiśmy o Hermanie Mudgetcie<sup>18</sup> z Chicago, który u nas w centrum próbował zbudować jeden ze swoich zamków śmierci. Liz wie *wszystko* o starym Fort Worth. Zgodziłyśmy się, że na działce, na której ten człowiek planował wznieść rzeźnię dla dziewcząt, powinna stanąć odpowiednia tabliczka.

– Na pewno wie wszystko o seryjnych mordercach.

Nie jestem w stanie oderwać od niej wzroku. Od jej lśniących, dobrze znanych oczu. Drogie, szylkretowe oprawki okularów. Włosy związane w modny niechlujny supeł. Na rękę duży breitling na skórzanym pasku. Na palcu prawej ręki szeroka obrączka z kutego srebra bez ozdób.

– *On* nie żyje, Tessie. – Pierwsze słowa, które Lydia wypowiedziała do mnie od siedemnastu lat. W jej głosie triumfalny ton. – Zabiłam go.

– Oczywiście, że nie żyje – papla Effie. – Mudgett zmarł w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym. Powieszono go w więzieniu Moyamensing. Liz, przecież sama przed chwilą mówiłaś, że szarpał się przez kwadrans.

## Lydia w wieku siedemnastu lat

Czterokrotnie pociągam za spust.

Cóż łatwiejszego dla *pojebanej* teksańskiej panny?

Przestępuję nad jego ciałem i sięgam po ster.

Jedenaście minut zajmuje mi opłynięcie jeziora po ciemku i znalezienie Dumbo. Mojego znacznika. To duże drzewo na zachodnim brzegu jeziora, ma gałąź, która rośnie do góry niczym trąba słońca.

To najbardziej niepokojące miejsce na jeziorze. Trupi Trójkąt. Świetne do łowienia ryb, ale jeśli ktoś tu wpadnie do wody, może już nigdy nie wypłynąć. Pływam po tym jeziorze, od kiedy zaczęłam sięgać głową ponad burzę, a tata został pijakiem, czyli od małego. Przeżywaliśmy tu z nim miłe chwile. Ja oprawiałam ryby, nie wymiotując, a on żłopał wódkę z puszek po coli i rzygał.

W moim umyśle panują *cisza i spokój*. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek było tak cicho i spokojnie. To dziwne. Wyłączam silnik. Dryfuję przez kilka chwil. No, czas wziąć się do roboty. Wcale nie tak trudno wyrzucić go za burzę. Plusk! Znika pod wodą w niecałą minutę. Nic nie czuję, patrząc, jak idzie na dno. Dorzucam starą książkę, którą znalazłam u niego pod zlewem razem z rudbekiami i detergentami. *Rebeka Daphne du Maurier*. Gdyby nie to, że kiepską oprawę poplamiła krew, zatrzymałabym ją. Pytania numer osiem, dziewięć i dziesięć dotyczyły tej książki, ale nie zdążyłabym ich zadać, bo spętałby mnie cholernym lassem.

Droga powrotna trwa krótko. Zabieram brezent z łódki i wszystkie nasze rzeczy z domku. „Proszę zwolnić domek najpóźniej do godz. 11” – widnieje na instrukcji przyklepionej na drzwiach od wewnątrz. „Proszę upewnić się, że łódź jest prawidłowo przycumowana. Proszę zostawić klucze na stole”.

Kiedy wkładam kluczyk do stacyjki w jego samochodzie, dzwonią mi zęby i mam zdrętwiałe stopy i dłonie, ale ogólnie czuję się dobrze z tym, co robiłam. Jadę na kemping nad jeziorem Texoma i wyrzucam plandekę i garnitur do dwóch wielkich pojemników na śmieci – plandekę na jednym końcu kempingu, garnitur na drugim.

Jestem w połowie drogi do wypożyczalni, z której wzięliśmy samochód, kiedy kończy mi się paliwo.

# Tessa obecnie

## Druga pięćdziesiąt dwie w nocy

Mój potwór jest martwy.

Moja najlepsza przyjaciółka żyje i właśnie składa białą serwetkę w zgrabny stożek.

Więc dlaczego czuję to przerażające pragnienie, by stąd uciec?

By krzyknąć do Effie:

*Uciekaj!*



## Lydia w wieku siedemnastu lat

Myślałam, że tata mnie zabije. Musiał mnie odebrać z Whataburgera w Sherman. Przeszłam sześć i pół kilometra piechotą. Miałam krew na twarzy i ubraniu. Kobiecie za ladą, którą zapytałam, czy mogę skorzystać z telefonu, wcisnęłam kit, że pękła mi saszetka z keczupem. Tata nie dał się nabrać.

Złamał mnie jak zwykle. Byłam strasznie zmęczona. Ledwo się ruszałam. Nawet nie musiał za bardzo grozić. Szkoda tylko, że nie zadzwoniłam do Tessie.

Kiedy jechaliśmy do domu, tata mówił różne rzeczy. „Nie masz dowodów, że to on był mordercą. Pod żadnym pozorem nie poddasz się aborcji. Jezus Maria, Lydio. Chryste!”

Podśluchałam jego rozmowę z dwoma kumplami ze szrotu. Obiecał, że im zapłaci, jeśli uzupełnią benzynę w baku samochodu, który porzuciłam, i zwrócą go do wypożyczalni.

Wciąż jest mi zimno, choćbym nie wiem jak próbowała się rozgrzać.

Mam wrażenie, że upłynęło milion lat, od kiedy stałam za szopą i patrzyłam, jak sadzi kwiaty pod domkiem na drzewie Tessie.

Rodzice siedzą na kanapie i dyskutują, co dalej, a ja wychodzę na podwórze na tyłach domu i zakopuję skarb – nadaję mu nazwę Pudełeczko Złego. Zawiera klucz do domku, który zapomniałam zostawić na stole; pierścionek Tessie, który ukradłam i schowałam u siebie, bo jej przynosił pecha; mój ulubiony zbiór Edgara Allana Poeego, bo dziś w nocy wydawało mi się, że książka tyka, a ja nie zamierzam żyć z tym do samego końca. Nigdy, *przenigdy* nie zwariuję tak jak Tessie.

## Tessa obecnie

### Druga pięćdziesiąt trzy w nocy

To wariatka. *Lydia zwariowała.*

Kiedy powinnam była się zorientować? Już w chwili, w której usiadła obok mnie w drugiej klasie i zobaczyłam, że ma czerwone ołówki z brokatem zaostrzone jak szpikulce do lodu?

Nawija, jak to Lydia, kiedy mówi prawdę: o Keatsie, o niebie pękającym nad jeziorem, o tym, że „ostatni obraz pana doktora, jaki ma przed oczami, to łyśa plamka na jego głowie, która wyglądała jak wielki ślad po ugryzieniu komara”, a potem już tylko czerń i czerń.

Pan doktor. Mój potwór. Jej kochanek.

Na dnie jeziora. Tego samego, na którym uczyłam Charlie jeździć slalomem na nartach wodnych. Niewykluczone, że pruć nad jego ciałem.

Od zawsze nie żył.

Ogarnia mnie ogromna ulga. Świadomość, że to ja przez cały ten czas utrzymywałam go przy życiu, strąca mnie do piekła.

A moja najlepsza przyjaciółka na to pozwoliła. Pozwoliła mi cierpieć. Pozwoliła, by Terrell zapłacił za coś, czego nie zrobił.

Lydia, zachłanny kwiat. Jest Polnym Kwiatem, jest nim bardziej niż którakolwiek z dziewcząt w grobie. To ona sprawuje kontrolę. To ona kwitnie na spustoszonej ziemi.

– Cztery godziny po tym, jak kochaliśmy się po raz pierwszy, widziałam, jak sady rudbekie pod twoim domkiem na drzewie – mówi gładko. – Znalazłam je u niego w szafce pod zlewem. Rosły w plastikowych doniczkach. Potem poszłam za nim i widziałam, jak wykopuje dołek. Co jak co, ale akurat w takich sprawach potrafię dodać dwa do dwóch. – Chichocze.

*On nigdy nie tknie mojej córki.*

Bo jest trupem.

Lydia go kochała.

– Kiepsko wyglądasz, skarbie – mówi Effie. – Pewnie jesteś zmęczona. Usiądź sobie.

– Te kwiaty...? – bąkam pytanie do Lydii.

– Tak? – Zniecierpliwienie. Jakby nie mogła się czegoś doczekać.

*Wdzięczność.* Lydia czeka, aż okażę jej wdzięczność. Zmagam się z falą

złości i niedowierzania. Wzięła moje zdrowie psychiczne na zakładnika, przetrzymywała je przez siedemnaście lat i jeszcze się spodziewa, że jej za to podziękuję! Nachodzi mnie wściekła ochota, by ją spoliczkować, wyrwać te jej lśniące sztuczne włosy i krzyknąć: „Dlaczego? Dlaczego?!”, aż dom Effie zatrzęsie się w posadach.

Ona zaczyna się niecierpliwić, a ja muszę się upewnić.

– Lydio – zaczynam. – Skoro *on* nie żyje... kto wobec tego przez te wszystkie lata sadił rudbekie?

Patrzy mi prosto w oczy.

– Oskarżasz o to mnie? Niby skąd mam wiedzieć? Przecież to tylko *kwiaty*, Tessie. A jak tam kanapki z masłem orzechowym? Nadal ci odbija na ich widok?

– Praca Liz nie ma nic wspólnego z ogrodnictwem – wtrąca Effie. – Polnymi kwiatami zajmuje się Marjory Schwab z klubu ogrodniczego. Z kolei za kanapki odpowiada Blanche jakaś tam. A może ma na imię Gladys? Poza tym to jest Liz, kochanie, a nie Lydia.

– W porządku, Effie – odpowiadam.

Lydia wyciera usta serwetką. Kolejny udawany gest. Nie spróbowała nawet kęsa z tej grudy, którą położyła przed nią Effie.

– Tessie, wiem, że jesteś zła. Ale morderstwa doskonale nie zdarzają się *przypadkiem*. Kluczowe znaczenie ma wycucie czasu. To, że zatrzymałam bluzkę, było posunięciem godnym O.J. Simpsona, nie uważasz?

– To... *jego* krew jest na bluzce – mówię powoli. – Z tej nocy, kiedy go zabiłaś.

– Nie doczytałaś dziennika do końca? – dziwi się. – Dałam ci trzy kwadransy.

Mój umysł głuźnie na jej paplaninę. Skupia się na tym, co nadal istotne. Co wciąż da się naprawić. *Terrell*.

Krew pana doktora na różowej bluzce. Płód w grobie. DNA Aurory.

Wszystko się łączy. Nauka, która mogłaby przyczynić się do uwolnienia Terrella. Jeżeli Lydia mówi prawdę, krew na bluzce stanowi łącznik. Pan doktor był ojcem córki Lydie, a także dziecka zamordowanego Polnego Kwiatu.

– Nie zapytasz mnie, co tu robię? – Głos Lydie brzmi płaczliwie, tak jak brzmiał, kiedy miała dziesięć, dwanaście, szesnaście lat. – W szopie znajdują się materiały o doktorze. Zbierałam je trzy lata. O uczelniach, na których wykładał. O dziewczynach, które zniknęły, kiedy tam pracował. Wszystko to poszlaki, owszem, ale składają się na w miarę spójny obraz. Oczywiście

doprowadzimy do przeczesania jeziora. Złożę zeznania, ale będę zbyt załamana, żeby wyjawić *absolutnie wszystko*. – Upaja się sobą i swoim planem. – Nie zjawiłam się bez przyczyny, Tessie. Taki obrót zdarzeń w ostatniej chwili będzie stanowił fantastyczne zakończenie mojej nowej książki. Nawet jeśli go w końcu zabiją, ja i tak wyjdę na bohaterkę, ponieważ próbowałam go ocalić. Książka opowiada o drugim Polnym Kwiecie, który przeżył. O mnie. Napisałam ją jako współczesną feministyczną baśń. Zobaczysz, spodoba ci się. Rzecz sprowadza się do tego, że potwór zostaje wydymany.

– Zaczynam podejrzewać, że nie należysz do towarzystwa historycznego – mówi Effie.

Lydia wbija widelec w porcję ciasta Effie. Podnosi go do ust.

Nie powstrzymuję jej.

Po raz pierwszy od dawna wstępuje we mnie nadzieja. Oczyszcza mój umysł jak chłodny wiatr.

## Potwór w 1995 roku

3 października 1995 roku, godzina 13.00

Zdrowie O.J., który przed chwilą wyszedł z budynku sądu jako wolny człowiek!

Dziś nasza ostatnia sesja. Tessie ma zarumienione policzki. To dla niej charakterystyczne, kiedy jest zdenerwowana.

Jej malutka blizna odcina się na tle opalonej skóry jak księżyc w nowiu na piegowatym niebie. Dziś nie przykrywa jej makijaż. Podoba mi się. To oznaka odzyskiwania pewności siebie. Spojrzenie jasnych, szmaragdowych oczu jest bystre i skupione. Cudownie miedziane włosy przyczesana gładko i związała, jakby szykowała się do startu w wyścigu. Mięśnie twarzy ma napięte i gotowe, nie wiszą sflaczałe, tak jak wtedy, kiedy po raz pierwszy zjawiała się w moim gabinecie. Nadal obgryza paznokcie, ale przynajmniej pomalowała je starannie pięknym lawendowym lakierem.

Tak wiele chciałbym jej powiedzieć.

O tym, że zamierzałem rozerwać ją na strzępy, ale perspektywa poskładania jej z powrotem w jedną całość wydała mi się dużo, dużo bardziej kusząca.

O tym, że Rebeka była rzuconym od niechcenia kłamstwem w rozmowie z leniwą dziennikarką, a także metaforą wszystkiego. Rebeka jest duchem, który dotrzymał mi towarzystwa podczas najgorszej nocy w moim życiu. Jest żonami i córkami, których nigdy nie będę miał, i każdą wyjątkową dziewczyną, która przyszła na moje zajęcia, spojrzała na mnie i nie zorientowała się, jaki czeka ją los.

Chcę powiedzieć Tessie, że czasem – tak naprawdę często – jest mi przykro.

Chcę dokończyć opowieść o smutnym chłopcu, który wracał po szkole do pustego domu i włączał ogrzewanie.

Widziałem, że Tessie przejęła się chłopcem – kiedy się smuci, jej twarz zawsze ślicznie się marszczy, jak origami.

Matka chłopca miała w zwyczaju zostawiać mu koszmarnie niespodzianki, kiedy wychodziła do pracy. Martwe pisklę na poduszce. Żywego mokasy na błotnego w toalecie. Kocią kupę w pudełku z ciastkami. Nazywała to psikusami.

W sobotę wieczorem, kiedy dosypał jej do taniego wina dwadzieścia pokruszonych tabletek, zasnęła nad sto trzydziestą szóstą stroną Rebeki Daphne du Maurier. Wymawiała to nazwisko „dumejer”, jakby było przydomkiem tłustej krowy, takiej jak ona sama. Strzepnął jej poduszkę, włączył klimatyzację, choć była zima, przeczytał całą książkę i dopiero wtedy zadzwonił na policję, mówiąc,

*że matka od wielu miesięcy przejawiała skłonności samobójcze.*

*– Widziałam pana z nią – drwi ze mnie Tessie.*

*Chcę położyć dłoń na kolanie Tessie, żeby wreszcie przestała poruszać nogą z częstotliwością młota pneumatycznego.*

*Chcę dać jej do ręki tę mocno sfatygowaną książkę.*

*Chcę powiedzieć, że dla Rebeki szczególne znaczenie miały nie żółte, tylko czerwone kwiaty.*

*Chcę jej powiedzieć, że niedługo dotknę motyla, którego ma wytatuowanego na biodrze. Takiego samego ma Lydia.*

# Epilog

Oczywiście wyobraźnia zdolna jest otworzyć każde drzwi – przekręcić klucz i wpuścić do środka strach.<sup>19</sup>

Szesnastoletnia Lydia czyta *Z zimną krwią* pod mostem w parku Trinity, czekając, aż Tessie skończy biegać, dziesięć dni przed napaścią, rok 1994

# Tessa

Jeden po drugim elementy układanki wyszły z ukrycia jak nieśmiałe dziewczęta na parkiet.

Lydia przyznała się do zabójstwa z zimną krwią i do związku z panem doktorem, ale zaprzeczyła, jakoby sadziła rudbekie we wszystkich tych miejscach: u siebie na podwórzu za domem, przed moim dawnym mieszkaniem, obok uschniętych pomidorów mojej babci, pod mostem huczącym jak ocean.

Jeśli to, co mówi, jest prawdą, pan doktor posadził kwiaty tylko za pierwszym razem. Wiatr i jakiś obłąkaniec dopełnili dzieła. Pozwoliłam diabolicznemu ogrodnikowi żyć w mojej głowie przez ponad dekadę. Podobnie jak bracia Grimm, przypisywałam niecodzienną moc zwyczajnym, niewinnym przedmiotom. Ileż cierpienia może przysporzyć lusterko. Albo ziarnko grochu. Albo kwiatek o żółtych płatkach.

Pewnego ranka, kiedy przyglądałam się, jak Charlie zajada się cheeriosami z żółtej miseczki, która kiedyś należała do mojej matki, przypominałam sobie, jaką koszulkę miała na sobie Merry. „Witamy w CAMP SUNSHINE”, napisano na niej, tyle że brud i krew zamazały wszystkie litery poza „SUN”. S, U, N – mój rozpaczliwy zabieg mnemotechniczny, by zapamiętać imiona matek dziewcząt leżących w grobie, okazał się niewypałem. Doktor Giles mówi, że „służył przetrwaniu”.

Doktor Giles raz na jakiś czas próbuje mnie przekonać, że Kwiaty w mojej głowie nie były prawdziwe. Nie uwierzę. Naprawdę istniały. Bywało, że leżałam w nocy rozbudzona i wyobrażałam sobie własny umysł jako dom dziadka, z korytarzami i ciemnymi pokojami, w których brakowało światła, a Kwiaty spały i budziły się we wszystkich licznych łóżkach. Dziś przez te okna sączy się jak roztopione masło blask księżyca. Podłogi są zamiecione. Łóżka posłane. Szafy opróżnione.

Kwiaty opuściły moją głowę, dlatego że dotrzymałam słowa. Tak właśnie brzmiała umożliwiająca przetrwanie wskazówka, której udzielił mi dziadek, w razie gdybym poczuła się uwięziona w świecie baśni. Dotrzymywać słowa. W przeciwnym wypadku stanie się coś złego.

Szczałki pozostałych dwóch Kwiatów ostatecznie udało się zidentyfikować jako należące do Carmen Rivery, Meksykanki uczącej się na Uniwersytecie Tekszańskim w ramach wymiany studenckiej, oraz Grace Neely, studentki



kognitywistyki na Uniwersytecie Vanderbilt. Kod ziemi okazał się wyjątkowo precyzyjny. Drobiazgowo dociekania Lydii pozwoliły na powiązanie ze sprawą jeszcze ośmiu ciał niezidentyfikowanych dziewcząt z kostnic w trzech stanach.

Na szczęście nie ma wśród nich Benity Alvarez Smith. Lucas wytropił ją dla mnie. Okazuje się, że Benita jest zameźną matką dwójki dzieci, mieszka w Laredo i obiecała, że w przyszłym miesiącu, kiedy przyjedzie do Fort Worth w odwiedziny do swoich rodziców, pójdzie ze mną na kawę.

Najlepsze w całej tej historii jest oczywiście to, co w końcu spotkało Terrella. Skrupulatne śledztwo w wykonaniu Lydii pomogło doprowadzić do jego uwolnienia. Wyniki badania DNA porównującego próbki pobrane z jej bluzki oraz z płodu wzbudziły w sędzim sądu stanowego tak duże wątpliwości co do winy skazanego, że wstrzymał on egzekucję. Terrell wyszedł z więzienia półtora miesiąca później. Obawiałam się, czy trzy dni wystarczą do zatrzymania teksańskiej maszyny śmierci, ale Bill powiedział, że w celi skazańców trzy dni to wieczność.

Dziś Terrell wzrusza występami w programach talk-show, zapewnia widzów o celowości życia, opowiada o Bogu i przebaczeniu i mówi mnóstwo rzeczy, których nie spodziewalibyśmy się po niewinnej ofierze rasistowskiego systemu. Kiedy nie występuje przed kamerami, przesiaduje w niewielkim pokoju, nie odsłania okien i sypia na kanapie – tak trudno mu się odzwyczaić od życia w zamknięciu.

Teksas przyznał mu jednorazowe odszkodowanie w wysokości miliona dolarów, a także dożywotnią rentę wynoszącą osiemdziesiąt tysięcy dolarów rocznie. Kto by pomyślał, że stan, który przeprowadza najwięcej egzekucji w kraju, zarazem najhojniej rekompensuje ofiarom swoje pomyłki?

Obie z Charlie tęsknimy za Effie. Rozmawia z nami przez Skype'a, zasiadając przed kamerką w różowych wałkach na głowie; nie licząc się z kosztami, przysyła ciasta ciężkie jak cegłówki i nieustająco zmaga się z własnymi chochlikami. Nowi właściciele jej domu nadali mu barwy Uniwersytetu Notre Dame w Indianie, czyli zupełnie niehistoryczne połączenie granatu i złota. Trzy małe diabelce, które ze sobą przywieźli, sieją spustoszenie na działce. Nowi sąsiedzi proponują Charlie stałą stawkę dwudziestu dolarów za opiekę nad maluchami, ale ona grzecznie odmawia.

Jo kontynuuje walkę z potworami, której końca nie widać. Codziennie wkłada biały fartuch i sproszkowuje kości zaginionych. Zaczęłyśmy razem biegać i chyba stałyśmy się sobie całkiem bliskie. Przyjechała do mnie dzień przed wielkim powrotem Lydii. Zdjęła łańcuszek ze złotym wisiorkiem

w kształcie DNA i zawiesiła mi go na szyi jak amulet.

O Lydii Frances Bell alias Elizabeth Stride alias Rose Mylett myślę częściej, niż jestem skłonna się przyznać. Mieszka w Anglii, razem z dwoma kotami, Pippinem i Zeldą – tak przynajmniej donosi notka o autorce na okładce bestsellerowej książki *Kwiat, który zakwitł w cieniu*. Charlie czyta ją ukradkiem. „Niech czyta”, mówi doktor Giles.

Charlie i Aurora często do siebie pisują, nie tylko esemesy. Dodały się do znajomych na Facebooku po tym, jak media wrzuciły nas wszystkich do wrzątku i przez dwa miesiące gotowały na wolnym ogniu. „Aurora miała beznadziejnie, a ja nie – mówi Charlie, jakby broniła tej znajomości. – Chce zostać pielęgniarką. Przybrani rodzice niedawno kupili jej starego żółtego garbusa. Aurora nadal liczy, że pewnego dnia prawdziwa matka się do niej odezwie”.

Cieszy mnie ich znajomość i zarazem niepokoi.

Sięgam wzrokiem najdalej, jak potrafię, ponad szerokimi, mętnymi wodami zatoki. Zastanawiam się, jak ją namalować. Ponurymi, zuchwałymi, abstrakcyjnymi pociągnięciami? A może zlewającą się ze świetlistym niebem, które wskrzesza nadzieję?

Jezus nie jest dziś rozbłyskiem słońca. Przed godziną doszło do ataku rekina, dlatego na wodzie widać tylko kilka kolorowych plamek – to najodważniejsi śmiałkowie. Jest pochmurno. Woda ma ołowianą barwę i wygląda na nieprzystępną – nic nowego w Galveston, nawet przy słonecznej pogodzie. Piasek jest zasłany wodorostami, stąd wrażenie, jakby chodziło się boso po grzbietach tysięcy węży.

Co roku latem decydujemy się z Charlie na tygodniowy powrót do rozchwierutanego domku. Gruby, twardy piasek doskonale się nadaje do budowania zamków. Zachody słońca warte są każdej chwili poświęconej na ich oglądanie. Wieczorem można klapnąć na wale i w świetle księżyca liczyć ryby wyskakujące z wody. To wyspa, piękna i szpetna zarazem, z historią równie głęboką, mroczną i osobliwą jak nasza.

Po raz pierwszy i z pewnym wahaniem postanowiłyśmy poszerzyć nasze dwuosobowe grono. Niewykluczone, że w weekend wpadnie Bill. Siedzę na tarasie i patrzę, jak Charlie biega nad wodą ze swoją koleżanką Anną, której mama poszła na trzymiesięczny odwyk od wódki z dietetyczną colą. Człowiek, który spojrzałby na te dwie nastolatki, nie domyśliłby się, co przeżyły i przeżywają. Skaczą w wodzie i śmieją się, a ich trajkotanie miesza się z krzykiem mew.

Przypominają mi dwie inne dziewczyny.

Zanim Lydia wsiadła do samolotu, opowiedziała policji pokrętną, ale całkiem przekonującą historię o tym, jak pewnej nocy zabiła mordercę Polnych Kwiatów. Samoobrona. Gwałt. Manipulacja w wykonaniu rodziców. Policji nawet nie przyszło do głowy wysuwać zarzuty pod jej adresem. Kiedy natknęli się w sieci na te same podpisane nazwiskiem pana doktora artykuły, które również ja znalazłam, Lydia ochoczo przyznała się do autorstwa. „Wykorzystanie jego nazwiska sprawiło, że zaczęłam się w mniejszym stopniu czuć jego ofiarą”, powiedziała. „Nie potrafię tego wytłumaczyć”. No więc odpuścili jej nawet to.

Przeciwnicy kary śmierci wciąż starają się namówić Terrella do wytoczenia Lydii procesu. Kobietom prowadzącym programy talk-show, które spotykają się i paplają w wąskim gronie, nie podoba się to, że Lydia zarobiła na zamieszaniu wokół sprawy. Za to grupy wsparcia dla ofiar przemocy domowej twardo stoją po jej stronie. Była nastolatką, którą morderca zmanipulował i wykorzystał seksualnie. „Chyba że było dokładnie odwrotnie”, myślę sobie.

Wiele powiedziano o sprycie pana doktora. O ryzyku, które podjął, by pokrzyżować działania policji. O tym, jak umiejętnie zwodził prokuratora okręgowego i ojca ofiary. O tym, jak umieścił swoje nazwisko na liście lekarzy po to, abym sama go wybrała.

Trzymam złość pod kluczem, zamkniętą w miejscu, które odwiedzam coraz rzadziej. Wykorzystuję sztuczki, których sam mnie nauczył. Kiedy pozwalam mu na powrót do moich myśli, zjawia się w nich jak żywy. Siedzi z wyciągniętymi nogami pod obrazem Winsłowa Homera i czeka na mnie. W ciemności sunie po dnie jeziora. Policja trzykrotnie przeczesła dno jeziora Texoma najnowocześniejszym sprzętem. Wyłowiono czaszkę pięćdziesięciokilkuletniej niezidentyfikowanej kobiety i ciało dwuletniego chłopca, który utopił się zeszłej jesieni, ale nie znaleziono szczątków mojego potwora.

Co rzecz jasna sprawia, że zaczynam się zastanawiać.

Czy niemal wszystko, co powiedziała Lydia, nie było jednak kłamstwem.

Czy jej celem nie było zasianie wątpliwości.

Czy między nami naprawdę wszystko skończone.

Na wszelki wypadek nie rozstaję się z ostatnią bronią, jaka mi pozostała. Jej dziennik. Schowałam go w starej skrytce w ścianie w piwnicy domu dziadka. Jeśli będę musiała, bez wahania wedrę się do tego grobowca. Wydobędę cały jej mrok i próżność na światło dzienne. Pozwolę, aby pokonały Lydię jej własne słowa. Na powrót stanie się tą bladą, dziwną

dziewczynką, z którą nikt poza mną nie chciał się bawić.

Kiedy zasypiam, jednego tylko jestem pewna.

Gdziekolwiek Lydia się znajduje i cokolwiek robi – pisze w samotności albo leży na miękkim piasku bądź łące pełnej kwiatów – Polne Kwiaty po cichu i powoli, cegła po cegle, wznoszą w jej głowie swój nowy dom.

# Zakończenie

„Uwierz mi, że nie chcesz, żeby cię złapano w Teksasie, jeśli facetowi ze spuszczoneymi gaciami odstrzelisz łeb”.

Czternastoletnie Lydia i Tessie oglądają *Thelmę i Louise*, siedząc na pace pikapa w kinie samochodowym w Brazos, rok 1992

## Podziękowania

Podczas pisania tej książki korzystałam z pomocy całej armii wspaniałych ludzi – naukowców, terapeutów i prawników – którzy szczerze służyli mi radą, jeśli chodzi o zagadnienia dotyczące najnowszych odkryć w badaniach nad DNA, wpływu urazów psychicznych na osoby w wieku nastoletnim oraz teksańskich procedur związanych z wykonywaniem kary śmierci.

Rhonda Roby, specjalistka od mitochondrialnego DNA i mieszkanka Oklahomy, udzielała mi konsultacji esemesami, przez telefon i e-mailem, a także przy piwie. Podzieliła się ze mną bogatym doświadczeniem w temacie identyfikacji ofiar seryjnych morderców, wojny w Wietnamie, reżimu Pinocheta, katastrof samolotowych i zamachów jedenastego września. Po ataku terrorystycznym na wieże World Trade Center Rhonda pracowała na miejscu wraz z innymi wybitnymi naukowcami i przez wiele lat dążyła do tego, aby rodziny ofiar zamachu poznały całą prawdę o losie swoich bliskich. Moja książka bardzo dużo zawdzięcza jej osobowości, doświadczeniu i człowieczeństwu. Czy opowieść o jeleniu jest prawdziwa? A jakże! Obecnie Rhonda wykonuje wymarzoną pracę, wykłada bowiem w J. Craig Venter Institute (Instytut im. J. Craiga Ventera).

Działające przy Uniwersytecie Północnego Teksasu Center for Human Identification (Zakład Identyfikacji Zwłok) opisałam z pewną (niezbyt dużą) dozą *licentia poetica*. Misja zakładu, kierowanego przez Arthura Eisenberga, wykracza poza zwykłe obrazowanie – chodzi o identyfikację szczątków, z którymi nie mogą sobie poradzić inne ośrodki. Organa ochrony porządku publicznego z całego świata zwracają się do zakładu z prośbą o pomoc przy sprawach, które utknęły w martwym punkcie. Wspomnę tylko, że w zakładzie udało się ustalić tożsamość jednej z ofiar seryjnego mordercy Johna Wayne'a Gacy'ego trzydzieści trzy lata po tym, jak jej szczątki wykopano spod chicagowskiego domu zabójcy.

George Dimitrov Kamenov, geochemik z Uniwersytetu Florydzkiego, otworzył mi oczy na cud analizy izotopowej i jej obecne zastosowanie do rozwiązywania zagadek kryminalnych i identyfikacji starych kości. Dzięki niemu zrozumiałam, że *jesteśmy* ziemią. George zainspirował mnie do wymyślenia jednego z moich ulubionych zwrotów fabuły.

Nancy Giles, doświadczona terapeutka dziecięca, ze szczegółami opisała mi sposoby działania dobrych i złych terapeutów, a także poleciła

psychiatryczną listę lektur (*Shattered Assumptions, Too Scared to Cry, Przemoc: uraz psychiczny i powrót do równowagi*<sup>20</sup>), które zmieniły bieg tej opowieści. Pomoc otrzymałam również od jej syna, Roberta Gilesa III, eksperta współpracującego z Child Assistance Program (Program Pomocy Dzieciom), działającym przy Judge Advocate General's Corps (Korpus Zwierzchnika Wojskowego Wymiaru Sprawiedliwości) Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, oraz jego żony Kelly Giles, terapeutki, która przez znaczną część życia zawodowego zajmowała się, i nadal zajmuje, dziećmi jako ofiarami przemocy. Mąż Nancy, Bob Giles, dwukrotny laureat nagrody Pulitzera, redaktor i mój były szef, uwierzył we mnie już na wczesnym etapie mojej dziennikarskiej kariery. Między innymi dzięki niemu nabrałam na tyle szalonej pewności siebie, by napisać tę książkę.

David Dow, tekszański adwokat zajmujący się sprawami, w których oskarżonym grozi kara śmierci, wskoczył w sam środek świata, który wykreowałam w tej książce, i podpowiedział mi, jak podejść do sprawy. Nie spodziewałam się, że jedna z moich postaci będzie mu zawdzięczała swoją filozofię. Lektury wspomnień Davida, zatytułowanych *The Autobiography of an Execution* (Autobiografia egzekucji), nie sposób zapomnieć; polecam ją każdemu, niezależnie od wyznawanych poglądów na temat kary śmierci.

Jeden z byłych klientów Davida, Anthony Graves, który siedział w celi śmierci, zechciał poświęcić mi niewielki fragment swego odzyskanego czasu i porozmawiać przez telefon o przeżyciach niewinnego człowieka za kratami. Spędził półtora roku w więzieniu, niesłusznie oskarżony o zamordowanie sześciuosobowej rodziny. Dziś, po wyjściu na wolność, żyje przepięknie duchową pewnością siebie, przy której większość z nas wypada blado. Na stronie [www.anthonygravesfoundation.org](http://www.anthonygravesfoundation.org) niestrudzenie prowadzi swoją krucjatę.

Dennis Longmire, profesor Uniwersytetu Stanowego im. Sama Houstona, od lat niezłomie pikietuje tekszańskie egzekucje. Można go poznać po świeczce choinkowej na baterie, którą zawsze trzyma w ręce. Pewnego zimnego wieczoru pod Domem Straceń on i inni „stali bywalcy” w bardzo rzeczowy sposób wyjaśnili mi, jak w Teksasie wyglądają egzekucje. Dalsze szczegóły zdradził mi John Moritz, były dziennikarz „Fort Worth Star-Telegram”, który był świadkiem ponad tuzina egzekucji.

Mary Clegg matka i Mary Clegg córka, które prowadzą pensjonat Whistler znajdujący się zaledwie kilka przecznic od niesławnego Muru, pokazały mi łagodniejsze oblicze Huntsville. Pozwoliłam sobie nieco ubarwić opis ich gniazda rodzinnego, co jednak nie zmienia faktu, że zjadłam tam najlepsze na

świecie puszyste naleśniki. Przejeżdżając przez Huntsville, koniecznie trzeba zajrzeć do pań Clegg.

Chciałabym również zwrócić uwagę na artykuł autorstwa Cathy A. Malchiodi o zastosowaniu interwencji w celu pomocy dzieciom z urazem psychicznym. Malchiodi opisała przypadek małej „Tessy” i jej domku dla lalek, który wykorzystałam w swojej powieści.

Laurze Gaydosh Combs zawdzięczam informacje na temat kości płodów.

Polne Kwiaty to wprawdzie fikcja literacka, ale zależało mi na tym, aby szczegóły pracy techników z zakładu medycyny sądowej, rola terapii w leczeniu urazów psychicznych oraz prawne aspekty wykonywania kary śmierci były jak najsilniej zakorzenione w rzeczywistości. Za wszelkie pomyłki i przeinaczenia odpowiadam wyłącznie ja.

Chciałabym podziękować również:

Christopherowi Kelly’emu, niezwykłemu przyjacielowi i pisarzowi, który udziela mi szczerzej krytyki i wsparcia, kiedy mam już tej krytyki dość.

Kirstin Herrerze, jedynej spośród moich przyjaciółek, o której wiem, że zgodzi się, kiedy zaproponuję jej ponurą wizytę pod teksańską komorą śmierci w dzień egzekucji.

Christinie Kowal, za tekst o Big Macu i za natchnienie do postaci Charlie. Dziękuję również jej mamie, drogiej kuzynce Melissie.

Samowi Kaskovichowi, mojemu synowi, za dorysowanie wąsów Jane Eyre, niechwalenie się nagrodami, postępowanie z wiarą i życzliwością. Z całego serca dedykuję mu tę książkę.

Kay Schnurman, która z nici i stali potrafi stworzyć cuda i która była dla mnie inspiracją do nakreślenia artystycznego oblicza Tessy.

Chuckowi i Sue Heaberlinom, moim rodzicom, którzy zastanawiają się zapewne, skąd biorą się w mojej głowie te mroczne pomysły, które przelewam na papier, ale i tak są ze mnie dumni.

Dziękuję załodze Random House: Kate Miciak, mojej zawziętej i najlepszej na świecie redaktorce, a także poetce; Jennifer Hershey, która od początku ujmowała się za moją powieścią; Libby McGuire; Rachel Kind i działowi licencji zagranicznych; mojej przebojowej agentce prasowej Lindsey Kennedy. A także osobom, które korygują błędy i dbają o piękny wygląd książki: redaktorce Loren Noveck, korektorce Pam Feinstein, wydawcy Angeli McNally, graficze Danie Leigh Blanchette oraz projektantkom okładki Lee Motley i Belinie Huey.

Dziękuję też Kathy Harris za sprawdzenie poprawności rękopisu.

Maxine Hitchcock z Michael Joseph/Penguin UK za entuzjastyczne



wsparcie i pomoc przy książce i w karierze.

Danielle Perez. Nie zapomnę. Dziękuję.

Steve'owi Kaskovichowi, mojemu mężowi, terapeutcie i pierwszemu czytelnikowi tej książki. Dzień, w którym rzucił mi koraliki z Mardi Gras przez cały newsroom, po czym przekonywał, żebym się z nim umówiła, aż w końcu się zgodziłam, był najszcześniejszym dniem mojego życia.

Garlandowi E. Wilsonowi, artyście, fotografowi robiącemu zdjęcia zmarłym w kostnicy, śpiewakowi i gawędziarzowi. Był najlepszym dziadkiem, jakiego można sobie wymarzyć. Tęsknię za Twoją piwnicą, która przyprawiała mnie o gęsią skórkę.

Na koniec najmocniej dziękuję mojej agentce Pam Ahearn, która towarzyszyła mi na wszystkich prostych i zakrętach podczas pisania książki. Nigdy nie straciła wiary we mnie i w moją pracę. Jestem jej do zgonnie wdzięczna.

- 
- <sup>1</sup> *Jałowiec*, w: Philip Pullman, *Baśnie braci Grimm dla dorosłych i młodzieży*, przeł. Tomasz Wyżyński, Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz, Warszawa 2014, s. 169.
- <sup>2</sup> *Grim* (ang.) – ponury (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
- <sup>3</sup> *Prince* (ang.) – książę.
- <sup>4</sup> Marcia Clark – główny oskarżyciel w procesie O.J. Simpsona.
- <sup>5</sup> Edna St. Vincent Millay (1892–1950) – amerykańska poetka i dramatopisarka, otwarcie biseksualna i przez kilkanaście lat rzeczywiście uzależniona od morfiny i alkoholu.
- <sup>6</sup> *Red socks* (ang.) – czerwone skarpety.
- <sup>7</sup> Pemberley – posiadłość pana Darcy’ego, bohatera *Dumy i uprzedzenia*.
- <sup>8</sup> *Black-eyed Susan* (ang.) – potoczna nazwa rudbekii nawiązująca do postaci czarnookiej Zuzanny z wiersza Johna Gaya.
- <sup>9</sup> Lizzie Andrew Borden (1860–1927) – oskarżona w 1892 roku o zabicie swojego ojca i macochy, ostatecznie uniewinniona. Jej proces był wydarzeniem szeroko komentowanym w prasie.
- <sup>10</sup> Angielski tytuł tej książki brzmi *Chicken Soup for the Soul* (dosł. Zupa z kurczaka dla duszy), stąd przezwisko Kurczak Mały.
- <sup>11</sup> Charles Dickens, *Samotnia*, przeł. Tadeusz Jan Dehnel, Czytelnik, Warszawa 1975, s. 101.
- <sup>12</sup> Arthur Conan Doyle, *Epizod z beczką*, w: *Księga wszystkich dokonań Sherlocka Holmesa*, przeł. Anna Krochmal, Robert Kędziński, Marta Domagalska, Zofia Wawrzyniak, Rea, Warszawa 2010, s. 121.
- <sup>13</sup> Hasło solidarności z miastem Moore w stanie Oklahoma, w znacznym stopniu zniszczonym przez tornado w maju 2013 roku.
- <sup>14</sup> Zbitkę 4N6 można rozszyfrować jako *foreign sex* (obca płęć)...
- <sup>15</sup> ...albo *forensics* (medycyna sądowa).
- <sup>16</sup> Blue Knights (Niebiescy Rycerze) – międzynarodowy motocyklowy klub stróżów prawa. Powstał w USA w 1974 roku.
- <sup>17</sup> Karla Faye Tucker (1959–1998) – pierwsza kobieta, którą stracono w Teksasie od 1863 roku. Skazano ją za zabójstwo podczas włamania.
- <sup>18</sup> Herman Webster Mudgett (1860–1896) – seryjny morderca. Wybudował w Chicago hotel przypominający zamek, wyposażony w dźwiękoszczelne pomieszczenia, przejścia, kryjówki itp. Szacuje się, że Mudgett mógł zgładzić nawet ponad sto osób.
- <sup>19</sup> Truman Capote, *Z zimną krwią*, przeł. Krzysztof Filip Rudolf, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2005, s. 116.
- <sup>20</sup> Lewis Judith Herman, *Przemoc. Uraz psychiczny i powrót do równowagi*, przeł. Anna i Magdalena Kacmaja, Gdańskie Wydawnictwo Pedagogiczne, Gdańsk 2002.

Przekład: Jacek Żuławnik  
Redakcja: Maria Wirchanowska  
Korekta: Katarzyna Pawłowska, Piotr Królak

Adaptacja projektu okładki na podstawie wydania oryginalnego: Tomasz Majewski  
Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: © Alexander Nicholson/Taxi/Getty Images; © David  
Cavagnaro/Visuals Unlimited/Getty Images  
Zdjęcie wykorzystane na IV stronie okładki: based on an image © randomdigit/iStock

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12  
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-3338-2

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

**virtualo**